50

# WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

20.212

# WSPOMNIENIA
# Z PODRÓŻY

PRZEZ

21.65.

D^ra T. TRIPPLINA.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

**Tom IV.**

(zawierający 1^go wydania tom VII^my i VIII^my).

## HISZPANIA.—PAŃSTWO MAROKAŃSKIE.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773
Wa5165125

PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

1853.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 20 Maja (1 Czerwca) 1852 r.

*Cenzor,*

**F. Sobieszczański.**

INSTYTUT GEOGRAFII P.A.N. BIBLIOTEKA
20 212 (4)

w Drukarni Gazety Codziennej.

V
85/59
NH-63584

# HISZPANIA.

# ROZDZIAŁ I.

MARGRABIA CIENFUEGOS.—FANATYZM I ROZUM.—ARYSTOKRATA HISZPAŃSKI.—WYGÓROWANY EGOIZM.—WIARA Z POTRZEBY. — DON JUAN PLATONICZNIE ZAKOCHANY. — DONNA INEZ W DOMU OBŁĄKANYCH.— PABLO MASZTALERZ KAPITANA GWARDYI NARODOWÉJ.—GENERAŁOWIE: LOPEZ, GOMEZ I CABRERA.— OLBRZYM LLANGOSTERA.— PALIKOS. — WYPADKI WOJENNE.— PACYENT UCIEKA.

---

Margrabia Cienfuegos już zaczął stąpać na zbolałych nogach, podagrą i gonagrą dręczonych, już też i z rąk ustępować zaczęła chiragra, sen wracał na powieki i w dostojny żołądek czasem zawitał apetyt, a w szlachetne serce, w miarę jak ustępowały z rąk i nóg boleści, wkraczała duma grandesowska. Niecierpliwy, ale podległy, przynajmniéj dopóki był chorym, stał się, powracając do zdrowia, krnąbrnym, imponującym nawet względem mnie, a względem swéj żony grzecznie-tyrańskim, elegancko-nieznośnym.

Jednak go kochała ta młoda, piękna żona: przynajmniéj nikogo innego nie kochała. Ona od maleńkiego dziecka wybrana była przez własnych rodziców na żonę dla téj ruiny chodzącéj, dlatego człowieka, którego serce dawno już skrzepło w egoizmie, którego zdrowie, nim się młodzieńcze rozwinęły siły, już było nieodwołalnie zatrute skutkiem przedwczesnych rozwiązłości. Ją wychowano od maleńkiego dziecka na ofiarę. Wierzyć jéj kazano, że wyrokiem niebios wybraną jest na żonę tego starego, zgrzybiałego a bogatego magnata. Karami piekielnemi jéj grożono, jeźli znajdzie w czémkolwiek inném jak w tym starcu urok, jeźli poważy się odgadywać powaby w jakimkolwiek innym zdrowym i pięknym utworze Boga. Ten bowiem starzec, który zapewnie pozostanie bezdzietnym, a długo nie pożyje, miał być protektorem rodzeństwa donny Leonory. Rodzeństwa było wiele, a majątku mało.

Ale bystre w niéj było pojęcie, przedarło się ono po za wszystkie zapory stawiane tak staranną ręką; owszem, w saméj widoczności tych bezbożnych usiłowań, młoda a silna dusza odgadywała pomimowolnie umyślność jakąś. Istotnie odgadła przyszłość, jaką jéj rodzice gotują, i to już w wieku, w którym inne panienki o niczém ważném jeszcze nie myślą, kwiatami się bawią i lekcye tańca biorą. Ale też razem uznała ważność przyczyn zniewalających jéj rodziców do tak bolesnéj ofiary, i tkliwe to, szlachetne serce pojęło, że ugiąć się potrzeba przed smutną koniecznością, pojęło nawet, że wiedzę téj ofiary ukryć potrzeba przed rodzicami, aby im nie przyczyniać boleści.

Chrześciańska dusza pałała w téj młodéj panience. Ona się litowała nad sprawcami swéj niedoli, a ten rozum właśnie rozwinął się pomimo woli, i czerpiąc w czystych religijnych uczuciach swe żywioły, stał się sprzymierzeńcem rodziców, żądających od dziecka swego wyrzeczenia się własnego szczęścia.

I tak się tedy wychowało to dziecko, taiło w sobie przed oczami własnych rodziców skarby zawarte w swéj pięknéj duszy. Przebrzydły potwór, który kupił przyszłość dzieciny obietnicą, że się jéj braćmi opiekować będzie, dojeżdżał od czasu do czasu, pilnował zazdrosném okiem rozwoju wdzięków swego skarbu, i gdy zaledwie wykwitać zaczęły, stary, schorzały Grand pojął za żonę młodziuchną, śliczną panienkę.

Ofiara została spełnioną.

Trzech miała braci donna Leonor.

Jeden, najstarszy, poszedł do armii don Carlosa, popierać swe prawa pierworodności orężem Callatrawów.

Drugi, młodszy, zamiłował się w polityce nowożytnéj i bohatersko bronił pretensyi donny Izabelli.

Trzeci, najmłodszy, niedołęgą był i udawał idiotę, aby pozostać w domu i udziału w niczém nie brać.

Pierwszy zginął w boju, drugiego powiesił Cabrera, wziąwszy go w niewolę; trzeci zostanie Grandem Hiszpanii jak się wojna ukończy, czy się szala zwycięztwa na tę lub ową stronę przechyli. A tak wszystko będzie dokonaném, rodzina Callatrawów nie wygaśnie.

Już od siedmiu lat donna Leonor znosi swe życie, znosi objęcia spróchniałego Granda. Kwiat zaczyna okwitać,

a żaden go zefir świeży nie kołysał. Ale wielki z téj ofiary pożytek wyniknie: imie historyczne Callatrawów de Naipes Victoriosas y Corazones Bajos nie wygaśnie z listy Grandów żyjących.

Szybkim też krokiem Margrabia Cienfuegos de Matacandelas Valerosas spieszył ku grobowi. On spodziewał się znaleść odrodzenie w miłości, w stycznościach z młodością i pięknością i dlatego tak gorąco pragnął tego skojarzenia. Ale przyroda mściła się okropnie i tantalowskie przedwcześnie znękanemu Grandowi sprawiała cierpienia.

Spieszył tedy ku spoczynkowi do pysznego grobowca wspaniałego zamku de Matacandelas Valerosas; sam to uznawał; zazdrość, ta córka nieudolności, walczyła wespół z żądzą w tém nieehrześciańskiém a bigoteryi oddaném sercu, zazdrość ta sięgała aż po za grób; obawiał się, żeby donna Leonor nie znalazła po jego śmierci w innym związku małżeńskim szczęścia, którego z nim nie skosztowała; zabrać ją z sobą na tamten świat nie mógł zwyczajem indyjskim, ale codzień wymagał od niéj przysięgi, że za innego nie pójdzie; w testamencie przeznaczył jéj tylko połowę dochodów z swego majątku na dożywocie, i to jedynie pod tym warunkiem, że wdowa po nim nie pójdzie za mąż, chyba za Granda Hiszpanii dawnéj daty i przynajmniéj pięćdziesiąt lat liczącego, czyli za mumię, bo to jednoznaczne w tym razie. Resztę majątku przeznaczył dla brata Leonory, pod warunkiem, żeby ten do swego pięknego nazwiska Callatrawa de Naipes Victoriosas y Corazones Bajos, dodał jeszcze świetną nazwę Cienfuegos de Matacandelas Valerosas. Jeżeliby zaś donna Leonor zechciała zawrzeć inne jak testamentem zastrzeżone śluby, wówczas dożywocie miało pójść na korzyść jakiegoś księdza.

Im więcéj donna Leonor okazywała przyjaźni swemu mężowi, im więcéj cenić ją musiał, tém silniéj zazdrościł innemu tego skarbu.

O tém wszystkiém wiedziała Margrabina, ale jéj anielska dusza niczém zrazić się nie dała od pełnienia obowiązków; jéj rozum wszystko przewidział, co ją w tém życiu boleśnie dotknąć może, a cnota wystarczyła na zniesienie wszelkich boleści.

Na rozliczne była przygotowana okrucieństwa, jakie popełnić można w obrębie wykwintnego życia bez obrażenia

pozorów; nic jéj nie zadziwiało, prócz chwil ulgi spotykanych w towarzystwie ludzi serca, a tych ludzi nie wiele znajdywała, bo ich pan Margrabia instynktownie nienawidził, i chińskim murem sto-ocznéj i sto-słuchowéj zazdrości przegrodził żonę swoją od reszty świata.

Dla innych cnót, tak szczytnych, tak rzadkich, musimy wybaczyć donnie Leonor wiarę, która także zapewnie tylko była wynikiem jéj położenia wyjątkowego. Rzadko kto nie uwierzy w dobroć sprawy, dla któréj cierpi lub cierpiéć musi, a przecież nie zawsze ona dobrą. Cierpień nie zdobywamy, tylko one same z siebie, zawsze nieproszone, najczęściéj niespodziane, nigdy nie upragnione na nas spadają; nieumyślność cierpień nie może nakładać rozumowi wiary, ale dusza znajduje ulgę w téj wierze i prawie zawsze rozum staje w usłudze potrzebom duszy. Ztąd tyle filozofów dowodzących nam tak skutecznie, że czarne jest białem; ztąd tyle łatwowiernych odwiedzionych sztucznemi systematami od wiary w prawdę, zanadto łatwą do pojęcia, a zatém wzgardzoną przez młodzież, lubiącą się szermierzyć sofizmatami i zatrudniać się wynajdywaniem celu i pożytku własnéj bezczynności.

Patrząc na Margrabinę, uznać musiałem, że najpiękniejsza twarz w świecie, gdy z ręki hojnéj natury wyszła, jeszcze wychowaniu zostawia obszerne pole do zdobycia nowych doskonałości.

Mój przyjaciel don Juan, który był dobrym znawcą, przysięgał, że równie powabnéj kobiety w życiu swém nie widział, i w słowach pełnych południowego zapału wynosił nad niebiosa uroki donny Leonor.

—»Rysy twarzy podobnie piękne, oczy, włosy, kibić, widziałem już u niejednéj kobiety; ale ileż to każdy wdzięk nabiera uroku w donnie Leonor, któréj mądrość, dobroć i szlachetność łączą się, spajają tak serdecznemi węzłami z pięknością?« mówił don Juan; »patrz don Teodoro na jéj twarz zazwyczaj tak pogodną, tak spokojną; a gdy na niéj uśmiech, ten niewinny dziecięcy uśmiech zaigra, oblicze to staje się promienistém słońcem szczęścia, zdaje się wówczas, że niebo się otwiera, że aniołowie z niego występują, tańczą i śpiewają. A owe skronia, z których błyska pojętność! a owe czoło tak rostropne, a oczy, oczy! Boże Wszechmocny, oneby trupa wskrzesiły te cudne, ła-

godne a wielkie oczy. Don Teodoro! widziałeś te nieprzeliczone roje wdzięków swawolących w każdym zaułku, w każdéj fałdeczce tych lubych powiek, tych warg tak nadobnie wykrojonych? A jak tkliwie śpiewają te wdzięki, gdy wzruszone jakiémś uczuciem, czyto litością, czy chwilową radością, brzmią wszystkie razem, owym sobie właściwym, tak cichym, a dla mego serca tak donośnym głosem. O miła, luba, nadludzka istoto! któréj niebo tyle udzieliło powabów, obraz twój zostanie wiecznie w sercu i nic go zagładzić w mojéj pamięci nie zdoła; on jest królową wszystkich mych szlachetniejszych, lepszych myśli, i niech mi wiecznie w duszy panuje, jako monarcha mych ideałów.«

—»Na Boga, don Juanie! pokochałeś się widzę i to na dobre; patrz motylu, długo igrałeś ze światłem, nareszcie coś podobno oparzyłeś sobie skrzydła.«

—»Czym się pokochał? don Teodoro! co to jest kochać się? to jest ośmielić się spodziewać wzajemności; do tego stopnia nie jestem zuchwałym, ani zarozumiałym, ani też materyalnym, żebym u tego anioła mógł się ubiegać o wzajemność. Nie! dusza ma wyższa jest jak me gusta, dusza ma już się zaślubiła z obrazem w sercu mém wyrytym, i więcéj pragnąć nie jest w méj sile.«

Don Juan wymówił te słowa w uroczystym tonie mowy, żadna figlarność nie przebijała się w jego oczach, dotychczas tak radosnych, do wszystkich psot gotowych. Nieudana smętność i wzruszenie jakieś, nigdy przezemnie niespostrzeżone w tym żywym, na pozór płochym młodzieńcu, osiadła na jego twarzy.

—»Ale powiedz przyjacielu: donna Ineza, donna Ineza już zapomniana?«

»Ah nie mów mi o téj Galatei, któréj byłem na me nieszczęście Pygmalionem. Niech ją! chyba nie wiesz, jakie mi figle płatała? Oto zazdrosna jak szatan, śledzi mnie wszędzie i wszędzie wynajduje, zawsze trapi i zawsze nudzi, ciągle błaga i ciągle grozi krwawą wendetą, nie tylko mnie ale i donnie Leonor, którą uważa za swą największą nieprzyjaciołkę. Wie pan, że nic zapalczywszego w gniewie, jak rozjuszona limfatyczka. Ale Bogu dzięki! Potrafiłem się uwolnić od mego rozkochanego szatana, kazałem go zamknąć w klasztorze.«

—»W jakim klasztorze? a to znów co za nowy figiel?«

—»W klasztorze Urszulinek w Priego, półtoréj mili ztąd, przecież tam byliśmy cztery dni temu, jak to! nie przypomina sobie pan Doktor? w klasztorze użytym na dom obłąkanych dla kobiet, który z téj przyczyny uzyskał akt tolerancyi od Ministeryum, jako zakład dobroczynny.«

—»Wiem, wiem teraz; ale jakim fortelem potrafiłeś zamknąć Inezę w klasztorze, a przecież to rzecz nie łatwa?«

—»Ot, następującym sposobem: Byliśmy obadwaj, jak sobie pan przypomina, dni temu kilka w klasztorze, przedarliśmy się nawet przez walący się mur do ich ogrodu, aby zdobyć bukiet dla donny Leonor. Otóż wczoraj rano, nibyto żartując, wygadałem się przed bibliotekarzem, żem się przekradł do ogrodu klasztornego, że tam poznałem Urszulinkę cudnéj piękności, z którą rozmawiałem, żeśmy sobie dali rendez-vous na czwartą godzinę, że tam przybędę konno i t. d. Matka naturalnie po mém wyjściu wypaplała wszystko córce. Córka korzystając z nieobecności rodziców, uszła sama jedna z domu, kalessiną zajechała do Priego, z niesłychaną trudnością przedarła się do ogrodu przez mury, i tam się zaczaiła w krzakach, czekając na mnie i probując ostrze swego puginału na dyniach i melonach. Ja to wszystko przeczuwałem naprzód i własnemi na to spoglądałem oczyma. Idę tedy do furty, dzwonię i niby dysząc, proszę o audyencyę u Ksieni dla bardzo ważnéj i nagłéj sprawy. Ksieni drżąc ze strachu przybywa. Ja w największym zapale, ze łzami w oczach zwierzam się, że biedna moja siostra pokochała się w Kapelanie Urszulinek, że miłość wprawiła ją w obłąd rozumu zupełny, że w téj chwili czeka biedna istota na kapelana. Proszę tedy, żeby ją ujęto, związano i w celi przeznaczonéj dla waryatek zamknięto. Zapłaciłem z góry pensyę na dni piętnaście. Tak się stało jak sam życzyłem, więcéj nawet, bo i Kapelana zamknięto. Donna Inez siedzi w klasztorze, i im więcéj zaręcza, że nie jest w obłędzie, tém mniéj jéj wierzą. Zazdrosne Urszulinki nie tak prędko zechcą uwierzyć, że księdza Kapelana cnota nietknięta.«

—»A jéj rodzice?«

—»Wyspawszy się należycie podczas siesty spostrzegli, że donny Inez nie masz w domu. Niepokojeni wpadali

na różne domysły, mnie już nawet obwiniać zaczęli o wykradzenie im pierworodnéj córki. Wtém ja sam przypadam do domu poczciwych bibliotekarzy i zaręczam, że właśnie przed dwoma godzinami widziałem, osobę, bardzo do donny Inezy podobną, uciekającą w kalessinie ku Kordubie z młodym człowiekiem, że skwapliwość, z jaką się owa dama przedemną ukrywała, właśnie me podejrzenie obudziła.«

—»A jak wyglądał ten młody człowiek?« zapyta sennor Migaja.

»Dałem doskonały rysopis przypadający zupełnie do owego akademika z Alcala Hernares, którego ja miejsce w sercu Inezy szczęście miałem odziedziczyć.«

—»Ah to Domiembre, to ten szkaradny Domiembre! szukał jéj po całéj Hiszpanii, aż ją tu przecież wynalazł i biedną niewinną istotę do ucieczki nakłonił,« krzyczała sennora Migaja.

—»Co tu robić, co tu robić?! Ah dla Boga!« pyta znów sennor Migaja.

—»Nie tracić ani jednéj chwili czasu, biedz ekstrapocztą do Korduby,—drogi znów wolne od dnia wczorajszego.«

»I tak też zrobili, pobiegli na północ, a Ineza została na południu pensyonarką poczciwych Urszulinek.

—»Ah dla Boga! don Juanie! to są bardzo niebezpieczne sprawki, to doprawdy kryminałem pachnie. I na mnie jeszcze gotóweś ściągnąć jakąś odpowiedzialność!«

»To sprawki kryminałem pachnące? Oh don Teodoro, aby nie w Hiszpanii. Każda sprawa, do któréj się miłość przymiesza, jest u nas bagatelą, żeby nawet krew w niéj miała płynąć. Jesteśmy jeszcze w ojczyznie niezepsutéj dobrego Gil Blasa; stereotypowa bezcharakterna oświata Europy jeszcze nas tu nie owionęła; długo jeszcze nasze góry i skały bronić nas będą przeciw prozie reszty świata i przechowają w sercu mieszkańców tych ogrodów to, co im jest najmilszego, owe usposobienie romantyczno-awanturnicze. Zresztą nie lękaj się ani o mnie, ani o siebie, ani o sennora Migaja. Jednym tym figlem odzwyczaję jego od podróży, a córkę od romansów z akademikami.

»Ale don Teodoro! wiesz kto ku nam zmierza? Dalibóg to on! to Pablo, masztalerz walecznego kapitana gwardyi narodowéj Korduańskiéj, z tłomoczkami w ręku.«

—»Niech ci Bóg da zdrowie! jesteś tedy stary Pablo z tłomoczkami nawet;« krzyknie don Juan do wchodzącego; »a cóż? jak się tam u was sprawowali karliści?«

—»Bardzo dobrze, dalibóg bardzo dobrze; życzyłbym sobie, żeby byli dłużéj pozostali. Ja z żadną nie trzymam stroną, pan wiesz to dobrze, ale pieniądze lubię, a tam ich było pełno, codzień hulanka, karty, aż miło. Było tam i cudzoziemskich kawalerów kilkunastu, wszystko adjutanci w pysznych mundurach, a pieniędzy u nich tyle, ile niegdyś u naszych włosów w brodzie.«

—»A garnizon, gwardya narodowa, czy opór stawili waleczny?« pyta daléj don Juan Zelozas.

—»Oh larajo! sławny stawili opór. Gwardya drała w nogi, z wałów do łóżek, a wojsko cofnęło się w porządku do pałacu Inkwizycyi i tam się zatarasowało. Teraz musisz pan wiedzieć, że wszyscy wodzowie Karlistowscy mieszkali w naszym domu, tak jak pan dobrze przepowiedziałeś. Zdarzyło się, że generał Gomez rozmawiał w wielkiéj izbie z mym panem, potulnym jak dziecko i krzątającym się około kuchni, kiedy wpadł Cabrera buchający wściekłą złością. Mały to człowiek ze wzrostu ten Cabrera, ale dziki jak żbik i tak jak żbik zwinny.«

—»Ha kanalie!« wrzeszczał Cabrera, »kanalie zamknęły się w pałacu Inkwizycyi i poddać mi się nie chcą; dali nawet ognia do mnie; rozkaż tylko generale, a pałac wezmę szturmem i wyrżnę łajdaków aż do nogi.« Ale Gomez odpowie:

—»Nie, nie powinniśmy rozlewać krwi, jeżeli tego uniknąć możemy; pójdę ja sam rozmówić się z niemi.«

»I poszedł, dalibóg poszedł; poprzedzony trębaczem, podsunął się tuż pod pałac Inkwizycyi i zaczął parlamentować z załogą. Niedługo potém załoga wyszła i broń złożyła jak najpiękniéj. Oficerów wziął generał do niewoli, ale się dobrze z niemi obchodził, żołnierzy zaś rozpuścił do domu. I tak się skończyła komedya bez rozlewu krwi.«

—»Jak wygląda generał Gomez?« zapytałem.

—»Średniego jest wzrostu, cichy, mało mówiący, poważny i śniady z twarzy. To zacny człowiek, ale nie pozorny, nie taki jak ów ogromny Llangostera, a to olbrzym! nigdzie się nie zmieści, chyba w katedrze Korduańskiéj. Głową przewyższa wszystkie drzwi, a podłogi pękają pod jego

stopą. Zresztą nie tak zły, jak wielki; ale ów Pallilos, to łotr całkowity. Znałem go kiedy jeszcze był poczylionem, teraz jest niby majorem, ale ja powiadam, że to zawsze tylko herszt zbójców, nic więcéj, i że nie jest rojalistą, jak utrzymuje, tylko zbójem chciwym zdobyczy. A to wieczna szkoda, że taki potwór miesza się do towarzystwa uczciwych, honorowych ludzi, z niemi jada przy jednym stole. To na całą sprawę rzuca cień bardzo brzydki.«

—»Ho! ho! stary lisie, widzę, że jesteś karlistą w głębi serca. Oj strzeż się! tu w Alcala gotowi cię wziąć za szpiega, a może nim jesteś nawet? Ah powiedzno zagadkowy człowieku, musiały tam odrosnąć grzebienie waszéj gwardyi po wymaszerowaniu karlistów?« spyta don Juan Zelozas.

—»Oh! jeszcze nie, panie poruczniku! jeszcze nie odrosły, tylko odrastają równo z wąsami. Piękne to były czasy dla naszych Figarów, wąsaś na lekarstwo nie dostał, chyba u karlisty, ale tam nikt po nie sięgać nie śmiał.«

—»Ale Kapitan? dziwi mnie, że sam po swe konie nie przybiegł.«

—»Byłby przybiegł, tylko się wstydzi pokazać bez wąsów, wstydzi się ogolonéj twarzy, jak panna bosych nóg, kiedy ma odciski.«

—»Ha! ha! wierzę, taki junak! i teraz niezawodnie wygaduje w mieście, że mi umyślnie dał swe konie, aby mu ich karliści nie wyprowadzili, nie prawda?»

—»A zkąd to pan wie? to chyba pan ma swoich szpiegów w Kordubie. Tak jest w istocie, jak pan mówi. Nasz kapitan ani śmiał wyznać, że sobie dał uprowadzić z przed nosa swe wierzchowe konie; nasz kapitan tylko milczał, a teraz tryumfuje, innym bowiem uprowadzono konie, a on wie, że jego tutaj dobrze żywione, powiadał mu to konduktor dyliżansów.«

—»Nie ma co mówić, konie i dobrze żywione i starannie pielęgnowane« odpowie don Juan Zelozas.

—»Mój pan też uznając w swéj szlachetności grzeczność pańską, nie upomina się o zapłacenie rachunku« rzecze Pablo.

—»Zna się widać na rzeczy, dobrze zresztą robi, i tak nie byłby dostał jednego maravedi odemnie: całą gotowiznę

wydałem na uposażenie biednéj méj siostry, która obłąkania dostała.«

—»Ah! jak pan szlachetny i miłosierny, nie spodziewałem się tego . . . . . .«

—»Carajo! hultaju! co ty śmiesz mówić?« krzyknie don Juan.

—»Nie spodziewałem się,« rzecze truchlejąc Pablo, »żeby kawaler tak rozumny mógł mieć obłąkaną siostrę, dalibóg to była myśl moja.«

—»To co innego! takich obłąkanych siostr znam bardzo wiele. Ale powiedz, co tam słychać z teatru wojny? Czemu generał Gomez ustąpił z Korduby?«

—»Ustąpił przed generałem Krystyny don Franciszkiem Lopez, który porażony naprzód przez Gomeza w Morenach, cofnął się do Murcyi, tam się na nowo organizował i wzmocnił batalionami rezerwy; z nienacka napadł na tylną straż Karlistów w Martos, wyparł ją z korzystnych stanowisk i szedł ku Kordubie. Gomez ustąpił tedy, ale idzie ku Sewilli. Wielki postrach w tém mieście, okropny postrach. Wznoszą na łeb na szyję mury i okopy. Mało tam wojska regularnego. Gwardya tylko narodowa i obywatelska pilnuje porządku, wszystko się zbroi, ale to napróżno; don Carlos wielu ma zwolenników w samém mieście. Sewilla zapewnie nie wytrzyma ataku, podda się, bo nie zdoła się oprzeć natarczywości hufców gerylasowskich.«

—»Głupio zgadujesz, mój Pablo. Zapomniałeś, że w Sewilli żyje niezłomna załoga: półtora tysiąca emancypantek kręcących cygara w fabrykach Królowéj.«

—»Emancypantki krzyczą, ale się nie biją« rzecze Pablo.

—»Emancypantki nie pracujące krzyczą, a nie biją się; ale pracujące i krzyczą i biją się, bądź tego pewnym.«

Warto tu wyprzedzić o dni kilka wypadki téj dziwnéj wojny i zawiadomić czytelnika, że dobrze odgadywał don Juan Zelozas. Kobiety hiszpańskie nie wsiędą na koń, płci swéj nie ukrywają pod mundurem męzkim, nie idą szukać nieprzyjaciela i nie wystawią swéj godności na niebezpieczeństwa obozowego życia; ale też w razie potrzeby umieją bronić honoru swego miasta z ową odwagą spokojną, nie junacką, która i kobiecie przystoi. Przykład Saguntu i Numancyi nie zatracił się na ziemi Hiszpanów.

Saragosanki w r. 1809., córki Irunu w r. 1837., dowiodły téj prawdy. Obywatelki Sewilli, choć słabe tylko miały wyobrażenie o słuszności jednéj lub drugiéj sprawy, postanowiły bronić murów swego miasta przeciw jakiemubądź najezdnikowi. Przykładem swoim zagrzały wszystkich mężczyzn, porwały nawet z sobą umysły dotychczas Karlistom sprzyjające.

Gomez, który cudów waleczności dokazał w swym pochodzie przez całą Hiszpanię od brzegów Bidassoi aż do brzegów Gwadalkwiwiru i często zwalczał trzy razy liczniejszą armię Królowéj, Gomez i jego armia, silna i powiększająca się w pochodzie niby wody Gangesu, Gomez i jego armia rozpadły się pod Sewillą jak rzeka Nil i zniknęły prawie jak Rodan pod ziemią.

Rozdwojenia przyczyny od dawna istniały w armii Gomeza. On sam, człowiek szlachetny, pragnął końca wojny, — ale wielu z jego podkomendnych życzyło sobie jéj przedłużenia, by więcéj mieć sposobności rabunku. Przytém na odgłos bitwy wygranéj przez generała Espartero na Karlistach pod Irun, bitwy, w któréj zginął bohaterski wódz don Carlosa Zumalacarreguy, Baskowie pozostający w armii Gomeza do tego stopnia odwagę stracili, że daléj iść nie chcieli i generała swego do odwrotu zmusili, tak jak niegdyś Macedończycy Aleksandra Wielkiego. Znikł tedy nagle i zupełnie niespodzianie z widowni wojny ten świetny meteor, który tyle narobił strachu Krystynie, a tyle wzniecił zapału i ciekawości w całéj Europie.

Wrócił do Aragonu i Kantabryi, i niepostrzeżony od nieprzyjacioł, jak niegdyś Xenophon, odwrotem pełnym chwały zakończył na zawsze swą świetną karyerę wojskową.

Teraz dopiero panowie ministrowie w Madrycie, cudem prawie wyszedłszy z niebezpieczeństwa, uznali potrzebę sprężystych działań przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi wszystkich zwolenników Krystyny. Dotychczas bowiem wszystkie działania Ministrów Królowéj raczéj były zwrócone przeciwko współzawodnikom, jak przeciw otwartym i zbrojnym nieprzyjaciołom. Generałowie Kordowa i Narvaez otrzymali rozkaz zebrania korpusu armii sześćdziesięcio-tysięcznego w Manszy, aby zasłonić głąb Hiszpanii przeciw możliwym powtórzeniom wkroczeń podobnych ostatniemu; generałowi zaś Oraa, głównie dowodzącemu armią

zwaną południową, rozkazano posunąć się ku Terruel i Morelli.

Poprawiło się tedy położenie polityczne Hiszpanii. Nowe nadzieje wstąpiły w serca zwolenników Królowéj; wszędzie objawia się wielka gotowość do działań i poświęceń. W Alcala Real formuje się kompania ochotników kosztem miasta i obywateli. Grenada wystawia batalion strzelców celnych, pół szwadrona jazdy i kompanię zbrojnych guarda enfermos, to jest infirmerów, nowy rodzaj broni, o którym późniéj powiemy nieco więcéj.

Pan margrabia Cienfuegos, do najwyższego stopnia nieukontentowany tém odżyciem ducha w Krystynosach, gryzł się i martwił, o mało co nawet drugi raz nie wpadł w swe podagry i chiragry. Nareszcie jednego pięknego poranku oznajmiono nam w hotelu, że margrabia z margrabiną i z całym dworem opuścili nocną porą cichaczem Alcalę, udając się do jednego z swych zamków położonego w Sierra de Rollo. Margrabia porzucił nas *sans tambour ni trompets*, jak to mówią. Margrabina jednakże nie chciała brać wspólnictwa w tym nieszlachetnym czynie, i listem pełnym grzeczności podziękowała mi za pomoc daną małżonkowi, przyłączyła nawet dla mnie pierścień z brylancikiem, a dla don Juana pięć uncyj złota.

Nigdy go tyle nie miał w swym ręku biedny akademik z Salamanki, i wielkie ztąd dla niego zadowolenie. Rok cały żyć mógł bez kłopotu w uniwersytecie za wartość tego wynagrodzenia.

## ROZDZIAŁ II.

WYJAZD Z ALKALA LA REAL.— BITWA POD ALKALA.— POLACY.— MARSZAŁEK SEBASTIANI. — ILLORA.— KIERMASZ.— AKADEMICY GRENADEŃSCY.—KORPUS GUARDA-ENFERMOS.—WALKA BYKÓW.—ZAPAŁ PUBLICZNOŚCI.—LA PENA DE LAS ENAMORADAS.— KRAJOBRAZ ZACHWYCAJĄCY. — GRENADA. — MATEO XIMENES.—SOBESTYAN GRUSZCZYŃSKI.—ALHAMBRA.

—»Jedziemy do Grenady nie prawdaż?« spytał mnie don Juan. »Nasze słońce w Alcala już zaszło, niesposób ścigać za niém, a Grenada stała się środkiem życia bardzo żwawego, ztamtąd łatwiéj panu będzie znieść się z Madrytem.«

—»Idźmy do Grenady, idźmy, choćby znów na Pegazach,« odpowiedziałem.

—»Do połowy drogi, to jest do Illora, dostaniem się z łatwością: wraca do tego miasta dziś jeszcze cała karawana mułów i powózek; ale wprzódy należy mi wypełnić świętą powinność względem méj ukochanéj siostry donny Inez Migaja, zamkniętéj w klasztorze. Siadam tedy, piszę i umyślnym posłańcem uwiadamiam ksienię w Priego, że kapelan Urszulinek czystym jest i wstydliwym jak Józef syn Jakóba, a donna Inez mądrą i cnotliwą jak Zuzanna; daléj wyznam, że ja sam stałem się narzędziem fatalności i niesłusznie obwiniłem kapelana i córkę bibliotekarza; że żałuję za grzechy i proszę, aby się dobrze obchodzono z ofiarą méj zazdrości etc.«

—»Zrób to, zrób don Juanie, żałuj za grzechy i popraw się,« odpowiadam.

Już za nami mury miasta Alcala, już stoimy na polu bitwy, na którém w styczniu r. 1810., Marszałek Sebastiani pobił nielicznym korpusem, między którym znajdował się oddział Polaków, dwa razy liczniejszą armię Hiszpanów. Ja-

zda polska wykonała tu attak na działa, godny attaku Samo-Sierry; wbiegła na wzgórze tak wysokie i strome, że artylerzyści, nie spodziewając się podobnego attaku, nie mogli dosyć pochylić armat i w chwili stosownéj odeprzeć ogniem kartaczowym natarczywość kawaleryi. Działa te obrócono na przybywającą assekuracyę hiszpańską, i rozproszono ją hiszpańskiemi kartaczami.

—»*Son demonias estos Pollaccos!* krzyknął stary Arriero, opowiadający nam szczegóły téj bitwy, któréj był świadkiem; »wiele nam złego narobili w owéj wojnie, a jednak nie nienawidzimy ich, bo byli dobrymi katolikami. Oni to obronili opactwo i jego skarby w Alcala przed Francuzami chcącemi gwałtem rabować kościół; nawet ognia do nich dali, za co ich Sebastiani chciał kazać dziesiątkować, ale oni krzyczeli: oho! Sebestyo! już my dawno dziesiątkowani dla was, i Bóg tam wie dla czego i zaco? Prawda, że wino wszystko wypili w piwnicach klasztornych i zjedli wszystkie kury i indyki Augustyanom. Prałatowi zjedli nawet papugę i dwa łabędzie; ale dzieci nie jedli, to fałsz! owszem, bawili się z dziećmi, obdarzali je. Oh to dobrzy ludzie! każdy z nich to caballero! tylko że jedzą bezwstydnie i haniebnie piją. Nie jeden tam pozostał w piwnicach Augustyanów zapity na śmierć! Oficerowie zaś, to prócz jadła i picia, lubią i karteczki i co innego.

Arriero prawił mi ze dwie godziny o Polakach; mnóstwo po nich zostało anegdot we wszystkich zakątkach Hiszpanii, w których choć dzień przepędzili. I pamiątkami także uwiecznili się w tym kraju; nie rzeźbą, malowidłem, posągami i tym podobnemi martwemi arcydziełami sztuki, tylko raczéj żyjącemi dowodami przechodniéj sympatyi, wzbudzonéj u nieprzyjaciołek.

Pośród gaików i przy powiewie chłodzącego wietrzyku, nie uczuliśmy upału, mogliśmy podróżować nie odbywając długiéj siesty, i już około trzeciéj po południu stajemy w Illora, miasteczku przeszło 6,000 mieszkańców liczącém. Jakie szczęście! miasteczko właśnie obchodziło święto swéj protektorki, Ś. Sabiny. Dzwonią, śpiewają, w kotły biją, i z hucznych moździerzy strzelają, mnóstwo ludu świątecznie ubranego na placach publicznych, wszędzie igrzyska, widowiska; jednem słowem odpust i kiermasz.

Spotykamy także kilku akademików z Grenady, przybyłych tu umyślnie dla zabawienia się i dla rozkrzewienia dobrego ducha w publiczności.

Zapoznajemy się natychmiast. Don Juan zwietrzył kolegów o pół mili i zaraz ich około siebie zgromadził.

Wiele krąży nowin prawdziwych i nieprawdziwych o wypadkach wojennych. Wiedziano już, że wyprawa Gomeza pod Sewillą spełzła na niczém. Już też odezwa ministeryum do *nieprzezwyciężonych synów niewinnéj Izabelli* znaną była w Grenadzie. Ministrowie wzywają do nowych ofiar i nowych czynów bohaterskich. Grenada wystawia nowe bataliony i szwadrony, a cały fakultet lekarski Grenady, liczący przeszło 180 uczniów, zbroi się i improwizuje nową, jeszcze nigdy nie użytą, a przecież bardzo użyteczną broń: kompanię guarda-enfermos, to jest infirmerów.

Tak jest i..fermerów.

Nie infirmerów, jakich widzimy w szpitalach, starych, pijanych, chciwych i odartych z uczucia ludzkości przez oswojenie się z mękami i chorobami bliźnich; lecz infirmerów młodych, ludzkich, walecznych, umiejących ocenić i łagodzić cierpienia bliźnich. Ambulanse pokazały się niedostatecznemi, niepraktycznemi w kraju tak górzystym, tak trudno dostępnym jak Hiszpania. Francuzi nie mogli ich użyć w Algieryi i natomiast przyrządem łatwym i prostym usposobili muła do dźwigania dwóch rannych od razu. Nosze lekkie i wygodne, zawieszone po obu bokach mocnego muła, mogłyby dać przytułek dwom, by najciężéj rannym; szło tylko o urządzenie mechanizmu tych noszów, o zastosowanie ich umiejętne do gatunku i położenia rany.

Ministeryum wojny dawno powinno było zaprowadzić w wojsku hiszpańskiém ten rodzaj ambulansów, ale tego nie zrobiło. Fakultet tedy lekarski Grenady, zagrzany szlachetną chęcią służenia krajowi, sam się ukonstytuował w kompanię imfirmerów, sam własnym groszem zakupił muły, przyrządy, mundury, instrumenta i broń potrzebną. Miasto i sympatya publiczna przyszła w pomoc młodzieży akademickiéj, chcącéj służyć zbrojno krajowi i zarazem pozostać wierną nauce leczenia, tak pięknéj w rękach szlachetnych, tak dobroczynnéj ludzkości. Powinności bowiem, które sama sobie przepisała ta młodzież, nakazywały jéj wyrywać z rąk nieprzyjacielskich żołnierzy rannych, opa-

trywać ich, sadzać na nosze, odprowadzać z pola bitwy i bronić w razie potrzeby rannego przed nacierającym nieprzyjacielem. Dlatego też zbrojnymi byli w pałasze nie długie, lekko zakrzywione, mogące być osadzonemi jako bagnet na sztućcu krótkim, ale daleko sięgającym, celnie bijącym. Małe apteczki i kuferki z instrumentami i bandażami, przytwierdzone były na grzbiet mułów pomiędzy noszami.

Na sześciu mułów noszących w przypadku zwyczajnym po dwóch młodych lekkich *Guarda-enfermos*, jeden był koń noszący kaprala, na pięć kapralstw jeden starszy lekarz półplutonowy w randze podporucznika, na dwa plutony jeden lekarz plutonowy, a na dwa plutony, liczące po 70 ludzi, trzydziestu mułów i pięć koni, jeden kapitan z oficerem sprawującym obowiązki adjutanta; a tak cała kompania liczyła z szeregowemi sprawującymi obowiązki służących, do 150 ludzi, sześćdziesiąt kilka mułów i do dziesięciu koni. Jedna kompania infirmerów wystarczała na całą dywizyę i w razach zwyczajnych mogła zastąpić chmarę wozów ambulansowych, przeznaczonych na ratunek rannych.

Mój don Juan przysłuchiwał się z wielką ciekawością wszystkiemu, co o Grenadzie i nowych żywiołach życia w niéj wrzących prawiono; nareszcie rzekł do swych kolegów.

—»Przyjaciele! to nie dosyć rozkrzewiać ducha, trzeba z dzisiejszéj sposobności korzystać dla ogólnego dobra i zmusić uczuciowców do współdziałania i do ofiar. Ja nie pojmuję sympatyi ograniczającéj się na owéj uczuciowości, którą nieraz i mdłe istoty, nic nie kochające, nic nie czujące, otaczają się, aby wzbudzić dla siebie ponęty, aby nadać sobie jakiś urok.«

Na cześć swéj patronki, miasto Illora rok rocznie wydawało wielką walkę byków w obszernym cyrku, na ten cel już od stu lat wybudowanym. I tego roku także, pomimo wojny grożącéj na około, nie można było odmówić poczciwemu miastu jego ukochanéj zabawy. Poświęcono na ten cel dziesięciu pysznych byków i dwadzieścia koni, z których niejeden byłby mógł jeszcze służyć do pociągu.

Już publiczność licznie zebrana z miast, wsi i zamków okolicznych zasiadła w cyrku, już i ayuntamiento w naro-

dowe szarfy przybrane, przybyło do loży, już występują na arenę Alguzille, ubrani tym razem najczyściéj w ponczochy jedwabne, w sztywne kryzy białe i krótkie a szerokie płaszczyki, uzbrojeni w szpady z karmazynowemi pochwami, i wzywają do porządku. Piccadorowie już chcą wjeżdżać w szranki konno i z dzidami w ręku, gdy się z wielkiém dla mnie zadziwieniem jawi na arenie cyrku nasz don Juan z gitarą w ręku, w towarzystwie kilku akademików Grenadeńskich, z których dwóch także gitary niosło. Wstępują aż na środek cyrku i kłaniają się z ceremonialną grzecznością, najprzód ayuntamientowi, potém publiczności; nareszcie występuje don Juan i w dobitnéj dźwięcznéj mowie z nieporównaną gracyą w ten sposób do zgromadzenia przemawia:

—»Prześwietna Publiczności! Licznie tu zebrani jesteśmy dla przyjemności przypatrzenia się walce ludzi z bykami. Z większą jeszcze zaciętością walczą ludzie z ludźmi, walczą Hiszpanie z Hiszpanami na téj pięknéj ziemi Iberyjskiéj, którą Bóg przeznaczył tylko na siedlisko muz, miłości i religii.

»Oh! Hiszpanie! dzieci tych niegdyś tak szczęsnych ogrodów, gdzie się podziała litość? czy już jéj nie masz w naszém sercu?

»Nie! jeszcze tlą pod popiołem iskry tego przedczasy tak świetnego ognia! Kiedy innych umysły zatrudnione są wynalezieniem sposobów szkodzenia ludziom, synowie wszechnicy Grenadeńskiéj przemyśliwają nad sposobami ratowania bliźnich swych, nad sposobami ocalenia ofiar téj bratobójczéj wojny. I dlatego formują oddział gwardyi rannych. Własnym go kosztem i groszem wdowim formują, bo nasze ministeryum jeszcze się nie chce przyłożyć do tego chrześciańskiego dzieła. Miłą jest i wdzięczną dla duszy rzeczą przyłożyć się do tego pięknego czynu, i dlatego też znając od dawna wasze serca, stawamy między wami i podajemy wam sposobność gojenia ran bratnich waszemi ofiarami. Jest nas tu około sześciu tysięcy zgromadzonych, niech każdy rzuci choć dwa reale tylko (około 30 groszy), a zgromadzimy 3000 piastrów wystarczające na zakupienie sześciu mułów, jednego konia i na uzbrojenie trzynastu ludzi. Przemawiać do was będziemy śpiewem i muzyką, tym głosem w kraju naszym tak donośnym, i nie ustąpimy ztąd

nawet przed przemocą, aż summa postanowiona zebraną zostanie. Nie jeden rzuci piastra, wielu nic rzucić nie będzie w stanie, przyjmujemy wszystkie dary, chustki na bandaże, puginały i wachlarze od pięknych kobiet, a jest ich tu nie mało, przyjmujemy nawet i bukiety, bo i bukiet pięknéj Hiszpanki na umierające serce przyłożony, odżywi w niém ducha i może je wrócić do życia.«

Tak rzekł don Juan Z lozas de Palomar, i wszyscy akademicy zaraz in corpore śpiewać zaczęli hymn narodowy Riega; cała publiczność wtórowała, porwana świętém uczuciem; hojne dary spadały zewsząd na arenę, nawet ayuntamiento zebrało piękną kwotę i przesłało ją przez Alguazilów; Alguazile pilnowali porządku i sami dawali, co mogli; Piccadorowie, Banderilery i Matadory składali ofiary, z całego cyrku leciały pieniądze, pierścienie, puginały pięknie oprawne; miłe Hiszpanki, co dać nie mogły nic innego, rzucały szyldkretowe grzebienie, złote krzyżyki, zegarki i podwiązki nawet z złotemi klamerkami.

Boże drogi! co za kraj poczciwy! łzy rzewne roniłem na widok tego pięknego zapału; dobrze że całéj méj gotowizny nie miałem wówczas przy sobie, bo byłbym się wyzuł z majątku. Ani dziesięciu minut nie trwał koncert, a już summa oznaczona w trójnasób była uzbieraną.

Don Juan i jego towarzysze klęknęli w arenie i płacząc jak dzieci, podziękowali publiczności. Była to chwila bardzo uroczysta. Oh! niech żyje Hiszpania! to kraj Bogu miły i godzien szczęścia.

Don Juan wraca do mnie, kapelusz miał napełniony pieniędzmi i kosztownościami, a w wielkiéj jedwabnéj chustce dźwigał najrozliczniejsze dary.

Wrócił do mnie don Juan z wzruszeniem na pięknéj, ognistéj twarzy; ale, gdy byków wypuszczono w arenę, znów stał się czém był zwykle: swawolnym, hałaśliwym uczniem Salamanki. Po reprezentacyi obliczono wartość darów. Było tego przeszło za 13,000 złp.

Najmujemy muły, zyskujemy eskortę wojskową i na noc całą spieszymy do Grenady.

Świtać zaczęło, gdyśmy okrążali stopy wysokiéj stroméj skały, spadającéj jedną swą ścianą przepadzistą w straszliwą głębię.

W téj otchłani i w objęciach hiszpańskiego rycerza skonała Zelim Ajuda, księżniczka grenadeńska, i dlatego też skała nad nią sterczącą nazywa się: *la pena de los enamorado*, skałą roskochanych.

Taka o tém smutném zdarzeniu legenda:

Rycerz hiszpański don Luiz de Avila został zabrany do niewoli przez króla Grenadeńskiego, Hassan Amuradą, dziadka ostatniego monarchy Maurytańskiego Boabdila. Rycerz pięknym był i miłym bardzo, umiał zyskać łaskę królewską w wysokim stopniu, a nawet wolność na słowo honoru i pod warunkiem, żeby murów Grenady nigdy nie opuszczał.

Król Grenady miał córkę imieniem Zelim Ajuda. Jutrzenka piękniejszą być nie mogła, a wiosna więcéj miłosną. Don Luiz zoczył Ajudę, pokochał się w niéj bardzo i korzystając z przystępu dozwolonego, bałamucił królewnę. Wkrótce podobno zyskał najserdeczniejszą wzajemność. Kochankowie widywali się ukradkiem w ogrodach Lindaraxy, w parku Generalife, w krużgankach Alhambry: wszędzie, gdzie słowiki śpiewały, gdzie puszczyki jęczały, i gdzie nie było ani światła, ani też dozoru. Długo trwało to szczęście słodko i bez bojaźni, ale kochankowie nie wiedzieli, że miecz nad ich głową zawieszony. Zawiść mieszka w pałacach królewskich, a nic podejrzliwszego od dworaków. Zaczęły krążyć jakieś wieści o miłych stosunczkach don Luiza z Zelim-Ajudą, nawet już do uszu króla doleciały. Nagle i niespodzianie królewna dowiaduje się od swéj duenny, jaki fatalny obrót biorą intrygi knowane przez zazdrosnych dworaków, i uznaje, że ucieczka jedynie ocalić może jéj szczęście i życie kochankowi. Uwiadamia go. Oboje uciekają nocną porą na jednym koniu. Spostrzegają się na ucieczce księżniczki; król sam jedzie w pogoń, i tu pod stopami téj wysokiéj skały, dogania nieszczęsnych kochanków. Oni zsiadają z konia i wbiegają na szczyt stromej skały: tu ostatnim jeszcze całusem żegnają się z życiem i ostatniém ściśnięci objęciem, wpadają w przepaść. Nic z nich nie pozostało prócz massy kości i ciała w jeden kłąb zbitego. Król Maurytański, nie mogąc rozpoznać, rozłączyć hiszpańskiego rycerza od własnéj córki, kazał ich pochować razem na Sitio del Moro, w katakumbach królewskich, na

szczycie wysokiéj góry panującéj, nad Grenadą, nad Alhambrą i Generalifem.

Bieżymy ciągle ku Grenadzie. Już nam się ukazują w oddaleniu zębate, sosnami porosłe szczyty Sierry de Arenas, już nas dochodzi aromatyczny powiew z dziwnie napiętrzonych wierzchołków pasma gór Jarana, już nawet wyrasta na odległym widokręgu śnieżna piramida zwana Pichaco de Veleta. W kilka chwil później odsłonił się ze strony południa majestatyczny łańcuch Sierry Newada; odsłonił się jak wał olbrzymich kryształów, pławiących się w eterze nieba i igrających z przeciągającemi chmury. Czasem i chmury się rozdąsały, błyskawice całe pasmo purpurą zalewały i firmament okropnym napełniały odgłosem. Ale to nie porusza bynajmniéj ogromnego łańcucha! stoi jak wał ręką Tytanów wzniesiony i drwi z gniewu żywiołów.

Niskie pasmo Sierry Elwiry jeszcze nas przegradza od Grenady, ale i Elwira ustępuje pod naszemi niecierpliwemi stopami. Kwitnie Grenada rozpostarta na podnóżu Newady, błyskają w rzęsistém świetle południowém śnieżne szeregi pałaców arystokracyi i zamków królewskich, złocone kopuły, gotyckie wieże i maurytańskie minarety. Błyskają jak srebrne urzeczywistnienia snu architekta.

Wierzajcie mi! Grenada jest jedném z tych uprzywilejowanych miejsc, którego z żadném inném porównać nie można, a które pałającemi rysami wpisują się w pamięć podróżnika. Ten, który na widok tego raju nie wpadnie w zachwycenie; ten, który na widok téj szczęsnéj krainy, łączącéj w sobie wszystkie uroki ziemi północnéj i południowéj, pozostanie oziębłym,—ten pewno nie umie ocenić żadnych cudów przyrody, i jest ubogim, nawet gdy milionami rozporządza.

A komu powietrze Grenady nie wskrzesi w pamięci całego szeregu snów fantastycznych młodości, ten niech sobie sam wyzna, że tylko do grubéj stworzony materyi, że umysł jego nieukształcony, więziony w ciasnych obrębach, nie zdoła nigdy wznieść się nad poziom.

Mijamy laski, parki, plantacye i ogrody, otaczające Grenadę atmosferą uroczéj woni; już jesteśmy na przedmieściu Elwiry, kędy wieść doszła Boabdila, że Alhambra wzięta. Już stajemy na obszernym placu Tryumfu, na którym Izabella królowa Arragonu i Kastylii na czele swego zwycięzkie-

go wojska dziękowała Bogu za wzięcie Grenady (d. 6. stycznia 1492. r.).

Tu się rozstajemy z don Juanem. On dąży do auli akademickiéj, złożyć raport z swych działań w Illora przed zgromadzonymi i już sztafetą uwiadomionymi uczniami.

On już do mnie nie należy. On wirem polityki nagle porwany, mimowolnie uniesiony, już na zawsze rozstał się z swobodą młodocianego życia!

Jestem znów samotnym.

Ciągną mnie do hotelu Minerwy, do najlepszego hotelu miasta.

—»Nie, ja nie chcę mieszkać w hotelu pomiędzy francuzkiemi komiwojażerami i angielskiemi turystami. Ja chcę mieszkać w samym obrębie Alhambry, choćby na dziedzińcu, na którym ścięto Abencerragów!« zawołałem zniecierpliwiony naleganiami.

—»I możesz mieć to szczęście, o cudzoziemcze!« rzeknie do mnie człowiek podeszłego wieku.

—»Kto jesteś Sennor?« zapytałem.

—»Jestem Mateo Ximenes, *el hijo de la Alhambra*« (syn Alhambry).

—»Ha! to ty Mateo Ximenes, który przed szesnastu laty Washingtonowi Irving służyłeś za przewodnika i przez niego uwiecznionym jesteś w pamiętnikach o Alhambrze? Daj mi rękę Mateo Ximenes, wierny synu Alhambry, potomku przodków, którzy od czterech wieków stary gród Maurów zamieszkują. Przyjmuję zaproszenie, gościć będę u ciebie.«

Jaki to nieoceniony człowiek ten Mateo Ximenes! On zna na palcach całą historyę Grenady i opowiedzieć ją umie tak pięknie i dokładnie! Jemu duchy Zegrysów i Abencerragów powierzyły wszystkie familijne tajemnice.

Po drodze do Alhambry, w wąwozie snującym się pomiędzy krzewami najpiękniejszych kwiatów, czekała mnie jeszcze jedna niespodziewana radość.

Spotykam człowieka z jasnemi, nie wielkiemi oczyma, z siwym sarmackim wąsem a bez faworytów, z czapką barankową a nie z kapeluszem na głowie, w długim, jak sukmana zrobionym, ciemno szaraczkowym surducie z pętlicami, bez płaszcza, w butach z długiemi cholewami, a co najwięcéj mnie zdziwiło, z fajką koplówką na krótkim cybuszku w ustach. Fajki żaden Hiszpan ani zna, ani używa.

—»Dalibóg! to musi być Sobestyan Gruszczyński, dzwonnik kościoła Alhambry,« mówię do siebie i na chybił trafił witam starca polskim zwyczajem: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

Na to pytanie fajka wypadła z ust poczciwego rodaka, on sam struchlał prawie, ale zdjął czapkę i jąkając się odpowiedział: »Na wieki wieków, amen! »Dla Boga? a kto wy to, Sennor Caballero?«

Trzeba wiedzieć, że Sobestyan Gruszczyński od r. 1809. pozostawał w Hiszpanii, że wiele dziwnych przetrwał kolei w swém życiu. Hiszpanie zabrali go do niewoli rannego, i powiesić chcieli. Ale szczęściem, że Sobek był synem księżéj gospodyni, umiał służyć do mszy, i tak namiętnie lubił do niéj służyć, że w chwili gdy go w kaplicy śmiertelnéj na egzekucyę spowiadali, on widząc, że ms a wyszła, pobiegł przed ołtarz, wyrwał dzwonek chłopakowi z ręki, i najprzykładniéj z wielkiém dla całego zgromadzenia zbudowaniem posłużył do mszy i potém spokojnie wrócił do swéj ławeczki delikwenckiéj.

Ulitowali się Hiszpanie nad pobożnym żołnierzem, ksiądz sam błagał o jego życie. Sobestyan uratowany, i wywdzięczając się dobrodziejowi, pojął za żonę jego gospodynię, i dzieci ma chmarę liczną bardzo: starszego syna w wojsku oficerem, innego księdzem. Dobrze mu się wiedzie. W chwilach wolnych od zatrudnień kościelnych, lepi z gliny i ciasta farbowanego, małe modele Alhambry i Generalifu i sprzedaje je przejeżdżającym Anglikom, zaś co już nie jeden piastr wpłynął do kutego kufra, w którym przechowuje, jako relikwię, stary jakiś mundur granatowy z żółtemi rabatami i białemi dragankami.

To mundur siódmego pułku dawnéj legii Wielkopolskiéj.

# ROZDZIAŁ III.

WSCHÓD SŁOŃCA W GRANADZIE.—HISTORYA MIASTA I KRÓLESTWA.—ALFONS VI. KRÓL KASTYLII.—ALMORAWIDOWIE.—MAHOMET.—ABU ALHAMAR KRÓL GRANADY.—OŚWIATA MAURÓW.—KRÓL FERDYNAND.—ZAŁOŻENIE ALHAMBRY.—YUSEF ABUL HAGIG.—ALFONS XI.—MULEY HASSAN.—BOABDIL EL ZAGOYBI.—FERDYNAND KATOLICKI.—BOHATER MUZA.—PODDANIE GRANADY.—MULEY ABDALI.—DON JUAN DE AUSTRIA.—KARDYNAŁ XIMENES.

---

Już noc mija w Granadzie, spoczęły posępne cienie dawnych mieszkańców Alhambry; już z po za gór Alpucharry świta jutrzenka i rozsyła swe błogie światło na królestwo Maurów. Rumienią się i błyszczą purpurą wieczne śniegi na groźném czole Nevady; sterczą w obłokach smętne mogiły Elviry, a dzika, skalista Jarana rozbija swemi krawędziami promienie słoneczne i rzuca je na wesołe doliny Vegi.

Świta—już i dzień! Wszystko do nowego powołane życia, co nocą spoczywało; nic już nocy nie przypomina, prócz ciebie słowiku Alhambry. Tęsknisz nocą i rozwodzisz swe czułe żale: i w dzień tęsknić nie przestajesz, biedna poetycka duszo! Tobie wolno tęsknić, gdyż twe żale każdy pojmuje w tych ogrodach osierociałych!

Całe królestwo ptasie ocknęło się ze snu, trzepocze skrzydełkami i wesołém świegotaniem wita słońce. Ocknęły się i kwiatki, wznoszą ku niebu schylone główki i ślą w atmosferę tysiączne wonie. Drga w promieniach wyniosły aloes, dumny granat barwą swą urąga purpurze jutrzenki, akacye, jaśminy, bzy i kapryfolie, róże liczne jak piasek na brzegu morza, tysiące innych kwiatów wychodzi z po za listków obwijających skrzepłe *korolle*, a *dyonea* rozwija powoli swój biały pyszny kielich, i wypada z niego omdlały motyl, przez całą noc tam więziony. On już umarł, ten szczęśliwy kochanek lubieżnéj dyonei, umarł w roskoszach miłości! Nie! trafia go promyk słońca, i wlewa weń

nowe życie. Atalant rozpina swe złote skrzydła, różki swe macza w kropli rosy, unosi się w powietrze, i idzie igrać z swą atalantą, która noc całą za nim tęskniła.

O motylu! jeszcze kilka takich nocy, a będzie po tobie! Cały ogień Feba już cię do życia przywrócić nie zdoła. Strzeż się zdradliwych objęć dyonei.

I szmaragdowe jaszczurki Alhambry wyszły z kryjówek, i ufne w swą piękność przypatrują mi się bez bojaźni owemi ładnemi i mądremi oczkami, które tak spotwarzono przysłowiem. To wcale dobre i niewinne zwierzątka; nikomu nic złego nie zrobią, ale ugryzą boleśnie, gdy ją rozdrażnisz: potrafią się ująć za sobą poczciwe zwierzątka.

Nie tak stary kameleon. Ten sobie wylazł powoli na gałązkę tarniny, okręcił się około niéj ogonem, żeby nie spadł, i czycha na zdobycz. Mieni się ciągle: raz jest modry, drugi raz zielony, czasem nawet czerwienią się zaleje. Paszczę swą wielką groźnie otwiera, dąsa się i głupio na ciebie spoziera. Myślałbyś, że cię chce połknąć. Nie obawiaj się: on dużo ma złości, często się gniewa i nie brak mu chęci szkodzenia, ale w téj paszczy tak wielkiéj zębów nie ma ani też siły. Nie dał Pan Bóg zębów kameleonowi czworonożnemu, ale je dał na nieszczęście dwunożnym:— tych unikaj.

Dzień w Granadzie i wiosna w Granadzie!

Jak pysznie jaśnieje przyroda, jak tu świeci słońce i śmieją się pola. Lubo tu chwalić Boga w tym szczęsnym kraju: jest za co.

Jedno tylko jest miejsce w Europie, posiadające wiosnę, jak niegdyś była wiosna w raju. Tém miejscem jest Granada. Mówię bez przesady, z zastanowieniem i z pełną znajomością rzeczy, a świadczę się Byronem i Irvingiem, dobremi znawcami, każdy to przyzna. Ani we Włoszech, ani w Grecyi, nie znaleźli miasta mogącego równać się w tym względzie z Granadą; nigdzie nie znajdziesz tak pysznéj wegetacyi, tyle róż i geranij, tyle lauru i granatu. Wszystkie dziedzińce, ganki, tarasy, pokryte kwiatami; wszystkie mury porosłe kwiatami, cała Granada opleciona kwiatami. A zpośród tego łoża róż wznosi się, jak urzeczywistnienie snu fantastycznego—Alhambra!

Czytelniku! żeby ci dać w kilkuset jędrnych słowach, w kilkunastu śmiałych zarysach, trwałe wyobrażenie o pię-

kności budynku, którego opisowi poświęcono całe tomy: oto serdeczne życzenie tego pióra, poświęconego całkiem tryumfowi prawdy i piękna.

Ale czemuż w tém piórze tyle dobréj chęci, a tak mało mocy? Jednakże pędzone niepohamowaną żądzą, żadną trudnością nieustraszone, pióro to bieży ciągle ku swemu celowi, lecąc na chwilę boskiego natchnienia, które mu może udzieli wspomnienie roskoszy niegdyś doświadczanych.

Od przeszłości pożyczę uroku, by memu opisowi nadać wartości, nadać prawa rozgoszczenia się w twéj pamięci, o czytelniku! Udam się do źródeł historyi, by świadkowi ich, tak wymownemu jak Alhambra, udzielić powabu. Opowiedzeniem kilku scen historycznych na tym klassycznym gruncie odegranych, może zdołam wzbudzić w tobie zajęcie, którego miejsce to tak godne, i zyskam cierpliwość na architektoniczne szczegóły.

Wiele już pisano o Granadzie i o Maurach, ale w historyi Hiszpanii Don Xaweregо Burgos, dawnego ministra hiszpańskiego, w przeszłym roku wyszłéj, znalazłem nowe, Irvingowi nawet nieznane źródła prawdy. W nich to czerpałem osnowę następującego rozdziału.

* * *

Prawie w tém samém miejscu, na którém dziś leży Granada, istniało w pomroku przedhistorycznych czasów miasto ,zwane Illiberis, założone podobno jeszcze przez Fenicyan. Mało o tém mieście wspominają dzieje, musiało jednakże być możném i mocném, kiedy potrafiło w 711. roku stawić silny opór wkraczającym do wnętrza kraju Arabom. Zburzoném zostało za ten opór przez zwycięzców i długo ruiny pozostały jedynemi świadkami lepszéj przeszłości. W dziesiątym dopiero wieku, Maurowie podbiwszy największą część półwyspu pyrenejskiego i Afryki północnéj, osiągnąwszy pod mądrymi królami z dynastyi Omeyadów wysoki stopień władzy i oświaty, założyli tu nowe miasto i dali mu nazwisko Granada, to jest granat, z podobieństwa jego do tego owocu. Królowie Granady nosili w herbie swym tenże sam owoc w polu lazurowém i z napisem: »*Wa! la galib ileh Allah*«, co znaczy: nie masz zwycięzcy prócz Boga.

Aż do upadku świetnéj dynastyi Omeyadów, Granada należała do kalifatu korduańskiego; lecz gdy w r. 1031. mo-

carstwo rozpadło się na wielką liczbę pomniejszych państw, Granada została stolicą niezależnego emira.

Niezgody zaczęły wkradać się pomiędzy Maurów. Alfons VI. król Kastylii, korzystając z niezgód i zamieszek, wypowiedział wszystkim emirom półwyspu wojnę, a ci, nie czując się na siłach, przywołali w pomoc sułtana marokańskiego Jusef-Aben-Taszfina, z rodziny Almorawidów, panujących w Maroko od upadku Omeyadów. Przybył do Hiszpanii i zniszczył wojsko króla Alfonsa w bitwie pod Zalara, niedaleko Badajoz; lecz korzystając z swego położenia zwycięzcy, napadł w r. 1090. nagle na Granadę, posłał jéj emira jako jeńca do Maroko, i zwolna, aż do r. 1103., podbił sobie całą Hiszpanię mahometańską. Takim sposobem Granada straciła swoją niezależność.

Almorawidowie, choć bitni, nie umieli sobie pozyskać miłości ludów maurytańskich, przyzwyczajonych do łagodniejszego berła i do używania wyższéj oświaty. Już się zwracały oczy Maurów na chrześcian po nadzieję i pomoc, gdy nagle w Afryce dynastya Almorawidów legła pod ciosami Almohadów (1146). Teraz cała Hiszpania maurytańska wzięła się do broni przeciw wielkorządcom Almorawidów, i przywołała na swą pomoc hufce Almohadów. W r. 1170. wszyscy Maurowie uznali cesarzem Jusefa-Aben-Jakóba z dynastyi Almohadów. Lecz bunty, niepokoje i wojny nie nadługo ustały. Królowie nowéj dynastyi, niepowodowani żadną wyższą ambicyą, uważali swoje państwo poprostu jako zdobycz, i dali upaść naukom i sztukom, niegdyś tak kwitnącym w Kordobie, Toledzie, Sewilli i w Granadzie. Nareszcie, po wstąpieniu Ferdynanda III., zwanego Świętym, na tron hiszpański, i po wzniesieniu się, za pomocą jego, na godność sułtana Maurów, Mohameta Aben-Hooda, z rodziny świetnych emirów Saragossy, dynastya Almohadów upadła na polach Tarify, pod ciosami Maurów. Andaluzya podzieloną została na trzy różne państwa: 1, na państwo, którego Sewilla była stolicą, a zawierające w sobie królestwa Sewilli, Algarwii i Estremadury; 2, na państwo zawierające w sobie królestwa: Murcyi, Almeryi, Granady, Malagi i Kordoby; 3, na państwo złożone z księstw: Jaenu, Aryony, Guadyksu i Bazy.

Od r. 1238. panował Granadzie Mahomet-Abu-Alhamar, pierwszy z świetnéj rodziny Ben-Nassarów. Wzniósł się

własnemi zasługami na tron, i ozdobą był jego przez ciąg cały panowania. Władzę nad miastami oddał ludziom znanym z moralności i dobroci; policyę zorganizował nadzwyczajnie czujną, administracyę zaś zaprowadził szybką i sprężystą. Biedny i prześladowany zawsze znalazł łatwy do niego wstęp. Szpitale pozakładał, nie tylko dla chorych, lecz także dla kaleków, upośledzonych od przyrody i dla starców. Sam je zwiedzał bardzo często bez świty i bez eskorty, niespodzianie, dla zapewnienia się, czy administratorowie pełnią swoje obowiązki. Abu-Alhamar już wówczas kazał budować szlachtuzy publiczne na miejscach wyniosłych, gdzie codziennie w obliczu ludu kupowano od wieśniaków i handlarzy bydło przez *licytacyę publiczną*, i gdzie mięso rozprzedawano także *licytacyą publiczną*. (Pan Carlier znał historyę Mahometa Abu-Alhamar, i umiał z niéj dla dobra Paryżanów korzystać.)

Szkoły, akademie, konserwatorya, gimnastyki i muzea, cieszyły się szczególną protekcyą dobrego sułtana. Jemu także Granada winna swój system irrygacyi: źródło bogactw i dobrego bytu tego kraju. Rolnik był szczęśliwym, handel czynnym i uczciwym, nauki i sztuki kwitnęły wówczas w Granadzie.

Ale gdy Mahomet Abu-Alhamar panował tak mądrze swemu krajowi, inni monarchowie maurytańscy swarzyli się pomiędzy sobą, a chrześciańscy książęta korzystali z tych niesnasek i opanowali dawne posiadłości. Jakób zwany wojownikiem podbił Walencyę, a Ferdynand święty wkroczył do Andaluzyi. Mahomet uznał, że wojsko jego nie zdoła obronić państwa przed przemagającą siłą, i udał się potajemnie do króla Ferdynanda. »Oto przed tobą król Granady,« rzecze do chrześciańskiego monarchy. »Uciekam się pod twą protekcyę; wiem, żeś sprawiedliwym panem. Bierz wszystko co posiadam, przyjmij mnie za swego lennika, ale zachowaj mój kraj od okrucieństw wojny.«

Król Ferdynand, tym dowodem zaufania ujęty, nie chciał być zwyciężonym szlachetnością księcia maurytańskiego. Podniósł swego rywala, uściskał go jak przyjaciela, przyjąć nie chciał jego skarbów, lecz przyjął go jako lennika płacącego haracz i zasiadającego w kortezach jako grand Kastylii.

Kronikarz mówi, że Mahomet wracając do Granady, często powtarzał następujące wiele znaczące słowa:

*»Que angosta y miserable seria nuestra vida, si no fuera tan dilatada y espaciosa nuestra esperanza.«*

(Oh jak nędzném i w ciasnych granicach zawartém byłoby nasze życie, gdyby nasze nadzieje nie były tak szczytnemi i świetnemi.)

W smutném usposobieniu wracał monarcha do Granady, ale jego lud wybiegł naprzeciw niemu i witał go jako zbawcę i ojca; i znikł smutek z jego czoła. Nie ustawał w swéj gorliwości dla dobra publicznego; owszem, idąc za przysłowiem: »uzbrajaj się nawet w czasie pokoju i okrywaj się nawet w lecie«, wzmocnił swoje zamki, napełnił swe arsenały bronią i wszystkie użyteczne sztuki i rzemiosła wspierał. Postanowił nagrody dla gospodarzy trudniących się poprawianiem rasy koni i innych zwierząt. Wyroby jedwabne granadeńskie wkrótce przewyższyły dobrocią i cienkością wszystkie utwory Syryi i Damaszku. Kopalnie złota i srebra, odkryte w wysokich górach królestwa, tak umiał użyć, że niezmierne dostarczały dochody. Pierwszy to monarcha maurytański, który kazał bić monetę srebrną i złotą ze swém popiersiem. Dziś jeszcze numizmatycy podziwiają piękność odbicia na uncyach i piastrach granadeńskich.

Książę ten, tak wielki i świetny, nadzwyczajnie był skromnym w swych potrzebach osobistych. Sukniami nie różnił się wcale od swych poddanych. W haremie utrzymywał tylko małą liczbę kobiet, rzadko je widywał, ale je otaczał wszelkiemi przyjemnościami bogactwa. Żony jego należały do pierwszych rodzin kraju. Mahomet obchodził się z niemi jak z istotami rozumnemi, jak z przyjaciołkami, i tyle dokazał, że w przyjaźni pomiędzy sobą żyły. »Musiał mieć rozum, kiedy tak zwalczyć umiał naturę kobiecą«, dodaje naiwny kronikarz.

Nie przeniewierzył się nigdy swemu dobrowolnie uznanemu zwierzchnikowi, królowi Kastylii Ferdynandowi świętemu; a gdy król ten umarł w r. 1254. w Sewilli, książę maurytański w nieutulonym był żalu: posłał do Sewilli stu najszlachetniejszych rycerzy Granady, i kazał im, na znak cześci, otoczyć podczas ceremonii żałobnéj trumnę świętego króla z gromnicą w ręku. I każdego roku w rocznicę pogrzebu wysyłał do Sewilli stu rycerzy maurytańskich, by składali swe hołdy dostojnemu nieboszczykowi w świetnéj katedrze sewiliańskiéj.

Mając lat siedmdziesiąt dziewięć, Abu-Alhamar wsiadł na konia, by odeprzeć na czele swego wojska hufiec najezdników, którzy napadali na królestwo. Wyjeżdżając z miasta bramą zwaną Elwiry, naczelnik bramy królewskiéj złamał swą włócznię o tęż samą bramę. Astrolog monarchy wziął to za złą przepowiednię, i chciał go odwieść od tego przedsięwzięcia. Ale Mahomet nie dał się wzruszyć. W godzinę potém król Granady nagle zasłabł i o mało co nie spadł z konia. Słabość powiększała się raptownie. W rękach księcia Kastylii, don Filipa, skonał monarcha maurytański wśród łkań swych dworzan. Ciało jego nabalsamowane, złożone w srebrną trumnę, pochowano w pysznem mauzoleum, wzniesionem w Alhambrze.

Tento książę światły i ludzki zaczął budować Alhambrę. Sam dozorował robotników, których było przeszło dwa tysiące, sam wybierał materyały zwożone z bardzo daleka. Nazwisko założyciela, arabskiemi literami wypisane, dotychczas wyczytać można we wszystkich arabeskach. Pamięć tego króla wzbudza w duchu przechodnia, odwiedzającego ten przybytek, myśli jak najszczytniejsze. Tyle dobrego smaku, tolerancyi i ludzkości w monarsze XII. wieku, w monarsze maurytańskim!

Tak wzrastała Granada pod dobroczynnym wpływem geniuszu monarchów, i jeszcze przez półtrzecia wieków opierała się zamachom chrześcian, usiłujących ją zagarnąć. Można nawet powiedzieć, że Granada wzrastała w miarę jak się potęga królów Kastylii na okoliczne rozciągała się państwa. Maurowie bowiem woleli żyć pod ludzkiém berłem królów Granady, jak pod jarzmem fanatycznych mnichów. W r. 1350. miasto samo liczyło 200,000 mieszkańców. Wówczas państwu temu panował Yusef Abul Hagig, wielki monarcha, który ukończył Alhambrę, a który swemi cnotami i zdolnościami zasłużył na sławę, równą prawie sławie założyciela Granady. Wielką to dla mnie stanowi przyjemność, wydobyć z zapomnienia nazwisko drugiego monarchy tego narodu prawie stracone, który panował nad Hiszpanią mahometańską z taką świetnością, i dostąpił tak wysokiego stopnia oświaty wówczas, kiedy reszta Europy była jeszcze pogrążoną w grubéj i srogiéj barbaryi.

Yusef Abul Hagig wstąpił na tron Granady w r. 1333. Przymioty jego fizyczne i moralne przepowiadały długie

i świetne panowanie. Z rzadką pięknością łączył zastanawiającą siłę. Kronikarze arabscy mówią, że miał brodę nadzwyczajnéj długości, ale tak jasną, że ją sobie na czarno farbować musiał dla sprawienia większego wrażenia na lud. Pamięć miał doskonałą, a przytém lubił poezyę i improwizował bardzo pięknie wiersze. Serce jego tak było dobrém i litościwém, że pomimo wielkiéj osobistéj siły i odwagi, nie lubił wypowiadać wojny; nie był tak szczęśliwym w swych przedsięwzięciach wojennych. Nie cierpiał żadnego okrucieństwa, zawsze zalecał litość, nawet względem nieprzyjacioł, i czułym był opiekunem kobiet, dzieci, starców i księży.

Wyprawa jego przeciw królom Kastylii i Portugalii nie powiodła mu się wcale. Yusef został pobitym w owéj sławnéj bitwie pod Salado, która potędze Muzułmanów w Hiszpanii zadała cios bardzo dotkliwy.

Jednakże po téj nieszczęśliwéj bitwie, Yusef uzyskał pokój dość korzystny. Umiał też z niego dla dobra swego ludu doskonałe odnosić owoce. W każdéj wsi pozakładał szkółki, uposażył nauczycieli; w każdym folwarku, złożonym przynajmniéj z dwunastu chatek, założył meczet. Zaprowadził patrole nocne po wsiach i miastach, i pierwszy wpadł na myśl, aby powierzyć broń rodzajowi gwardyi narodowéj.

Yusef wykończył Alhambrę w sposób godny myśli założyciela, i na świetnéj bramie, zwanéj *bramą sprawiedliwości*, a prowadzącéj do głównego gmachu téj pysznéj budowli, kazał napisać słowa wyrzeczone przez Mahometa Abul Alamara, gdy go lud powracającego zwycięzcą witał radosnemi okrzykami: *Wa la galib ila Allah!* Bóg jeden jest zwycięzcą!

Wybudował także *alcazar*, czyli cytadelę w Maladze. Dziś leży ona w gruzach, ale niegdyś tak miała być piękną, jak dziś jeszcze Alhambra.

Szlachta granadeńska poszła za przykładem monarchy, i wybudowała sobie pyszne pałace w stolicy, pałace złocone, mozajką i rzeźbą wyłożone, pięknemi belwederami i wieżyczkami ozdobione. »Granada za panowania Yusefa była naczyniem złotém, napełnioném kwiatami i szmaragdami,« mówi kronikarz arabski.

Zdarzenie jedno służyć będzie wiecznie za dowód szlachetności tego monarchy. Król Alfons XI., nieprzyjaciel je-

go śmiertelny, wtargnął do królestwa Granady z licznem wojskiem i obległ Gibraltar. W wielkiéj był trwodze Yusef, gdy się dowiaduje, że Alfons umarł nagle w skutku zarazy. Yusef, zamiast tryumfować, rzekł z wielkim i szczerym smutkiem do swych dworzan:

—»Wielki to był monarcha, choć mój nieprzyjaciel; umiał cenić zasługę i talent we wszystkich ludziach, i nam wypada nie tryumfować, lecz włożyć żałobę.«

Nawet hiszpańscy kronikarze oddają sprawiedliwość rycerskiéj szlachetności króla Maurów i jego oficerów: »Oblężeni w Gibraltarze, dowiedziawszy się, że król Alfons umarł, zawiesili wielką czarną chorągiew na najwyższéj baszcie, wysłali do nas parlamentarzy z trębaczami i heroldami w żałobę ubranemi, i oznajmili nam, że wszelkie kroki nieprzyjacielskie przeciw chrześcianom ustaną natychmiast na czas ceremonij żałobnych, i ofiarowali nam eskortę, do przeprowadzenia zwłok królewskich do Sewilii przez najkrótszą drogę, wówczas przez wojska Maurów zajętą.« Tak mówi Frayle Bartolomeo, Augustyanin i sekretarz króla Alfonsa XI.

Do Granady zjeżdżano się wówczas ze wszystkich bliskich i odległych krajów na zabawy rycerskie, na łowy i turnieje. Bywali tam nietylko książęta hiszpańscy, lecz i królewicze francuzcy, bohaterowie Anglii, kurfirsty, herzogi i burgrafy niemieckie. Język arabski stał się językiem modnym w świecie uczonym i w świecie rycerskim; ale przed wszystkiemi innemi książętami jaśnieli potęgą i talentem książęta granadeńscy. Każda z dam dworskich umieć musiała po hiszpańsku, a tańczyć, śpiewać i haftować, jak Rusałka. Wiele też mieli chrześcianek w swych haremach.

Lecz Yusef niedługo przeżył nieprzyjaciela, którego zgon tak szczerze opłakiwał. Umarł, jak późniéj Henryk IV. Fanatyka religijnego sztylet przeszył mu serce. Yusef, monarcha oświecony, dozwolił w swych krajach wszelkich wolności wyznań, i na dworze swym miał nawet Maurów chrześcian, co bardzo gorszyło prawowiernych Muzułmanów.

Pochowano zwłoki Yusefa w pyszném mauzoleum z marmuru białego, i na tle lazurowém wyryto mu napis następujący.

»Tu leży król, męczennik, potomek szlachetnego rodu, miły w obejściu, uczony, cnotliwy, sławny z piękności

i z układu; król, którego miłosierdzie i bogobojność znanemi były na świat cały.«

Jeszcze istnieje sala, w której ducha wyzionął świetny książę Maurów granadeńskich.

I w późniejszych czasach monarchowie tego kraju, idąc torem poprzednika, ściągali na Grenadę rosę błogosławieństwa Boskiego. Grenada liczyła na początku XV. wieku 400,000 mieszkańców, a całe państwo przeszło sześć milionów. Królowie chrześciańscy, widząc kraj tak silny, tak waleczny, nie śmieli go napadać.

Ale insze wcale losy spadły na piękną Grenadę po wstąpieniu na tron Kastylii Izabelli katolickiéj w r. 1474.—Muley-Hassan panował wówczas krajowi Maurów. Byłto monarcha bitny i rycerski, i gdy przybył do Alhambry wysłannik Izabelli w r. 1478., żądając zaległego haraczu, Muley odpowiedział mu z dumą: »Mennice moje już nie biją złota, tylko groty i pałasze.« Królowa zaś Kastylii, słysząc o tém, rzekła: *»grano par grano se come la granada* (ziarno po ziarnie zjada się granat)«, i zaczęła podszczuwaniem intryg i niezgód wichrzyć spokojność Grenady. Muley-Hassan, widząc co się dzieje i nie chcąc czekać końca kalamburu, uderzył nocną porą bez wypowiedzenia wojny na twierdzę Zahara, położoną na granicy królestwa Sewilli, wyciął załogę i uprowadził mieszkańców w niewolę. Zemścił się za tę zniewagę margrabia Kadyksu, bohaterski Don Rodrigo Ponce de Leon, wzięciem Alhamy, miasta oddalonego tylko o siedm mil od Grenady.

Muley-Hassan napróżno usiłował odebrać Hiszpanom to przedmurze swego królestwa. Teraz następuje zacięta wojna, której rycerskie przygody, pełne najszlachetniejszych poświęceń i bohaterstwa, w tysiącznych balladach światu wyśpiewano. Wojna ta krwawa, okrutna, byłaby się skończyła z chwałą dla Maurów, gdyby ich domowe niesnaski nie były osłabiały. Wina całego nieszczęścia spada na Muley-Hassana. Rozkochawszy się w swéj brance Donnie Isabel de Solis, pojął ją za żonę i wyniósł do godności sułtanki, kosztem swéj dotychczas pierwszéj żony i sułtanki, znanéj w historyi pod nazwiskiem Fatimah la Zoraya (światło zorzy). Tak nawet daleko zapomniał się Muley, że ściąć kazał potajemnie trzech swych synów spłodzonych z sułtanką Zoraya, która była księżniczką z krwi królew-

skiéj. Jeden tylko pozostał syn z tego małżeństwa, ulubieniec ludu, Mahomed-Abdallah-Abu-Abdilehi. Astrologowie przepowiedzieli mu z horoskopu zaraz przy urodzeniu, że on będzie ostatnim królem Granady. Dlatego też, lud wierząc w przepowiednię, nazwał młodego księcia: *el Zagoybi* (nieszczęsnym), przezwisko usprawiedliwione aż za nadto losem jego. Hiszpanie zaś nazwali go Boabdil (przez elizyę z Abu Abdilehi) i odróżniali od stryja jego tegoż samego nazwiska przydomkiem *el chico* (mały czyli młody). Z tego mnóstwa nazwisk, przezwisk i przydomków, takie zawikłanie w historyi Granady powstało, szczególniéj przy pomocy romansopisarzy (*), że nie łatwo było wyśledzić prawdę nawet historykom.

W ścisłém więzieniu trzymał Muley-Hassan syna swego Boabdila, razem z matką Fatimą Zorayą; nie chciał go nigdy dopuścić do panowania, a zabić go nie śmiał, bo się lękał zaburzeń ludu. Lecz podczas wyprawy króla pod Alhamę, królewicz, dzięki podstępowi swéj matki, zdołał uciec z więzienia z Alhambry. Wraca Muley-Hassan i znajduje bramy miasta zawarte i rokosz w mieście. Boabdila lud obwołał królem. Rozdzieliły się zdania kraju pomiędzy ojcem i synem. Syn udał się do Ferdynanda Katolickiego z prośbą o pomoc przeciw ojcu. Przybywa waleczny margrabia Kadyksu z licznem wojskiem, z kwiatem andaluzskiego rycerstwa, lecz zostaje pobitym ze szczętem pod Malagą przez Boabdila starszego, stryja młodego (d. 21 marca 1483.).

Król Boabdil uznał, że serce ludu swego postradał przywołaniem obcych na rozstrzygnięcie walki swéj z ojcem; pojął, że odzyskać je może jedynie szczęśliwą jaką wyprawą przeciw chrześcianom. Wyrusza tedy na czele wojska swego przeciw Hiszpanom, i dostaje się wkrótce potém do niewoli. Okupuje sobie wolność obietnicą zrzeczenia się

(*) Przy téj sposobności napomknę, że sławny romans Floryana, z którego dawni podróżnicy czerpali wszystkie swe historyczne wiadomości tyczące się Granady, zawiera bardzo mało prawdy, i że to, co w nim jest prawdziwego, przekształconém zostało w sposób historyi, opowiadanéj w romansach przez pana Alex. Dumas. Dlatego też tyle się rozwodzę nad dziejami Granady, pewny, że to, co tu podaję, a co tylko w kilku wiarogodnych kronikach znajduje się, potrafi się ostać przed krytycznym sądem znawcy historyi.

za lat sześć tronu Granady na korzyść monarchy Kastylii, i poprzestania na przyszłość przy tytule księcia Guadixu. Ale tymczasem Muley-Hassan odzyskał koronę Granady. Boabdil wraca do stolicy, bój się okropny wszczyna na ulicach, krew się leje. Boabdil pokonany ucieka z swą matką do Almeryi. Wojska Ferdynanda i Izabelli wkraczają do kraju; jedna forteca po drugiéj wpada w ręce chrześcian. Muley-Hassan, wiekiem pochylony, powierza komendę swego wojska bratu swemu. Nowy rokosz w Grenadzie. Boabdil starszy obwołany królem. Muley Hassan chronić się musi, traci wzrok, uznaje brata swego młodszego swym panem, i wkrótce potém umiera (1485.). Boabdil starszy dobrowolnie oddaje część państwa swemu synowcowi. Lecz wkrótce znów wybucha pomiędzy Boabdilami wojna na ulicach saméj Granady. Bój trwa dni pięćdziesiąt, i zalewa krwią całe miasto. Walczy Boabdil młodszy ze swoim stryjem na placu wielkiego meczetu, i rani go nawet.

Ferdynand wysyła młodemu królowi posiłki pod dowództwem Don Fadryka de Toledo, tegoż samego, który późniéj pod nazwiskiem księcia Alby wpisał się krwawemi literami w księgę historyi. Stary Boabdil zbity pod Valez-Malaga; młody osadzony z wielką pompą po drugi raz na tronie w Alhambrze.

Widząc, że losu nie przezwycięży, stary Boabdil poddaje się królowi Ferdynandowi, i uzyskawszy od niego wielką summę pieniędzy, wyjeżdża do Afryki, do swego krewnego króla Fezu, i zostaje przez niego pozbawionym oczu, wolności i pieniędzy.

Boabdil młodszy, teraz jedyny król Grenady, chwiał się pomiędzy przysięgą daną chrześcianom a wiarą zaprzysiężoną ludowi. Największa część kraju była w rękach Ferdynanda.

—»Boabdilu! sześć lat już mija!« — wołał Ferdynand. A lud trzymał króla swego w oblężeniu w Alhambrze, i nie dał mu zrzekać się korony, wołając: »raczéj giń z nami pod gruzami Granady, ale nie zdradzaj twego ludu!«

Król Boabdil nareszcie postanowił bić się do upadłego: mianował rycerskiego Muza-Ben-Abil-Gazana dowódzcą swéj jazdy i wyruszył przeciw Ferdynandowi, stojącemu na czele pięćdziesięcio-tysięcznéj armii o dwie mile od Granady, tam gdzie teraz miasto Santa-Fé stoi.

Boabdil nie posiadał nic prócz Granady i Alpuchary, zkąd go dochodziły żywności. I to źródło umiał przeciąć król Ferdynand. Znów osłabła odwaga w sercu Boabdila, pomimo sprężystych przedstawień bohaterskiego wodza jego hufców, który w stu bitwach Hiszpanów pobił. Boabdil podpisał d. 25. listopada 1491. r. zobowiązanie, poddania swego królestwa Hiszpanom d. 31. stycznia następnego roku.

Jeszcze tegoż samego dnia Muza skończył swe bohaterskie życie w nurtach Xenila. Nie chciał być świadkiem upadku swéj ojczyzny.

W Granadzie wybuchł bunt na odgłos haniebnego traktatu, podpisanego przez Boabdila. Solenna proklamacya króla Ferdynanda, w któréj Granadeńczykom najświęciéj przyobiecuje wszelkie wolności religijne, sądownicze i narodowe, uśmierza umysły Granadeńczyków.

Boabdil obawia się nowych rozruchów i poddaje miasto już 2. stycznia. O dziesiątéj godzinie zrana spadł srebrny półksiężyc z wieży Vela. Na ten znak czekali Ferdynand i Izabella z swém wojskiem, na ten znak padli na kolana i cześć oddali Bogu. Ferdynand i Izabella wjeżdżają do miasta; Boabdil je opuszcza. Nie! on się zwraca już z za bramy i spieszy ku królom chrześciańskim, nie wiem jakiém uczuciem pędzony; chce się rzucić z konia na kolana, na widok majestatu Kastylii i Arragonu; ale Ferdynand, zwalczony uczuciem litości, przytrzymuje Boabdila na koniu i serdecznie go rękami obejmuje. Nawet Izabella łzy roniła: »Patrzcie! ten raj teraz do was należy, królu i królowo!« rzecze łkając biedny Boabdil; »niech Allah pozwoli, byście w nim byli szczęśliwszemi niż ja.«

I potém zwrócił konia ku górom Alpuchary, gdzie król Kastylii wyznaczył mu dobra, i gdzie już jego rodzina i dwór przebywali.

Opanowano Granadę. Wszystko się odbyło w uroczystéj, grobowéj ciszy. Żaden Maur na ulicach Granady, ani jeden. Chrześcianie nawet, zamieszkali tu oddawna, nie wołali: »niech żyją zwycięzcy!« Tak skończyło się panowanie Arabów w Hiszpanii. Trwało lat 780, miesięcy 8 i dwa dni. Boabdil pięć lat wytrzymał w górach Alpucha-

ry, lecz dłużéj awanturniczy jego umysł nie mógł znieść spokojności. W Almeryi, w obliczu wielu tysięcy dawnych swych poddanych, przybiegłych zdaleka by go pożegnać, Boabdil rozstał się z Hiszpanią. Poczciwy lud wybaczył mu wszystkie jego błędy, dlatego, że był *el Zagoybi khalif*, królem nieszczęsnym z urodzenia. Boabdil mieszkał u swego krewnego Muley-Achmeda króla Fezu. Doczekawszy się późnéj starości, poległ w roku 1536. w bitwie przeciwko zbuntowanym braciom króla, na brzegach rzeki Guadiswed.

Dzięki światłu i cnotom arcybiskupa Talawery i hrabi Tendella, Granada doznała dobrodziejstw pokoju pod berłem hiszpańskiém. Arcybiskupa pokochali Maurowie jak ojca, wielu z nich dobrowolnie przyjęło chrzest i wiarę Chrystusa. Można było rokować temu narodowi najpiękniejszą przyszłość. Rozumny, łagodny i pracowity, nie opierał się wcale wpływowi prawdy i cnoty. Ale chciwość zniweczyła te piękne nadzieje. Nalegano na króla, aby rozpoczął dzieło nawracania przymusowego. Izabella dość chętnie ucho tym radom dawała; ale człowiek wielkiéj wagi i niezmiernego wpływu, odradzał nawracań przymusowych. Nikt nie zgadnie, kto był ten człowiek. Był nim wielki inkwizytor Torquemada, ten sam fanatyczny zakonnik, który tysiące żydów i kacerzy posłał na stosy. Torquemada dowiódł królowéj, że wszystkie przymusowe nawracania wyradzają tylko kacerzy. Maurowie wszystko znosili cierpliwie. W roku jednakże 1498., gdy sam kardynał Ximenes zjechał do Granady i samowolnie zaczął przymusem nawracać Maurów do chrystyanizmu, ci się zbuntowali i kardynała w własnym jego pałacu oblegli. Hrabia Tendella zdołał uśmierzyć umysły zbuntowane obietnicami i namową. Pomimo przedstawień Tendelli, kardynał postanowił zemścić się za zniewagę, i wielu kazał uwięzić Maurów. Inni poczuwający się do winy uszli w góry Newady i zorganizowali się w potężne bandy rozbójnicze, znane pod nazwiskiem Monfis. Bandy te w spółce z korsarzami afrykańskiemi roznosili postrach na całe królestwo.

Królowa Izabella umarła w r. 1504. Po jéj śmierci, Ferdynand zatrudniony sprawami własnego królestwa, nie

mógł doglądać spraw Granady i poruczył je chciwym krwi i bogactw sługom. Coraz cięższe brzemie prześladowań cisnęło Maurów: zostali oni bez żadnéj opieki po śmierci arcybiskupa Talawery i hrabi Tendella, a nagleni groźbami, przyjęli w massie wiarę chrześciańską. W roku 1516. umarł Ferdynand. Mściwy kardynał Ximenes objął rządy kraju na czas niebytności Karola V., syna Filipa i Joanny. Maurowie doświadczali niesłychanych prześladowań: palono ich kopami za kacerstwo. Karol sam zjechawszy do Granady, przekonał się o stanie rozjątrzenia ludu maurytańskiego. Ustanowił osobną policyę złożoną z mnichów, a mającą czuwać nad szczerością wiary nowo-nawróconych Maurów, inkwizycyi zaś polecił srogo karać nieszczerych wyznawców Chrystusa. To się działo w r. 1527. Coraz nowe prześladowania wynajdywano umyślnie na wymożenie coraz nowych haraczów. Tak się rzeczy ciągnęły do roku 1566. W roku tym Filip II. ponowił edykt Karola V., z zagrożeniem najsurowszych kar. Żadna protestacya, prośba lub ofiara już nic Maurom nie pomogła. Termin ostateczny oznaczono na dzień 14. kwietnia 1568. roku.

Do ostateczności przywiedzeni Maurowie, obwołali swym królem młodego szlachcica don Fernanda de Valor, potomka kalifów korduańskich z pokolenia Omeyadów. Młody ten, zaledwie 22 lat liczący, przystojny, ukształcony i powszechnie szanowany szlachcic, uchodził za dobrego chrześcianina, i pozostał nim, nawet po wyniesieniu swém na tron Granady pod nazwiskiem Muleya-Abdahli. Farax, ostatni z Abencerragów, przybył na czele Monfisów Alpuchary i dopuścił się krwawéj zbrodni na 3,000 chrześcian, za co zrzuconym został z urzędu przez Muleya-Abdahli. Koronował się ten improwizowany król z wielką pompą w Laujar, i potém uorganizował z trudną do uwierzenia szybkością i zręcznością powstanie w górach Alpuchary. Margrabiowie Mondejar i los Velez wysłanemi zostali przeciw zbuntowanym góralom z wojskiem bardzo licznem, i zaraz z początku świetne nad niemi odnieśli zwycięztwa. Łatwo byłoby uspokoić kraj cały w téj chwili, ale chciwość i okrucieństwo margrabiego do tego stopnia rozdrażniły umysły Monfisów, że postanowili bronić się do osta-

tniego. Cudów waleczności dokazywali niesłychanych; tryumf następował po tryumfie, Hiszpanie wyparci zostali z zajętych fortec przez garstkę rozpaczających, dowodzonych z rzadkim talentem przez młodego Muley-Abdahli. Odgłos tych zwycięztw rozniósł się po całym kraju; prowincye Malaga i Almerya przystały do powstania. Młody król, odważny i przebiegły, stał się postrachem Hiszpanów. Król Filip wysłał przeciw niemu brata swego naturalnego, don Juana de Austria, zwycięzcę z pod Lepanto. Młody bohater zdobył fortecę Galera, i wyciął w pień wszystkich Maurów bez różnicy płci i wieku. Korzystając z sprawionego przestrachu, obiecał powstańcom przebaczenie, byle się tylko poddali. Takim sposobem zyskał kilka ważnych twierdz, klucze Alpuchary. W Granadzie tymczasem okuto wszystkich Maurów w więzy i wyprowadzono ich do Kastylii i do Estramadury. Trzy korpusy otoczyły Alpucharę i systematycznie cały kraj niszczyły, aby żadnego w nim nie pozostawić przytułku. Krew Maurów płynęła strumieniami. Ci, co się bronić mogli, bronili się jeszcze, cofając się na najwyższe szczyty gór. Aben Abdallah-Omeya padł ofiarą zazdrości swéj żony, został zamordowanym. Don Juan de Austria kazał pochować zwłoki tego walecznego rycerza z wielką okazałością, ale nie przestawał ani na chwilę wytępiać Maurów ogniem i mieczem. Okropne teraz nastąpiły czasy!

Nakoniec w roku 1609. król Filip III. podpisał za radą księcia Lermy dekret wygnania na wszystkich potomków maurytańskich całego półwyspu. Tylko dzieci urodzone w więzieniach wyjęto z pod tego okrutnego wyroku. Wszystkich innych zaprowadzono do portów morskich i zawleczono na brzegi Afryki.

Tak Hiszpania samowolnie ogołociła się ze swych najpilniejszych dzieci! tak oddała demonom zniszczenia swe najpiękniejsze okolice. Z sześciu milionów mieszkańców Granady, zaledwie pozostało tyleż kroci; w Andaluzyi z 14 wsi, zaledwie dziś istnieje jedna.

Nawet prace umysłowe Maurów nie znalazły łaski u fanatyków. Kardynał Ximenes kazał spalić na publicznem *auto da fe* 80,000 ksiąg arabskich znalezionych w bibliotekach Granady.

I tak znikła w odmętach zapomnienia pogrążona, w żywiołach chaotycznych rozdrobniona, ta wielka fala powodzi arabskiéj, która zlała się niegdyś na Europę z tak niepohamowaną wściekłością.

Bóg jeden jest zwycięzcą!

---

# ROZDZIAŁ IV.

ALHAMBRA.—BRAMA.—GODŁO.—KAROL V.—DZIEDZINIEC.—TORRE DE COMARES.—NAPIS.—SALA AMBASSADORÓW.—DZIEDZINIEC LWÓW.—SALA 2-CH SIOSTR.—SALA ABENCERRAGÓW.—ŻONA BOABDILA.—ZEGRISY I ABENCERRAGI.—DUCHY.—BUDOAR KRÓLOWÉJ GRANADEŃSKIÉJ.—GENERALIF.—PORTRETY.—LA SILLA DEL MORO.—CHARAKTER ARCHITEKTURY MAURYTAŃSKIÉJ.

---

Alhambra, czyli królewska forteca, leży na najniższym stopniu pasma gór, przegradzającego dolinę Darro od doliny Xenilu, a pasmo to, bieżąc coraz wyżéj, wyżéj w górę, nurza, o mil cztery najdaléj, swe śnieżne, błyszczące szczyty w obłokach. To Sierra Nevada, wyższa jak nasze Karpaty, a śniegi z niéj nigdy nie znikają. Od strony południa pagórek, na którym leży Alhambra, wolno zstępuje w dolinę; ale ze strony północnéj spada raptownie w skalisty, przerażający odmęt, w głębi którego huczy Darro zapienionemi wodami.

Ze strony wschodu pagórek Alhambry odgraniczony jest wązkim, lecz głębokim parowem od góry daleko wyższéj i dzikiéj. Na szczycie téj góry leżą gruzy zamku Maurów, zwanego Silla del Moro, a na jéj podnóżu, ze strony doliny Darro, wznosi się nadobny pałac zwany Generalifem, to jest siedliskiem miłości. To jest willa sułtanek Granady.

Tuż nad tą przepaścią, nad tym parowem i nad doliną, wznosi się pałac granadeńskich królów, a z niego wysuwą się z jednéj i z drugiéj strony wysoki i gruby mur, okrążający wszystkie budowle, dziedziniec i baszty, wchodzące w skład fortecy. Mur zaś ten opatrzony jest strzelnicami i 13 czworograniastemi wieżami. Kilka żelaznych dział ogromnego kalibru pozostało tu jeszcze po Maurach. Drugi jeszcze tu był mur okrężny i wał wysoki, ale Francuzi wysadzili go w powietrze.

Ze strony południowo-zachodniéj muru wznosi się ogromna wieża, broniąca głównego wstępu do Alhambry. Przejście przebiega zygzakiem całą grubość téj budowli, zastanawiającéj ogromem. Okazały portyk z marmurowym baldachinem zdobi wnijście do téj wieży. Tu pod tym portykiem królowie Maurów rozsądzali co *czwartek* patryarchalnie i za wspólną ugodą obu stron takie sprawy, których trybunałom krajowym powierzyć nie chciano. Jaka piękna instytucya! jedyny sposób zapobieżenia pojedynkom.

Na téjto wieży, którą, według zdania tutejszego ludu, astrolog jakiś miał wystawić z głazów piramid egipskich, na téj mówię wieży wyryto w kamieniu godło jakieś kolosalnéj wielkości: *rękę chcącą chwytać za klucz*. Ręka ma przedstawiać naukę, a klucz wiarę: tak przynajmniéj utrzymują talibowie arabscy, przybywający tu od czasu do czasu, aby płakać w straconym dla nich raju.

Przeszedłszy łamaną drogę w wieży, wstępujesz w wąwóz, otoczony wysokiemi murami, a potém na obszerny plac, zwany *Plaza de los Algibes*. Plac ten zawiera dwie wielkie w skale wykute sadzawki i głęboką studnię, także w skale wywierconą. Wodę z téj studni sprzedają jako specyał na ulicach Granady. Zachodnia część tego placu odgraniczoną jest wysokim murem, oddzielającym część fortecy, dziś za więzienie politycznym przestępcom służącéj, od reszty budynków w skład fortecy wchodzących. Z drugiéj, przeciwnéj strony placu sadzawek, wznosi się imponujący pałac, przez cesarza Karola V. zaczęty, ale dziś jeszcze niedokończony. W pałacu tym przechowują działa forteczne; jest ich przeszło trzysta z różnych wieków. Karol V., aby wznieść swój pałac, kazał zburzyć zimowy pałac królów Granady, o którym podania głoszą, że piękniejszym był od wszystkiego, co pozostało. Są ludzie patrzący z zazdrością na wszystko co piękne: czyto żywe, czy umarłe. Takim był Karol V.

Za pałacem Karola V. wznosi się kościoł Alhambry; wprzódy był on meczetem. Pomiędzy tym kościołem a pałacem granadeńskich książąt, opierającym się o północną część pałacu Karola, znajduje się prześliczny ogródek, pełen najpyszniejszych i najrzadszych kwiatów, np. drzew trąbkowych (Bignonia catalpa L.) i akacyi Chrystusowéj (Gleditschia triacanthos L.), pełen także fontan alabastrowych, wy-

tryskujących bezustannie chłodzący deszczyk na te miłe córki Flory, które swym widokiem tak cieszą.

Maurytański pałac królów Granady z zewnątrz nic nie ma okazałego, tak jak wszystkie budowle Arabów, chowających piękności swe tylko dla prywatnego tajemnego użytku. Pałac Alhambry jest dziwnym różnokształtnym konglomeratem wysokich murów bez okien; nad niemi sterczą wieże różnéj wielkości i różnokolorowe; wznoszą się także dwa ośmioboczne wysokie pawilony z gankami na zewnątrz.

Ale gdy raz przestąpisz skromną furtkę, stanowiącą jedyne wejście do pałacu, wówczas pomyślisz, żeś od jednego razu wstąpił w krainę czarów. Znajdziesz się w dziedzińcu czworograniastym, podługowatym, wyłożonym taflami marmurowemi i otoczonym w około portykiem całkiem z białego marmuru, spoczywającym na alabastrowych kolumnach. A te kolumny stojące parami, wiązane pomiędzy sobą i pomiędzy innemi parami łukami najpowabniejszego wygięcia, te kolumny tworzą labirynty najfantastyczniejszych kształtów, i ozdobione są rzeźbą, arabeskami i złoceniem. W pośrodku tego dziedzińca, zwanego *Patio de la Alberca*, znajduje się stawek na 130 stóp długi, a 80 stóp szeroki. Dwie fontanny ciągle go napełniają, a złote pstrągi krążą w nim bezustannie. Stawek otoczony jest zewsząd myrtami, różami i oleandrem.

Północną część tego dziedzińca stanowi wieża kolosalnéj wielkości, zwana *Torre de Comares*. Wysoki portal prowadzi do sali ambasadorów, zajmującéj wnętrze téj ogromnéj wieży. W téjto sali dumny Muley-Hassan rzekł do wysłannika Ferdynanda: »Moja mennica już nie bije złota, lecz groty i pałasze.« Nad wejściem zaś do saméj sali znajduje się długi napis arabski, który według tłómaczenia danego przez *Itinerario descriptivo de Espanna*, znaczy:

»O Ben-Hassanie! nie na tronie zostałeś zrodzonym, lecz w własném pławisz się świetle, tak jak owa gwiazda, która nam dzień przynosi. Twoje ramie jest naszym murem, a twoja sprawiedliwość naszém światłem. Ty umiesz powściągać złość nieprzyjacioł naszych, a uszczęśliwiasz twą dobrocią inne dzieci twego ludu. Gwiazdy firmamentu przyświecają ci z cześcią, słońce patrzy na cię z miłością, a cedry, królowe lasów, chylą swe dumne czoła przed tobą, o wielki nasz kalifie!«

Znamy historyę panowania Mahometa Abu-Alhamana z domu Ben-Hassanów. O nim tu mowa w tym czułym i pełnym poezyi napisie.

Sala ambasadorów jest bez żadnéj wątpliwości najobszerniejszą salą, znajdującą się gdziekolwiekbądź w wnętrzu wieży. Panuje tu sztuczny pomrok, nie dozwalający dostrzedz wszystkich cudów architektury i ozdób tego czarującego miejsca. Ile tu złoceń, ile mozajki, ile rzeźby na drzewie cedrowem! Ale okien 12 tylko, to za mało na ogrom sali.

Każdego roku d. 2. stycznia, to jest w rocznicę poddania się Granady, gubernator Alhambry daje tutaj bal w téj pysznéj sali dla sześciuset osób. Wystawić sobie 600 osób w wnętrzu jednéj wieży! Za każdém z okien znajduje się ganek; z nich widok na pola, góry, lasy i przepaści najpyszniejszy.

W wyższéj części wieży Comares znajdują się pokoje, w których Muley-Hassan więził swą żonę, piękną Fatimę la Zoraya, światło zorzy, i syna swego Boabdila małego, przezwanego *el Zogoybi, nieszczęsnym* już od urodzenia.

Naprzeciw wnijścia do tego dziedzińca znajduje się wnijście bardzo okazałe do głównego dziedzińca zamku, do dziedzińca lwów: *patio de los Leones*. Jestto regularny czworogan opasany portykiem który podpiera 168 kolumn marmurowych. Dwa przedsionki cudnéj architektury, stojące na ostrych łukach, wspartych wysokiemi kolumnami wystają ku dziedzińcowi, w środku którego znajduje się owa sławna fontanna, unoszona przez dwunastu lwów marmurowych. Kilka miednic kolosalnéj wielkości, ale coraz mniejszych, unosi się jedna ponad drugą w powietrzu, woda spada z jednéj w drugą i tworzy cudnéj piękności katarakty; nareszcie wpada w wnętrze lwów i przez nich znów jest oddawaną rozdrzami w szumnych strumieniach.

Miejsce to było widownią wielu scen historycznych, opiewanych balladami i romansami.

W tym dziedzińcu Muley-Hassan obronił własną swą ręką don Juana de Vera, ambassadora Izabelli, od niechybnéj śmierci. Tenże don Juan de Vera wdał się był w téj właśnie sali z niektóremi Maurami wysokiego rodu w rozmowę o tajemnicach religii chrześciańskiéj. Jeden z przytomnych Maurów, Abencerrag rodem, pozwolił sobie zrobić żarcik jakiś uchybiający świętości religii. Don Juan de Vera, do żywego obruszony, wydobył miecz i jedném cięciem powa-

lił bluźniercę o ziemię. Wszyscy przytomni dobyli szabli i uderzyli na ambasadora. Byliby go rozsiekli w kawałki, ale Muley-Hassan usłyszał zgiełk w przyległéj sali, przybiegł i obronił nietykalność ambasadora. W nagrodę nawet za męztwo przy téj sposobności okazane, król Maurów darował don Juanowi de Vera bogaty dyamentami wysadzony pałasz. »Królu! darowałeś mi ostry upominek, będę się starał nim ci się wywdzięczyć przy najpierwszéj sposobności« rzekł ambasador do monarchy, przyjmując dar ten kosztowny.

Ale i innéj, jeszcze okropniejszéj sceny, dziedziniec ten był świadkiem.

Tutaj, pod tą fontanną, Muley-Hassan folgując namowom swéj nowo wyniesionéj sułtanki, donny Isabel de Solis, kazał ściąć własnych synów, spłodzonych z Zorayą.

Z obu stron dziedzińca lwów znajduje się sala dwóch siostr i sala Abencerragów.

Sala dwóch siostr najpiękniejszą jest ze wszystkich; tak jest nazwaną od dwóch olbrzymich tafli marmurowych, wchodzących z obu stron fontanny w skład białéj jak śnieg posadzki. Spodnia część sali jest czworograniasta, ściany składają się z mozajki; wyższa część ozdobna gankami tworzy ośmiobok, i kończy się przecudną kopułą, sklejoną z fantastycznych sztukatur, niby wnętrze jaskini przedstawiającéj długie cudne stalaktyty zawieszone w pieczarach, w których krzepnie woda ściekająca kroplami z sklepienia. Wszystkie wypukłości są złocone, wklęsłości zaś wyłożone białą, czerwoną i lazurową mozajką. Wszystko tak jeszcze jest świeże, jak gdyby wczoraj było wykończoném. Światło wpada ośmioma oknami w kopule wykrojonemi, i zlewając się w tę czarodziejską salę, sprawia widok nie do opisania piękny. Ściany zdają się być obwiedzione koronkami brukselskiemi: tak cienką jest siatka arabesków, opasująca zewsząd okazałe te przestrzenie. Portyk, okrążający tę salę, dźwiga ganek, do niego zaś prowadzą schody z haremu. Często ztąd patrzały czarne oczy na uczty dawane w téj sali. W tylnéj ścianie tego przybytku znajduje się mała, ale nadzwyczaj wykwintna komnateczka, cała wyłożona alabastrem, a okna jéj misternie i uroczo wykrojone, wychodzą na ogródek sułtanki, zwanej Lindaraxa. Ogródek ten niewielki, ale ozdobiony krużgankami, fontannami i altankami, był niegdyś lubym przytułkiem królewskich roskoszy familijnych.

Obszerniejszą niż sala dwóch siostr, okazalszą, ale mniéj ozdobną jest sala, znana pod nazwiskiem halli Abencerragów. Miejsce zawarte pod kopułą, pod którą ciągnie się zygzakiem ganek na około, większém jest jak sama sala. Promienie słońca, wpadające niezliczoném mnóstwem okien kolorowych, walczą tu z sobą wszystkiemi barwami tęczy.

—W téjto sali—rzecze mi Mateo Ximenes,—wymordowano 36 Abencerragów; tu w téj marmurowéj fontannie złożono ich głowy, a około téj miednicy porozkładano tułowy, by krew ściec mogła podziemnemi rynnami.

—Mateo! znasz ty szczegóły téj krwawéj sprawy? umiesz je opowiedzić? siadajmy, słuchać cię będziemy nabożnie, tak jak kiedyś słuchano Ulissesa.

—»Czy znam szczegóły téj sprawy? wszakże ja obcuję z cieniami zmarłych w tym przybytku bohaterów: jestem synem Alhambry, znam jéj tajemnice, słuchajcie!

»Król Boabdil był rycerzem mężnym w boju, ale w pokoju człowiekiem wahającym się, łatwowiernym i słabym. Znana mu przepowiednia, że będzie ostatnim królem Granady, stała jak widmo przed jego oczyma, ścigała go wszędzie i nieraz do okrucieństw pobudzała. Często widział nieprzyjacioł w wiernych swych sługach; często nie spostrzegał nieprzyjaciela w pochlebcy. Gomele i Zegrysy, zacięci nieprzyjaciele Abencerragów, sprzysięgli się na ich zgubę, i wmówili w Boabdila, że jeden z Abencerragów uwiódł królowę, że ją widziano w jego objęciach pod owemi cyprysami, rosnącemi w ogrodach Generalifu od czterech wieków. Boabdil, zwalczony przysięgą fałszywych świadków, udał się do téjże sali z swym katem i z trzydziestu żołnierzami. Przywoływał Abencerragów jednego po drugim i głowę ściąć kazał każdemu. Tu poskładano głowy i tu tułowy. Trzydziestu sześciu padło ofiarą łatwowierności Boabdila. Lecz paź ostatniego z ściętych spostrzegł co się dzieje, umknął z sali i okrzykiem rozpaczy dał znać reszcie Abencerragów, jaki ich los czeka. Zdrada! zemsta! wołali Abencerragi; lud powstał, było go czternascie tysięcy pod bronią. Wydobyto z więzienia Muley Hassana, zrzuconego z tronu i okutego w kajdany przez syna swego Boabdila. Oddano mu koronę. Boabdil schronił się do meczetu; Gomelów i Zegrysów wyrznięto dwieście. Muza, bohater przez lud

ubóstwiany, umiał uśmierzyć umysły; Boabdilowi znów oddano koronę.

Lecz król trwał w swych podejrzeniach względem królowéj, gdyż jéj oskarżyciele ofiarowali się utrzymywać kłamstwo z bronią w ręku. Król zwołał sąd starców, którzy osądzili królowę na spalenie żywcem, jeśli za dni 30 czterech rycerzy nie pokonają oskarżycieli ostrzem swych włóczni. Zamknięto żonę Boabdila w wieży Comares. Wielu rycerzy maurytańskich ofiarowało się stanąć w obronie królowéj, lecz ona tak wysokie miała wyobrażenie o waleczności rycerzy chrześciańskich, że im tylko chciała powierzyć obronę swojego honoru. Napisała potajemnie do don Juana de Chacon, gubernatora Kartageny, prosząc by w dniu oznaczonym przybył na jéj obronę i przywiózł z sobą trzech godnych siebie rycerzy.—Królowa tyle zaufała chrześcianom, że nawet wzgardziła bohaterem Muzą i jego przyjaciołmi.

Dzień fatalny nadszedł: już rusztowanie kirem pokryte wniesiono, już w bieli ubraną królowę na plac przyprowadzono. Łkania ludu i szlochy rozlegały się po całéj Granadzie. Dwadzieścia trąb oznajmiło przybycie czterech oskarżycieli. Zbliżają się na pysznych andaluskich koniach, zbroją pokryci od stóp do głów; pióra strusie powiewają w powietrzu, na tarczach mają dwa na krzyż złożone miecze, z napisem: »oto mściciele prawdy.«

Lud spogląda na wszystkie strony, obrońców nie widać! Od ósmej zrana do drugiéj po południu nikt nie przybył. Już królowa zaczyna się chwiać w swém zaufaniu, i zalewa się łzami. Czterech nowych rycerzy maurytańskich jawi się znowu i błaga, aby im wolno było stanąć w obronie niewinności. »Jeśli za dwie godziny żaden inny nie przybędzie rycerz, wówczas was przyjmuję za obrońców« rzecze królowa.

W tém zagrzmiały trąby, czterech przybywa tureckich rycerzy: jeden znich prosi sędziów, aby zezwolił na rozmówienie się z królową. Sędziowie zezwalają. Rycerz turecki przybliża się do królowéj i odchyla *wizier* swego hełmu. Królowa poznaje don Juana de Chacon, i daje znak sędziom że przystaje na tych obrońców.

Bój się rozpoczyna; długo trwał zacięty, długo zwycięztwo nie pewne. «Lecz Allah, mówi rękopism arabski, wlał odwagę w serce, i siły wramiona obrońców niewinności.

Zegrysy pokonani, przyznają się do winy, przysięgają, że zazdrość jedynie niemi powodowała, że królowa niewinna.

Sędziowie ogłaszają tryumf niewinności. Król rzuca się do nóg swéj małżonce, lecz ona go odpycha i chroni się do klasztoru chrześciańskiego. Rycerze kastylijscy znikli, a Abencerragi opuścili na zawsze Granadę. Tak król stracił od razu wszystkich swych najlepszych przyjacioł.«

—Często, dodał don Mateo Ximenes, często głuche rozlegają się tutaj jęki nocną porą, gwary głosów, szczęki kajdan i płacz dzieci. Czasem nawet przeraźliwe słychać krzyki: to niezawodnie dusze tylu ludzi umarłych tutaj w grzechu; pokutować muszą Maurowie po śmierci, bo Chrystusa uznać nie chcieli.

A don Sobek Gruszka, widząc jak słucham z takiém zajęciem opowiadania don Mateo, wziął to zajęcie za dowód łatwowierności, i dodał ośmielony moją naiwnością:

—Tak, tak, panie Sennor, pokutować muszą koniecznie, bo to hajdamaki. Wszakżeż raz ja wchodzę do téj sali ranną bardzo porą i zobaczyłem, co? czterech hajdamaków z długiemi brodami, a ubranych od stóp do głów w czerwone i żółte atłasy, zbliżających się do mnie. »Wszelki duch Pana Boga chwali!« krzyknąłem struchlały, i nie czekając odpowiedzi, kopnąłem się z sali na dziedziniec. Oj! źle zrobiłem, bo jak się później dowiedziałem, widma te chciały mi, jako dobremu katolikowi, objawić, gdzie są złożone skarby królów muzułmańskich.

—Ho, ho! don Sobku Gruszko! co to, to za wiele! Cóż do stu tysięcy! przecież nie chcesz, żebym uwierzył w strachy i zaklęte skarby; a pfe stary wiarusie!—odpowiedziałem z oburzeniem don Sobkowi.

—Ah panie! na miłość Boga! albo się to raz zdarzyło, że widma Alhambry ludziom skarby wskazały? Niedawno temu, będzie z lat dwadzieścia, żołnierz jeden zbogacił się nagle tu w Alhambrze, wziął dymissyę i kupił sobie dwa domy w Maladze. Dotychczas żyje, i żyje wesoło, bo wino tam wyborne. A cóż don Mateo, czy nie prawdę mówię?

Mateo powołany na świadka, rzekł z tajemniczym i uroczystym wyrazem twarzy: »Gdyby się nie działo coś nadzwyczajnego w Alhambrze, nie oblewałby ksiądz kapelan, mieszkający tu obok téj sali, pokoju swego wodą święconą. Kiedy on się duchów lęka, to nam wolno w nie wierzyć!«



INSTYTUT GEOGRAFII P.A.N. BIBLIOTEKA

Istotnie ksiądz kapelan wierzył w duchy, i sam mi to najnaiwniéj w świecie wyznał; ale nigdy żadnych nie widział, krzyki tylko i jęki przerażające słyszał nieraz w nocy, jęki tak okropne, że aż do kości przejmowały.

Jęki te i wycia pochodzą zapewne z szelestu, który sprawia woda spływająca licznemi rurami w fontanny. Rury te umieszczone są pod ziemią: wodociągi konstrukcyi maurytańskiéj sprowadzają wodę o cztery mile. Płynący kryształ, przebiegłszy sto fontan w pałacu królewskim, napełnia wanny w łazienkach, sadzawki i kanały, spływa licznemi strugami w ogrody i szumnemi kaskadami po murach i murawach, po skałach i młynach, do parku Alhambry. Dwieście siedmnaście kwart wody przybywa tu każdéj minuty z gór Nevady.

Opisać wszystkie cuda i piękności Alhambry, byłobyto nadużyć cierpliwości czytelnika. O kilku jeszcze miejscach historycznéj wartości wspomnieć muszę.

Budoar królowéj, *el tocador de la Reyna*, znajduje się na samym szczycie wieży, stojącéj na samym końcu haremu. Jestto pawilon, którego kopuła jest ruchomą i tak urządzoną, że ją łatwym mechanizmem otworzyć można. Oknami widok najpyszniejszy na wszystkie strony świata. W jednym kącie podłogi znajduje się w posadzce marmurowéj mały otwór, którym wchodzą wonie palone pod spodem do budoaru. W tym cudnym pokoju sułtanka Fatima la Zoraya miała teleskop, i nim spoglądała na gwiazdy; wierzyła ona mocno w wpływ konstellacyj na losy ludzkie.

W jednéj z pomniejszych sal (a tych jest w Alhambrze z pięćdziesiąt, trudno tylko dostać się do wszystkich, w wielu bowiem są składy, inne zawierają meble gubernatora, inne jeszcze marmury i alabastry, zdobiące wprzódy pokój pałacu Karola V.),—w jednéj z sal widzieć można portrety osób, które główną rolę grały w wojnie granadeńskiéj. Szczególnie uderzył mię portret Izabelli katolickiéj. Byłato piękna, okazała pani: oczy miała pełne, mądre, koloru niebieskiego, włosy jasno brunatne. W całym jéj ustroju wiele się maluje dumy kobiecéj, powagi królewskiéj, połączonéj z dobrocią serca i łagodnością charakteru. Szkoda, wielka szkoda, że ta szlachetna księżniczka żyła w wieku przesądów, w którym monarchowie byli ślepemi narzędziami w rękach fanatycznych mnichów.

Prócz pałacu królów maurytańskich, wiele jeszcze jest w Alhambrze budynków maurytańskich bardzo pięknéj struktury; naprzykład *la Casa del Arco*, *la Torre de las Infantas* wieża zawierająca prześliczne pokoje, przeznaczone kiedyś dla infantek granadeńskich. Płaskorzeźby zdobiące przedtém te komnaty, poprzedawano Anglikom za drogie pieniądze.

Nic romantyczniejszego, jak owa spadzista ścieżka, wijąca się od stóp wieży, stojącéj nad przepaścią, aż do spodu doliny Darro. Za każdym tuzinem kroków inne niespodziewane widoki na Granadę, na góry, na Alhambrę i na pola. Teraz jesteśmy u spodu przepaści, gdzie szumi, huczy potok; przekraczamy go i pniemy się znów w górę.

W połowie wysokości téj góry stoi pałac zwany przez Hiszpanów Generalife, a wprzódy przez Maurów Ginar al Iph (to jest po arabsku *dom miłości*). Pałac ten ogołocony prawie całkiem z pierwotnéj piękności, jest teraz willą, należącą do jakiegoś granda Hiszpanii, którego także nie przypominam nazwiska. Wandalscy restauratorowie nie umieli cenić piękna w płaskorzeźbach i arabeskach, zarzucili je wapnem i pomalowali w kolory narodowe: na żółto i czerwono. Ale istnieją jeszcze owe długie korytarze, z których królowe Granady spoglądały niegdyś na wieże Alhambry niżéj leżące, na miasto i na góry, błyszczące na zachodnim widokręgu.

W jednéj z sal Generalifu umieszczono portret Boabdila i matki jego.

Ostatni król Granady pięknym był młodzieńcem: bogaty jasny włos spływa mu na barki, w oczach wiele dobroci, w ustach wiele słodyczy, ale coś niepewnego, wahającego się w rysach twarzy. Na głowie ma koronę królewską, podbitą czarnym aksamitnym beretem; odziany jest w żupan z złotego brokatu z wyłogami czarnemi, perłami haftowanemi.

*Fatima la Zoraya*, światło zorzy, także jasno-włosa, piękna, z rozumnemi oczyma i klassyczną twarzą. Musiała i ona być Europejką z rasy gotyckiéj; tyle bowiem klassyczności i szlachetności w rysach, w żadnéj arabskiéj twarzy nie widziałem nigdy.

Zoraya ma na głowie zawój z dwóch muszlinowych szali: białego i różowego. Za wielką brylantową spinką zatkane

piórko z pereł różnéj wielkości. Żupanik także z złotego brokatu; kaftan z purpurowego aksamitu, bogato dyamentami haftowany. Perły i klejnoty całéj Golkondy rozsiane we włosach i na ramionach. W ręku trzyma papugę.

Ogrody Generalifu, niegdyś tak świetne, dziś już są w zaniedbaniu. Lecz owe odwieczne cyprysy, pod cieniem których Abencerragi mieli bałamucić seraj Boabdila, dziś jeszcze wznoszą dumne a posępne czoło ku niebu. Przypominają sobie, że je ręka Maurów sadziła, i nim zginą, chcą się doczekać końca potęgi ich nieprzyjacioł. Już się tego doczekaliście stare cyprysy! chrześcianin nie był nigdy nieprzyjacielem szlachetnego i pracowitego narodu, tylko inkwizycya, a ta leży pogrzebana na wieki.

Czytelniku! jeszcze daléj tam na szczyt téjże saméj góry; uciążliwa to podróż! Prawda, część jéj odbyć możesz sławnemi schodami zwanemi wodnistemi, *Escalera de las aguas*. Jedyne to w swym rodzaju schody: na każdym marmurowym stopniu dwie fontanny pryskające złocistą wodą, a wszystko z obu stron opasane krzewami róży, jakich może w życiu swém nikt nie widział. Szczyt téj góry zwie się *la Silla del Moro*, krzesłem Maura. Niegdyś stała tu forteca, teraz leżą gruzy. Na szczycie tym jest mnóstwo jaskiń i katakumb, niegdyś służących za miejsce pogrzebu rodzinie królewskiéj. Ale dawno już poznikały srebrne trumny, marmury i alabastry.

Jak tu dziwnie marzyć nad znikomością rzeczy ludzkich, tu, na popiołach królów, a w obliczu tylu trwałych dzieł wzniesionych ich ręką; w obliczu tych Alpuchar, Newady i Elwiry, których echa wiecznie powtarzać będą ostatnie westchnienia Maura; na szczycie téj góry, u stóp któréj wznoszą się jeszcze silne i mocne owe *Torres vermejas*, wieże czerwone, wybudowane przez Fenicyan w czasach przedhistorycznych!

Nie! nie masz znikomości rzeczy ludzkich!

Kto ma wolę i siłę, i niemi rozrządzać potrafi, ten sobie postawić zdoła na téj ziemi trwalszy jak nasze ciało pomnik. A kto wyższych nie ma zdolności, ten niech powierzy pamięć swą roślinie, niech sadzi drzewa i cieszy się lubą nadzieją, że kiedyś prawnuki bawić się będą pod ich cieniem.

W promieniach zachodzącego słońca jaśniała Alhambra jak zamek jaki czarodziejski. Zastanawiająca budowla! ty-

le wież i baszt różnokształtnych, tyle pawilonów różnéj wielkości! Zdaje się, że zupełnie bez systematu stawiana, a jednak wszystko razem tak jest lekkie, nadobne i urocze.

Ta wykwintność zalotna wewnątrz, ta lekkość urocza charakteryzująca architekturę maurytańską, charakteryzowała także naród Maurów, i stała w przeciwieństwie z imponującą, smętną uroczystością pomników gotyckich. Charaktery te różne, wybite są wyraźnie na dwóch wielkich narodach, które przez czas tak długi spierały się o panowanie nad półwyspem.

Architektury maurytańskiéj znamieniem nie jest szczytność; czaruje ona prawie jedynie wykwintnością kształtów, wrażliwém rozdzieleniem światła, bogactwem i ujmującą nadobnością ozdób. Krużganki Generalifu, przybytki Alhambry, pomniki maurytańskie w Sewilli, Kordobie i Toledo, tenże sam noszą charakter. Wszędzie nadobność, wszędzie przepych. Poznać zaraz z ułudnego pomroku, panującego w tych przestrzeniach, wzniesionych jak gdyby ręką sylfów, że ich dawni mieszkańcy lubili przedewszystkiém oddawać się wzruszeniom zmysłowości. Wybór miejsca i ozdoby jego, tak wyszukane i wykwintne, dowodzą, że Maurowie byli doskonałemi znawcami piękności sztuki i natury, i że przytém namiętnie kochali komfort cywilizowanego życia.

Słodko było Maurowi marzyć o bojach i o czarnookich wieczno-dziewiczych huryskach, w tych złoconych podwojach, gdzie igrały kolory tęczy z kryształem wody, wytryskującéj z fontan, gdzie wonie najpyszniejszych kwiatów upajały wyobraźnię. Pogrążony w swych lubieżnych illuzyach Maur, nie dbał o kształty zewnętrzne tych przestworów, w których wnętrzu znajdował roskosz swą i szczęście. Budował dla swéj wygody, ale nie dla oka ludu; nie zdołał się wznieść w architekturze ani do szczytności pomysłów, ani do wyższego ducha ludzkości. Umysł Maura żywiony nauką, podniecany rozpamiętywaniem, wiele był w stanie objąć: dowodzą tego jego księgi, pomniki i dobroczynne instytucye. Wyczerpał on w swém życiu politycznem i socyalném wszystkie zasoby mądrości, jakie mogło dostarczyć źródło Alkoranu; ale w nauce Chrystusa nie odgadł on tych niewyczerpanych zasobów wszelkiego życia, które chrześcianinowi udzielają przedsmak wieczności. Krótką swą

metę świetnie przebiegł Maur, i potém zniknął z pośrodka ludów politycznie żyjących.

Do wyższych chrześcianin był powołanym celów, choć na chwilę uległ przemocy nieprzyjacioł wiary; ale pojął on i w nieszczęściu swą wyższość, prawdy żywotnéj i w niewoli z oka nie stracił, czekał na bój, i doczekał się zwycięztwa.

Ale już słońce kryje się za mogiłami Elwiry; Alhambra już w pomroku nocnym zanurzona, olbrzymie cienie wkraczają na Generalif; już się i do naszych stóp zbliżają. Błonia Vegi, lasy oliwne, parki królów Granady pogrążone w ciemności. Alpucharra otuliła się nieprzejrzystym płaszczem mgły i obłoków. Nevada tylko czuwa nad nami, i więzi na swych brylantowych szczytach purpurę słoneczną. Przyświeca, jak latarnia morska, nam podróżnikom schodzącym stromą ścieżką w dolinę.

Gasną od jednego razu gorejące śniegi Nevady; jesteśmy znów u bram Alhambry.

Ocknął się puszczyk i sowa wylatuje z swéj kryjówki; budzą się Abencerragi i zgrzytają zębami; siedzi posępny cień Almanzora na szczycie najwyższéj baszty i usiłuje złamać proporzec noszący złotego lwa Kastylii; płacze w Tocadorze piękna Zoraya, a jéj biedne dzieci leżą w dziedzińcu lwów krwią zbroczone.

»*La illah illah Allah*!« wyją tęskne echa Alhambry, a w ogrodzie Lindaraxy śpiewa słowik, tak jak śpiewał już w raju, i dowodzi nam, że tylko Bóg jest zwycięzcą.

# ROZDZIAŁ V.

DZISIEJSZA GRANADA.—DOMY.—BAZAR.—ULICA ZACATIN.—VIVARRAMBLA.—AUTO DA FE.—ALBAYCIN.—CYGANY.—KATEDRA.—GRÓB FERDYNANDA I IZABELLI.—WSZECHNICA GRANADEŃSKA.—KLASZTOR KARTUZÓW.—KRAJOBRAZY.—ALAMEDA.—WYCIECZKA W GÓRY.—PICHACO DE VELETA.—GENUEŃCZYK.—OSTATNI FIGIEL DON JUANA.—MAUR I HISZPAN.

---

Minęły, i to już na zawsze, czasy świetności i samoistnego życia dla Granady. Dawny gród królewski Maurów przestał być stolicą, ogniskiem, w którém się skupiają promienie oświaty niegdyś tak rzadkie. Dziś jedno miasto, jedno królestwo nie wystarcza już na zebranie wszystkiego światła, którém jaśnieje nasza Europa,—tak czynna, pojętna i twórcza. Granada, postradawszy w sile politycznéj, w wadze oręża ciężar wynoszący życie jéj intellektualne do wysokiego znaczenia,—spadła nagle; potém skupiwszy resztę sił, odzyskiwać usiłowała dawną świetność, chwiała się długo, zrzucając pamięć ubiegłych czasów, ciążącą na jéj ambicyi, tak jak ów aeronauta zrzuca ballast, aby się stać lżejszym; szukała równowagi w zapomnieniu przeszłości, a znalazła ją w brzemieniu nieszczęść zwalających się na wspólną ojczyznę Hiszpańską.

Granada przestała być stolicą królewską, centrem życia umysłowego, przemysłu i handlu; lecz zawsze jest piękném, ludném miastem, miejscem, w którém chętnie przebywają poeci i malarze, celem podróży wszelkiéj i coraz wzrastającéj liczby archeologów uczonych i nieuczonych, turystów ciekawością i nudami trapionych.

Daliśmy obraz Granady takiéj, jaką niegdyś była; skreślmy choć zarysy teraźniejszego jéj kształtu.

Ludność obecna Granady dochodzi do 90,000 mieszkańców. Wyniesiona na 2300 st. po nad zwierciadło Śródziem-

nego morza, dziś jeszcze oryentalnego miasta nosi na sobie znamiona. Niektóre dzielnice ciemne, skryte, powikłane, istnego labiryntu przedstawiają obraz; widać, że umyślnie tak budowane, by się w nich najazdom wrogów skutecznie bronić można. Dla wentylacyi wymyślono w samych murach młynki z blachy, w ciągłym zostające ruchu i bardzo dowcipnie kommunikujące z wolniejszém powietrzem. W środku domów, po największéj części wysoko na cztery piętra wyniesionych, znajduje się mnóstwo przyrządów na ten sam cel skierowanych,—w każdym prawie pokoju kominek. Maurowie, umiejący do tak wysokiego stopnia smakować w pięknościach przyrody, niemniéj także lubili wygody zacisza domowego; w widoku natury szukali uniesień i myśli, w spokojności domowéj rozwijali swe pomysły, stosowali je do użytecznych wynalazków i pracowali. Byłto naród umiejący żyć wszystkiemi siłami, w skład istności wchodzącemi.

Tuż blisko poczty Granadeńskiéj znajduje się starożytny pałac z portykiem arabskim, nadzwyczajnie wykwintnym; brama zaś Elwiry, przedmiot tylu ballad i romansów, dziś jeszcze stoi nienaruszona i czaruje śmiałym swym ogromnym łukiem, na którym pnie się w powietrze wysoki minaret. Ale smutne są wspomnienia łączące się do tego placu, przy którym stoi brama Elwiry. Tutaj, w środku tego obszernego miejsca zwanego *Plaza del triomfo*, stoi pomnik z czarnego marmuru. Myślałem, że ten pomnik wzniesiono na cześć zwycięztwa, odniesionego, kilka wieków temu, przez Ferdynanda i Izabellę nad Boabdilem. Nie! to innego rodzaju pomnik. Tu na tém miejscu w r. 1823. uduszoną została ręką kata szlachcianka Granadeńska, donna Mariana de Pineda, za to, że wyhaftować się poważyła chorągiew. Izabella II., chcąc przebłagać niebo, wzniosła na tém miejscu pomnik z czarnego marmuru, na cześć nieszczęsnéj donny Maryanny.

Stary bazar Maurytański, zwany Alcayzerya, spalony przez Francuzów w r. 1809., odbudowany został przed kilku latami, w stylu zupełnie maurytańskim, pierwotnym. Tu niegdyś składano bogate płody Azyi i Afryki, dziś tu świecą modne błyskotki cywilizacyi nowożytnéj;—powiedziałbyś, że Alcayzerya jest córką Palais-royalu Paryzkiego i wystawy Londyńskiéj. Jednakże sklepy te żywemi kolorami, złocc-

niem i szkłami świecące, a oprawne w łuki i filary arabskie, przyjemne sprawiają wrażenie. Przytém fontanny biją w dziedzińcach, kwiaty kwitną, gitary brzmią tu wesoło, czarnookie anioły z wachlarzami w ręku schodzą się pod te galerye rano, w południe i wieczór, by coś potargować, rzadko coś kupić.

Jedna brama tego obszernego bazaru wychodzi na plac Vivarrambla, druga na ulicę Zacatin. Ulica ta długa, zamieszkana od wielu wieków przez samych kupców i od wielu wieków sławna ze swego bruku. Bruk ten jest olbrzymią mozajką, wystawiającą najżywsze kwiaty, najfantastyczniejsze arabeski.—Giełda kupiecka, chcąc uczcić wstąpienie na tron Boabdila, ostatniego króla Granady, wybrukować kazała całą ulicę kamieniami różnokolorowemi w najcudniejsze desenie ułożonemi. Niektóre z tych kamieni tak są kosztowne, że ich pilnować trzeba przez stróżów, umyślnie na to postanowionych. Największa część dziedzińców domowych podobnemiż wyłożona kamieniami. Kopalnie znajdujące się w bliskości Granady, tyle zawierają różnorodnych kamieni, że bruki miasta stały się tanim kosztem muzeami geologii.

Wszystkie okna Granady opatrzone są żaluziami owéj misternéj, oryentalnéj tkanki, z po za których wszystko można widzieć, nie będąc spostrzeżonym.

Vivarrambla, dziś przezwana Plaza de la Constitucion, jest owém starém sławném miejscem, na którém dawniéj odbywały się za Maurów igrzyska ludowe, a późniéj za inkwizycyi owe Auto da Fe, w których zginęło do 35,000 ludzi. Jest to plac obszerny, aleami w koło ozdobiony. Tutaj także kardynał Ximenes, mszcząc się za Omara, a wstępując w jego ślady, kazał spalić wszystkie książki i rękopisma znalezione w bibliotekach Maurów, 80,000 tomów spłonęło w jednym dniu (d. 13. czerwca 1498. r.). Miasto całe ledwo nie spłonęło, dzięki bibliopatyi tego kardynała, który sam przez swoją biblię Polyglotyczną zapewnił sobie świetne w literaturze imie.—Taka sprzeczność w czynach tylko pojętą być może przez psychologów, znających tajniki złego serca.

Dzielnica zwana Albaycin, ta sama któréj główna ulica wyłożona mozajką, piętrzy się po tarassach góry, na któréj szczycie wzniesiona Alhambra i odgraniczoną jest od grodu królewskiego owym wysokim murem, uwieńczonym wieża-

mi i potężnemi bastyonami. Przyjaciołom Cygaństwa zalecam studyum téj dzielnicy, zamieszkałéj po największéj części przez synów Merkurego i dzieci Egyptu. Któż nie słyszał o Cyganach Granadeńskich? Klassyczni to ludzie w swym rodzaju. Zaręczano mi, że jedna Cyganka wykradła przed kilku dniami pewnemu Anglikowi dziesięć sztucznych zębów oprawnych w złoto; a te zęby nosił w gębie, a nie w tłomoku lub kieszeni. Ładną być miała bardzo owa Cyganka, ale Anglik strapiony stratą, nie mogąc już jeść narodowych bifsztyków, ani kląć rodzinnemi klątwami, kazał obębnić swe dziesięć zębów, na wszystkich ulicach Albaycinu, i obiecał dać dwadzieścia piastrów temu, który mu je odniesie. Na drugi dzień Alguazil jakiś odnosi mu zęby. Anglik ucieszony daje nagrodę i stroi się w cudne utwory Dezirabody, zaczyna jeść bifsztyki z sałatą i łyka Bordeau z Jamajką. W kilka dni późniéj o mało co nie skonał,—tak okropnych dostał boleści, że aż mu zęby wypadły. Cygani, zręczni jak małpy, zdjęli złoto z zębów, oprawili je w zupełnie podobnego kształtu blaszki miedziane, ozłocili lekko, i przesłali Anglikowi przez Cygana, przebranego w ubiór Alguazila. Blaszki przemieniły się w grynszpan,—a grynszpan struł Anglika.

Warto się zaznajomić z mieszkańcami Albaycinu!

Liczne są kościoły w Granadzie, ale katedra najświetniejsza. Wielki to gmach czworoboczny. Główna facyata obrócona ku pałacowi arcybiskupiemu, ozdobiona jest pysznym portalem gotyckim, wieża tylko za nadto jest szeroką, ogromną, na swą wysokość dość mierną. To raczéj bastyon jak wieża. Wnętrze katedry przedstawia rotundę w florentyńskim smaku. Wyłożone jest całkiem marmurem rozmaitych kolorów, i w ołtarzach zawiera kilka pięknych malowideł, pędzla wielkich Sewilskich mistrzów. Tuż obok wielkiego ołtarza wzniesiono kaplicę królewską, w któréj pochowano zwłoki królów katolickich Izabelli i Ferdynanda. Żadne muzoleum świata nie przewyższa wielkością i pięknością tego grobowca. Wzniósł go Karol V. król Hiszpanii i Cesarz niemiecki. Cały z białego marmuru, wyobraża dwa sarkofagi rzeźbami okryte. Na sarkofagach spoczywają marmurowe statuy monarchów Arragonu i Kastylii. Schodki prowadzą do sklepienia, pod którém w ogromnych szklannych trumnach zawarte ciała zwycięzców Granady. Korony i berła, które za życia tak dzielnie nosili, przymocowano

im na trumnach i pomimo nędzy toczącéj Hiszpanię, nikt nie śmiał sięgnąć po te pogrobowe klejnoty. Nawet francuzcy Marszałkowie zostawili je miejscu.

W kościele klasztoru S. Hieronima spoczywają prochy don Gonzalva Fernandez de Cordoba, znanego przez wszystkich Hiszpanów pod nazwą wielkiego wodza (el gran Capitan). Statua marmurowa przedstawiająca rycerza w postaci klęczącéj!—Napis następujący wyryto na pomniku: »Tu spoczywa Gonzalvo Fernandez de Cordoba, największy wódz Hiszpański, postrach Turków i Francuzów.«

Francuzi, wziąwszy Granadę w r. 1810., wydłubali złote litery ostatniego słowa. Późniéj po osadzeniu Ferdynanda VII. na tronie, zastąpiono te litery innemi, tylko już nie złotemi, ale żelaznemi. Tym fortelem zabezpieczyć chciano napis. Istotnie armia księcia Angoulême przebywała w Granadzie w r. 1823., ale napis zostawiła na miejscu.

Szpital San Juan de Dios należy do najokazalszych budowli Granady. Wystawił go S. Jan de Dios i ciało jego złożone w pysznéj trumnie srebrnéj, za wielkim ołtarzem marmurowéj kaplicy szpitalnéj. Zakład ten dobroczynny zawiera 25 sal, a w każdéj mieścić się może do 50 łóżek. Służy także za klinikę fakultetowi lekarskiemu Granady.

Należałoby tu wspomnieć choć kilka słów o wszechnicy Granadeńskiéj, założonéj r. 1331., liczącéj przed rozpoczęciem wojny przeszło 800 uczniów, cztery fakulteta i tyleż kollegiów. Ale dziś zwolennicy Apollina i Muz przemienili się po największéj części na synów Marsa, w auli Akademickiéj oficerowie od weteranów wykładali filozofom, filologom, prawnikom, i lekarzom szkołę plutonu i batalionu, strategię i fortyfikacyę. Dawni professorowie spoglądali na uczniów tak, jak kury spoglądają na kaczęta przez nie wyklute, gdy się na wodę puszczają. Gdyczeli z zazdrości i z radości i zarazem z gniewu.

Na dziedzińcu teatru anatomicznego gwardya Enfermos ćwiczyła się w mustrze, harcowała na mułach, zabierała próżniaków na ulicy, bandażowała ich, sadzała na muły, uciekała, nacierała, dobrze że biedaków nie amputowała dla lepszego wprawiania się w mustrę.—Don Juan de Zelozas, wybrany przez kolegów jednogłośnie na komendanta półplutonu w nagrodę za zasługi położone w Illora w cyrku byczym, chodził już w oficerskim mundurze. Na szlifach

złotych długie miał frandzle, piróg na głowie, pałasz przy boku, kapitan bowiem generalny ratyfikował wybór akademików.—Nie poznałbyś wesołego akademika, tarzającego się niegdyś z rozpaczy i z gitarą w ręku po bruku w Puerto de Santa Maria.

Cały oddany swym obowiązkom, uczył się i nauczał mustry, a umiał sobie dać wiele powagi.—Doskonale wyglądał w mundurze.

Nawet i seminaryum chciało służyć w wojsku, ale w téj broni, co to nie wychodzi z miasta i z za wałów strzela. Poczciwi to ludzie,—wiedzieli że Bóg zabrania rozlewu krwi, oni też własnéj oszczędzać postanowili jak najreligijniéj.

Jest i akademia sztuk pięknych w Granadzie,—ale jéj galerya gaśnie zupełnie obok wartości galeryi Sewilskiéj, Madrytskiéj i kilku innych miast. Jednakże w tém muzeum de Pinturas zgromadzono, prócz kilku dobrych malowideł Alonza Cano i Atanazia, wiele także rzeźb klasztornych, ocalonych z burzy wybuchłéj przeciw tym przytułkom.

Na końcu przedmieścia Elwiry, leży sławny kościół i klasztor Kartuzów. Klasztor już prawie w gruzach, ale kościół, szczęściem zupełnie nietknięty, zdumi każdego swym przepychem, okazałością rzeźb i złoceń, obfitością marmurów i jaspisów, których tu nie szczędzono wcale. I kilka dobrych malowideł Atanazia pozostało także.

Największego podziwienia godne są wrota, prowadzące do zakrystyi, całe z mozajki, w któréj prócz drogich kamieni jest wiele złota, srebra, perłowéj macicy, kości słoniowéj i hebanu. Te wrota kosztowały przed dwustu laty 800,000 złp. Darował je klasztorowi mnich wstępujący do bractwa. Tego mnicha pewno nie ubóstwo zagnało do tak pięknego i cichego schronienia.

Bliskie okolice Granady przechodzą, jak to już mówiłem, w piękności i szczytności wszystko, co sobie tylko najbujniejsza fantazya miłosna wystawić jest w stanie.

Gdziekolwiek staniesz, dokądkolwiek kroki twe zwrócisz, wszędzie masz przed oczami nowe, czarujące krajobrazy. Najmilsza nadobność łączy się tutaj z najokazalszą romantycznością. Opisywać uroki tych cudów przyrody pióro me nie zdoła, nawet nie powinno. Kolory me najżywsze już dawno na opisy innych pięknych miejsc wypotrzewałem, nie przewidując, że stanę w raju Granadeńskim. Wę-

drowałem w tym raju z miejsca na miejsce, od pagórka na skały, od doliny do gaiku—dni schodziły jak chwile;—cały pogrążony w bezustanném zachwyceniu, zapomniałem, że nieopodal toczy się wojna, że wkrótce i mnie wypadnie czynny w niéj przyjąć udział.

Wszędzie mruczały strumyki, wszędzie słowik śpiewał i róże śmiały się do mnie, wabiąc serce miłym zapachem.

Na drugiéj stronie doliny, którą przebiega Darro, na wysokiém wzgórzu wznosi się sławne Collegio de Monte Sacro, szkoła wyższa duchowna, sławna z tego, że jéj kaplica znajduje się głęboko pod ziemią w wielkiéj jaskini, którą sama ręka natury wydrążyła, a ręka Druidów, Fenicyan, Kartagińczyków, Rzymian, Gotów, Arabów w sposób najpiękniejszy od trzydziestu wieków przyozdabiała. Dzisiaj prawie jest przeładowaną ozdobami.

Alamedę miejską założono z tamtéj strony rzeki Xenil, po za mostem zielonym, tuż pod kościołem S. Antoniego.—Widok ztąd na Sierrę Newadę bardzo rozległy. Tam także stoi teatr letni Granady, a obok niego marmurowa statua wyobrażająca aktora Maiquez, sławnego z dowcipu i komicznego talentu.

Puszczam się w dalszą wycieczkę, w te góry śnieżne, by z ich szczytów przypatrzyć się Alpucharrom, które tak często bywały widownią wojen Maurów z Hiszpanami.

Kilka mi towarzyszy osób:—Sobestyan Gruszczyński, Mateo Ximenez, dwóch Anglików i jakiś Genueńczyk, zawsze wesoły, zabawny, tłusty, ale też zawsze gotowy korzystać z funduszów i dobrochętności znajomych. Lenistwo jego przechodzi wszelkie granice, ale skąpstwo jeszcze większe jak lenistwo.

Zechciał nam towarzyszyć w téj wycieczce i podporucznik don Juan Zelozas.

Sierra Newada rozciąga się na południe Granady od wschodu na zachód. Pasmo to długości na 15 mil geograficznych, szerokie na 5, a wysokości średniéj ma 9000 stóp; lecz jeden z jéj szczytów dochodzi do 12,000 stóp wysokości—przewyższa tedy o bardzo wiele najwyższe szczyty Pireneów i po Alpach najwyższém jest pasmem w Europie. Ze strony Granady góra jest stroma; druga jéj ściana spada w lekkich wzniosłościach wolno ku Alhamie. Równoodległe od Sierry Newady, lecz bliżéj ku morzu Śródziemnemu,

inne jeszcze mniéj wysokie ciągnie się pasmo i styka ku końcom, poprzecznemi łańcuchami, z Sierrą Newadą. Kraj górzysty, zawarty pomiędzy obu pasmami i obu łańcuchami, nazwano Alpucharrą.—Składa się ta kraina z mnóstwa głębokich dolin, otoczonych wysokiemi, skalistemi wałami, jakby oczami olbrzymiéj siatki. Dzieje téj krainy i naturalne jéj bogactwo, dają jéj powab nadzwyczajny.

Najwyższemi szczytami Sierry Newady jest Sierra Mulhacen i Pichaco de Veleta. Ostatni, niższy od pierwszego tylko o stóp 350 i położony najbliżéj Granady, z tego miejsca najłatwiéj może być zwiedzonym. Jeszcze długo przed wschodem słońca, jeszcze nim błyskały brylantowe szczyty Newady w świetle jutrzenki, wybieramy się na mułach wowe góry, można się bowiem do nich zbliżyć, drogami wprawdzie niebezpiecznemi, aż do stref śniegiem pokrytych, zkąd codziennie wielka ilość ludzi zwanych »Neveros«, to jest śniegonoszami, przynosi śnieg dla licznych cukierni Granadeńskich; ciężki to kawałek chleba, ale lepiéj jeszcze ginąć ze znojów, jak wyciągać rękę, nawet w kraju tak ludzkim jak Hiszpania, gdzie dający mówi do przyjmującego: *hermano! perdone usted, pero no tengo mucho!*« bracie! przebacz pan, ale i ja nie mam wiele!

Granadeńczyk w ogóle pracy się nie lęka i tém się korzystnie odróżnia od innych Andaluzów.

Już ze dwie mil drogi za nami było, już w strefie wapiennéj Newady stanęliśmy, gdy pierwsze promienie słońca wystrzeliły nagle na szczyty Pichaco. Teraz z każdą chwilą krajobraz budził się do życia, występowały z ciemności góry, za górami światło rozpada się w rozliczne kolory i wszystko ożywia,—igrają barwy ze srebrem śniegów, z kryształem wodospadów, ze złoconemi wieżami Alhambry.

»Tu na tém miejscu« zaczyna Mateo, »na tym skalistym suchym gruncie, na którym stoicie, niegdyś była studnia głęboka, kryształową napełniona wodą, a tu, gdzie zaledwie rośnie wrzos i oset, bujne kasztany szemrały w świeżym powiewie;—gdzie zaś ta mała zieiwa jaskinia, tam stał bogaty pałacyk. Ale wszystko znikło w jednéj chwili, siłą przekleństwa zapadło się w ziemię.

»Hiszpański hidalgo, krwi staréj i czystéj, mieszkał w tym pałacyku,—a tam na dole, na brzegach Xenilu połyskującego w świeżém świetle, żył Maur złotnik, bardzo bogaty.

»Hiszpan miał córkę ślicznéj urody. Maur miał syna dzielnego, pięknego. Młody Maur pokochał młodą Hiszpankę i nawzajem był kochanym, bo młoda dziewczyna nie pytała, czy krew stara i szlachetna, czy żywa i piękna.

»Hiszpan Maurów nienawidził i przekonawszy się, że pomiędzy młodemi ludźmi już się zawięzywały stosuneczki, oskarżył młodego Maura przed krwawą Inkwizycyą o tajemne kacerstwo. I zamknięto młodzieńca w więzieniu.

»Umknął Maur z więzienia, złączył się z buntownikami w Alpucharrach. Wściekły z gniewu, widząc się pozbawionym roskoszy zemsty, Hiszpański hidalgo chciał ją wywrzeć przynajmniéj na ojcu młodzieńca: przynęcił go do swego gaiku, pod pozorem że się z nim chce ułożyć o rękę swéj córki, i zamordował starca własną swą ręką.

»Córka wpada właśnie w téj chwili, chce wstrzymać rękę ojca i krzyczy: »Stój ojcze na Boga! ten starzec jest dziadem tego dziecka, którego serce pod mém sercem bije!« Ale hidalgo zamordowawszy Maura, zabija i córkę, mówiąc: więc idź z nim razem do piekła!

»Wówczas zatrzęsła się ziemia w swych podstawach, jęknło niebo, zapadł się pałac i gaik w ciemnych otchłaniach, wszystko zniknęło i źródło wyschło, i od tego czasu nic już na tym przeklętym nie chce rosnąć gruncie.

»A stało się to w maju 1569. r.

»Trzy dusze pokutują tu każdéj nocy: jedna wyje, druga jęczy, trzecia płacze.—Okropny to koncert, zmówmy pacierz na ich intencyę!«

I to powiedziawszy Mateo, pożegnał się, złożył ręce i odmawiał pacierze.

W godzinę późniéj stajemy na płaszczyznie wyniesionéj na 6000 stóp nad powierzchnią morza. Żyto tu kwitło zaledwie, a tam około Granady już przed miesiącem zebrano pszenicę i kukurydzę. Z téj wysokości można było obejrzéć główne puszcze i śnieżne doliny pokrywające Nevady.

Widok zdumiewający: ktożby się spodziewał pod tém gorącém niebem zoczyć przestrzenie tak ogromne śniegiem przywalone.

Na prawo wysoka góra Dornajo, cała skrystalizowana, naprzeciw nas dziwnego kształtu opoki i skały marmurowe zwane Cerro Tesoro, a tuż pod nami głęboka dolina Barramo de la Fabrica. Wegetacyi nie masz już wiele na téj

części Pichaco i wody brakować zaczyna. Pnąc się coraz wyżéj, zaszliśmy o 10 godzinie, to jest w siedm godzin po wyjeździe z Granady, na miejsce przezwane: *Estancia de los Neveros.*

Tutaj zostawiamy konie i gramolimy się piechotą po śniegach i skałach. Jeszcze trzy godzin drogi na szczyt Velety. Dopiero na 8200 stóp wznieśliśmy się nad powierzchnię morza.

Każdy z nas niósł mały tłomoczek z żywnością, tylko Genueńczyk, zawsze gnuśny i skąpy, nic nie wziął ze sobą i liczył na grzeczność towarzyszów. Don Juan giął się pod ciężarem tłomoka, z którego wyzierała kość ogromnéj szynki. Genueńczyk za don Juanem jak cielę za krową: umizga się do niego i do jego szynki. Droga staje się coraz uciążliwszą, sterczy kręgiel brylantowy pionowo w górę! jak tu trudno postępować naprzód! bo gdzie śnieg, tam łatwo się zapaść, a gdzie go nie ma, tam grunt składa się z tablic łupku na sobie leżących, a śliskich okropnie, więc upaść łatwo.—Buty byłyby nam nie wystarczyły, dlatego też przywdzieliśmy *alpargaty*, to jest sandały z plecionego wrzosu. Około nas przepaści okropne: mąci się w głowie patrząc na dół. Męczymy się wszyscy niezmiernie.—Don Juan ze swoim tłomokiem już nie może postępować, zrzuca go z siebie,—żałuje wybornéj szynki, ważącéj z 10 funtów, ale zostawić musi szynkę wraz z tłomokiem na śniegu.

Genueńczyka gnuśność walczy z jego chciwością, nareszcie decyduje się skąpy Włoch nieść ten ciężar.

Już na wysokości 10,000 stóp powietrze tak było rozrzedzone, że nam wszystkim tchu brakło;—jednemu Anglikowi rzuciła się krew nosem, zatamować jéj nie można było, nie mógł pójść daléj, byłaby go krew zupełnie uszła, musiał z Sobkiem wrócić do Estancia de los Neveros i tam czekać naszego powrotu.

Znalazłem fijołki i jaskry ledwie kwitnąć zaczynające. Tu na tym odległym wysokim punkcie, rodzinnego kraju rosną kwiateczki! Westchnąłem do pagórków Nidy i do kaplicy Ś. Anny.

Ha! każdy krok, to nowe bolesne wysilenie! Wszyscyśmy pomęczeni, ale Genueńczyk najokropniéj sapi, dyszy i waporuje jak lokomotywa, pod ciężarem szynki i dwóch butelek wina, które jéj towarzyszyły.

Teraz droga prowadzi około Corralu de Veleta, przepaści na 3,000 stóp głębokiéj, nikt jéj dna dojrzeć nie potrafi; może to najgłębsza przepaść jaka istnieje.

Jesteśmy na szczycie! Victoria! naokoło nas całe królestwo Granady, na południe morze Śródziemne, a daléj jeszcze, w odległości 40 mil geograficznych,—brzegi Afryki.—Tak, aż do brzegow Afryki sięga widok ze szczytów Velety!

Tak jest, wówczas ujrzałem po raz pierwszy brzegi owéj Afryki, którą ozdobiłem w méj wyobraźni niezatartemi urokami wyniesionemi z Alhambry.

Długo pozostawaliśmy w milczeniu, siedząc na zlodowaciałym gruncie Velety. Ciężko pracowały płuca nasze, długo oddychały, nim się przyzwyczaić mogły do tego powietrza czystego, a ubogiego w pierwiastek żywotny, udzielający krwi naszéj potrzebnego do istności żywiołu. Mateo kaszlał—tkanka jego płuc, zamknięta w staréj skostniałéj klatce, już się rozdymać nie mogła tak silnie jak u młodego. I ja także kaszlałem, bom zawsze do kaszlu był skłonny. Anglik i don Juan najlepiéj znosili to powietrze. Genueńczyk zawsze sapał i osłabł; chcąc się posilić otworzył tłomoczek don Juana, wydobył z niego butelkę i przytknął ją do ust swoich.

»*Cospetto di Dio! Corpo di Bacco!*« krzyknie Włoch napiwszy się serdecznie.—»Co to za trunek szkaradny! diablo! to atrament—a ta szynka to bruk Granady, zeszlifowany kołami powozów!«

Istotnie wino było atramentem, szynka głazem. »*Milagro! milagro!* to cud jakiś! nastąpiła metamorfoza! Ah panie Genueńczyku, wylałeś tyle potu na darmo—tyleś się nadźwigał nieboraku. Atramentu masz dosyć, wystarczy ci zapewne na spisanie wrażeń téj przyjemnéj podróży; kamieniem zaś możesz się uwiecznić: złóż go tu na tym szczycie skalistym, na pamiątkę téj zachwycającéj wycieczki. Możesz na nim nawet wyryć twe nazwisko, chętnie na to zezwalam!«

Teraz Genueńczyk poznał, że się stał samochcąc ofiarą żartu i wściekał się ze złości. Butelki wraz z kamieniem rzucił wprzepaść i tłomoczek chciał posłać za niemi; ale porucznik Zelozas zatrzymał mu rękę, krzycząc: *halt la!* to dobro narodowe, nikomu niszczyć go nie wolno!«

Anglik zaś, dotąd siedzący w milczeniu, wydobył dwadzieścia piastrów z kieszeni i oddał je don Juanowi, mówiąc:

»Wygrałeś Panie poruczniku! łakomstwem umiałeś zwyciężyć gnuśność Włocha!«

Tak było w istocie: Anglik założył się z Hiszpanem o Włocha!

Genueńczyk jeszcze się więcéj wściekał, byłoby może przyszło do walki, ale przezorny Mateo wydobył z torby pół łokcia salami i dwie butelki Malagi, a to uśmierzyło umysły. Głód nam dokuczał okropnie. Don Juan dał Mateowi dwa piastry i prosił go, aby je przepił za zdrowie Genueńczyka. Mateo przyrzekł sumiennie wypełnić to polecenie.

Był to ostatni figiel don Juana.

Widok tu pyszny na Newady, Alpucharry, Elwiry i na morze; ale czas naglił i zimno dokuczać zaczęło. Zrywamy się i zstępujemy. Wieczorem o godzinie 9. stanęliśmy w Granadzie.

Listy z Madrytu nadeszły. Mój dawny towarzysz powołuje mnie do Walencyi. Żegnam przyjaciela don Juana, żegnam starego Sobestyana, żegnam znajomych, i puszczam się do Malagi.

# ROZDZIAŁ VI.

DROGA DO MALAGI.—DYLIŻANS.—LONJA.—COLMENAR.—MALAGA.—ZAMEK GIBRALFARO.—CMENTARZ ANGIELSKI.—BUDOWLE. PRZYSTAŃ.—HANDEL.—KONTRABANDA.—KLUB KUPIECKI. TEATR.—DONNA PETRA CAMARA.—LUD MALAGEŃSKI.—ADRA.—ALMERIA.—KARTEGENA.—SCIPIO.—ALICANTE.—ZDRADLIWY CYRULIK.—NABOB INDYJSKI.—MISSIS TAPTI OF RUNGABAD.

---

Dyliżans wlókł się wolno, napełniony był zwyczajem hiszpańskim jak beczka śledzi. Towarzystwo składało się z kilku Hiszpanów, z barona Hollenderskiego, z Belgijczyka, z dwóch Francuzów, Anglika, z Rossyjskiego księcia i ze mnie. Prawdziwa wieża Babylońska, z tą tylko różnicą, żeśmy się doskonale zrozumieli i wcale nie pobili.

Do miasta *Lonja*, odległego o siedm mil, wlekliśmy się godzin dziesięć. Tutaj rzeka Xenil przedziera się przez góry Antequera i Monteferio w tenże sam sposób, w jaki za Czorsztynem Dunajec Czarny przedziera się przez Peniny i Karpaty. Okolica żyzna, bogata, rozmantyczna,—na wysokiéj górze panuje nad nią zamczysko maurytańskie, jeszcze dobrze utrzymane, *Lonja*.—Jéj dziewięćdziesięcio letni kommendant Ali-Atar, bronił się doskonale przeciw Ferdynandowi, odparł go w r. 1482. od oblężenia i ustępującego na głowę pobił pod miastem Antequera. W cztery lata późniéj zjawił się powtórnie Ferdynad z potężném wojskiem. Sam król Boabdil bronił miasto z zaciętą walecznością i dopiero po jego zranieniu wziętą została *Lonja*, i prawie w perzynę obrócona przez działa kastylijskie.

Równo ze świtem wyruszamy w dalszą podróż. Słońce znów świetnieje na przezroczystym lazurze; na południe toczą się modre wody morza Śródziemnego, na zachód sterczy pachniący fioletowy łańcuch Serranni de Ronda. U stóp naszych, ale głęboko, leży w rozległéj dolinie miasteczko

Colmenar, pomiędzy pysznemi winnicami, których nieraz piliśmy przyjemny, rozgrzewający nektar. Tu się rodzi wino, znane pod nazwą Malagi.

Teraz i drogi stawały się lepsze, i okolice z każdą minutą powabniejsze, lepiéj uprawne, żyzniejsze. Wesołe, biało i czerwono malowane domy wiejskie, uśmiechały się pod cieniem ciemno-zielonych cyprysów; nieprzeliczona moc chatek winiarskich wyzierała z pośród bujnych, żyznych winnic. Około czwartéj po południu przekraczamy ostatni łańcuch górzysty i przybywamy niebawem do Fuente de la Reyna, zkąd odrazu odsłania się widok na ową bogatą płaszczyznę Malagi, pokrytą pysznemi owocami, pachniącą milionami kwiatów, przerzniętą srebrnym wężem rzeki Guadalhorce. Samo miasto i jego ogromna bazylika wyrastały jak *fata morgana* z pośrodka wód morskich. —Słońce zachodziło wspaniale za Sierre de Mijas i ozłacało drgającém światłem niezliczone mnóstwo żagli, bujających na zatoce Malagi. Już słońce zgasło,—a natomiast zajaśniała wysoka latarnia morska Malagi.

Stoję u Sennory Landaza, utrzymującéj dom zajezdny *dla przyjaciół*, i każdemu zalecam tę gospodę, tak w niéj wygodnie i tanio.

Malaga, licząca dziś 70 do 80,000 mieszkańców, dopiero od czasu Maurów znaną jest światu, mało przynajmniéj historycy starożytni mówią o miejscu zwaném Malacca Romana.

Wielka część Malagi dotychczas zachowuje charakter miast maurytańskich: ulice jéj są ciasne i kręte, mnóstwo zaułków, zkąd ani w prawo ani w lewo udać się nie można. Mnóstwo także bram i ułamów przypomina Maurów. Z Alcazaby, niegdyś cytadelli z zamkiem królewskim prawie tak pysznym jak Alhambra, z owej sławnéj Alcazaby pozostały tylko mury zewnętrzne opasujące, a ona sama stanowi osobną dzielnicę miasta i służy za przytułek najuboższéj klassie ludu.

Ale zamek Gibralfaro, wieńczący wysoką spadzistą opokę, niegdyś jedna z najobronniejszych fortec maurytańskiego państwa, dziś jeszcze jest potężną cytadellą, za staraniem Kapitan-Generała Palarea, zaciętego wroga wszystkiego co jest exaltowaném, a znającego doskonale ludność Malagi, bo w tém samém mieście, wktórém dziś Sennor Palarea jest

gubernatorem, tenże sam był niegdyś przez lat dwanaście doktorem.

Ze szczytów Gibralfaru ujrzysz w pogodném świetle czerwone skały Gibil-al-Kebir pod Ceutą w Afryce. Ośmnaście mil geograficznych przestrzeni jednym rzutem oka przebiegniesz.

Angielskie towarzystwo przebywających tu kupców założyło sobie, na stopach południowych góry zamkowéj, cmentarz bardzo wykwintny i przyjemny. W środku niego wznosi się piękna kaplica. Groby żeglarzy ozdobione są muszlami; kobiety leżą pod zasłoną róż, geranij i jasminów;—nad grobami mężczyzn powiewają cyprysy; białe marmurowe aniołki unoszą się nad mogiłami dzieci. *El campo Santo de los Ingleses* jest powabném miejscem, kędy przyjemnie dumać nad zawodami życia.

Nad samym bulwarem morskim wznoszą się wspaniałe budowle bogatych kupców tu osiadłych. Są tu pałace z płaskiemi dachami, tak piękne jak tylko być mogą w najludniejszych miastach. Alamedy wysadzone rzadkiemi drzewami, ozdobione posągami. Nad całém miastem panuje olbrzymia katedra z wieżą na 306 stóp wysoką, górującą jak Tytan po nad wszystkie inne wieże miasta. Bazylika cała, zbudowana z białego ciosowego kamienia, florentyńskiego stylu, uważana jest za jedną z najpiękniejszych w Hiszpanii; posadzka wyłożona białym i różowym w kości ułożonym marmurem. Kaplice zawierają wiele dobrych malowideł, niektóre z nich pędzla Murilla. Królowa Izabella Katolicka założyła tu świetny kościół.

Przystań Malagi, w Hiszpanii najważniejsza po przystani Barcelońskiéj, wygodnie mieścić w sobie może 400 okrętów. Długa tama kamienna na 3916 stóp w morze wchodząca, wkracza w morze i broni przystań od nawałnicy,—na końcu przystani wybudowano wysoką wieżę, z któréj szczytów jaskrawe światło pryska czerwonym blaskiem aż na brzegi Afryki.

Handel Malagi ważnym jest dla całego państwa zasobem bogactwa, a handel ten winien całą swą świetność urodzajności pięknéj ziemi. Samych winnic należących do miasta jest 7000. Trzydzieści przeszło gatunków winogron tu uprawiają. W przecięciu wychodzi corocznie 300,000 centnarów rodzynków z Malagi, a wina 750,000 centnarów.

Prass oliwnych 500 jest w mieście i okolicach. Przytém wywozi się niezmierna ilość pomarańcz, cytryn, ryb i metalów. Corocznie wychodzi z portu towarów za 3,300,000 piastrów (piastr znaczy pół dziewięta złp.), a wprowadza przez Malagę do państwa za 1,800,000 piastrów bawełnianych towarów, żelaztwa, szkła, węgli i drzewa budulcowego z Ameryki, Anglii, Francyi, Hollandyi i Niemiec. W jesieni przybywa mnóstwo okrętów z Danii, Norwegii, Rossyi dla zakupienia owoców południowych. Świetną ten handel przyszłość obiecuje szczęsnéj Maladze, umiejącéj i podczas wojny bogacić się pracą ludu, żyznością ziemi, coraz wzmagającą się. Malaga poznała się na swém bogactwie mineralném dopiero w ostatnich czasach. Przedtém, dopóki Meksyk należał do Hiszpanii, żaden kruszec nie będący złotem lub srebrem, nie miał dla Hiszpana wartości; ale teraz, gdy w saméj Maladze wyrabiają wyborne maszyny parowe, gdy się nauczyli Hiszpanie dystyllować spirytus winny, gdy i ogromne cukrownie, rafinerye i fabryki płodów chemicznych pozakładano, gdy Anglicy wprowadzili w budowlach ulepszenia, teraz umieją Malageńczykowie cenić żelazo, miedź, cynę i marmur. Niech tylko potrwa pokój jeszcze lat dwadzieścia, a Hiszpania, tak zamożna w naturalne bogactwa, ludność mając tak pojętną a daleko mniéj gnuśną niż ją sobie tu wystawiamy,—a Hiszpania, mówię, powstanie jak Fenix z popiołów i zajmie znów w rzędzie państw Europejskich sobie należne, poważne miejsce. Wszyscy już tu pojęli przyczyny klęsk, które w ostatniém stuleciu i w pierwszéj połowie tegoż dotknęły Hiszpanię; wiara w niewyczerpalność kopalń złota Meksykańskich i Peruwiańskich już zniknęła, już tu nikt nie wierzy w powaby próżniactwa, wszystko się zaczyna garnąć do pracy, bo wiara w skuteczność usiłowań ludzkich wstąpiła w serca Hiszpanów razem z pewnością, że to, co ciężko zapracowane, nie łatwo kto wydrzéć zdoła.

Ale niestety! razem z oświatą i dobrym bytem, ciśnie się do Malagi i zepsucie. Więcéj tu prostytucyi, szulerki, szachrajstwa i lichwiarstwa niż gdziekolwiek indziéj w Hiszpanii, a bandy całe żyją z przemycania i gotowe są rabować, gdy zabraknie kontrabandy. W najnowszych wprawdzie czasach sprężysty rząd Narvaeza potrafił oczyścić okolice z tych niebezpiecznych przemycarzy, którzy wspierani poli-

tyką kupiecką Anglii, nieraz krwawych rewolucyj stawali się powodem.

W ogóle, lud Malagi wesoły jest, pracowity i dobroduszny, ale na nieszczęście dość niespokojnego i lekkiego charakteru, i wypada trzymać go bardzo krótko. Tak przynajmniéj utrzymywała Jego Excelencya kapitan Generalny don Pablo Palarea hrabia de Bellavista, doktor medycyny i chirurgii.

Bawią się najdoskonaléj szczęśliwi Malageńczykowie. W klubie, zwanym Circulo Malagenno, łączącym przyjemności zakładu gastronomicznego z przymiotami literackiego muzeum, zbierają się znakomitsi obywatele miasta; cudzoziemiec zyskuje do tego klubu wstęp za rekomendacyą jednego z członków. Wszystkie tu znajdziesz ważniejsze czasopisma hiszpańskie, angielskie, francuzkie i włoskie, nawet i książek, kart geograficznych wielkie mnóstwo.

Teatr Malagi jest obszerny. Grają w nim wieczorem bez wyjątku od ósméj aż do północy operę, wodewil, balet, sagnety, segedille i entremezy. Arystokracya uczęszcza na pierwszą połowę reprezentacyi, lud zaś na drugą część, za połowę ceny.—Baletniczka donna Pedra Camara, młoda, piękna, lekka jak sylfida i dobra jak anioł, była wówczas ozdobą baletu Malagi, ideałem eleganckiéj młodzieży, a zarazem bożyszczem ludu, bo z ludu wyszła, ludem się nie brzydziła i pozostała cnotliwą, pomimo wszystkich ofiar, propozycyj i uwielbień.

Razu pewnego, podczas mego pobytu, donna Pedra tańczyła Bollera z porywającą gracyą i żywością. Nikt nie zdoła wystawić sobie sprawionego wrażenia:—teatr drżał od oklasków, widzowie w uniesieniu rady sobie dać nie mogli. Prosili, błagali o powtórzenie tańca. Donna Pedra, czy zmęczona, czy skaprysiła tym razem, ukazać się nie chciała,—nadaremnie ją przyzywano. Wtém stary jakiś wieśniak z paradyzu korzystał z chwili uciszenia i prosił publiczności o głos, a uzyskawszy pozwolenie mówienia, powstaje i następujące wymawia słowa tonem głębokim, rozczulonym:

*»Oh! ninna mas guapa! bendita sea tu cara, hija de mi corazon. Vente, vente palomita, y agrada tu pueblo con las deslumbradosas luces de tus hormocos ojos!*—(Oh! prześliczne dziecię! błogosławione niech będzie twe oblicze.

Przybądź, przybądź gołąbeczko i rozwesel lud twój miłym blaskiem ócz twoich.)«

Kurtyna się podnosi; donna Pedra, już na pół rozebrana z sukni wierzchnich, wypada na scenę, przystępuje tuż pod orkiestrę, wyciąga ręce ku paradyzowi i mówi:« Ojcze! dla ciebie tańczę, i każda chwila twéj radości jest wiekiem życia dla mnie.«

I wnet tańczyć zaczęła jeszcze z większą żywością, jeszcze z nadobniejszą gracyą. Któż zdoła opisać uniesienie publiczności!

Rzadka to tanecznica! Niech jéj Bóg da wytrwałość i długie życie, aby służyć mogła za przykład innym córkom Terpsychory.

Na statku parowym Katalońskim opuszczam Malagę i udaję się do Walencyi. Niebo uśmiechało się tak serdecznie, modre szczyty gór Granadeńskich lśniły się i błyszczały w promieniach słońca. Z ogrodów Mallagi przybywały na skrzydłach zefiru aromatyczne powiewy tysiąca kwiatów, żegnała mnie Andaluzya, bo ją opuszczałem na długo, a z ciężkiém opuszczałem sercem.

Już mija Adra na piaszczystém wybrzeżu, już nawet mija Sierra de Contraviesa, łańcuch pagórków pokrytych winnicami, zasianych chatkami winiarzy. Lekkie obłoczki unosiły się z dolin Alpucharrów leżących za owym łańcuchem, i spiesząc ku majestatycznemu Pichaco de Veleta, utulały go jakby gazą.

Bądźcie mi zdrowe drogie miejsca, w których tyle szczęśliwych chwil spędziłem! bądźcie zdrowi dobrzy ludzie, którzyście poznali we mnie przyjaciela!

Mija znów cytadella San Telmo, zawieszona jak gniazdo orle na szczycie niebotycznéj skały, wstępującéj przepadzistą ścianą w morze. Jeszcze pół godziny, a z pod cienia wysokich palm występuje Almerya na podnóżu pagórka, zarosłego milionem kaktusów; na szczycie zaś pagórka stoi stary zamek Maurów, ogromny gród, chwytający dwudziestoma wież i bastyonów chmury w przelocie. Za miastem i ogrodem wyzierają zębato-kolczaste szczyty gór Alhamilla.

Palmy, aloesy, figi kolczaste, kaktusy, płaskie dachy domów, a naokoło piaski, chaty i góry,—udzielają Almeryi charakter zupełnie oryentalny. Kobiety Almeryi słyną z piękności: mówią, że ani jednéj brzydkiéj w tém mieście nie znaj-

dzie. Nie starałem sie stwierdzić tego zdania umyślnemi poszukiwaniami, ale ilem widział Almeryanek, tyle było prawdziwie ładnych.

Już sterczą przed naszemi oczyma dzikie niegościnne opoki Murcyi. Rzucamy kotwicę w zatokę de las Anguilas, tuż pod górą zamkową. Mała to lecz nader ważna przystań. Ztąd wywożą na wszystkie strony Europy ową rudę srebrną i ołowianą, w którą obfitują pasma Murcyi. Ale wegetacyi, udzielającéj ziemi więcéj powabu jak kruszce i kamienie, mało tu bardzo.

Morze jest niezmiernie głębokie około tych skalistych wybrzeży, do których nieraz na strzał pistoletowy zbliżyć się mogliśmy na naszym parostatku. Okrążamy ogromny przylądek skalisty, dobrze obronny w fortyfikacye i działa, wpływamy do portu, o którym sławny Andrzej Doria powiedział, że trzy tylko zna przystanie zupełnie spokojne: miesiąc Czerwiec, Lipiec i zatokę Kartageny.

Tak, jesteśmy pod Kartageną, pod miastem założoném jeszcze przez Kartagińczyków. Rozpostarte ono jest amfiteatralnie, w kształcie podkowy, około okrągłéj przystani wchodzącéj ciasną szyją w ląd stały Hiszpanii. Pół mili przeszło ma średnicy, a wejścia pilnują z obu stron wysokie, działami najeżone skały.

Około brzegów zatoki wznoszą się domy, a nad niemi góruje majestatycznie cytadela, jeszcze przez Kartagińczyków założona. Szczątki amfiteatru Rzymskiego znajdują się za górą zamkową.

Niegdyś Kartagena była po Rzymie najbogatszém miastem Europy. Scipion wziął je szturmem w jednym dniu Annibalowi, a Annibal ruszył ztąd ku Saguntowi i obrócił go w perzynę.

Miejsca, w których żyli wielcy ludzie, udzielają pamięci bystrości, a wiadomościom historycznym szczególnego powabu. Wyobraźnia prześciga wówczas wszystkie przestwory czasów i robi nas równoczesnemi widzami wielkich czynów!

Wstępując do Kartageny, przypomniałem sobie żywo i wyraźnie wspaniałe obejście się Scipiona z zakładnikami, które Annibal wymógł od Iberów i opuszczając Kartagenę w tém mieście ich zostawił. Widziałem, jak wódz Rzymski odsyłał tych zakładników do zagród rodzinnych. Podziwia-

łem ową dziewicę, któréj piękność czarowała wszystkich rzymskich Patrycyuszów. »O szczęsny Scipionie!« rzekł z nich jeden do wodza—»nigdy piękniejszą dziewicą Bogowie nie obdarzyli zwycięzcy.«

Scipion, chociaż młody wówczas, zgromił swym wzrokiem zmysłowego senatora i pytał się dziewicy o jéj imie i pochodzenie.

»Oh! wodzu szlachetnego Rzymu! jestem Favella Iberina, narzeczona księcia Celtyberów.«

Scipion otoczył młodą dziewicę ojcowskiemi względami i książęcym dworem, napisał do księcia Celtyberów i kazał mu się stawić w Kartagenie, i rzekł do niego, gdy ten przybył:

»Oddaję ci twoją narzeczoną;—młodość jéj i cnota uczczone były w mym obozie, tak jak niegdyś były pielęgnowanemi w domu rodzicielskim. Zachowując tę dziewicę czystą od skazy, chciałem ci zrobić dar godny ciebie i mnie samego. W zamian proszę cię o przyjaźń dla Rzymu.«

Na te słowa książę Celtyberów uchwycił rękę Scipiona, ukląkł i błagał Bogów, żeby oni wynagrodzili tyle szlachetności i cnoty.

Ojciec mój raz mi te szczegóły opowiadał z jemu właściwym ogniem, i śledząc w mych oczach owego wzruszenia, dającego mu rękojmię, że takie nauki nie pójdą do lasa, byłby się cieszył, widząc mnie na tém miejscu pamiętającego tak żywo lekcye starożytnéj historyi i przejętego wdzięcznością za to uwielbienie cnoty i wielkich czynów, które wpoił w dziecinne serce.

Ale biedny ojciec ani wiedział, gdzie się syn jego pierworodny obraca.

Na wschodnim końcu Kartageny świetnieje gmach okazały: to szkoła marynarki; a cały zachodni koniec zajmują warsztaty okrętów, doki, kanały, składy i magazyny niezmiernych rozmiarów. Jest tutaj muzeum okrętowe, zawierające, nie kopie lub modele, lecz oryginały wielu historycznych statków, od brygu, na którym Columb odkrył Amerykę, aż do jednéj z fregat wskróś przedziurawionéj kulami angielskiemi, które waleczny admirał Granvella zdołał ocalić z bitwy pod Trafalgar.

Zaledwie 20,000 mieszkańców zawiera dziś Kartagena; niczém to jest w porównaniu obszerności miasta i liczby do-

mów. To też i smutno wygląda biedna Kartagena; w porcie, niegdyś tak żywym, żadnego ruchu; trawa wyrasta z pomiędzy kamieni, na przystani pływa morskie ptastwo i rekin przewala się bez bojaźni.

O północy wyruszamy na morze; o 7. godzinie rano stajemy pod Alicante, miastem mile brzmiącém dla ucha, bo w Alicante sławne rodzą się wina, i jeszcze sławniejsze wyrabiają się kastaniety.

Grunt około miasta spiekły, piaszczysty; zdaje się, że to kawał ziemi pożyczony z Afryki; ale samo miasto piękne, nowożytne, ściele się u spodu śmiałego kręgla wyciągniętego na 1000 stóp w górę: zdaje się, że kiedyś służył na podparcie kopuły nieba.

Na czaszce tego Tytana wybudowano cytadelę. Niektóre części téj opoki niezmiernych rozmiarów, pochylone są ku miastu, w sposób prawdziwie zastraszający. Najlżejsze trzęsienie ziemi może zwalić cały kręgiel wraz z cytadelą na głowy mieszkańców; nieraz już spadały z niego głazy i całe domy w proch obracały. Ale Walencyanie jakoś prawie lubią widzieć rękę Boga grożącą im zawsze, rzewniéj się wówczas modlą, a oni zawsze radzi namiętnie się modlić: wzruszenia religijne potrzebne im do życia, tak jak są potrzebne igrzyska, boje.

Już bowiem jesteśmy w królestwie Walencyi,—poznajemy to z wielu znaków: z charakterystycznego ubioru wieśniaków i z wyrazu ich twarzy chytrego, kłótliwego, wcale nie wesołego jak u Andaluzów, i nie dumnego jak u Kastylianów. Spodnie noszą zaledwie na to nazwisko zasługujące, dochodzące nie całkiem do połowy uda, a tak szerokie, że je wiatr podwiewa w sposób wcale nieprzystojny. Spencerki kruciuteńkie z brunatnego sukna, na przodzie zawsze otwarte, okrywają potężne piersi Walencyanina; chustką jaskrawą ma przewiązaną głowę, na niéj sombrero na bakier wstawiony,—kobierzec pstry jaskrawy przewiesza na lewém ramieniu; on mu służy za płaszcz, za posłanie, za namiot i za parasol.

Najpiękniejszą ulicą miasta jest Calle de la Reina, długa, szeroka, prosta i w górę wchodząca. Wśrodku niej ciągnie się alameda ozdobiona pięknemi drzewami, wodotryskami i licznym pocztem posągów, przedstawiających świętych, królów, bohaterów, aktorów i taureadorów.

Upał dokuczał mi okropnie,—słońce bowiem świeciło ognistemi mieczami, a żadnego powiewu w powietrzu.

Chronię się do hotelu i powierzam głowę mą rozpaloną staraniom zręcznego Figara;—ale znużony zasypiam w jego rękach. Figaro korzysta z pomocy Morfeusza i dobiera mi się do kieszeni. Kieszeń była zawsze dla mnie bardzo czułym organem.—Budzę się, chwytam Figara za rękę, krzyczę jak opętany, —ale Figaro miał w drugiéj ręce brzytwę, grozi mi nią, zbliżając broń do gardła. Wtém wpada drzwiami prowadzącemi do drugiego pokoju jegomość jakiś w nankiny obleczony, z twarzą zieloną jak oliwka; —łapie Figara za szyję i jedném pchnięciem powala go na ziemię z taką siłą o marmurową posadzkę, że natychmiast krew z niego ustami i nosem buchnęła.

Nankinowy jegomość z zieloną twarzą mówi coś do mnie tak złą angielszczyzną, jak nigdy nie słyszałem, żeby nawet przemawiał maszynista Szkocki, lub profesor języka angielskiego w Warszawie.

Nie możemy się porozumieć,—ale przez te same drzwi, przez które wpadł do mnie nankinowy zbawca, jawi się—oh! dziwy!—wysoka, blada, chuda, białogłowa,—przeprasza w najwykwintniejszéj angielszczyznie *for intruding*, przedstawia mi się jako pani Tapti of Aurungabad nankinowego zaś jegomości jako swego męża pana Tapti of Aurungabad Nababa Indyjskiego—i nareszcie pyta co się stało.

Pan Tapti of Aurungabad opowiada swoim narodowym językiem (z którego ani syllaby nie zrozumiałem), co widział i co zrobił; ja zaś przedstawiwszy się z pół ogoloną brodą ze strony prawéj pani Tapti of Aurungabad, jak mogłem najprzyzwoiciéj opowiedziałem zaszły wypadek.

Figaro tymczasem jęczał na wszystkie tony skali chromatycznéj i z wszystkich piszczałek; *corpus delicti*, brzytwę doktoro-bójczą trzymał ciągle w drgającéj ręce.

»Może ten człowiek już kona?« pyta Mississ Tapti of Aurungabad.

— »Zobaczymy« odpowiadam i cyrulika biorę za puls. On się zrywa i brzytwę mi na kark przytyka, głowę chcę mi uciąć, nawet mnie skaleczył niecnota. Ale mu sił brakło do dokonania tego okropnego występku, pada i mdleje.

Przywołujemy gospodarza, rzecz całą opowiadamy. Ja sam cucę mego zabójcę octem i eterem; alguazile i warta przy-

bywają i ocuconego Figara, znanego jako człowieka: *que mucho stima las ganancias auidentales* (który bardzo lubi zarobki przypadkowe) zabierają na odwach.

*Corpus delicti* szczęściem pozostał na posadzce; korzystam z tego, golę własnoręcznie resztę brody, ubieram się w suknie wizytowe, i zapytawszy przez lokaja, czy mnie przyjmą, idę złożyć dziękczynne pokłony memu wybawcy i jego żonie.

Bardzo mnie dobrze przyjęto. Nabab zajmował z dworem swoim większą połowę hotelu.—Przybył tutaj dni temu kilka, jadąc na międzymorze Suez do Anglii. Ale żona zasłabła mu nagle na morzu Śródziemném. Nabab sypnął pieniędzmi i statek parowy angielski, na którym jechał, zawinął do przystani w Alicante. I oto są,—ale żona ciągle słaba i Bogu dziękuje, że doktor w Anglii *graduated* zawinął do portu i poradzić jéj może, bo ona kaszle okropnie, i już sama oddawna przewiduje, że musi mieć suchoty,—nikt z całéj rodziny nie umiera inaczéj jak na suchoty, i dzieci jéj, których miała troje, wcześnie bardzo umarły na suchoty.

Byli to ludzie bardzo przyjemni, bardzo szlachetni. On, Nabab, niezmiernie bogaty, pokochał się w młodéj, zaledwie 12-letniéj Angielce, ubogiéj i z niskiego rodu, wywiezionéj dzieckiem 6-letniém z Anglii. On łożył na jéj wychowanie, zaślubił ją, kochał i pielęgnował—wszystko jéj poświęcił, zamiłowanie w łowach i koniach, do życia czynnego i świetnego. Ona go ubóstwia i wychwalić się nie może jego dobroci; ale czuje się umierającą, chciałaby coś dobrego wyświadczyć rodzinie, zostawionéj na pastwę nędzy w miejscu, w którém na świat przyszła, i potém umrzeć gdzie się rodziła i być pochowaną między swemi.

Dlatego tę uciążliwą podróż przedsięwzięła.

Missis Tapti of Aurungabad nie dojechała do swéj ojczyzny. Umarła w Malladze i jest pochowaną na Campo Santo de los Ingleses.

---

# ROZDZIAŁ VII.

WALENCYA. — DZIEJE MIASTA. — ALMEDA. — ZAKŁADY NAUKOWE. — WSZECHNICA. — KOŚCIOŁY. — KATEDRA. — AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH. — SZPITALE. — BRAMY. — GRÓB CEYT. — BULEYTA KRÓLA MAURYTAŃSKIEGO WALENCYI. — KOBIETY WALENCYAŃSKIE. — CHARAKTER MIESZKAŃCÓW. — POŁOŻENIE ÓWCZESNE HISZPANII. — STAN OBLĘŻENIA.

---

O dobre pół mili od szumiących wód Śródziemnego morza, nad kwiecistemi brzegami rzeki Turia, leży Walencya opasana głębokim rowem, wysokim murem, wałem i potężnemi bastyonami strzeżona. Po nad tém miastem, skupioném w szczupłym obrębie sterczy ze 30 złoconych kopuł, wież i dzwonnic, a dzwonów kilkaset roznosi uroczystym dźwiękiem religijny odgłos w serca całéj krainy. Kraina ta rozległa,—pięćdziesiąt kilka miasteczek i wiosek leży rozsianych gęsto na ogrodzie szmaragdowym, na którym kwitną, owoce niosą i bałwanią się najrozmaitsze córki Flory, Pomony i Cerery.

Ogród ten, zwany *la huerta de Valencia*, odgraniczonym jest od wschodniego widokręgu modrą przepaską gór, na których szczycie sterczą potężne strażnice: Morviedro, Benaguazil, Chiva, Torrente, Cataroya, Albufera, i strzegą mieszkańców tego raju od napaści wrogów. Trzykroć stotysięcy ludzi mieszka w téj pięknéj i bezpiecznéj, rzekami i kanałami poprzecinanéj krainie, i do miliona wyżywiłby zdołały pola te, laski i winnice, gdyby Walencyanie zaprowadzić chcieli nowożytne ulepszenie w swych gospodarstwach.

Rzuciwszy po raz pierwszy oko na Walencyę, powiedziałbyś, że to Kraków; tyle w niéj wież i kościołów, ale wnet spostrzeżesz palmy wyzierające pod temi wieżami, ujrzysz mnóstwo ogrodów wiszących na dachach i na wysokich tarasach, wejdziesz w ulice ciasne i kręte, spotkasz ludzi z ogo-

rzałém obliczem i namiętném okiem, poznasz kobiety śmiało spoglądające, miłosną a groźną strzelające źrenicą, i wówczas westchniesz i powiesz, że to nie Kraków, nie Krakowianie, i nie Krakowianki, chociaż i tu ciągle w uszach tętnią dzwony kościelne, processye nieustające, a odpusty bardzo częste.

To miasto, nazwane Walencya w chwili, gdy je 140 lat przed Chrystusem konsul Decyusz Juniusz Brutus zakładał, do dziś dnia toż samo nosi nazwisko; ono istnieje i kwitnie od dwudziestu przeszło wieków pod jedną nazwą i żadne burze polityczne, żadne uragany, nie zdarły mu kwiatu, bo serce bohaterskie pała w tych piersiach, miłość do pracy ożywia dłonie, a ziemia wdzięczna sto razy ci oddaje powierzone jéj ziarno.

Walencya jest tedy jedném z najstarożytniejszych miast Hiszpanii. Goci zdobyli je na Wandalach w r. 413. po narodzeniu Chrystusa, a Maurowie opanowali je w roku 713. Ale już w r. 1097. wiekopomny Cyd, którego nazwisko słynie na świat cały, po dziesięcio-miesięcznem oblężeniu odebrał Maurom piękną już wówczas Walencyę. Niestety, w dwa lata po śmierci bohatera, w r. 1101. pół-księżyc znów błyszczał na wieżach Walencyi i na nich pozostał aż do r. 1238, w którym Jakób I. Król Arragonu ostatecznie panowaniu krzyża wrócił miasto i Królestwo Walencyi.

Pięć mostów granitowych prowadzi do miasta śmiałemi arkadami przez rzekę, w któréj czasem brakuje wody, a często jest jéj tyle, że wszystkie zalałaby okolice, gdyby genialny system irrygacyi, jeszcze przez Maurów założony, nie zdołał rozprowadzić zbytnich wód jednostajnie w najodleglejsze okolice.

Alameda miejska słynęła kiedyś jako jedna z najpiękniejszych w Europie. Obszerną jest wprawdzie bardzo, bo przeszło 1500 stóp ma długości a 500 szerokości, ale drzewa jéj wycięte przez Francuzów w r. 1820., na nowo zasadzone jeszcze nie miały czasu w potężne rozrość się konary. Cztery są alee równoodległe: w dwóch obracają się pojazdy, w dwóch innych piesi przechadzają się wygodnie, bo dla idących i jadących w tę stronę inne są alee, dla idących i jadących w tamtą stronę także inne. Nie masz tedy żadnych wywijań, wszystko idzie porządnie, poważnie i widzi pojazdy dążące w dwóch kierunkach.

Walencya już od dawna była ważném dla nauk i sztuk ogniskiem. Sztuka drukarska zaprowadzoną tu została już w r. 1474., i do dziś dnia obywatele tego miasta odznaczają się zamiłowaniem w naukach. Nawet i magnaci nie zaniedbują sztuk pięknych: jednego nie masz pałacu w Walencyi, któryby nie zawierał jakiegoś arcydzieła sztuki malarskiéj, lub rzeźbiarskiéj. Szkoła malarska Walencyi, razem z swą współzawodniczką Sewilską, współ-ubiegały się przed dwoma wiekami o pierwszeństwo z sztuką włoską. Już za czasów cesarza Karola V. kwitnęła szkoła malarska Walencyi. Do dziś dnia znajdziemy w kościołach i pałacach Walencyańskich pięknych malowideł podostatkiem. Po ustanowieniu prawa znoszącego klasztory w r. 1837., szef polityczny Walencyi zgromadził wszystkie obrazy i rzeźby klasztorne w klasztorze del Carmen i takim sposobem stworzył teraźniejsze *Museo de Pinturas*, zawierające do 800 malowideł po największéj części hiszpańskiéj szkoły, lubo znajdują się w téj liczbie i włoskie i niderlandzkie. Talent Juanesa, Mibalta, Espinozy, Ribeiry, Marcha i Lopeza jest tu godnie reprezentowanym. Prócz tego nagromadzono tutaj rzeźby i posągi godne widzenia.

Liczne kościoły Walencyi, mianowicie Corpus Christi, el Templo, kościoły parafialne, a szczególniéj katedra, bardzo są bogate w piękne i drogocenne malowidła.

Katedra cała z marmuru wystawiona na miejscu dawnego meczetu i zawierająca w swym obrębie jakieś jego części, przedstawia pięciobok, w którym wszystkie style i architektury z sobą walczą. Mieszkałem naprzeciwko téj świątyni przez tydzień cały i wyznać muszę, żem nic więcéj zagadkowego, w tym przynajmniéj względzie, w życiu mém nigdzie nie widział.

Wnętrze z trzech się składa naw, każda z nich marmurowa i innego koloru. Wielkiéj wartości są stale kanonickie. Ośm kaplic pobocznych, w każdéj z nich jakieś kosztowne malowidło. W zakrystyi, w któréj widzieć można kubek agatowy, ten sam, który służył Chrystusowi podczas wieczerzy świętéj, znajduje się także wyborne malowidło Murilla, przedstawiające Odkupiciela w chwili, gdy go składano do grobu.

Akademia sztuk pięknych, założona przez miasto w roku 1765., a udarowana epitetem Królewskiéj w trzy lata późniéj

przez Karola III., zawiera także wiele malowideł. Professorowie winni przysposabiać 300 uczniów w matematyce, rysunkach, malarstwie, snycerstwie, architekturze i rytownictwie.

Liceo Valenciano, istniejące dopiero od r. 1838., składa się z sześciu sekcyj: z matematycznéj, historyczno-politycznéj, literacko-rymotworczéj, malarsko-rzeźbiarskiéj, muzycznéj, i retoryczno-deklamacyjnéj. Publiczne kursa, ćwiczenia dramatyczne w amatorskim teatrze na to urządzonym, muzea rozliczne należą do tego zakładu, cieszącego się wielkiém współczuciem publiczności. Płeć piękna bierze gorliwy udział w tych kursach i ćwiczeniach, ale, by nie przerywać uwagi uczniów, w osobnych mieści się żaluziami dobrze opatrzonych estradach.

Bibliotekę arcybiskupią, 50,000 zawierającą tomów, mnóstwo greckich i arabskich rękopismów, przytém 6,000 numizmatów, spalili Francuzi w r. 1842. Podobnegoż losu doświadczyły budynki, muzea i biblioteki uniwersytetu, założonego już 1245. r. bullą Papieża Innocentego IV., księgo-zbiory klasztoru Dominikanów i Augustyanów. Zgromadzono w najnowszych czasach datkami prywatnych i książkami znalezionemi w klasztorach 36,000 ksiąg i rękopisów, i umieszczono je wraz z ocalonemi starożytnościami Saguntu w nowo wystawionéj bibliotece uniwersyteckiéj.

Wielu w swych murach Walencya posiadała świętych wielu zawiera nabożnych; ale też na zaszczyt świętych i nabożnych powiedzieć można, że bogobojność miejscowa płodną była w dobre uczynki. W rzadko którém mieście Europy ujrzysz tyle i tak rozmaitych zakładów dobroczynnych. W Collegio imperial de San Vincente, założoném przez S. Wincentego Ferrar., a uposażoném przez cesarza Karola V., wychowują dwieście podrzutków i sierot. Oprócz tego dziewięć tu jest szpitali i domów dobroczynności. Szpital zwany hospicio general odznacza się czystością i dobrém urządzeniem od wszystkich innych. Służy on za klinikę dla fakultetu medycyny i chirurgii. W casa de Nustra Sennora de la Misericordia pielęgnują i zatrudniają pięćset chorych, słabowitych i kalek. W casa de Beneficiencia, czterysta innych.

Pałaców publicznych i prywatnych także nie mało. Do pierwszych należy casa de Contratacion, świetna gotycka

budowla z salą na 134 stóp długą a na 75 szeroką, a służącą na magazyn surowego jedwabiu, artykułu dla Walencyi bardzo ważnego. W innych podwojach tego budynku umieszczono trybunał handlowy, trybunał konsulów i bursę. Fabryka cygar, w któréj kilkaset dziewczyn zwija cygara, pięknym jest także budynkiem.

Dwie bramy miasta: puerta de Serranos i puerta de Cuarte, zdumiewają okazałością. Opatrzone są bastyonami, na których stoją działa i w których siedzą więźniowie stanu. Puerta de Cuarte ma swe historyczne znaczenie. W czerwcu d. 28. r. 1808., Marszałek Moncey przypuścił do niéj szturm zacięty; ale straciwszy w bitwie, trwającéj trzy godziny, do ośmiuset wyborowych ludzi, Marszałek musiał odstąpić i cofnąć się do Albacete.

Niemniéj w dziejach miejscowych znaną jest cytadela wystawiona w nowym guście blisko morskiéj bramy. Fanatyczny ksiądz, nazwiskiem Baltazar Calvo korzystał w r. 1808. z wzburzonych umysłów miasta, ogłosił się dyktatorem, znalazł swych zwolenników, uwięził dwieście Francuzów zamieszkujących miasto i kazał ich powiesić następnéj nocy.

Zgorszony postępkiem Calva cnotliwy jeden obywatel, nazwiskiem Juan Bios, wpadł na czele nielicznego hufcu dobrze myślących do sali posiedzeń, w któréj Dyktator wydawał swe wyroki, i uwięził go wraz z jego oprawcami. Sprawiedliwa kara dosięgła zbójców na rusztowaniu.

W kaplicy rycerskiego orderu Ś. Jakóba spoczywają w okazałéj trumnie zwłoki przedostatniego króla Maurytańskiego Walencyi, Ceyt Bucyta. Krótko przed śmiercią kazał się ochrzcić potajemnie i tak zabespieczył grób swój od profanacyi.

Pomimo oświaty, dawno już rozkrzewionéj w królestwie Walencyi, niższa klassa ludu utrzymuje się przy swojém narzeczu walencyjskiém, mało różném od kastylijskiego, ale jednak inaczéj brzmiącém. Z początku trudno mi było zrozumiéć to narzecze. Raz chłopczyk jakiś dziesięcio-letni przybiegł do mnie i prosił o jałmużnę w następujący sposób: *Un cuartito. Siniore, per la virgen dels desemperads! la mia madre e mort, a molt pobretta en casa!*

—Powiedz mi to po kastylijsku, a dam ci jałmużnę. I chłopak bez zająknienia się rzekł: *Sennor! por la virgen de los desemparados! mi madre ha muerta, y hay mucha*

*pobreza en casa!* Co znaczy po polsku: Czwartaka mi daj panie, na miłość Dziewicy Opuszczonych! matka moja umarła i wiele biedy jest w domu.

Z tego krótkiego frazesu można sobie zrobić choć słabe wyobrażenie o różnicy zachodzącéj w obu narzeczach.

Walencya słynie z piękności swych kobiet prawie tyle ile Kadyks i Malaga. Charakter walencyańskich piękności różny jest od andaluzskiego. Walencyanki roślejsze są i więcéj imponujące jak Andaluzki, powabniejsze jednakże i w ruchach nadobniejsze od Kastylianek. W wargach pełnych, uczuciem roskoszném nabrzmiałych, przebija się wiele woli, w wzniesioném do nieba czole wiele dumy, twarz klassycznéj regularności wyraża pojętność, oko bystrość i śmiałość.

Tak jest! czartowskiéj są piękności kobiety Walencyańskie, ich spojrzenia niebezpieczniejsze od puginałów,—a serca ich, to gniazda padalców. Fałszywość Walencyanek w przysłowie weszła,—gdyż rozum, gdy w wrzącéj duszy kobiecéj z namiętnością walczy, zawsze do nieufności, przewidzeń, zemsty budzi.

Kastylijczyk mówi o Walencyi w sposób nie bardzo dla niéj zaszczytny:

»*Valencia encierra cien mil Valencianos,—mas. Judios que Moros, mas Moros que Christianos.*«

(Walencya zawiera sto tysięcy ludzi podobniejszych do żydów i Maurów jak do chrześcian.)

A Katalończyk utrzymuje, że Walencya jest rajem zamieszkanym przez czartów: »*un paraiso habitado por demonios.*«

Tak mówią o Walencyanach sąsiedzi, a oni podobno dobrze wiedzą jak kto siedzi.

Niech wybaczą piękne Sewilianki, że je tak surowo osądzam, ale one najlepiéj wiedzą, że takiemi są jakiemi je opisuję; i gdyby czas i miejsce było po temu, opisałbym małą awanturę, w któréj zginął jeden z mych młodych znajomych, jedynie dlatego, że kochając swą narzeczoną Angielkę, nie dał się uwieźć młodéj donnie Walencyańskiéj.

Wiele tedy światła w pięknym obrazie Walencyi, ale wiele też i cienia. Niejednostajność humoru, lekkomyślność, nieufność, mściwość i okrucieństwo, oto główne rysy charakteru Walencyan dawno światu znanego. Aleksan-

der VI. i godne jego plemie Lukrecya i Cezar Borgia, pochodzili z Walencyi.

Tymczasem ważne zaszły zmiany w mym losie i w losach Hiszpanii. Dyplom mój został bez żadnych egzaminów zatwierdzonym przez fakultet lekarski w Walencyi, pod tym jedynie warunkiem, żebym złożył dziekanowi dyssertacyę łacińską i pieniądze wystarczające na wydrukowanie 120 exemplarzy. Jedno i drugie nie było uciążliwe. Dyssertacya moja *de utilitate primae intentionis in sanandis vulneribus*, dawno już była napisaną, a uncya złota wystarczyła na koszta druku. Don Luiz Adriano Montel, dziekan fakultetu, okazał mi przy téj sposobności, jako i przy wielu innych, więcéj przyjaźni i dobroci, niż pospolicie lekarze zwykli doświadczać od swych kolegów. Dyplom Walencyański, tak jak wszystkie wyższe stopnie uniwersyteckie w Hiszpanii, dawał mi prawo do ubiegania się o służbę rządową.

Z teatru wojny znów takie nowiny:

Esparterowi udało się odnieść kilka zwycięztw nad Karlistami w Kantabryi. W jednéj bitwie zginął Zumalacarreguy, bożyszcze Basków. Baskowie w skutek tego opuścić chcieli generała Gomeza, gotującego się przypuścić szturm do Sewilli, i zmusili go nareszcie do odwrotu. Gomez wraz z Kabrerą i innymi przewódcami i swém wojskiem przemknął się cichaczem pomiędzy armiami Krystyńskiemi i ukazali się w Aragonii wtenczas, kiedy w całéj Andaluzyi tryumfowano, że armia Gomeza zniszczona, że on i Kabrera życie stracili. Generał Oraa, główno dowodzący korpusem południowym Krystyny stojącym w Królestwie Walencyi, dostał rozkaz zbrojenia się i połączenia w Requena z dywizyą Valdeza, która przybywać miała z Madrytu i wraz z korpusem południowym wyruszyć na zdobycie Cantaviechy i Morelli, dwóch twierdz w ręku Karlistów pozostających. Pierwsza położoną w Aragonii, druga na północno-wschodnim cyplu Walencyi. Z korpusu rezerwowego, formowanego przez generałów Narvaez i Cordoba, dywizya także przybyć miała generałowi Oraa w pomoc. Wzięcie twierdz wymienionych, blisko siebie położonych, z przyrody swéj nadzwyczaj obronnych i nawzajem się wspierających oddziałami przelotnemi, przez samego Cabrerę dowodzonemi, przedstawiało wielkie trudności.

Pięćdziesiąt tysięcy wojska odkomenderowano na zdobycie tych twierdz, zawierających najwięcéj 10,000 załogi. Pasmo gór otaczało Walencyę, na tém pasmie Krystynosi pięć liczyli fortec dostatecznym garnizonem opatrzonych, a jednakże zupełnie bezpiecznemi od napadów nieprzyjacielskich nie byli. Karliści ogłosili Walencye w stan oblężenia dla przecięcia jéj żywności. Włościanin zawsze trwożliwy uszanował tę proskrypcyę, bandy bowiem gerylasowskie Karlistów, szybkie jak piorun, a doskonale obznajmione z wszystkiemi przesmykami w górach i parowach, wpadały kiedy niekiedy w obręby territorium ogłoszonego w stan oblężenia, chwytały wieśniaków udających się do miasta dla sprzedania płodów ziemi a zakupienia płodów fabrycznych, i srodze się mścili na tych wieśniakach, zadając im śmierć lub szkaradne kalectwa.

Taki wówczas był stan biednéj Hiszpanii, a jednakże umysł przedsiębierczy jéj mieszkańców nie uległ pod brzemieniem niedoli. Wszędzie ruch, wszędzie rzeźwość umysłu, nikt nie zalewał sprawy upajającemi napojami jak zwierzę, nikt nie narzekał jak baba. Zwyciężymy! mówił Krystynos,—zwyciężymy! mówił Karlista;—jeden i drugi gotował się do walki, prowadził ją zacięcie, a w chwilach wolnych od walki jednak pracował, siał, chociaż nie miał pewności zebrania płodów i chociaż rozliczne intrygi i nieudolność przewódzców paraliżowały część wielką jego działalności.

Prawdziwie! kto wówczas widział Hiszpanów, ten winien był uwielbić rzeźwość umysłu tego narodu i uszanować żywotność krwi hiszpańskiéj.

---

# ROZDZIAŁ VIII.

HANNIBAL.—SAGUNT.—OBLĘŻENIE SAGUNTU.—DROGA DO MURVIEDRO.—KLASZTOR Ś-GO MICHAŁA DE LOS REYES.—GRANICE HUERTY.—WIEŚ PUIG.—DAWNY SAGUNT.—DZISIEJSZE MURVIEDRO.—FORTECA.—GARNIZON.— GUBERNATOR.— ADJUTANT.— WIDOK.—ZACHÓD SŁOŃCA.—ALARM.—GUERYLASY W MIEŚCIE.—FORCADEL.—OLBRZYM LLANGOSTERA.—WALKA.—ODPARCIE.—ODSIECZ.—KORPUS ZURBANA.—GENERAL ORAA.—WALKA.—LYRIA.— REQUENA.— UTIEL.— OBLĘŻENIE. — RZEŹ. — DON JUAN.—ZEMSTA HISZPANKI.

---

Któż nie słyszał o Hannibalu, o wojnach Punickich, o Saguncie? Któryż młodzieniec szlachetnego serca, wychowany w znajomości starożytnych klassyków, nie opłakiwał losu, a zarazem nie uwielbił odwagi tego Saguntu, który nam Tytus Liviusz przedstawia tak bogatym, potężnym, Rzymowi tak wiernym? Hannibal, straciwszy Cartagenę, chciał się odwetować na Saguncie. Po ośmio-miesięcznem oblężeniu, mieszkańcy Saguntu, nie mając już ani dzieci do zjedzenia, ani strzałów do wystrzelania, ani sił do władania orężem, postanowili pogrzebać się pod gruzami rodzinnego miasta. Ogromny stós drzewa wznieśli w środku głównego rynku, wznieśli nań co mieli kosztownego, zapalili go i pogrążyli się w jego kraterze: mężowie, kobiety, nawet i niewolnicy— i oni chcieli wziąć udział w téj bohaterskiéj śmierci. Hannibal wkracza, nie znajduje już życia, ani bogactw, tylko śmierć i popioły.

Miejsce, na którém leżą gruzy Numancyi, a na którém dziś wznoszą się fortyfikacye twierdzy Murviedro, leży o półtrzeciéj mili od Walencyi. Trudno było oprzéć się chęci zwidzenia tego miejsca, słynnego w historyi świata od dwudziestu dwóch wieków. Zresztą i czynności, już urzędowe, wzywały mnie do Murviedro, gdzie pomiędzy garnizonem panowała gorączka tyfoidalna, przybierająca coraz więcéj charakter prawdziwego tyfusu.

Cała droga prowadząca do Murviedro zdaje się być przedmieściem Walencyi: tak jest ożywioną willami, ogrodami,

zabudowaniem wiejskiém, tak jest dobrze utrzymaną, ludną, tyle obok niéj klasztorów, kościołów. A karczemek z wesołemi biesiadnikami—roje.

Rzemieślnicy pracują tu przed swemi domkami pod gołém niebem, tak jak w całéj Hiszpanii, obdarzającéj swych najbiedniejszych mieszkańców najpiękniejszym dachem, kopułą wiecznie błękitnego firmamentu.

Długie karawany ciężkich wozów wleką się powoli, rozderzając powietrze dźwiękiem stu dzwonków i odgłosem rozmów Mayorala z mułami.

Na bystrych koniach harcują jeźdzcy wojskowi i cywilni, ale wszyscy zbrojni, bo i tu nawet zuchwałe gerylasy często roznoszą postrach, mordy i pożogę.

Na osiołkach podróżują Walencyańskie dziewice, siedząc bokiem z jedną nogą opartą na karku leniwego zwierzęcia, z drugą wiszącą, ubraną w lekkie sandałki plecione z wrzosu, i nic więcéj. A ile to nadobności w téj postawie zgiętéj, na pozór opuszczonéj, a tak pełnéj gracyi, oh nieba!

Nie omijajmy tego wspaniałego kościoła. To dawny klasztor S. Michała de los Reyes. Leży na prawo od drogi. Przez wielki dziedziniec marmurem brukowany, cyprysem i palmami obwiedzionym, wchodzisz do kościoła w Florentyńskim stylu wybudowanego, dwoma wieżami uwieńczonego. Kilku pozostało Hieronimitów w tym klasztorze, ludzi uczonych, a to dla straży szacownego księgo-zbioru, zawierającego wiele rękopismów z XI. i z X. wieku i wiele malowideł Ribalty, Zarinneny i Llorensa. Ferdynand I. Aragoński i żona jego donna Germana de Foix, w XV. wieku wystawili ten klasztor, należący do najświetniejszych w całéj Hiszpanii.

Ale już jesteśmy na granicy Huerty, już w mniéj żyznych, górzystych podróżujemy krainach: ziemia ta wydaje tylko winogrona i oliwiki, a całe jéj łany zarośnięte są drzewem świętojańskiém, za chwast tu uważaném, bo zaledwie osły owoc ich jeść raczą.

Ale dlatego nie ustają wioski i miasteczka z pięknemi kościołami, kopułą wzdętemi, wieżą najeżonemi. W lasku pomarańczowym kryje się po dziś dzień piękny klasztorek Karmelitów, a jego kościoł obstawiony wysokiemi palmami,—nie widać go wcale. Zamruż oczy, o edykcie Mendizabala! pozwól tym biednym ojcom umrzéć na tym gruncie,

na którym od tak dawna modlą się za przyjacioł i za nieprzyjacioł.

Zatrzymaj się w wiosce Puig. Tu Jakób I. król Arragonii w r. 1237. bój stoczył zacięty z Maurami Walencyi i pobił ich Króla Zaena na głowę; które to zwycięstwo drogę mu utorowało do zdobycia królewskiego grodu Walencyi.

Patrz na ten las pnący się w górę!

Nad rozłożystemi koronami drzew świętojańskich sterczą rozległe zwaliska tego starego Saguntu, tego miasta wiernego, którego mieszkańcy raz wymówiwszy święte słowa: »*śmierć lub zwycięztwo*«, woleli zginąć.

Działo się to na lat 216. przed Chrystusem, wówczas jeszcze słowo *honor* nie było wymyśloném, ale rzecz widać istnieć musiała, kiedy się za nią tak chętnie życie oddawało.

Ziemia ta, zaprawiona kościami bohaterów, odziedziczyła także ich ducha. Kartagińczyk, Rzymianin, Got, Maur i Francuz kołatał tu o te mury tormentem i kulami, głazami i żelazem, ale te mury, choć się waliły, zawsze ten sam dźwięk wydawały: dźwięk tryumfu w śmierci, dźwięk płodny w życie. Całkiem nie umiera, kto broniąc swego honoru umiera, i część lepsza życia przeżyje wieki i późniejszym pokoleniom służy za przykład. Laski i gaje otaczające Murviedro są cmentarzem miliona bohaterów; w obliczu takich śmierci, serca żyjących, byleby zdrowo biły, nabierają wartości.

Murwiedro jest dziś miasteczkiem dość nędznem, nieregularnie z odłamów starożytnego Saguntu wzniesioném. Tutaj zobaczysz rzymskie figury wszczepione w mur nędznego domu, tam maurytańskie sklepienie pokrywające chatkę, mnóstwo napisów łacińskich na kamieniach za próg służących, kościoł S. Trójcy wzniesiony na fundamentach świątyni Dyany.

Na marmurowéj opoce sterczą wieże czworoboczne otaczające dzisiejszą cytadelę, dość silnie zbudowaną, ale w niektórych miejscach bardzo uszkodzoną.

Garnizonu jest dosyć. W samém miasteczku stoi siedm szwadronów kawaleryi pod zasłoną niskiego przykopu i dział fortecznych. Pastwiska pobliskie, żyzne i bogate, dostarczają koniom obfitéj żywności.

Piechoty jest trzy tysiące, artyleryi polowéj trzy baterye, wałowéj do stu sztuk.

Gubernator mieszka w bastyonie ogromnym, wszrubowanym w czaszkę marmurowego Tytana, a ten bastyon wysoki i tak ogromny, że na jego szczycie można było wystawić domek i założyć ogród, w którym rosną laury i cyprysy, a pasą się swobodnie dwie kozy.

Gubernator, świetny brygadier don Augusto Flinter Conde de Almanza, był mym znajomym: żonę jego młodą, piękną, Arragonkę, leczyłem w Walencyi.

Wówczas siedzieliśmy sobie, pogrążeni w milczeniu, przed domkiem wyniesionym blisko na stóp dwa tysiące ponad powierzchnią morza.

Jaki ztąd pyszny widok na parskające w gniewie wały morza, na zębate szczyty gór Espadenu, Salady i Chiwy. Ogromna rozdęta tarcza słońca cięży na widokręgu i zapada się w morze. Długo walczy z falami oceanu, krew z niego płynie purpurowa, zalewa modry żywioł i lazur firmamentu, znika nareszcie, i gdy ostatni promyk błysnął, jękło działo wieczorne, orkiestry garnizonowe zagrzmiały, tętnią bębny, szczekają setne echa, pnie się rozlicznemi drogami ku koszarom artylerya, konnica i piechota.

Słońce krwawo zapadło w ocean, ale jeszcze krwawiéj z niego wstało, bo gdy pierwsze zaledwie wysłanniki jutrzenki błyskać zaczęły na widokręgu i igrać z przeciągającemi chmury, zgiełk okropny, krzyki, wrzaski i wystrzały rozległy się ze strony miasteczka. Wkrótce i płomień błysnął, właśnie z koszar kawaleryi. Boże wielki! bandy gerylasów Forcadela i Palillosa wkradły się nocną porą do miasteczka, i tu rozsiewają śmierć i pożogę. Już prawie wszystkie stajnie w płomieniach! Przeraźliwe jęki krają serce.

Wypada Gubernator na czele batalionu piechoty i kilkudziesięciu kawalerzystów, których konie stały w stajniach miasteczka. Don Andrea adjutant nie opuszcza swego generała. Z pałaszem w ręku bieży, nie zważając na grad kul i na płomienie, do stajni, w któréj stały konie sztabu. Jakie szczęście! Stajni téj, najbliżéj fortyfikacyi stojącéj, jeszcze nie zdołali zapalić gerylasy, ale wejścia bronią zacięcie, padają jednakże od wystrzałów i od białéj broni,—ustępują. Koni kilkadziesiąt już osiodłanych stoi tu w pogotowiu. Wsiada na koń sztab i kawalerzyści, wypadają z wściekłością na gerylasów, ale ci z po za domów rażą celnemi strzałami.

Wtém o kroków może trzysta, porucznik don Andrea, pomiędzy linią tyralierów rezerwowych nieprzyjaciela, spostrzega owego ogromnego olbrzyma nazwiskiem Llangostera, który był majorem w wojsku Karlistów, a kiedyś pokazywał się za pieniądze jako fenomenalna ciekawość.

»Ah olbrzymie! odbiję na tobie owego piastra, któregom wydał za zaszczyt poznania cię z bliska, »powie don Andrea, każe sobie podać nabity sztuciec, spina dziarskiego Andaluza ostrogą, przebywa w mgnieniu oka i w pośród gradu kul połowę przestrzeni przegradzającéj go od linij rezerwowych tyralierów, zwraca konia w poprzeczną ulicę, zsiada z niego, wiąże go do parkanu i podsuwa się pod węgieł narożnego domu.

Serce biło młodemu adjutantowi i drżą mu ręce, ale on bystro spojrzy na te swe dłonie i nakazuje im spokojność. Lufę opiera o mur don Andrea i mierzy: długo mierzy wprawném okiem i pewną dłonią, przyciska cyngiel, olbrzym pada na ziemię i zawala jéj półczwarta łokcia.

»Hurrah!« krzyknie, a Karliści widząc dowódzcę powalonego, tracą odwagę, cofają się, ale unoszą z sobą ogromnego majora.

»Hurrah!« krzyknie raz jeszcze Andrea, dopada swego konia, zbiera kilkunastu kawalerzystów, ściga uciekających i tnie ich karki na kawały. Ogólny popłoch ogarnia gerylasów. Piechota Flintera śmieléj następuje i wypiera tyralierów z po za domów.

Generał Flinter tymczasem potrafił zebrać blisko dwa szwadrony konnicy. Na ich czele uderza piorunem w kawaleryę Forcadela, częścią rozsianą na flankiery, częścią stojącą w ich assekuracyi. Bój się stacza krwawy na pałasze, Flinter walczy jak Ajax, a żołnierze jego, widząc generalskie pióro ciągle na przodzie torujące im drogę, idą z nim w zawody i z koni zwalają jazdę Forcadela. Przeszło trzydzieści ich pada od pałasza, reszta ucieka i tratuje własną piechotę, wpada na kule strzelców Luchany, niknie w kurzawie, zostawiając znów z czterdziestu trupów na polu bitwy.

Już Karliści zewsząd wyparci. Kawalerya ich zmyka w nieładzie, ale piechota, lubo uratowana, zbiera się przecież, i rzecz zastanawiająca, nie ucieka w góry jak zwykła robić w podobnych zdarzeniach, tylko wziąwszy w środek olbrzymiego Llangosterę, cofa się w niezłym porządku traktem ku Leyria. Nawet się nie źle odstrzeliwa.

»Musi być niezłym żołnierzem ów Llangostera, kiedy go podwładni tak kochają,« rzecze don Andrea do brygadyera Flinter; »ale tam przecież czuwają artylerzyści w twierdzy i nie przepuszczą im olbrzyma przez rogatkę.«

Istotnie tak się stało. Gdy karliści wyszli na czyste z po za opłotków i dobry cel artyleryi wałowéj przedstawili, rykło z 30 dział z wysokich wałów fortecy, i ze stu gerylasów zasłało swemi trupami drogę. Teraz Karliści uciekają na dobre, ale kawalerya krystyańska nacierać nie może, z obawy, żeby sama na kufle fortecy nie wpadła, zresztą cały wał trupów przegradza jéj drogę.

Leży pomiędzy rannymi biedny olbrzym i wije się pomiędzy nimi, jak Boa pomiędzy Anakondami.

»Przedstawiam ci generale mego znajomego z Wiktoryi,« rzecze do don Augusta porucznik don Andrea; »poprosiłem go grzecznie, aby pozostał z nami.«

»Piękna mi grzeczność, zapraszać gościa kulką w pachwinę,« powie z miną wesołą major Llangostera; »widziałem cię panie adjutancie, jak z sztućcem w ręku na nas nacierałeś. Kazałem ci posłać kilka kulek, ale nasze kulki widać grzeczniejsze.«

Potém zaś dodał, chwytając się w pachwinę: »Ranny jestem i to niebezpiecznie, ale zdaje mi się, że nie śmiertelnie. Radzę szanownym panom nie wieszać mnie, ani też dobijać. Schowajcie mnie na wymianę. Król don Karlos mnie lubi i da wam za mnie z sześć fur najpiękniejszych Krystynosów. Mamy ich podostatkiem.«

Don Augusto Flinter sto razy w swém życiu słyszał o jowialnym olbrzymie, który zresztą nie był okrutnym, owszem z wszystkich gerylasowskich dowódzców najlepszym jeszcze, i rzekł do swego adjutanta: »Do ciebie z prawa należy ta piękna zwierzyna, don Andrea. Możesz z nią robić, co ci się podoba. Wypchać ją, czy szkieletować.«

»Wolę ją zamarynować generale!« odpowie don Andrea« mam tam nie złe wino w twierdzy, a wiem że major Llangostera nie gardzi Alicantą. Ale! ale, patrz generale! liczne hufce nadciągają z Leyrii: to Karliści.«

»Istotnie to Karliści,« rzecze generał, przyjrzawszy się przez lunetę. »I nam także nadciągną posiłki z Walencyi, kazałem o nie prosić generała Oraa telegrafem. Już zapewnie on sam w drodze. Nie zaśpi on sprawy. Pięć godzin możemy się trzymać przeciw najwiekszéj armii w naszém wysokiém gnieździe.«

Kazano odnieść olbrzyma do szpitala fortecy, polecono żołnierzom mieć względy dla rannych. Przyznać należy, że wojsko Krystyny w téj mierze okazywało daleko więcéj ludzkości jak wojsko don Karlosa.

Generał jeszcze się lepiéj przypatrzył nadciągającemu o Leyrii hufcowi i rzekł do Andrea, któremu bardzo wiele zkazywał zaufania:

»Jest ich najwięcéj półpięta tysiąca. To nie może być cały korpus Kabrery, zapewnie to dywizya generała Zurbano, odkomenderowana, jak wiem przez szpiegów, tydzień temu z Moreli. Cofniemy się pod działa fortecy.«—A zwracając się do drugiego adjutanta, dopiero teraz po boju przybywającego, don Augusto spytał cierpkim głosem: »Ah sennor Verega? pan zapewnie pozostałeś dla obliczenia strat? Daléj! ile straciliśmy ludzi i koni?«

»Koni spaliło się 237, poległo 16, ludzi ubitych mamy 21, rannych przeszło 30,« odpowie sennor Verega.

Generał wyjechał przed front linii piechoty i kawaleryi uszykowanéj pod bronią; przywołał wszystkich oficerów i przedstawiając im porucznika don Andrea, rzekł: »Sennores, uznajcie w don Andrea zwycięzcę dnia dzisiejszego. On pierwszy rozniósł popłoch pomiędzy nieprzyjacioł swym szczęśliwym strzałem, ajunacką szarżą, wykonaną w chwili tak stosownéj, złamał im szyki i wlał odwagę w naszych żołnierzy.—Ministeryum i Królowa zostaną uwiadomieni o tym czynie bohaterskim i potrafią go uczcić!«

Ale nadciągają Karliści i nieustraszeni klęską swych braci, rozpadłszy się na drobne oddziały, przebywają linię dystansową dział fortecznych. Tak!—to był Zurbano, jego synowie i jego waleczna dywizya, złożona częścią z ochotników Kantabryjskich. Dzielnie idą do ataku, bój znów rozpoczyna się zacięty. Krystynosi ustępują do miasteczka jeszcze gorejącego. Karliści za niemi. Artylerya polowa razi nieprzyjaciela, on zdobywa dział kilka i nieustraszony naciera, paląc resztę Murwiedra.

Krystynosi ustąpić muszą powoli do twierdzy i dać na łup Karlistom, czego w popłochu zabrać z sobą nie mogli: dział kilka, resztę koni i wszystkich mieszkańców nieszczęsnego Murwiedro. Już od godziny Karliści łupią miasteczko i zamieniają je w perzynę. Ale około południa, w okropny upał, nadciągają posiłki z Walencyi. Wpada najprzód kawalerya, zarazem Flinter na czele piechoty robi wycieczkę

z twierdzy. Odnawia się walka.—Karliści ustępują do Leyrii, generał Oraa ściga i bitwa ciągle się toczy pomiędzy tylną strażą jednych a przednią drugich.

Wieczorem, czyli raczéj już około północy, Karliści stają w Leyria, w mieście otoczoném wałami i sprzyjającém don Karlosowi. Krystynosi obozują pod samém miastem i mniemając, że nieprzyjaciel będzie chciał koncentrować z głównym korpusem w Moreli stojącym, oblegają bramę północną Leyrii. Tymczasem inne widać mieli zamiary Karliści, i nazajutrz rano jeszcze przed świtem nie ku północy, lecz ku zachodowi ustępują. W mieście zostawili tylko rannych, a w saméj cytadeli mały garnizon.

Oraa ściga Karlistów przez dwa dni wtak okropne upały, że w godzinach południowych wiele wyginęło ludzi w jednéj i drugiéj armii wprost tylko od gorąca. Wieczorem dnia drugiego obie armie znękane i z głodu prawie umierając, stoją na żyznych pagórkowatych polach, otaczających miasto Requenę. Wiele tu źródeł i strumyków. Miłym widokiem kwitnących pól ujęty i widząc wycieńczenie swéj armii, generał Oraa ofiaruje Karlistowskiemu generałowi Zurbano zawieszenie broni na godzin 24. Zurbano przyjmuje,—musiał być bardzo do tego nagłonym, bo Zurbano bez litości dla innych i dla siebie.

Stajemy tedy pod Requeną. Miasto to otoczone murem ma pewnie znaczenie w dziejach Hiszpanii, chociaż zaledwie 12,000 mieszkańców liczy i wcale nie jest okazałém. W r. 1811. Marszałek Suchet stanął pod Requeną z jedynasto-tysiącznym korpusem i chciał ją zmusić oblężeniem do poddania się na łaskę i niełaskę. Nie zezwoliła Requena na te warunki. Marszałek przypuszcza szturm, i myśląc, że to lekka sprawa, wysyła swych Francuzów. Francuzi odparci, nawet ze znaczną stratą. Następnie wszelako Requena wzięta, grosza nie zginęło, kościoły i klasztory uszanowane,—ale wino wypite i Requenianki zbałamucone.

Na pięć miesięcy przed naszém przybyciem, generał Gomez z swemi do zwycięztwa przyzwyczajonemi hufcami stanął przed Requeną i wziąć chciał koniecznie owe miasto, uznające donnę Izabellę za Królowę. Do dziesięciu tysięcy wówczas miał żołnierza, a w Requenie żadnego regularnego wojska. Wszystko, co służyć w niém mogło, już dawno w pułkach gdzieś daleko na linii bojowéj. Jednak poddać się nie chce Requena; pozostali jéj starcy, kobiety i dzieci, kilka tysięcy strzelb,

ze dwadzieścia armat, pozostała im dawnych klęsk pamięć. Wszystko wyrusza na wały i przysięga umrzeć w obronie miasta.

Najzajadlejsi nieprzyjaciele Requeny nie byli w wojsku Gomeza, choć w jego obozie. Byli to mieszkańcy sąsiedniego miasteczka zwanego *Utiel*, zagorzali zwolennicy don Karlosa, a rywalizujący od wieku z Requeńczykami. Szczególne zjawisko! miasteczko Utiel, położone tylko o półtory mili od Requeny, w pośrodku okolicy oddanéj donnie Izabelli, nie dało się niczém i nigdy odwieść od swych zasad, od wierności zaprzysiężonéj don Karlosowi.

Gdy się zbliżało wojsko Krystyny, Utielanie dorośli i Utielanki dorosłe uciekali w góry, pozostawiając w mieście starców tylko i dzieci. Krystynosi wkraczali do miasta, nie znajdywali żywności, i wysadziwszy mury w powietrze, ustępowali. Mieszkańcy Utielu powracali i wznieśli mury.

Gdy tedy Gomez podstąpił pod Requenę na pięć miesięcy przed naszém przybyciem do tego miasta, Utielanów tysiąc przybiegło do jego obozu i prosiło wodza, żeby obrócił w perzynę owe miasto sąsiednie, którego sława była im solą w oku.

Gomez, rzuciwszy kilkaset granatów do Requeny, potrzymawszy ją dni jedenaście w ścisłem oblężeniu, widząc że chyba tylko całkowita zagłada zmusić zdoła Requeńczyków do oddania wrogowi zgliszczów miasta, ulitował się nad tą krwią bratnią, a tak bohaterską, i odstąpił od oblężenia. Obywatele Utielu zawiedzeni w najmilszych nadziejach, wściekali się ze złości.

Stajemy teraz pod tą Ruqueną tak bohaterską. Generał Oraa przyjmuje deputacyę miejską, a ta prosi, o co? o pomszczenie się krzywd wyrządzonych miastu, przez mieszkańców Utielu.

Generał Oraa uznał szłuszność tej prośby, i gdy się zakończyło zawieszenie broni, jeszcze tego wieczora pod zasłoną nocy odesłał połowę swéj armii na opasanie Utielu. Tém się osłabił, ale zawsze tyle zachował wojska, ile mniemał że przy pomocy gwardyi narodowej Requeny wystarczy na oparcie się nieprzyjacielowi, gdyby ten chciał rozpocząć kroki zaczepne.

Oddział odkomenderowany na opasanie Utielu, dowodzonym był przez brygadyera Flinter, a składał się z 4 batalio-

nów piechoty, dwóch kompanij strzelców celnych, szwadronu ciężkiéj, dwóch szwadronów lekkiéj kawaleryi, dwóch dział pozycyjnych, i sześciu lekkich. Pełniłem w nim służbę jako lekarz sztabu.

Prowadzeni przez świadomych miejscowości obywateli Requeny, opasaliśmy miasto Utiel łańcuchem wojska. Nikogo nie przepuszczono w góry prócz starców, kobiet i dzieci. Chciano mieć wszystkich w matni, bo sroga należała się kara owéj ludności, która na swą sąsiadkę sprowadzała wroga.

Gdy się rozwidniło, Utielanie zoczyli, że zewsząd są obsaczeni,—spostrzegli się na trudności swego położenia. Nie struchleli jednakże, bo Hiszpanowi, jeśli często zbywa odwagi na czystém polu, gdzie wyraźnie nie wie za co i o co się bije,—rośnie mu jednak serce, gdy przed najezdnikiem broni własnéj strzechy i rodziny.

Parlamentarz zbliża się do miasta i wzywa do poddania się na łaskę i niełaskę. Byłto właśnie sennor Verega kapitan-adjutant brygadyera Flinter, ten sam, który podczas walki w Murwiedro pozostał w miasteczku dla obliczenia straty.

Trębacz wzywa do uwagi. Adjutant przemawia donośnym głosem, chociaż serce drży mu okropnie: »Poddajcie się buntownicy! waszych kościołów świętość, waszych kobiet honor, waszych starców i dzieci życie uszanujemy;—reszta do nas oddawna należy, ale obiecujemy obejść się z wami wspaniale.«

Tak krzyknął trzy razy kapitan Verega i czeka truchlejąc odpowiedzi. Długie następuje milczenie, potém odgłos kilkunastu wystrzałów. Adjutant przeszyty kulami pada z konia,—trębaczowi nic! tylko się głos jakiś cienki a wrzaskliwy odezwał z wału: »wracaj trębaczu i powiedz twemu hersztowi, że to kobiety Utielu zabiły parlamentarza,—niech się przyjdzie mścić na nich.« Dodały nawet: »*Soldados de puta, vos materemos todos!*«

Trębacz był to stary wiarus osiwiały pod trąbką; wysłuchał co mu nagadały wściekłe Utielanki, potém schwytał konia, który z siebie rzucił zabitego adjutanta i pasł się po glacis, włożył umarłego oficera na siodło przed siebie i z najzimniejszą krwią w świecie wrócił do generała, opowiedzieć mu z szczegółami co się stało.

»Przywiózłem panu generałowi adjutanta—potrzebuje go pan?» spytał oddalając się stary trębacz.

»Głupi jesteś, mój wiarusie! cóżbym robił z umarłym, kiedym nigdy nie wiedział co robić z żyjącym?» odpowie niby obojętnie generał Flinter, a później dodał po cichu: »Utielu! ostatnia twa godzina wybiła!«

Już na dwa pagórki panujące nad miastem ze strony północy i wschodu zatoczono po jedném dziale pozycyjnémi po dwa polowe,—ogień rozpoczęty—walą się słabe mury miasta i kilka już domów zapaliły race. Wyłamy wybite. Plutony stracone naprzód marsz do szturmu! Pada z murów miasta tysiąc dobrze wymierzonych wystrzałów na pierwszy pluton,—połowa jego ginie, reszta już się chwieje, cofa, aż tu z tyłu zajękło działo, plusnęły kartacze i sieką cofających się. Żadnéj litości dla plutonów straconych: są to oddziały sformowane z ludzi, którzy stracili honor wojskowy nie męztwem, lub niegodném postępowaniem. Honor mają odzyskać, o życie dbać niepowinni.—Idzie tedy naprzód garstka przerzedzona i ginie co do nogi. Ale już następuje drugi pluton stracony, już dociera do wału, mina go wysadza w powietrze. Trzeci pluton naprzód! Wpada on do wyłamu, ciałem go swojém zawala, ale kilkudziesięciu wkracza do miasta. Naprzód marsz kompania grenadyerska pułku 9go piechoty! Niegdyś było pułk gwardyjski, na którym ciąży jeszcze zarzut złego patryotyzmu. Grenadyery nie chcą być niemężnemi, choć w złéj sprawie, jak mówią. Idą naprzód, rotami całemi giną, ale nie zachwiani wpadają do miasta. Rozpoczyna się rzeź okropna na bagnety i na noże, starcy i kobiety biorą udział w walce, krwią zbroczeni spadają z murów w fossy.

Teraz przypada szwadron dragonów, na czele ich don Andrea. Jeszcze raz wzywa do poddania się, ale już zapóźno. Odwaga Utielów przestała być cnotą, stała się pomimowolnym szałem. Zsiadają dragoni z koni, zatykają bagnety, rzucają pałasze i jak uragan wpadają do miasta.

A z drugiéj strony sam Flinter z swemi strzelcami już do niego wkroczył.

Utielanie drogo sprzedają każdą piędź swego gruntu, leją się krwi potoki, leje się i woda i oliwa wrząca na głowy zdobywających. Batalion za batalionem wkracza, ale nie braknie i barykad: każdy dom jest fortecą, z któréj pa-

dają strzały i dawno nagromadzone głazy. Okropne przekleństwa, a żadnych nie słychać jęków, choć co krok to umierający. Walka trwa zacięta przez dzień cały; ani pożar, ani skwar słoneczny nie męczą walczących. Działa zewsząd huczą, a domy zapadają się z okropnym łoskotem.

My tylko, co pozostaliśmy przy ambulansach, słyszymy, że i pod Requeną, o półtorej mili odległą, toczy się bój zacięty i ku nam zbliża. Zapewne Karliści idą Utielanom na pomoc, a ściga ich Oraa. Tak istotnie! Już przednia straż Karlistów wychodzi z wąwozu, już tylko o pół mili od nas odległa. Piękna perspektywa! wszystkie nasze bataliony, rezerwy i assekuracye w mieście, biją się z Utielanami, a tu nadchodzi nieprzyjaciel i tyły nam zabiera. Żadnéj zasłony dla ambulansów. Chcąc nie chcąc musimy podstąpić pod miasto. Są i obywatele Requeny w Utielu, ale ci nie biorą udziału w rzezi, owszem, z narażeniem życia wpadają do gorejących domów, uprowadzają z nich dzieci, by je między sobą na przyjaciół Requeny wychowywać. Tych dziatek mamy do dwustu w ambulansach,—ale kule zbliżającego się Zurbana pomiędzy nas wpadają i już kilkoro biednych dziatek krwią zbroczonych wije się w śmiertelnych konwulsyach. Czyjeż serce nie zapłacze na widok dziecięcia kulą przeszytego?

Położenie nasze było nieznośném. Generała Flinter ani znaleść. Rozjuszona soldateska nie chce wrócić z rzezi do obrony rannych, łatwiéjbyś zgłodniałego wilka odwiódł od uduszonéj owcy.

Karliści już tylko o staje. Chronimy się między zgliszcza Utielu.

Ale Bóg czuwał nad nami!

Już nas dopadała przednia straż Zurbana, kiedy z zachodu dochodzi huk armat, i nacierających powala o ziemię rdzennym strzałem. To dywizya don Franciszka Valdez, z którą Oraa miał się połączyć pod Requeną. Rano była jeszcze w Villalgorda, o półczwartéj mili, ale słysząc donośne a częste wystrzały naszych dział pozycyjnych, poszła za odgłosem armat, zboczyła na lewo i staje tu pod Utielem właśnie w chwili, gdy każdy z nas na śmierć się gotował,—bo odstępować ambulansów lekarzom nie wolno, a gerylas w nieprzyjacielu nie uszanuje ani wieku, ani płci, ani powołania.

Teraz się wszczyna potrójna walka, o jakiéj nigdy w życiu mém nie słyszałem. Biją się w mieście, bój rozpoczęty z przednią strażą Zurbana i trwa ciągle pomiędzy tylną strażą a generałem Oraa. Karliści obsaczeni od zachodu, południa i wschodu, giną w wąwozach, lub na zachód ustępują w góry ku Chelva, fortecy zajętéj przez Cabrerę dni temu kilka.

Tylna straż generała don Franciszka Valdez opiera się o miasto w płomieniach stojące. Jakiś dziwny oddział odłącza się od téj ariergardy i wkracza do miasta. Co to za broń tak dziwna? Mało koni, same prawie muły, a na każdém z tych zwierząt rosłych i silnych po dwóch żołnierzy ciemno ale porządnie umundurowanych, z karabinkami w rękach. To owa nowo improwizowana broń, którą widzieliśmy organizującą się w Granadzie. To kompania Guerda—Enfermos, gwardyi infirmerów, uformowana z samych uczniów medycyny. Spieszą do miasta ratować, uprowadzać i opatrywać rannych.

Przecież widzę coś ludzkiego w tym okropnym odmęcie, w którym tyle sroży się nienawiści.

Słońce zachodzi, daleko mniéj krwawo jak wygląda ta ziemia. Wystrzały jednak nie ustają w Utielu, tam widno, bo całe się miasto pali. Tylko jeden kościół w środku miasta stoi nietknięty. Generał Flinter każe wołać z wieży przez donośną tubę: «Wojsko królowéj ma poprzestać walkę, cofnąć się za miasto. Utielanie pozostali przy życiu mają się zgromadzić w kościele, gdzie dla nich żywność i wino będzie złożoném. Taki roskaz brygadyera Flinter; kto go nie usłucha, ten życiem zapłaci.«

Cofają się wojska z miasta. Znoszą nam rannych liczbę okropną.

Ale co to prowadzą na tym mule?

Z jednéj strony młodą piękną kobietę, całą krwią zbroczoną, ranną, prawie umierającą. Z drugiéj strony młodego pięknego oficera z gwardyi Infirmerów. Ah! Boże wielki! to mój dobry przyjaciel, mój wesoły towarzysz podróży z Xeres do Granady, to mój piękny don Juan Zelozas de Palomar!

Już cienie śmierci osiadły na jego czułéj, pięknéj twarzy. Krew z piersi jego uchodzi strumieniem, spływa po mule aż na ziemie. On czuje, że umiera, ciężkie zrywa powieki, chce się jeszcze przypatrzyć temu światu, który tak młodo

opuszcza. A w ręku swém trzyma rękę młodéj kobiety, wznoszącéj się na mule, skrwawionéj, płaczącéj.

»Don Juanito! ah mój dobry przyjacielu! czy mnie poznajesz don Juanie?«

Otworzyły się powieki, szklanne ukazały się oczy. Jakiś lekki rumieniec na lice występuje, usta chcą przemówić, nie mogą,—ah! przecież przemawiają.

»Ah to ty don Teodoro! ah jakie szczęście. Bogu niech będą dzięki, konam w rękach przyjaciela! Moja matka! moja biedna matka! Ty wiesz gdzie ona żyje—napisz,—ten pierścień poślij,—i tę oto kobietę na Boga! Boże! tę kobietę weź w swą opiekę!«

Zaszedł cień na lica don Juana, tak jak księżyc na świecące słońce. Skonał.

Kto ta kobieta?

To ona zadała śmierć don Juanowi.

On ją spostrzegł z strzelbą w ręku w oknie gorejącego domu. Już się walić zaczęła posadzka wyższego piętra. On chce ją ocalić, wpada do domu, obejmuje ją, wynosi.—Już jest na ulicy. »Ocalona!« krzyczy don Juan i w téj chwili pada krwią zbroczony, z puginałem po samą rękojeść w piersiach. Dziewica, którą z narażeniem życia ocalił, utopiła w nim ten sztylet, a żołnierz jakiś to widząc, przebija Utielankę bagnetem.

Don Juan jéj przebaczył przed śmiercią, a ona łzy żałości wylewa i modli się za duszę swéj ofiary, i za swoją także, bo i ona umiera.

Na pięknym pagórku, wśród lasku pomarańczowego, złożyłem jeszcze téj nocy w grobie, częścią własnemi rękoma wykopanym, obie ofiary téj nieszczęśliwéj wojny: przyjaciela mego don Juana i jego Parkę, nieznaną mi z imienia i z nazwiska. I na tym grobie zatknąłem krzyż Zbawiciela, obiecującego ludzkości lepszą przyszłość.

Usiadłem obok tego świeżego grobu. O serce me śmierć kołatała, rozpacz dzwoniła mi w głowie.

Pod memi stopami naokoło pagórka biwakowała brygada Flintera, która w dniu tym pamiętnym straciła przeszło 700 ludzi, nie licząc rannych, których było do tysiąca. A ci co nie byli ani zabitymi, ani rannymi, zwyczajem hiszpańskim śpiewali segedille, bili w kastaniety, brzdąkali w gitary i tańczyli bollery i kaciucie!

Na téj ziemi, jeszcze śliskiéj świeżą krwią ludzką, w obliczu tego miasta w perzynę obróconego, zgliszcza i cztery tysiące trupów zawierającego,—panowała bezbożna, wyuzdana radość!

Niewypowiedzianym wstrętem ogarnięty, zadrżałem na całém ciele,—i pierwszy raz w życiu zapytałem siebie: »Jakto? czyż można podobnemi środkami osiągnąć cel jakiś szlachetny?«

»Czyż *idea* innym sposobem tryumfu odnieść nie zdoła?«

Jeszcze dumałem nad grobem biednego don Juana. On tak kochał swe Hiszpanki. Czy może instynktem duszy przeczuwał, że to jego wesołe życie przeciętém zostanie tak wcześnie ręką dziewicy? A była nią owa piękna Utielanka, którą razem z nim pochowałem. Szczególny los! Bez ideału, bez kochanki, bez kobiety żyć nie mógł ów romantyczny don Juan,—a tu i w śmierci towarzyszy mu dziewica i nie opuści go chyba w chwili zmartwychwstania.

Zawsze jeszcze dumałem, i w ciężkich myślach pogrążony nie wiedziałem jak ubiegały chwile, ucho me odrętwiałe nie słyszało owych odgłosów śpiewu i muzyki, brzmiących w méj duszy jak śmiech pijanego szatana.

Ale zajękła trąbka.—To sygnał umówiony pomiędzy mną a trębaczem sztabu. Potrzebuje mnie widać generał. Spieszę.

»Don Teodoro! oddaję pana twemu zwierzchnikowi« rzecze Flinter, gdym przybył do ogniska.

Tym zwierzchnikiem był mój przyjaciel, z którym rozstaliśmy się w Badajoz,—był to pułkownik dragonów Teofil de Kersausi, przybyły z swym pułkiem wchodzącym w skład dywizyi don Francisca Valdez.

»Ah co to za wojna nieludzka! pułkowniku,—gdybym był wiedział!« rzekę z żalem do mego dawnego towarzysza.

»To wojna hiszpańska! mój dobry przyjacielu« innéj na tym gruncie nie masz.—Otóż twoja nominacya. Każ siodłać konia—za chwilę wyruszamy pod Chelvę,« odpowie pułkownik.

Tak się zakończyły me wędrówki w Hiszpanii,—a zaczęły marsze, walki zwycięstwa i ucieczki, których opis do osobnego należy dzieła.

# PAŃSTWO MAROKAŃSKIE.

# WSTĘP.

Kilka lat minęło pomiędzy pierwszym mym pobytem w Hiszpanii a drugą wycieczką. Kto pozna z bliska kraju tego uroczego światła i cienie, ten w odległości za światłem zatęskni, a cieniów zapomni. W Francyi, pracującéj od pewnego czasu tak usilnie na odarcie się z szaty poezyi, tratującéj ją z taką roskoszą w brzydkiéj kałuży materyalizmu i sobkostwa, — w Francyi więcéj jak gdziekolwiek tęskniłem do téj Hiszpanii, któréj tyle pozostało poezyi, tyle dziewiczości. Mógłem był zwiedzić kraje i ludy jeszcze mi nieznane, Szwajcaryę i Włochy naprzykład,— mógłem był w krótszym czasie przebiedz daleko więcéj drogi i to wygodniéj i z mniejszym kosztem;— a jednak wolałem wrócić do lubéj znanéj mi już Hiszpanii, i wystawić się raz jeszcze na niedogodności wędrówek po kraju, nie żyjącym jeszcze z ciekawości stereotypowych turystów. Któż nie jeździ po téj Szwajcaryi, po téj Italii? droga do nich na oścież otwarta dla każdego, co ma kilkaset franków, mówiłem do siebie. Wpadnę tam przy innéj sposobności i doświadczę owych programmowych uniesień, opisanych po tysiąc razy przez wymownych podróżo-pisarzy i romansowe podróżopisarki. Zajrzę tam innym razem, a tymcza-

sem wolę wrócić do Hiszpanii i poznać resztę nieznaną mi jeszcze tego kraju, sprawdzić, czy istotnie błogosławieństwa pokoju nań się zlewać zaczynają.

Zamysł mój wykonałem. Przez Bajonnę przybyłem do dziarskich Basków krainy, która przed laty kilku widownią była zaciętéj wojny, a dziś rajem się stała szczęścia i swobody. Byłem w Madrycie, pasłem me oczy widokiem cudów artystycznych tu nagromadzonych i podziwiałem ruch intellektualny tak żwawy, objawiać się zaczynający w stolicy hiszpańskiéj. Byłem i w Toledo — znalazłem w tém mieście dawnych znajomych z pierwszego pobytu w Hiszpanii. Szereg uczuć i myśli od razu wskrzeszony! pędzę do Kordoby i do Granady, do Sewilli i Kadyksu, odnowić dawne dobre znajomości.

Sceny wojenne, których byłem świadkiem w roku 1839. i w 1840 roku; powtórną mą wycieczkę do Hiszpanii w 1843. roku opiszę w osobnem dziełku pod tytułem: »*Hiszpania podczas wojny i w czasie pokoju*«. Wiele bardzo przemagających w téj chwili powodów znagla mnie do oderwania tych dwóch ustępów méj podróży od wspomnień moich.

Jestem tedy w Kadyksie, w pośrodku mych dawnych znajomych. Tylko Donny Delfinii tu nie ma! Mam kilka miesięcy czasu przed sobą. Jakże go tu najlepiéj użyć?

Podziwiałem tak rzewnie w ciągu méj wędrówki w Hiszpanii pamiątki Maurytańskie pozostałe po Maurach.

Pójdę gonić za potomkami tych Maurów.

Maurowie—co nas obchodzić może naród tak odległy od naszego kraju; naród, który podobno kiedyś potężnie ciążył na losach Europy, ale dziś tak jest słabym, że ledwo od czasu do czasu znak nam życia daje? Co nas zajmować mogą losy narodowości, któréj posłannictwo skończyło się od dawna, a istność dzisiejsza pełza tam dziś nieznana w ciągłéj agonii, nim się zakończy wolną, a niechybną śmiercią?

Tak zapyta może niejeden z naszych czytelników, przesycony utworami mego niewprawnego skromnego pióra, zagniewany na mą ciągłą, pałającą, niepowściągnioną żądzę żywienia go obrazami krajów i narodów, nie mogących wywrzeć żadnego bezpośredniego wpływu na nasze własne losy. Miałżebym istotnie zasługiwać na te zarzuty? Czy mnie oślepia do tego stopnia wiara w wartość mych wspomnień przeszłości, że się sam nie spostrzegam na ich nieużyteczności? Czy je kocham dlatego tylko, że wielkiemi znojami w długich cierpieniach zdobyte?

Wyznam tu bez ogródki, że wraz z tém pytaniem, które nieraz sam sobie zadaję, przykra nieufność wkracza wme serce.

A jednak pióro nie wypada z méj ręki! Wracam do niego jako do mego pocieszyciela, wracam tém chętniéj, im więcéj w literaturze obcéj, któréj żywimy się tłómaczeniami, spostrzegam ducha partyi, zaciemniającego zdrowe wyobrażenia o rzeczywistości.

Wskrzeszam obrazy méj przeszłości, naglony jakąś tajemną potrzebą przeświadczenia czytelnika, że prawda zyskuje pewne błyskotliwe barwy, pewne ujmujące kształty, skoro na nią przez ciasny kalejdoskop dziś umysłami świata rządzących systematów, spoglądamy; lecz że tym sposobem traci na swéj bezwzględnéj wartości, że tym sposobem oddana, uważana, służyć nie może na dobro rozumowi.

Niech się czytelnik nie zraża lekkością kształtu, którą me utwory dla dogodzenia panującemu smakowi ubieram.

To, co w krajach obcych uszło wprawnego oka wielkich historyografów, dlatego tylko, że do systematu ich nie przystawało, że nie mogło być zastosowaném do żadnych wprzódy pojętych potrzeb, co nie znalazłszy odgłosu w analogii, przeminęło bez zwrócenia na siebie uwagi; to samo mogło silnie uderzyć umysł innego podróżnika.

Historykiem tedy nie jestem; znam tego zaszczytnego powołania trudne obowiązki, i nie chciałbym niedoskonałém

przedstawieniem przeszłości, obciążać się odpowiedzialnością za przyszłość młodocianych umysłów.

W nieprawdzie życia nie ma, a fałsz stać się może zjadliwą trucizną.

Ale jestem spostrzegaczem z powołania; znam stanu mego obowiązki.

Zapytałeś mnie czytelniku zaraz na początku téj rozmowy: co nas zajmować może istność Maurów, narodu barbarzyńskiego, pobitego niedawno w tylu bitwach przez *Francuzów*, *Abd-er-Hammana* i przez własne przesądy?

Daném mi było urzeczywistnić gorące pragnienie mego serca. Poznałem Maurów na brzegach oceanu i morza Śródziemnego, na stopniach starego Atlasu; widziałem ich polujących i marzących, słyszałem ich opowiadających i rozumujących.

Później jeszcze brałem czynny udział w Algieryi; w sprawach Francuzów przeciw Maurom i Arabom, jako lekarz rozumie się, goiąc rany wszystkich mych bliźnich, dając pierwszeństwo temu, który najwięcéj cierpiał.

W trzech peryodach mego życia widziałem tedy trzy ważne chwile istności Maurów, i podług nich podzielę mą rozprawkę. Wystawię przeszłość Maurów w Hiszpanii, wystawię ich teraźniejszość w państwie Marokańskiém, ich możliwą przyszłość w Algieryi,— w osobném dziele.

Zresztą, co do kształtu tego opisu, pójdę za mym ulubionym zwyczajem: poprowadzę czytelnika wszędzie z sobą, żeby własnemi oczyma oglądał, własnym rozumem sądził.

# ROZDZIAŁ I.

WSTĘP. — WTARGNIĘCIE MAURÓW DO HISZPANII. — DOGMAT PODBOJU. — OŚWIATA. — POWRÓT MAURÓW DO AFRYKI. — WYJAZD Z KADYKSU. — GUBERNATOR MIASTA ALGESIRAS. — TRAFALGAR. — MAUROFOBIA. — TARYFA. — JASZCZURKA SKALNA. — GIBRALTAR. — PIECZARY GIBRALTARSKIE. — MAŁPY EUROPEJSKIE. — KARAWANA. — SERAJ MAURYTAŃSKI. — SANTURON I DWÓR JEGO.

---

Ślepo, ślepo idąc za radą Mahometa, Muzułmanie rozpuścili swe hordy na wschód i na zachód, podbili Syryę i Egipt, Afrykę północną i najpiękniejszą część Europy. Podbijali i wkroczyli, niewstrzymani żadnym tryumfem, aż do Francyi. Ale na płaszczyznach Tours znaleźli naród dbały o honor chrystyanizmu. Cofnęły się hordy Saracenów po za Pireneje. Gdyby nie miecz Karola Martela (732), półksiężyc błyszczałby dziś może nad murami Paryża i Londynu.

Powróciwszy do Hiszpanii hordy saraceńskie, uznały jednak, że to kraj piękny, pełen powabu i bogactwa. Zatrzymały się, i wkrótce ci zacięci podbijacze dali dowody tolerancyi wyrównywającéj ich waleczności, wkrótce nawet wywyższyli się po nad wszystkie inne narody potęgą rozumu i światła. Oddaleni od ziemi rodzinnéj, Mahometanie rozmiłowali się w téj, która im była nadaną przez Allę, i starali się zbogacić ją wszystkiemi darami, mogącemi przyłożyć się do szczęścia ludzi. Prawa mądre i sprawiedliwe, uprawianie sztuk i umiejętności, zachęta dana rolnictwu, handlowi i rzemiosłom, wszystkie sprężyny życiodawcze przyczyniły się do wzniesienia państwa, którego wzrost zaćmił wszystkie chrześciańskie kraje. Świetność Maurów do tego doszła stopnia, że okoliczne narody, pogrążone w ciemnocie, szukały u nich światła i rozumu!

Wyrobnicy chrześciańscy przychodzili do Maurów uczyć się rzemiosła; uczeni całego świata biegli do Toledo, Kordoby, Sewilli i Granady kształcić się w naukach. Nawet

i poeci i trubadorowie napawali sie poezyą i muzyką u Maurów; a rycerze chrześciańscy ćwiczyli się w waleczności i grzeczności na dworach książąt mahometańskich panujących w Hiszpanii.

Maurowie hiszpańscy na swych pomnikach głosili światu, że ostatecznie osiadą w Hiszpanii. Potomkowie Rolla i Wilhelma Zwycięzcy toż samo zrobili w Anglii. Maurowie dłużéj daleko pozostali w Hiszpanii, niż dotychczas Normandzi pozostają w Anglii.

Czemu potomkowie Muzy i Taryka mieliby mniemać, że ich panowanie nie ustanie nigdy?

Pomimo całéj swéj świetności, państwo Arabów w Hiszpanii było tylko egzotyczną rośliną, nie mogącą się nigdy rozkrzewić w gruncie.

Wzruszony, tknięty bliskością wstecznego żywiołu, duch chrystyanizmu Gotów ocknął się nareszcie z swego długotrwałego letargu. Po długich wojnach, po krwawych potyczkach, wrząca odwaga Maurów uległa waleczności cierpliwéj i statecznéj obrońców krzyża.

Zniknęli Maurowie z widnokręgu Hiszpanów. Gdzież teraz mam szukać potomków tego wielkiego narodu, który swém męztwem i przepychem, swemi naukami i swą szlachetnością, zdumiewał niegdyś świat cały? Gdzież mam szukać potomków ludzi, którzy wystawili meczet w Kordobie, szpital w Toledo, i twierdzę w Granadzie?

Gdzie was mam szukać?

Mówią, że dwa miliony Maurów hiszpańskich wróciło do Afryki, do dawnéj swojéj kolebki. Mówią, że z religijną wiernością potomkowie tych Maurów w Tetuan osiedli, zachowali swe hiszpańskie nazwiska Paezów, Medinów i Albergów, nie łączą się węzłem małżeńskim z rodzinami afrykańskiemi; jako klejnoty familijne przechowują od pokolenia do pokolenia plany, rachunki, klucze nawet swych dawnych posiadłości w Granadzie.

Tak! pójdę aż do Afryki przekonać się naocznie.

Nie łatwo było dostać się do Afryki. Europejczyk źle tam jest widziany u wszystkich różnorodnych mieszkańców téj staréj, a jeszcze tak mało znanéj ziemi.

Czy tam kto odgadnie, w téj barbarzyńskiéj ziemi, szlachetność mych intencyj?

Tak siebie zapytywałem stroskany, widząc ludy i ludzi Europy obracających się, jak mdłe pyły, w wirze osobistych interesów. Ty sobie zaufasz, bo w tylu położeniach trudnych do przebycia poznałeś siebie samego; ale czy ci zaufają inni?

* * *

Jestem po drugi raz w Kadyksie i puszczam się do Gibraltaru parostatkiem katalońskim, wracającym do Barcelony przez Taryfę, Gibraltar, Malagę, Almeryę, Kartagenę, Walencyę i Tarragonę.

Konsul angielski w Kadyksie opatrzył paszport mój wizą do Gibraltaru. Nie łatwo ją uzyskać, rząd bowiem Wielkiéj Brytanii niechętnie dozwala cudzoziemcom pobytu w twierdzy. Nieufność ta nie wiem czém może być usprawiedliwioną.

Czekaliśmy długo na gubernatora miasta Algesiras, osobę dostojną, wysmukłą, wysoką, sztywną siedmdziesięcioletnią, z twarzą długą, cierpką i pomarszczoną. Prawdziwy grand Hiszpanii!

Przybywa nareszcie dostojna osoba. Windujemy kotwicę, i puszczamy się na morze. Zgiełk wielki na pomoście. Gaworzą nieznośnie swém narzeczem Katalończyki. Język to brzydszy jeszcze jak portugalski, dla Kastylijczyka zupełnie niezrozumiały, podobny dźwiękiem do skrzypienia młynka od kawy, porządnie zakatarzonego.

Około południa byliśmy na wysokości Trafalgaru, tuż pod sławnym przylądkiem, gdzie floty francuzka i hiszpańska wraz z swym zwycięzcą Nelsonem, grób swój znalazły. Do dziś dnia burze wydobywają z głębi oceanu szczątki okrętów tu zatopionych.

Ale cóż tam wzrasta na widnokręgu południowym, z pomiędzy mgły i obłoków? To brzegi Afryki; to przylądek Spartel.

*Don Fadrjque Jesus Maria de la concepcion Juan Baptista de Torres Castellanas y Quintanar, Visconde de Casarabonda, Gubernador Real de Algesiras y Caballero de San Yago de Compostella* wyświadczył mi zaszczyt zbliżenia się do mnie, i zaczął, po ukończeniu wszystkich formalności wstępnych, najnielitościwiéj psy wieszać na heretyków.

— Zapewne mnie Wasza Excellencya bierze za Anglika? Nie mam zaszczytu należeć do tego narodu, jestem sobie po prostu.....

— *Ah Caballero! por Dios un muy fiel defensor de nuestra santa confession!* A, jak się cieszę! doprawdy, na honor!

Pan gubernator raczył teraz zmienić tok rozmowy, nie odrazu wprawdzie, ale po stosownych do okoliczności zwrotach, preludyach, introdukcyach i apostrofach. Nareszcie zsiadłszy z heretyków, wsiadł na Maurów i nieubłaganie po nich jeździł. Torquemada i Ximenes nie mogli o nich mówić z większą nienawiścią. Często zwiedzał brzegi Afryki, ale nigdy nie wrócił do ojczyzny, bez doświadczenia jakiéjś dotkliwéj nieprzyjemności ze strony tych Kafrów, tych dzikich zwierząt, sprzysięgłych przeciw chrześcianom. Anglicy tylko doświadczają lepszego od nich przyjęcia, ale »kruk krukowi oka nie wydziobie«, dodał Don Fadrique etc. etc. etc.

— A ja jednakże myślę odwiedzić Maurów w ich teraźniejszych siedzibach. Naród ten niegdyś był tak rycerskim, oświeconym, przedsiębierczym! Nie sposób, żeby się miał zupełnie wyrodzić — rzekłem naiwnie.

Pan gubernator obrócił się na pięcie, i pod nosem śpiewał następujący pacierz:

»Santa Maria, stella del mar!
Salva nos de Moriscos
Y de hereticos
Y de los demas amigos del mal!«

(Święta Maryo, gwiazdo morza! chroń nas od Maurów, i od heretyków, i innych przyjaciół czarta.)

Mijamy Taryfę i stajemy pomiędzy słupami Herkulesa, w ściśnionych wodach oceanu, tracącego tu swoje nazwisko. Widok to pyszny, zdolny oczarować najapatyczniejszą duszę! Dwa niebotyczne wały wznoszą się po obu stronach wód huczących jak grzmoty, pnących się białą pianą wysoko po krawędziach skały, jak gdyby rozbić usiłowały te zapory! Na prawo wyziera po nad obłoki Abyla, przedmurze Afryki, i przypatruje się Europie. Ani jednéj na nim chatki ani lepianki; wilki tylko, dziki i skoczne małpy tu mieszkają. Na lewo kąpie się w nurtach morza, ale śpi w téj chwili ów niezmierny potwór skalisty, który nazywają opoką gibraltarską. Pilnuje wejścia do morza Śródziemnego ten kolos ogromny, z którego oka

spuścić nie zdołasz, którego widokiem nigdy się nie nasycisz.

Na podnóżu tego widma pnie się i rozpościera tysiąc ładnych domów różnéj wielkości:— to miasto Gibraltar. Piętrzą się baterye jedne nad drugiemi, i wyzierają tysiącami długich, czarnych armat na przystań, na ciaśninę i na język piaszczysty, łączący tego tysiącznookiego Argusa z ogrodem Hesperyd, które we trzy tylko jedno oko miały, i dla tego wkraść się tu dały Anglikowi.

Baterye, baszty, zamki, wieże, reduty i atałaje sterczą wszędzie, gdzie tylko skrzydło ptaka dolecieć może. Aż cierpnie krew w żyłach, nawet temu, który nie wie, że ten potwór wydrążony jest w środku potrójną galeryą, i że w niéj dyszy tysiąc jeszcze armat, plujących ogniem i żelazem na wszystkie strony, aż na brzegi Afryki.

Sześć tysięcy żołnierzy angielskich w czerwonych mundurach kręci się i uwija po ulicach i ścieżkach, spacerach zawieszonych jak ogrody Palmyry na skalistych tarasach, po całéj powierzchni góry. Powiedziałbyś, że to niezmierny kaktus i rój koszenilli.

Dwieście szyldwachów wysokich, milczących i poważnych strzeże tego zaklętego miejsca; jedni przy bramach, drudzy w redutach, inni jeszcze tam wysoko, wysoko na grzbiecie Tytana, pod słońcochronami wkopanemi w ziemię połyskują szkarłatnemi mundurami w gorących promieniach słońca.

A wieża strażnicza ciągle daje znaki: widzi co się dzieje wszędzie na około. Żadna feluka, żadna łódź nie ujdzie jéj oka: pilnuje honoru Wielkiéj Brytanii.

Spadła kotwica i słońce już zapada; każdéj chwili działa fortecy zagrzmieć mogą wieczorném pozdrowieniem, a oficera komendy portowéj nie widać. Miałżebym stracić noc jeszcze całą z tym grandem maurofobicznym, z tymi Katalończykami uszy kaleczącymi? Ah! przecież jakieś czółno zbliża się ku nam szybko jak strzała, jakiś jegomość w mundurze marynarki pyta się nas rozkazującym tonem: »zkąd? dokąd? co wieziecie?« Prócz mnie, do Gibraltaru nikt wylądować nie chciał! »Mogęż się zabrać z panem?« zapytałem dumnego oficera portu. Posiadał on długi nos, takąż twarz, szerokie usta, wielkie czarne niespokojne oczy, przytém śniadą miał cerę jak ziemia, i w ogóle nieprzy-

jemnego był oblicza. Jedném słowem była to istota z rodziców angielskich, tutaj w Gibraltarze zrodzona, »a rock-lizard« jaszczurka skalna, jak ją Anglicy zowią.

Takie indywiduum kubana nie przyjmie, za dumne na to; ale też chętnie żadnéj nie wyświadczy usługi, za złośliwe na to. Dumny zawsze jest złośliwym, skoro nie jest głupim.

— Kto pan jesteś?— zapyta jaszczurka.

— *An english Doctor, natif of Poland, Sir* — odpowiedziałem.

— *Jump in the boat, Sir*, skacz pan w łódź.

Wstępuję do Gibraltaru główną ulicą, pełzającą u podnóża skały. Jaki tu zgiełk, jaki tu hałas! Tutaj chmury ludu, i jakiego ludu?— żeglarze wszystkich krajów: Grecy, Żydzi, Maurowie, Francuzi, Genueńczycy, Maltańczycy i Turcy. Tam gruppa oficerów angielskich pięknych, wesołych i w świetnych mundurach; tutaj znów Hiszpanie otuleni w czarne płaszcze, i strzelający na Anglików z ciemnych bystrych oczu jak z pistoletów; daléj w spódnicach szkoccy górale i romaiccy wyśpiarze. Nie masz w całéj Europie ulic podobniejszych do maskarady, do takiéj mówię, gdzie istnieje życie i dowcip.

Ryknęło działo wieczorne, zachwiała się cała opoka. Sto doboszy uderzyło w bębny, sto muzykantów zajęczało w trąby, waltornie i klarnety. Tambur-major, jak dąb wysoki, dał znak potężną buławą, ruszył z miejsca liczny, huczący, szkarłatny hufiec. Odezwały się wszystkie echa potężnéj skały i klaskały w ręce. Oto capstrzyk gibraltarski.

W téj chwili pojąłem dumę Anglików.

Wieleby można powiedzieć o Gibraltarze. Jest to miejsce nader ważne dla historyka, polityka, etnografa i naturalisty.

Jak dziwnym sposobem dostał się Gibraltar w ręce Anglików! jak ważną grą rolę w równowadze Europy! a przytém jaki tu stek ludności z całego świata! Nie masz kraju, któryby tu swego nie wysłał kontyngensu.

Dla naturalisty Gibraltar ma nadzwyczaj wielką ważność: najprzód jako dla geologa, potém jako dla zoologa.

W części skały naprzeciwległéj Afryce, ze dwa tysiące stóp nad powierzchnią morza, znajduje się otwór okrągły, mający przynajmniéj ze dwadzieścia stóp średnicy. Tym otworem pełza się, czołga pochyłą ścieżką w wnętrze ska-

ły, i staje się, uszedłszy 300 stóp, w obszernéj otchłani, podpartéj naturalną, prawie w środku stojącą kolumną. Ztąd kilka otworów poziomo leżących prowadzi do przepaści, których dotąd żaden człowiek nie był w stanie zgłębić, i w których wielu ciekawych i ekscentrycznych Anglików straciło życie; pomiędzy innemi, niedawno dwóch braci od jednego razu.

Podanie głosi, że ta pieczara, rozmiarów prawdziwie olbrzymich, służyła bałwochwalcom za świątynię, w któréj ubóstwiano Herkulesa. Ale żaden zabytek starożytności, żaden posąg, nie świadczy o prawdzie tego podania.

Podróżni, którzy się spuszczali na linach do wnętrza tych przepaści, zgadzają się na to, że drogi do nich rozpadają się na lewo i prawo na nieskończoną ilość pomniejszych ścieżek. Pokazuje się tedy, że cała ogromna skała gibraltarska wydrążoną jest wszędzie jak kawał pomeksu, wyrzucony z wnętrza wulkanu. Oczywiście wulkanicznego jest pochodzenia ten głaz ogromny.

Ale te niezmierne pieczary nie mogą być bez missyi, przeznaczenia lub użytku.

Pewno, że nie. Anglicy nie umieścili tu wprawdzie żadnéj fabryki, żadnéj szkoły biblijnéj, żadnego meetingu; ale pewne zwierzęta, niestety aż za nadto do nas podobne, założyły tu swój cmentarz. Tu się nawet chronią, kiedy wicher świszczy ze wszech stron, kiedy gdzieindziéj schronić się nie mogą.

Co to za zwierzęta, niestety aż za nadto do nas podobne?

Zagadujesz czytelniku, jakie to istoty? Skała gibraltarska ostatnim jest przytułkiem małp, w dzikości żyjących i bez sukni chodzących. Tu w téj jaskini małpy chowają swych nieboszczyków, tu nieraz przychodzą płakać nad grobami swych lubych. Nie jeden szyldwach angielski świadkiem był małpiego pogrzebu, nie jeden widział czułą wdowę przybiegającą na trzech rękach i z niemowlęciem na plecach, płakać nad grobem swojego męża.

Brzmi to prawdziwie jak bajka, i nie jeden z mych czytelników będzie się obawiał uwierzyć w moje opowiadanie. Ale tak jest istotnie. Anglicy nie są łatwowierni, a oni wierzą w hołdy, które małpy składają swym nieboż-

szczykom. Zresztą, mnóstwo tu kości i czaszek zupełnie podobnych do ludzkich, tylko cokolwiek mniejszych.

Tyle dla geologów i zoologów. Wróćmy do Maurów.

Często tu przybywają. Anglia bowiem w przyjacielskich zostaje stosunkach z cesarzem marokańskim, i sprowadza całą żywność do garnizonu i ludności Gibraltaru z państwa marokańskiego. Ciągnie z nich także inne korzyści; później o tém. Maury także udają się bardzo często okrętami angielskiemi na brzegi Syryi dla zwiedzenia Mekki i Medyny: idą i wracają na Gibraltar.

Osobną mają gospodę w Gibraltarze: rodzaj to karawanseraju, gdzie są małe stancyjki dla możniejszych, wielki dziedziniec dla biednych, a krużganek dla średniéj klassy. Równości bowiem nie masz nawet pomiędzy Maurami.

Nieraz chodziłem do tego karawan-seraju, i podziwiałem tam wszystkich różnokolorowych synów Afryki: od czarnego jak węgiel Etyopejczyka, aż do białego jak alabaster szlachcica maurytańskiego. Maur bowiem, gdy się pieści i muska, tak delikatną zdobywa cerę, jak panna gdy ocet pije. Trzeba wiedzieć, że dla tryumfu teoryi antagonizmu, lew Atlasu stara się wyglądać jak owieczka, a owieczki Sekwany, Sprei i Dunaju usiłują sobie nadawać fizyonomie lwów.

Tak tedy w gibraltarskim karawan-seraju było ze sześćdziesiąt Afrykanów z państwa marokańskiego. Pomiędzy nimi kilkanaście osób z wyższéj klassy, ubranych z całym przepychem i świetnością oryentalną: w turbany białe jak śnieg, w kaftany z karmazynowego lub zielonego atłasu, bogato srebrem i złotem haftowane, i w niezmiernie szerokie hajdawery, galonami i wyszywaniami ozdobione. Przytém pyszne a lekkie burnusy fantastycznie drapowane.

Niektórzy z nich byli przystojni, lecz uderzającéj piękności było tylko dwóch młodzieńców, około lat 18 mających, cery tak białéj i delikatnéj, rumieńca tak czystego, jaki się tylko na licach pięknych córek Albionu zwykł jawić.

Osobą najważniejszą, któréj reszta towarzystwa uniżone oddawała hołdy, był Maur wysoki, atletycznéj budowy, około lat czterdziestu liczący. Kamizelę miał z białego kazimirku, zielonemi arabeskami sztucznie haftowaną, spodnie z zielonego tybetu, w niezliczone fałdy; głowę miał

otuloną w bieluteńki szal kaszmirowy i tak długi, że spadał na barki, otaczał pas, i w bogatych spływał draperyach aż na ziemię. Rodzaj to burnusu, zwany po arabsku *haik*, w wielkiém będący poszanowaniu od niepamiętnych czasów u Maurów. Sam szal miał przynajmniéj 300 dukatów wartości. Ramiona muszkularne, żelazne, tego dygnitarza marokańskiego, wychodziły nago z pod wylotów kamizeli; nogi od kolan także nagie, stopy tylko miał w żółtych papuciach wyszywanych wielkiemi perłami. Prócz tych pereł, których wartość mogła dochodzić do 100,000 złp., nie miał najmniejszego klejnotu ani w uszach, ani na szyi, ani na palcach, i tém się odróżniał od reszty arystokracyi maurytańskiéj. Poważna czarna broda spływała po obnażonéj, silnéj, wypukłéj piersi, porosłéj jak u niedźwiedzia czarnym, świecącym włosem. Rysy tego Maura, prawie klassycznéj regularności, srogiego były i nieubłaganego wyrazu, a oczy, za małe na rozmiary twarzy, błyskały dumą i fanatyzmem. Nigdy tam nie zabłądził uśmiech, tak zawsze były ponure: ta twarz, to zmarszczone czoło, którego żadna radość nigdy nie rozjaśniała.

Osoba, nad któréj opisem tyle się rozwodzimy, siedziała na pysznym dywanie, z skrzyżowanemi nogami, w głównéj sali karawan-seraju. Drzwi jéj wychodziły na krużganek otaczający dziedziniec, i były otwarte.

— Możemy iść powitać tego dygnitarza marokańskiego, otoczonego tak świetnym hufcem kawalerów dworskich— rzecze do mnie tłómacz seraju, Genueńczyk rodem.

— Chętnie, ale powiedz mi najprzód, kto jest ten dygnitarz?

— To jest *santuron* nadworny cesarza.

— Co to jest santuron?

— Santuron, znaczy święty. Ten tu właśnie wraca z Mekki, gdzie był już cztery razy; teraz dopiął najwyższego szczebla świętości, i znaczy w kraju prawie tyle, co najwyższy iman, to jest kapłan, choć sam nie jest kapłanem, tylko cywilnym świętym, a przytém ulemą, to jest prawnikiem i potomkiem z rodziny Mahometa, co łatwo odgadnąć z koloru zielonego jego spodni. Patrz pan, jak okropnie oczami wywraca. Oh, to wielki święty! idźmy go powitać.

Zbliżam się do santurona, kładę rękę na sercu, a potém na głowę, i mówię: »*Wa la galib illah Allah!*« (Bóg tylko jest zwycięzcą!)

Santuron spojrzał się bystrym wzrokiem na mnie, przyłożył rękę do serca, i rzekł głosem dzikim i stłumionym: »*Kapul ud bag, Sidi, li Allah Mahomi-Allah hedżina.*« (Bóg tylko jeden, a Bóg Mahometa jedynym prawdziwym.)

— Powiedz, że nie przystaję na to — rzeknę do tłumacza; ale santuron złożył ręce na piersi, wywrócił oczy w górę i rozmawiać już nie chciał ze mną.

— Jego dusza teraz w niebie, rozmawia z kuzynem Mahometem — rzecze do mnie tłómacz; — on jest teraz w zachwyceniu, czyli raczéj udaje, że jest w zachwyceniu. To stereotypowy figiel tych santuronów i marabów; widujemy ich często od czasu, jak rząd Anglii ułatwia im podróż do Mekki i Medyny. Grzeczniejszym byłby może dla pana, gdyby wiedział, że pan lekarzem.

— A to dla czego? nie wygląda na chorego ten lew Atlasu.

— Nie dla siebie potrzebuje on lekarza, ale dla armii swego pana, srogo nawiedzonéj jakiémś epidemicznem zapaleniem ócz, kończącém się najczęściéj ślepotą. Santuron zastał tu za swym powrotem z miejsc świętych listy z Maroko, przywiezione mu przez kilku z przytomnych tu paniczów, i w skutek tych listów wszedł w układy z obecnym tu okulistą angielskim, Sidi Alhamilt-Bejem.

— Nie słyszałem nigdy o Angliku z tureckiém nazwiskiem.

— Sidi Alhamilt-Bej jest to nazwisko egipskie doktora Hamiltona.

— Doktor Hamilton tu w Gibraltarze? to mój dobry znajomy; a gdzież mieszka? na Boga! powiedz, gdzie mieszka?

— Mieszka u komendanta placu, majora Campbell z drugiego pułku gwardyi szkockiéj.

— I to mój znajomy, czyli raczéj ojciec znanéj mi w Hebrydach rodziny. Naści piastra dragomanie serajowy; spieszę do komendanta placu.

Taka się odbyła scena w karawan-seraju gibraltarskim.

## ROZDZIAŁ II.

DR. HAMILTON. — SIR EVERARD CAMPBELL MAJOR GWARDYI SZKOCKIÉJ.—PROPOZYCYA WYCIECZKI DO MAROKO PRZYJĘTA.— ODJAZD.—DYANA.—PROTEKTOR.—TARIFFA.— SCENA KRWAWA NA POKŁADZIE.—TANGIER.—KAPITAN PORTU.—KANONIERY.— MINARET.— MECZET. — KONSUL ANGIELSKI. — OBIAD.— ABD-EL-KADER.

Doktora Hamilton poznałem w Londynie. Byłto człowiek bardzo sprężysty i przedsiębierczy. Po stracie młodéj żony, którą kochał namiętnie, oddał dwie pozostałe mu córeczki siostrze swéj w opiekę, i puścił się lat temu kilkanaście, pędzony potrzebą silnych wrażeń, do Aleksandryi w Egipcie.

W krótkim czasie wsławił się tutaj jako zręczny i szczęśliwy chirurg i okulista; wkrótce potém powołany do wicekróla, umiał mu się nadzwyczajnie podobać, i użytym został do organizacyi szpitalów i szkół lekarskich w Aleksandryi i Kairze. Walczył bardzo długo ze wszystkiemi przeszkodami, które niedbałość wschodnia, przesądy i zabobony, wznoszą przeciw wierze w skuteczność sztuki lekarskiéj. Walczył z niesłychaną odwagą i pokonał trudności. W dziesięć czy jedenaście lat dosłużył się godności beja, wyrównywającéj stopniowi pułkownika, i zebrał piękny majątek, do pół miliona złp.

Tymczasem córeczki pozostałe w Anglii dorosły; trzeba było myśleć o wyposażeniu ich. Pan Hamilton uzyskał od wice-króla Egiptu urlop na lat dwa, i udał się do swéj ojczyzny, gdzie go miałem szczęście poznać.

Urządziwszy interesa familijne, wracał teraz do Egiptu. W Lizbonie zatrzymał się na prośby dworu kilka tygodni, a potém przybył do Gibraltaru, gdzie go zatrudnienia lekarskie już od tygodnia przytrzymały.

Majora *Sir Everard Campbell of Mull* nie znałem wprawdzie osobiście; ależ byłto ojciec owéj prześlicznéj Dyany Hebrydów, którą poznałem niegdyś w Mull, któréj odstąpiłem mego kaledońskiego kucyka. Pewnym byłem, że Miss Clarissa mówiła o mnie swemu ojcu, że rozrzewniła jego szkockie serce opisem zapału, z jakim zwiedzałem starodawne siedziby Campbellów.

I nie zawiodłem się. Przyjęto mnie z rozczulającém współczuciem.

Nareszcie Dr. Hamilton przemówił do mnie w sposób następujący:

— Najszczęśliwszy traf zsyła cię tu do Gibraltaru, mój kolego. Cesarz marokański, a raczéj syn panujący w jego imieniu, uwiadomiony o mojém przybyciu do Gibraltaru, zlecił powracającemu z Mekki santuronowi zaprosić mnie do swéj stolicy, dla nauczenia lekarzy tamecznych sposobów leczenia owego okropnego zapalenia egipskiego ócz, które mu corocznie kilka tysięcy żołnierzy na kaleków przemienia. Chętnie odwiedziłbym kraj marokański, bardzo mało znany, ale nie sam, tylko w towarzystwie kolegi, którego mam upoważnienie przywieźć z sobą. Wzywam cię tedy do uczęstnictwa w téj wycieczce, która nie potrwa dłużéj jak sześć tygodni. Podróżując pod protekcyą Anglii, nie doznamy żadnych, zdaje się, przeszkód i trudności.

Znałem Dr. H. jako człowieka zacnego, śmiałego i w pożyciu przyjemnego. Żądza zwiedzenia Afryki, od tak dawnego czasu we mnie pałająca, mogła być zaspokojoną! To było dostateczném.

Już za dni kilka, zaopatrzywszy się w żywność różnego rodzaju, mianowicie w doskonałe wędliny, wina i lekarstwa, wsiedliśmy na bryg kupiecki dążący do Tangieru.

Bryg ten, jestto nasz stary znajomy. Poznaliśmy go niegdyś przed laty w Falmouth w Kornwalii, potém odnowiliśmy naszą znajomość pod Ayamonte, przy ujściu Gwadyany, na tępe i ostre wystrzały, a teraz powierzamy jego pokładowi nasze życie.

Żadnego śladu dawno stoczonéj walki nie było znać na pięknéj Dyanie. Niktby nawet nie śmiał powiedzieć, że Dyana walczyć umie.

Statua jéj złota błyszczała w rzęsistych promieniach południowego słońca. Ani też nic nie wyjawiało najwpra-

wniejszemu oku, że córka Apollina mogła w razie potrzeby wytrzeszczyć zęby i ogniem plunąć na swą zdobycz. Luki zamknięte, zakitowane, pokostem pokryte; tylna część pomostu niby żaglami zawalona, nie widać na nim armat; do dolnego pomostu nikogo nie puszczano z passażerów, a wielka kajuta kapitańska tak była zbudowaną, że pod boczne łóżka można było wepchnąć działa, i pokryć je drzwiczkami.

Takiemi sposobami można było ujść oka ciekawego passażera; ale nie wystarczyły one na oszukanie władz portowych i policyi morskiéj, znającéj kruków nietylko z piór i krzyku, ale i z chodu i lotu.

Wiedziała dobrze admiralicya angielska, co się kryło w naszéj Dyanie, i nietylko nie sprzeciwiała się jéj zamiarom, ale owszem pomagała do ich wykonania, gdzie tylko mogła.

Dyana w téj chwili wiozła broń i amunicyę Abd-el-Kaderowi, a ta broń i ta amunicya pochodziła ze składów rządowych w Gibraltarze.

Prawo wizyty (*le droit de visite*) służy wprawdzie marynarce francuzkiéj, tak jak i innym mocarstwom sprzymierzonym przeciw rozbojom morskim, handlowi niewolnikami i zbrojnéj kontrabandzie. Ale niechże Francya zechce wykonać to prawo wizyty na angielskich statkach, a zobaczy co się święci. Wiele mówią i drukują o marynarce francuzkiéj, ale łatwiéj błyszczéć na papierze, jak na falach oceanu. Francyi wpływ niknie tam zupełnie, gdzie Anglia swą nogę postawiła.

Na kilka minut przed wyciągnieniem kotwicy, przybiła do naszego statku wielka łódź, napełniona osadą w świetne barwy ubraną. Bylito nasi Maurowie odprowadzający santurona, pozostającego w ciągłym stanie zachwycenia i złego humoru. Zaledwie raczył przywitać się z nami przyłożeniem ręki do serca. Orszak jego, grzeczniejszy daleko, witał nas uściśnieniem ręki. Dwaj piękni młodzieńcy, o których wprzódy wspomniałem, byli mirzami, ze strony matki z dworem spokrewnieni. Ojciec ich khasnadar, to jest obożny cesarski, w wielkich był u dworu łaskach.

Patrząc z nieprzezwyciężonym wstrętem na naszego protektora, cieszyłem się, że trzykolor Francyi na naszym nie powiewa maszcie; on swoich zwolenników bronić nie umie!

Część orszaku odprowadzającego Maura wróciła do Gibraltaru, zaraz po wypłynięciu z przystani. Pożegnała się z nim z pokorą, z nami zaś z pewną serdecznością, mówiąc: »*Allah ebbady charud el Marok!*« co znaczy: Bóg niech czuwa nad wami w kraju marokańskim.

Wiatr świszczy w liny i miota flagą, ta zlata przy odgłosie dział, przesyłając ostatnie pożegnanie Europie.

Stary świecie! w którym wszystkie moje skupiają się uczucia, w którym leży mój kraj rodzinny, żegnam cię na czas niejaki!

Wiatr dął potężnie i właśnie w kierunku wprost przeciwnym naszemu biegowi. Musieliśmy krzyżować dla schwytania go w nasze żagle. Podbiegliśmy aż pod samą twierdzę Tariffy, tak często wspominaną w rycerskich balladach. Któż nie słyszał o jéj komendancie Don Alonzo Guzman, który wolał znieść widok konającego syna swego, ukrzyżowanego przez Maurów pod murami twierdzy, niż poddać się haniebnie kalifowi, oblegającemu miasto?!

Na wysokości latarni morskiéj zwracamy się ku wschodowi południowemu, i wkrótce potém Tangier okazuje się na krańcu widnokręgu, biały jak gołąb siedzący na swém gnieździe.

Ale wiatr wyje i miota okrętem. Nie spodziewano się takiéj nawałnicy; między passażerami zgiełk i nieporządek na pokładzie. Oberbotsman Dyany, człowiek brutalski, prawie ciągle pijany, przechodząc z jednego miejsca na drugie, potrącił tak mocno siedzącego w zachwyceniu santurona, że ten zwalił się jak długi na pokład; lecz powstawszy natychmiast, rozjuszony jak lew, uderzył niezgrabnego Anglika w głowę tak mocno, że tenże padł na wznak na pokład, i ruszyć się nie mógł z miejsca.

Santuron zaś usiadł znów z skrzyżowanemi nogami, i znowu wpadł w zachwycenie, nie zmieniwszy ani na chwilę wyrazu swéj twarzy.

Na widok zniewagi wyrządzonéj koledze, wszyscy majtkowie angielscy porwali się do pięści; ale Maurowie otaczający santurona, dobyli z za haików i burnusów kindżały i groźnie stanęli w obronie świętego.

— Poznaję was, bracia Maurowie!—rzekłem do siebie.

Szczęściem, że się rozsądniejsi wdali w tę rzecz. Dr. Hamilton kazał zanieść oberbotsmana do kajuty i puścić mu

krew natychmiast, zaręczając że przyjdzie do siebie. Z jednéj strony burza, z drugiéj strony obawa rzezi, uśmierzyły wzburzone umysły. Ale Maurowie ani na chwilę nie odstępowali santurona.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, kiedyśmy wpłynęli do przystani Tangieru, i rzucili kotwicę pośród kilkunastu statków genueńskich, francuzkich, duńskich i feluk maurytańskich.

Tu rozwijał się przed nami Tangier w położeniu bardzo malowniczém, wznosząc się na bokach i szczytach dwóch sporych pagórków, z których jeden śmiały i spadzisty, nurzał się w huczącym odmęcie oceanu, a drugi w lekkich pochyłościach zstępował wolniéj na piaszczyste wybrzeże przystani.

Miasto było zabezpieczone wysokiemi wałami od strony lądu, przegradzającemi górę od morza, a dość niskiemi od stron z przyrody niedostępnych. Po nad stopami obu pagórgów umieszczono kilka bateryj z ciężkiemi działami skierowanemi na przystań, a nad bateryami piętrzyło się miasto po tarasach, jak po stopniach olbrzymich schodów. Skała, domy i wały, słowem wszystko było białe, ale tak rażąco białe, jak gdyby z ogromnéj skały wapiennéj wykute. Tu i owdzie tylko kilka drzew wyskakiwało z pośrodka tych płat śnieżnych, wysokie jak nasze najwyższe sosny, gęsto na wierzchołku pokryte liściem długim na pięć stóp, a grubym i mocnym jak palona skóra. Palmy te rosły w ogrodach haremów; około ich stóp igrają niezawodnie czarnookie śnieżnolice huryski. Tuż przed nami wspina się dość wysoka wieża pstro malowana. To minaret; należy on do głównego meczetu tangierskiego. Czarna długa chorągiew powiewa nad minaretem z powodu święta żałobnego, zwanego Aszor.

Piękna ława bieluteńkiego piasku odgranicza morze od miasta i ciągnie się daleko, daleko aż do przylądka Alminaru, gdzie sterczy latarnia morska, migająca światłem czerwoném i zieloném.

Od południa, na odległym, bystremu oku tylko czasem dościgłym widnokręgu, połyskują w promieniach zachodzącego słońca wierzchołki starego i niezmordowanego Atlasu. Dźwiga on od niepamiętnych czasów to nasze stare poczciwe niebo.

Ze wschodu pasmo gór Gibil Muza wzbija się w obłoki; daléj, wieczny Tytan, pik tetuański. Takim jest Tangier, takiemi jego okolice.

Przedmurzem, obroną przystani tangierskiéj, jest kamienna tama, wchodząca na 2000 stóp w odnogę. Są tylko szczątki pysznéj tamy, którą Anglicy, lat temu czterdzieści kilka opuszczając Tangier, prochem w powietrze wysadzili. Maurowie nie śmieli nigdy wziąć się do odbudowania kosztownego tego dzieła. Dziś w wielu miejscach wściekłe fale morskie przełamują kamienną zaporę i strącają w otchłań niezmierne głazy, niegdyś z takim trudem tu napiętrzone.

Łodzie nasze przecież dobijają do brzegu. W jednéj siedzi santuron z swym orszakiem do boju gotowym; w drugiéj siedzi towarzystwo europejskie.

Dobijamy do brzegu, stajemy na gruncie Afryki. Witaj Afryko! ty milczący sfinksie, który kryjesz w sobie nieodgadnięte jeszcze ludy i państwa, i przechowujesz zdaleka od oczu naszych cywilizacyę jakąś, na odrębnych od znanych nam wykształconą podstawach.

Czekało tu nas pod bramą miasta kilkanaście osób: kapitan portu, ogromny, stary barbarzyniec, z siwą, nieczęsto czesaną brodą, w brudnym turbanie, haiku i dziabadorze (kaftanie), z gołemi nogami, których ogromne stopy zaledwie tkwiły w dziurawych pantoflach. Ale sokół, choć z pierza brzydki, pyszny miał dziób i pazury: cały był uzbrojony w broń najpiękniejszéj roboty, suto złotem nabijaną, drogiemi kamieniami wysadzaną.

Barbarzyniec ten, pocałowawszy santurona z największą uniżonością w rękę, przywitał nas mówiąc: »*Abi behhr salmalek Sidi*« (bądźcie mi serdecznie powitani panowie).

Pomiędzy czekającemi był pan Drummond-Hay, syn generalnego konsula angielskiego, i zięć tegoż major Petersen, konsul szwedzki; przytém dragoman konsulatu angielskiego, renegat izraelski, sztuka filuterna, i czterech janczarów tegoż konsulatu, ubranych czysto i pięknie w kaftany i spodnie szkarłatne, podobnież wysokie turbany z zawojem białym muślinowym, i w pstre burnusy. Deputacya ta przybyła w celu zaproszenia nas do konsula Anglii, złożonego chorobą i uwiadomionego od dwóch dni o naszém przybyciu.

Po za bramą pięliśmy się spadzistą i krętą ulicą w górę. Na lewo grozi baterya pełna ciężkich żelaznych armat, wy-

mierzonych na przystań. Obdarci kanonierowie siedzieli przy nich na piętach z zapalonemi lontami.

Na prawo, ściana skalista zasłaniała wszelki widok. W pewnych odległościach były w niéj wykute dość głębokie framugi, służące za ochronę żebrakom i biednym przekupniom. Tą drogą doszliśmy na obszerny w skale wykuty taras, gdzie stał wyżéj wspomniony meczet. Przypatrzywszy się bliżéj minaretowi, dostrzegłem w nim wielkie podobieństwo do Giraldy sewilskiéj: nie co do koloru, minaret bowiem z różnokolorowych postawiony kamieni, przedstawiał pstrą mozajkę, a Giralda z kamieni różowych wzniesiona; ani co do wielkości, tylko co do kształtu budowy i niepojętych myśli, zawartych w owych dziwnych znakach, które się snują po obu budowlach, jak tkanka jaka czarodziejska. Obie budowle są, że tak powiem, istnemi godłami wielkości tych, którzy je wznieśli. Giralda, cud świata, przedstawia dumnego i pysznego Maura, zwycięzcę ziemi; minaret tangierski zaś, Maura słabego i zniewieściałego, zaledwie znanego światu, ale strojnego w ubiór malowniczy, pełnego jeszcze uroku w swych pojęciach o honorze, w swych uczuciach poetycznych, w swych gustach romansowych.

Przechodząc, zatrzymałem się u bramy meczetu, i ciekawe rzuciłem spojrzenie na wewnątrz. Nie spostrzegłem nic, prócz czworobocznego dziedzińca, brukowanego taflami kamiennemi, w mozajkę ułożonemi.

W środku była marmurowa fontanna, przy któréj kilku Maurów odbywało obmywania; wzdłuż boków ciągnęły się pod arkadami małe kapliczki, podobne do stacyj w dziedzińcach naszych klasztorów. W środku dziedzińca stał meczet; wnijście do niego zasłonięte kurtyną. Wszystko wyglądało bardzo czysto, ale skromnie.

Wyznam nawet, że było coś uroczystego w téj nagości przybytku mahometańskiego, w téj spokojności i cichości tu panującéj, w postaciach tych Maurów pogrążonych w rozpamiętywaniach i dumaniach. Stanęliśmy mimowolnie wszyscy przy drzwiach, prowadzących do dziedzińca, ujęci tym widokiem. Wtém głos donośny, straszliwy jak ryk lwa na puszczy, spadł ze szczytu minaretu, jak z trąby archanioła:

»*Kapuhl ud bag! kapuhl hedżina!*« Bóg jest jeden, Bóg jest jedyny! (1)

Zwracamy się na lewo w przejście prowadzące pod minaretem, i zaledwie kilka uszliśmy kroków, kiedy nas doszedł gwar głosów dziecinnych, powtarzających za muftym wiersze alkoranu. Znów inna nauka dla nas chrześcian. Maur uczy swe dzieci ustępów najważniejszych téj księgi prawa, która mu służy za podstawę wiary.

Jeszcze kilka krętych ulic, i stajemy w konsulacie angielskim. Mieszkanie obszerne, zupełnie europejskiéj budowy, z wielkim dziedzińcem, w środku którego pluska ciągle i żwawo fontanna przezroczystéj wody.

Wprowadzono nas do obszernego i chłodnego przedsionka, na którego ścianach zawieszone były skóry ze zwierząt drapieżnych, przez konsula upolowanych. Od lwa aż do podłego szakala, cała rodzina niszczycieli była tu swą siercią reprezentowaną.

Pan Drummond-Hay, konsul generalny Wielkiéj Brytanii, podagrą dręczony, leżał na kanapie, i oczekiwał pomocy Dra Hamiltona. Dawnyto oficer marynarki królewskiéj, ranny kilkakrotnie, przytém wielki myśliwy i namiętny zwolennik Madery i Xeresu. Nie był członkiem towarzystwa żadnéj wstrzemięźliwości.

Santuron z swym orszakiem opuścił nas na dziedzińcu konsulatu, oznajmiwszy zimno, prawie z pogardą, że nas uwiadomi, kiedy karawana wyruszy do Maroko.

— Co ja słyszę?—krzyknął konsul—co ja słyszę? tożto ten chytry tygrys Zahary ma was zaprowadzić do Maroko? Tożto jemu powierzono missyę namówienia was do wycieczki? Jemu? a wszakżeż on sam ma pretensyę leczenia zażegnywaniem lepiéj, niż wszystkie fakulteta europejskie swemi lekarstwami. Jest w tém coś, co mi się niekoniecznie podoba. Słuchaj Ismaił dragomanie! wywiedz się. Ho! ho! moi panowie! w tym kraju niedobrze powierzać swoje życie świętym.

— To prawda, panie konsulu generalny—rzecze Ismaił dragoman konsulatu—szczególnie takim świętym, co jednym kułakiem majtków angielskich do wieczności przesyłają.

(1) Był to głos Muezzina, czuwającego na szczycie minaretu.

— Co ty gadasz? Ismailu, co ty gadasz?—spytał konsul wstając z kanapy.

Ismail opowiedział całą przygodę, wydarzoną na pokładzie Dyany.

— Jakto! doktorze, i z tego człowieka nie już nie będzie? umrzeć musi w skutek jednego ciosu zadanego pięścią?

— Trudno, mój konsulu—odpowiedział Dr. Hamilton.— Oberbotsman już od dzieciństwa oddawał się trunkowi, a mianowicie gorzałce, mózg ma przepalony, miękki, tak, że lada cios, byleby był *arte* applikowanym na głowę, sprowadzi rozdarcie mózgu i rozlanie się krwi, to jest apopleksyę.

— Do tysiąca milionów! Doktorze, masz dar tłómaczenia się bardzo malowniczo, aż kości cierpną! niech cię dia..., niech cię Bóg błogosławi za to. Koniec końcem byłto cios nielada, chciałbym był widzieć jego applikacyę. Zaprosim jutro santurona do konsulatu, nasadzę mu godnego siebie boksera; satysfakcyę dać nam musi, inaczéj wypowiadamy wojnę cesarzowi marokańskiemu. Oh tak! dziwi mnie bardzo, że człowiekowi tak znanemu z fanatyzmu wściekłego, z niepohamowanéj nienawiści ku chrześcianom, poruczono takie posłannictwo, którego się może dlatego tylko podjął, żeby was przy pierwszéj sposobności zgładzić ze świata. Słuchaj Ismail: szperaj, szukaj, wywiaduj się, szpieguj, a gdy sam nie poradzisz, udaj się do Manueli Diaz, niech wszystkie natęży sprężyny, jutro raniuteńko wyprawi się w podróż z ową Marsylianką nr. 4, i stara się złowić w sieć tych młodych mirzów, skoro będą wracać z meczetu. Oni wszystko wyspowiadają, jeśli co wiedzą. Tak to ładne główki, że zapewne wiele rozumu w nich nie masz.

— To nie żarty, moi panowie — rzecze daléj konsul z twarzą prawdziwie stroskaną:— w ostatnich czasach pojawiła się znów sekta dusicieli, którzy kiedyś, lat temu siedmnaście, w jednym roku do 300 chrześcian w państwie marokańskiém zgładzili. O ile znam santurona naszego, wolno mi go posądzić o należenie do téj sekty; kto wie, może nawet jest jéj przewódzcą. Ale teraz, moi panowie doktorzy, rozgośćcie się w konsulacie, jesteście jego mieszkańcami na cały czas waszego pobytu w Tangierze i okoli-

cach. Oto mój syn, oto mój zięć, oto kilku z mych kolegów i przyjaciół. Przy objedzie poznamy się lepiéj. Daléj, nakrywać!

Istotnie przy objedzie poznaliśmy się z liczném gronem konsulów, sekretarzy konsulatów, kupców bogatych, doskonale obznajmionych z stosunkami politycznemi kraju, i z młodym oficerem inżenieryi angielskiéj, udającym się w missyi dyplomatycznéj lądem do ideału Anglików i Marokańczyków: do Abd-el-Kadera.

Obiad dano godny konsulatu Wielkiéj Brytanii. Bawół marokański, koza dzika z gór Gibil Muza, pstrągi z rzeki Tiszar, spadającéj z Atlasu, sławne jarząbki mogadorskie, nabrały nieskończenie wiele cywilizacyi pod nożem kucharza konsulatu.

Podczas obiadu rozmowa toczyła się o polityce, tak jak w salonach jakiéj stolicy europejskiéj, z większą tylko znajomością rzeczy.

Przepowiadano, że Abd-el-Kader, straciwszy Konstantynę i Maskarę, ścigany przez cztery korpusy Francuzów, będzie się musiał cofnąć ku granicy marokańskiéj, i że wpływem wywieranym na umysły fanatycznych islamizmu obrońców, zmusi cesarza Maroko do wzięcia udziału w świętéj wojnie przeciw Francuzom. Wypadki okazały gruntowność tego rozumowania.

Nie tajono także bynajmniéj, że rząd Anglii wspiera emira prywatną drogą, nie wzbraniając fabrykantom broni i amunicyi przedawać swe wyroby Abd-el-Kaderowi, i protegując kontrabandę wysyłaną do Algieryi francuzkiéj.

To wszystko działo się w Afryce, podczas kiedy pan Guizot cieszył się na trybunie paryzkiéj wynalezieniem naiwnego wyrażenia *entente cordiale*, jako najlepiéj cechującego czułą przyjaźń, istniejącą pomiędzy Anglią i Francyą.

# ROZDZIAŁ III.

WYCIECZKA KONNA.—KUCE BERBERYJSKIE.—RYNEK.—KUPCY I PRZEKUPKI.—BASZA TANGIERU.—BAZAR.—TARG NIEWOLNIKÓW.—AILY NUBIJKA.—KARAWANA.—CMENTARZ.—ZAWIAT.—NIEDŹWIADEK.—SZARAŃCZA.—SĄD KONSULA WIELKIÉJ BRYTANII.

---

Już konie czekają na panów—rzecze do mnie Ismaił nazajutrz rano, równo ze świtem;—już Sidi-Al-Hamilt-Bej ubrany czeka na pana.

— Jakie konie? czy już do Maroko jedziemy? A santuron? a oberbotsman?—krzyknąłem zdziwiony.

— Nie do Maroko, tylko do morza na kąpiel. Taki tu zwyczaj w Tangierze. Santuron wyniósł się nocą, Allah wie gdzie, a oberbotsman wyniósł się na tamten świat przed godziną. Dyana przybrała się w krepę; możesz to pan zobaczyć z miradoru naszego. I my także na znak współczucia opuściliśmy flagę do połowy masztu. To pięknie z naszéj strony, nieprawdaż?

— Nie wiem, co jest w tém pięknego, spuścić flagę do połowy masztu.

— To znaczy, że cały konsultat angielski smutny z tego, że jeden angielski żeglarz umarł w przystani. No, to rozczulająca rzecz! *Ach hymmele hayrum bubes dues!* to bardzo czuła rzecz! Dla jednego pijaka tyle honorów! *away Allah.*

Trzeba wiedzieć, że nasz dragoman był Izraelitą nim został Muzułmanem, i wiele z swych dawnych zachował zwyczajów i zwrotów w mowie.

Stało przed oknami naszemi kilkanaście berberyjskich kuców, stworzeń szczególnéj rasy, udającéj się najlepiéj w górach Barbaryi. Konie te małe, ale nadzwyczaj szerokie w piersiach i krzyżu, krępe, rącze i ogniste, nad-

zwyczaj są silne i zręczne przytém. Pędząc wypuszczonym galopem z najnierówniejszéj góry, nigdy się nie potykają, biegnąc zaś pod górę nie prędko się męczą. Suwają przez rowy i przepaści, jak dzikie kozy. Zły jeździec nie usiedzi na nich, są bowiem bardzo zuchwałe; trzymać je trzyba silnie, nigdy jednakże nie targać wędzidłem, bo je to bardzo niecierpliwi. Ogień jakiś dziki pryska z ich oczu; głowy mają małe, ale czoła wypukłe, szerokie, nosy zgięte, greckie, a nozdrza szerokie, zawsze rozdęte i wewnątrz czerwone, jak konchy purpurowe. Szczególnie zastanawia pamięć konia berberyjskiego; nigdy nie zapominają doznanéj urazy i przy zdarzonéj sposobności mszczą się srodze zębem i kopytem.

Stajen wcale tu nie znają, ani berberyjskie, ani nawet arabskie konie. Stoją pod gołém niebem ze spętanemi przedniemi nogami, przytwierdzone linami do dwóch na prawo i na lewo w ziemię wkopanych palów. Nawet kłaść im się nie wolno. Maurowie utrzymują, że wylegaanie stępia konia i robi go sztywnym. Żywią się jedynie prawie słomą, zawierającą w tych krajach więcéj części pożywnych niż u nas: łatwo się to wyjawia aromatycznym jéj zapachem. Na noc tylko dostają po garncu jęczmienia, w torbie do głowy przyczepionéj. Owies uważany jest tutaj za pokarm koniom szkodliwy. Raz też tylko na dzień pojone są te konie. Zgrzebła tu nie znają, ani szczotki, ale je staranne mycie i pławienie zastępuje.

Koniki te rozmnażają się w górach prawie dziko, i choć małe, używane są pod kawaleryę, nie każdy bowiem Arab posiada konia z czystéj krwi arabskiéj, gdyż zwierzęta te, jeśli są piękne i młode, kosztują czasem do tysiąca dukatów. Ale też rozum, wytrwałość, siła, szybkość, zręczność, mądrość konia arabskiego, stawiają go wyżéj nad wszelkie rodzaje koni.

Koniki berberyjskie tanie są nadzwyczajnie w tym kraju; wartość ich nie przechodzi prawie nigdy 250 złp. Cesarz marokański pod karą śmierci zabronił wyprowadzenia tych koni za granicę. Można wprawdzie ominąć srogość tego prawa wielkiemi podarunkami, danemi baszy, kademu, khasnadarowi i kapitanowi portu; ale wówczas wartość takiego kubanami przemyconego konia dojdzie do 800 i więcéj złotych, a tyle nie warte, choć są ładne i silne.

Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia człowiek jest w stanie pokochać konia. Arab kocha go jak własne swe życie, i każdemu prawie w przytomności swéj rodziny, że prędzéjby zniósł jéj stratę, jak śmierć swego konia. Koń jest dla niego uzupełnieniem własnego jego ciała i jego istności.

Wiemy, że Heliogabal mianował swego konia pierwszym konsulem dożywotnim i wyznaczył mu bardzo wysoką pensyę, osobny dwór i służbę honorową. Rodryk Cyd, bohater świetny i filar chrześciaństwa, ten sam, który tak walecznie bił Maurów, zwykł był mawiać, że konia swego Babieka więcéj kocha, jak żonę i córki.

Dla Araba koń jest pierwszym przyjacielem i powiernikiem jego żalów. Do niego przemawia, i raduje się, że od niego jest zrozumianym. Tłómaczy sobie po swojemu każdy ruch konia, każde jego rżenie; całuje go w czoło i błogosławi go słowami: *bismillah!* Gdy zaś koń jest dzikim i niesfornym, natenczas Maur łapie go za uszy, patrzy mu bystro w oczy, przemawia surowo, i w nozdrza dmie mu dym tytuniowy. Skuteczność tego środka jest niewątpliwą; nikt o niéj tutaj przynajmniéj nie wątpi.

Przecież za pomocą sług konsula i jego janczarów, oficer inżenieryi i sekretarz konsulatu wydostali się z objęć Morfeusza i z pod gościnnego namiotu Abd-el-Kadera, reprezentowanego stołem i krzesełkami. Wsiadamy wszyscy na konie i poprzedzeni janczarami, puszczamy się przez górną część miasta ku brzegom morza.

Stawamy na rynku. Dziwny widok przedstawiało to niezbyt wielkie, czworoboczne, nędznemi na pozór domami otoczone miejsce. Z przodu tych domów znajdowały się sklepy bławatne, korzenne, żelazne i inne, w których sprzedawano pyszne rzędy na konie, haftowane ubiory, turbany, kobierce, szale, aromaty i inne różnorodne towary. Przy każdym prawie sklepie siedział poważnie na małym dywaniku, ze złożonemi jak rak nogami, Maur, dość brudno ubrany, z fajką w ustach. Siedział nieporuszony jak automat; tylko ścigał oczami kupujących. Powiedziałby każdy, że to nędzny jaki kramarz. Ale nie sądźmy z pozoru: w nie jednym z tych sklepów większe są skarby, niż w błyskotliwych, ozłoconych, w świetle gazu migających się magazynach paryzkich; a ów dom, którego małe zakurzone okno żelaznemi kratami zasłonięte,— to tylko skorupa,

która perły w sobie zawiera. W środku tego domu są pokoje perskiemi dywanami wybite, sale na jaspisowych filarach wsparte, łaźnie z alabastrowemi wannami. Za domkiem ogródek rzadkiemi kwiatami i krzewami woniejący, ścieżki różnokolorowym piaskiem wysypane. Daléj harem, a w tym haremie przebrzydły kramarz, wywracający oczami pod swym sklepem, więzi kilka, czasami i więcéj nadobnych córek Wschodu.

A ów brudny Maur, czychający tak chciwie na kupujących i ich *szekiele* (pieniądze), smarzący się w skwarze słońca, udający nędzarza z bojaźni, żeby nie wzbudził chciwości baszy; ów brudny Maur zniesie to wszystko i więcéj, jeszcze w potrzebie, dla tego, co go tam czeka w domu gdy sklep swój zamknie i pacierze zmówi. Czeka go kąpiel ambrą i benzoesem zaprawiona, czekają go tańce i śpiewy jego żon i niewolnic, czekają go urzeczywistnienia namiętnych snów młodości.

Ale co to za zgiełk i wrzawa na rynku, krzyki dzikie i nieharmonijne! ledwie uszy nie pękną. To są przekupnicy i przekupniczki, siedzący w klatkach, podobnych do tabakierek z boku się otwierających, z wiekiem podniesioném i podpartém. Sprzedają winogrona, daktyle, baryłki cukru, mydło, masło, melony, arbuzy i placki z kukurydzy. Zalecają swój towar nieznośnym sposobem, wrzeszcząc w niebogłosy: *szrit hinai, szrit hinai!* (kupuj tutaj), i machają bezustannie kijem, na którym są liście palmowe, dla spędzania much cisnących się chmarami. Są i Beduinki pod kapeluszami słomianemi, objętości dobrego familijnego deszczochronu; skrzydła zawieszone na twarz dojrzeć ich nie dozwalają. Czasem jednakże jedna lub druga uchyli skrzydła dla przypatrzenia się naszéj kalwakadzie. Boże! w życiu mojém nie widziałem nic tak brzydkiego, jak owe stworzenia. Paszcze mają z długiemi jak migdały zębami, których ściągająca się jak żywy kapciuch skóra brunatna, ani w stanie pokryć. Ale już spostrzegły wrażenie, jakie na nas sprawiły, i nie robiąc sobie żadnéj illuzyi o swéj piękności, zaczynają nas przeklinać jaknajserdeczniéj. W oka mgnieniu zapalczywość udzieliła się wszystkim jędzom, wszystkie uchyliły skrzydeł, i miotają na nas najbezecniejsze przekleństwa. Co do klątw i wymyślań, przekupki tangierskie nie ustępują żadnym: ani berlińskim, ani paryzkim, nawet ani krakowskim.

Nasyciwszy się widokiem harpij i ich grzecznością, opuściliśmy rynek i wstąpili na główną ulicę Tangieru, zwaną *Siarrin*. Dość szeroka i nie źle brukowana, zamieszkałą jest przez urzędników cesarskich, wyższego stopnia wojskowych i ulemów czyli prawników, którzy korzystając z wpływu swego i z czasu, trudnią się zarazem kupiectwem. Ci panowie, nie obawiając się baszów i ich zdzierstwa tyle, ile inni zwyczajni kupcy, siedzieli czysto i ozdobnie przybrani przed domami, i witali nas przyłożeniem ręki do serca i głowy. Tu poznaliśmy drugiego baszę tangierskiego; pierwszy znajdował się w Maroko.

Hamet Sin Samani, drugi basza Tangieru, starzec sędziwy, z przyjemną twarzą i śnieżną brodą, siedział przed swym domem, wymierzał sprawiedliwość i zarazem sprzedawał esencyę różaną, arabskie kadzidła, pastylki serajskie i koszenillę, na swój rachunek, a proch strzelecki i kwiat siarczany na rachunek cesarza: na te dwa bowiem przedmioty rozciągnięty jest monopol cesarski. Tak więc, śmierć i życie, proch i olejki trzymał Sin Samani jednocześnie w swych rękach. Ale nikogo nie raziło to połączenie handlu i urzędów. Nie zdarzyło się nigdy, żeby basza sprzedał stryczek, zamiast cukierków serajskich, lub żeby kogo namaścił olejkiem, zamiast go udusić. Sprawiedliwości był nieugiętéj, jak zaręczał nam dragoman. Przed kilku tygodniami kazał własnemu pięćdziesięcioletniemu synowi publiczną dać bastonadę, za to, że wnuk ostatniego źle wymawiał wiersze alkoranu w meczecie. Przy téj sposobności dostało się wnukowi i prawnukowi, tak, że trzy generacye w jednéj chwili były bite za alkoran... Rzecz miła sercu Mahometa!

Nie oparliśmy się chęci nabycia czegoś od tak dostojnéj osoby, i kupiliśmy od negocyanta, każdy za kilka złotych, olejków i pastylków.

Tuż blisko bazar. Jest to dziedziniec bardzo obszerny, pokryty jak namiot rzadkiém, ale mocném płótnem; po czterech bokach do stu małych budek z najrozmaitszemi towarami Wschodu i Europy. Wszystkie wyroby ze skóry i surowego jedwabiu, były przedziwne. Część bazaru, w któréj sprzedają niewolników, stoi otworem dla wszystkich, ale na targownicę niewolnic nie każdy ma prawo wejść. My nie doznaliśmy żadnéj trudności: dragoman

i janczary wszystko ułatwiają. Białych kobiet zabrakło właśnie na targu tangierskim; na większych trzeba ich szukać targach: w Konstantynopolu, Kairze, Aleksandryi, Tripolis i Maroko, ale nie w Tunis. Bej tunetański, choć nie chrześcianin, poznał, że handel życiem ludzkiém jest krzywdzącym godność człowieczeństwa, i zniósł go w swojém państwie.

W bazarze niewieścim było kilkanaście murzynek, po największéj części z Senegambii, kilka z Kongo, dwie czy trzy z Angoli i Bengueli. Skromnie były przybrane, bardzo nawet skromnie; prócz kolczyków bowiem i sznurka paciorek na szyi, miały tylko ten już z mody wyszły artykuł stroju, który dumna Juno pożyczyć musiała raz od pięknéj Afrodyty, dla skłonienia sobie Jowisza. Skromnie tedy były przybrane, ale pomimo tego nie zachwycały nas wcale swą urodą, o któréj łatwiéjbyśmy mogli sądzić, jak ślepy o kolorach, — proszę temu wierzyć. Dla lubowników jednakże atletycznéj budowy, włosów w kędziory wełniane zwijanych, ócz żółtaczkowych, warg mięsistych funtowych, i innych kolosalnych wdzięków, było tu obszerne pole do szukania zachwyceń, szczególnie dla tych, którzy się nie gniewają, że lis pachnie jak lis, dudek jak dudek, a murzynka jak lis i dudek razem.

Jeden był wyjątek jednakże: murzynka z etyopskiego plemienia, które różni się jedynie kolorem ciała od najpiękniejszych kobiet plemienia kaukazkiego. W jednéj z klatek siedziała na ziemi samotna i w głębokim smutku pogrążona, młoda murzynka z Nubii, ciała cudnie lekkiego i kształtnego, rysów bardzo miłych i szlachetnych, podniesionych tęsknotą i smutkiem. Trzymała przy piersiach niemowlę prawie zupełnie białe. Na plecach obnażonych blizny białawe, szerokie: ślady chłost doznanych; ręce i nogi nadzwyczaj zgrabne, były głęboko poprzecinane powrozami, ale także już od dawna zagojone. Trzeba wiedzieć, że najmniejsze blizny łatwiéj rozeznać na ciele murzynów, jak na ciele białych: pochodzi to z braku pierwiastku kolorowego w substancyi nowéj, zagajającéj rany, i zastępującéj ubytek przeciętéj skóry.

Młoda córka Nubii liczyła lat dopiero trzynaście, kiedy ją *upolowano*. Wiadomo, że Mehmet-Ali, wicekról Egiptu, który także przez całe życie był pod pewnym względem

kupcem, wysyłał corocznie najlepszych jeźdźców na upolowanie potrzebnéj mu do handlu liczby Nubijczyków, Etyopów i Abissyńczyków.

Młoda Nubijka bawiła się w kraju swym szczęśliwym nad brzegami rzeki Niebieskiéj (która łącząc się z Białą, tworzy Nil), kiedy ją obskoczyli zaczajeni *myśliwi*. Usiłowała utratą życia uniknąć niewoli, i wskoczyła do rzeki, spodziewając się znaleźć śmierć w jéj nurtach lub w paszczy krokodyla. Lecz ją schwytano, skrępowano, i zasłoniwszy oczy umyślnie na to przygotowanemi plastrami, aby nie wiedziała w którą idzie stronę, uprowadzono. Potém razem z innemi ofiarami przytwierdzono ją do długiéj żerdzi, któréj dawał kierunek jeden z łowczych wice-króla, i pędzono ku Aleksandryi. Stawiając ciągły swym oprawcom opór, i korzystając z każdéj sposobności ratowania się ucieczką lub samobójstwem, ściągnęła na siebie owe nielitościwe chłosty, których ślady niezatarte na całe życie pozostaną.

W Aleksandryi zachorowała tak mocno w skutek dręczącéj ją tęsknoty, że kupiec Mehmet Ali, pomimo jéj piękności, za tanie ją musiał sprzedać pieniądze, lękając się, żeby mu towar nie zmarł.

Takim sposobem dostała się w ręce i w objęcia Maura tangierskiego, kapitana feluki kupieckiéj. Przywiózł ją z sobą do Tangieru. Dobre obchodzenie się, młodość, instynkt macierzyński, rozwijający się z zarodkiem życia nowego w jéj łonie, cokolwiek pogodził biedną Aily z losem. Ale nie tu koniec jéj cierpień. Urodziła panu swemu syna, wkrótce potém w burzy pan traci felukę, majątek i życie: pozostały długi. Wierzyciele zabrali co było jeszcze w domu, a nawet i niewolnicę z dzieckiem. Smutna ta historya, opowiadana przez Kapudi-Iwa, tojest sekwestratora publicznego, obudziła w nas największą litość. Chcieliśmy się złożyć, aby nabyć biedną Aily i udarować ją wolnością; ale nas ubiegł Dr. H., który znając cokolwiek język arabski, nie potrzebował tłomaczeń dragomana do zrozumienia smutnéj historyi.

Kupił matkę i dziecko za 120 piastrów hiszpańskich, to jest za 960 złp., pod warunkiem, że jéj da wolność. Chrześcianinowi bowiem niewolno posiadać w państwie marokańskiém niewolnika mahometańskiego, a Aily była mahometanką. Powierzono ją opiece rodziny Ismaiła; ale

Ailly przyjęła z obojętnością dar wolności: ona nie pojmowała wolności, jak na łąkach Nubii.

Wychodząc z bazaru, spotkaliśmy karawanę idącą z Maroko. Dwadzieścia kilka wielbłądów, ciężko obładowanych, postępowało długą linią, jedne za drugiemi, wolno i poważnie, ale tak posuwistym krokiem, że koń dobrym kłusem zaledwieby im dotrzymał. Dwa wielbłądy niosły na sobie dziwne jakieś wysokie budowle, nakształt szylderhausa czyli budki strażniczéj. Budki te, ozdobnie malowane, obwieszone były pięknemi draperyami, spadającemi aż na ziemię; z przodu miały zasłony z zielonéj kitajki. W pierwszéj budce siedziały dwie kobiety, otulone i zakwefione: jedna z nich ubrana w najdroższe jedwabie i muśliny, błyszczała perłami i dyamentami. W drugiéj budce siedziała murzynka z całym rojem dzieci różnokolorowych. Byłyto zapewne żony, niewolnice i dzieci którego z tych brudnych kupców, co tam siedzą przed domami wywracając oczy.

Wał bardzo wysoki przegradza nam drogę: przebywamy go pod długiém sklepieniem, zwaném *Bab del Faz* czyli *brama Fetzu*, i stajemy w miejscu obszerném, ale nierównem, zwaném *Sok de Barra*, czyli targ zewnętrzny, na którym każdéj niedzieli i czwartku sprzedają zboże. Blisko rowu fortecznego znajduje się mnóstwo podziemnych składów zboża, z małemi otworami na zewnątrz, które zamykają kamieniami lub zatykają słomą, tak jak u nas doły na ziemniaki. Tu i owdzie kilka bud słomą okrytych dla strzegących te składy podziemne. Po zamknięciu bram miasta, rozpuszczają tu psy tak dzikie i srogie, że nie radziłbym nikomu obcemu zbliżać się do nich: rozszarpałyby go na kawałki.

U spodu pagórka jest miejsce ogrodzone czterema białemi ścianami. Tu spoczywają zwłoki sławnego marabu czyli świętego, nazwiskiem Sidi Mokfid, który cztery razy był w Medynie i Mekce, i umarł w religijném zachwyceniu, w meczecie tangierskim, lat temu dwadzieścia. Ten sobie koniec sam przepowiedział. Pytanie, czy nie umarł umyślnie, aby dotrzymać słowa?

Daléj schodzimy na El-Kawar, czyli cmentarz. Groby są oznaczone kamieniami, ułożonemi w podłużne koło; inne są przykryte podobnegoż kształtu głazami, inne jesz-

cze mają wzniesione nad głowami kamienne turbany różnego kształtu, podług rangi nieboszczyka.

W środku pola umarłych, na dość wysokim kopcu, pochowany jest pierwszy i najwięcéj czczony święty tangierski, zeszły z tego świata pięćdziesiąt lat temu. Nazywał się Mahomed el Hadżi; z powołania był lekarzem, ale więcéj się zajmował pacierzami i przepowiedniami, niż praktyką lekarską. Mnóstwo jego przepowiedni już się ziściło, reszta ma się ziścić niebawem. Przepowiedział zjawienie się Abd-el-Kadera, świetność jego przyszłą, i tryumf islamizmu w Afryce i Granadzie. Przepowiednia byłaby się może ziściła, gdyby kupcy paryscy chcieli byli dotrzymać słowa, danego Abd-el-Kaderowi przez młodego księcia francuzkiego. Lecz, aby powiedzieć, że losy niegdyś rycerskiego narodu dostaną się w ręce spekulantów i milionowych wydrwigroszów, na to nie trzeba było być ani Hadżim, ani Mahometem, ani Habakukiem i Eliaszem, ale samym Thiersem.

Wracając do naszego proroka, doktora medycyny, dodamy jeszcze, że mu obywatele Tangieru i okolic wystawili bardzo ładny meczet z czystego białego marmuru i z śmiałém sklepieniem, wspartém na ośmiu kolumnach koryntskich. Przybytek ten ozdabiają wierni Mahometanie kolorowemi chorągiewkami.

Najkształtniejszy to budynek ze wszystkich, jakie widziałem w téj stronie Afryki.

Cmentarz odgraniczonym jest od brzegów morza wysokim murem, stanowiącym część wewnętrznego wału miasta od strony zachodniéj. Dostawszy się za bramę, ujrzeliśmy nareszcie małą zatokę, którą oddziela od przystani tama, wyżéj opisana. Bałwany morskie biegły ku nam od strony Europy, ale się rozbijały o kamienną zaporę, i ryczały jak gdyby z gniewu, że nas dosięgnąć nie zdołają. Nieraz cała ława skalista zajaśniała białą pianą, tak jak mleczna droga na niebie. Pęd fali bardzo był gwałtownym. Podczas kąpieli, byliśmy zniewoleni trzymać się łańcuchem silnie za ręce; inaczéj bałwany byłyby nas uniosły i zgruchotały na głazach. Temperatura piasku na wybrzeżu dochodziła do 38° R.; o tém przekonaliśmy się termometrem; ustać nie można było na brzegu gołemi nogami.

Przytém inne jeszcze groziło nam niebezpieczeństwo. Pod powierzchnią gorącą piasku siedziały zaczajone w chłodniejszéj warstwie, owe najjadowitsze białe afrykańskie niedźwiadki, znane już Pliniuszowi pod nazwiskiem: *Scorpio arenarius albus*. Żądło cienkie, zdradzieckie, wystawiają szkaradne te stworzenia nad samą powierzchnię, tak, że łatwo na nie nadeptać i, co gorsza, być śmiertelnie rannym, nie wiedząc nawet o tém. Skóra bowiem podeszwy nogi, choć jest tak drażliwą, że jéj łechtanie trudno wytrzymać, nie jest bardzo czułą na zranienie. Że drażliwość nie jest czułością, o tém wie nie jeden mąż, choć nie lekarz, z doświadczenia w własnym domu nabytego, i nie potrzebuje po nie chodzić aż na piaski afrykańskie. Wracając do owych niedźwiadków, dodamy, że wypalanie natychmiastowe rany ammoniakiem, i zażycie kilku kropli tegoż lekarstwa w szklance wody, zabezpiecza od złych skutków. Przykładanie na rany oliwy, w któréj mokły te owady, także jest dobrém. I tak, człowiek klin wybije klinem, niedźwiadka uczyni nieszkodliwym innym niedźwiadkiem: dlatego też idąc tym samym systematem, można kobietę nauczyć rozumu inną kobietą; i nieraz to się uda.

Najlepszém atoli lekarstwem przeciw ukąszeniu niedźwiadka, jest mlecz rośliny rosnącéj tu obficie na całém wybrzeżu, niezawodnie z przykazu Boga, który łagodzi wiatr dla nowostrzyżonych owiec, i nie mniéj dba o skórę ludzką jak o zwierzęcą. Roślina ta należy do rodziny *Euphorbiaceów*, czyli wilczego ziela. Mlecz jéj przyłożony na ranę zadaną żądłem niedźwiadków, uobojętni jad i zapobieży zapaleniu. Przyłożony zaś na każdą inną ranę, rozogni ją w bardzo widoczny i bolesny sposób. Pierwiastek ostry, zawarty w całéj roślinie, a który rozkłada jad niedźwiadka, zabezpiecza ją znow od żarłoctwa szarańczy. Plaga ta ziemi, trapiła w téj chwili część północną państwa marokańskiego, i ogołacała z reszty téj świeżości, któréj palące słońce jeszcze nie zwarzyło. Wszystkie drzewa, prócz palm, niektórych gatunków (*Ilex Rhododendron, Euphorbia*, mających liście twarde lub ostre, ogołocone były z zieloności, i wyciągały gałęzie obnażone jak w późnéj jesieni. Nic nie pozostało z pysznéj wegetacyi, prócz owoców, mianowicie winogron; szarańcza bowiem

nie tyka owocu, dopóki ostatniego listka nie pożre. Miryady tych przebrzydłych stworzeń zalegały miejsca pokryte resztkami trawy, podlatywały chmarami przeciw nam z wszystkich kierunków, i ginęły milionami pod kopytami naszych koni.

— *Mirad las ayanas* (patrz pan na szarańczę), mówił do mnie po hiszpańsku renegat żydowski, służący konsulowi angielskiemu za dragomana.—Patrz pan na szarańczę i słuchaj jak jedzą! Potężną jest szarańcza, potężniejszą jak sułtan albo konsul. Niech sułtan wyśle wszystkich swych Mahasniah (rodziny arabskie najbitniejsze) przeciwko szarańczy, ona się ich nie zlęknie. Szarańcza nie boi się konsula. Kilka tygodni temu, konsul powiedział: «Ja jestem mocniejszym jak szarańcza, i chcę ją wyniszczyć«. Kazał więc obwieścić w mieście: «O Tangierczyki! spieszcie walczyć z szarańczą, zniszczcie ją w zarodzie, i wiedzcie, że ktokolwiek z was przyniesie mi funt jaj szarańczych, temu zapłacę pięć realów hiszpańskich (półtrzecia złotego polskiego); nie będzie tego roku szarańczy.» Tak cały Tangier wyruszył na wojnę przeciw szarańczy, i zbierał jaja, które szarańcza złożyła do wyklucia pod piaskiem, na krańcach pagórków, na brzegach dróg i na płaszczyznach. I mój własny syn, który ma 7 lat, poszedł walczyć z szarańczą, i uzbierał sześć funtów jaj, za które mu konsul zapłacił. Stu innych zanosiło jaja konsulowi: jeden mniéj, drugi więcéj, i konsul płacił im ich cenę, i kazał palić je na popiół. W tydzień kasa konsula była wyczerpaną, bo zapłacił do 18,000 pesetów (30,000 złp.) i wtenczas rzekł: «Przestańcie, o Tangierczyki! możemy już zniszczyli szarańczę.»—Cha, cha! patrz około siebie, patrz pod sobą i nad sobą, i powiedz, czy konsul zniszczył szarańczę?

Dodajmy tu zaraz, że w tydzień po tym czasie, szarańcza znikła z widnokręgu tangierskiego: nikt nie wiedział gdzie i jak; domniemywano się jednak, że gwałtowny wiatr południowy, wiejący z śnieżnych wierzchołków Atlasu, a którego srogości doświadczyliśmy w Maroko, porwał ją i wtrącił do oceanu. Owady te były dość duże, koloru brunatnozielonawo-żółtego; wyglądały bardzo obrzydliwie.

Powracaliśmy do miasta drogą prowadzącą około cmentarza żydowskiego. Każdy prosty żydek miał głaz na grobie, a każdy marmorajny tablicę kamienną z napisem hebraj-

skim, zupełnie jak u nas. Ten zaś cmentarz Izraelitów tangierskich podobnym był zupełnie do pińczowskiego, z téj przyczyny, że jak w tym, tak w tamtym żydki założyli spekulacyjkę, i połowę jego obsiewają, tylko w każdéj strefie innym owocem: nad Nidą sadzą ziemniaki, a w Afryce figi kolczaste. Owoc ten tak jest szczególnym i mało znanym w Polsce, że go warto bliżéj opisać.

Figa kolczasta, zwana *Kermous de Inde* po maurytańsku, rośnie na krzewie kaktusowym, dziwnego a nawet śmiesznego kształtu. Pień jego, choć częstokroć grubości człowieka, nie ma korony, lecz dzieli się, w małéj odległości od ziemi, na wielką ilość dziwnie w tę i ową stronę łamanych gałęzi, które mają liście niezgrabne, mięsiste, na pół cala grube. Owoc, z kształtu podobny do gruszki, okryty jest twardą skórą, obsadzoną cienkiemi kolcami, które głęboko wchodzą w dotykającą ją nawet najlżéj rękę, i niełatwo dadzą się wyciągnąć. Trudno bardzo obierać ten owoc, ale przyjemnie go jeść: jest bowiem wybornego smaku, daleko lepszego niż zwyczajna figa, nie mająca nic z nią wspólnego, prócz kształtu.

Dragoman patrząc się na cmentarz, rzekł: «O Sidi! mało oni się nacieszą swemi owocami, te głupie żydy; dzieci maurytańskie z całego Tangieru schodzą się tutaj każdego poranku i obrywają owoce dojrzałe w nocy, i pod nosem stróżów, którzy nie śmią im się sprzeciwiać. Nie ma nic trwożliwszego nad żyda. Dwudziestu ich ucieknie przed jednym ulicznikiem arabskim«—dodał ze wzgardą renegat izraelicki.

Ja mu na to odpowiedziałem: «Oh dragomanie konsulatu Wielkiéj Brytanii! tchórzostwo żydów nie leży w ich naturze.«

Dragoman mi odpowiedział: «Oh Sidi! choć jesteś mądrym jak wąż, ale mylisz się tą razą. Żyd jest tchórzem z natury, bo w sobie samym ma czarta, co go ustawicznie straszy.«

—«A ty jesteś tchórzem, dragomanie?«

*Dragoman.* Ja jestem zapalczywym jak tygrys z Bengalu, mężnym jak lew z Atlasu, a krwi chciwym jak hyena!

*Ja.* A przecież jesteś żyd z urodzenia.

*Dragoman.* Kto powiedział że ja żyd? Byłem żydem, prawda, ale już nie ma ani kropli krwi żydowskiéj, ani

kosteczki nieczystéj w mém ciele, bo przeszedłem przez czyściec i pozbyłem się tam całego mego ciała, i mam teraz świeże i nowe.

*Ja.* Oh dragomanie! co nazywasz czyścem?

*Dragoman.* Czyściec jestto klasztor muzułmański, w którym odnawiają ciało i duszę tych, co z żydowskich błędów przechodzą do uznania prawdziwego Allaha. Tam pokutowałem przez całe trzy miesiące. Tam mi nie pozwalano nic jeść, tylko dawano ciągle mleko z kozy świętéj, zaprawione mleczem białym z świętego ziela, które wszelki jad niszczy. To mleko okropnie mnie przeczyszczało. Przytem kąpano mnie codziennie i myto siarką i pomeksem tak mocno, że mi całą skórę zdarto. Dawano mi na poty, ogolono wszystkie włosy. Poobcinano paznokcie. Dla wystraszenia diabła, cały zakon bastonadował mnie co piątek. Przeczyszczenia, poty, głód i bastonada tak mnie osłabiły w miesiąc, żem się prawie ruszyć nie mógł; ale diabeł tkwił we mnie, gdyż włosy czerwone ciągle odrastały na głowie i brodzie. Już mi mało zostawało życia, i mało brakło do śmierci, kiedy święty maraba Sidi Leim przyszedł do mnie i rzekł. «Dziś diabła z ciebie wypędzę, ale daj sto czekielów srebrnych.« Powiedziałem: dam trzydzieści. I maraba odwrócił się i poszedł. Na drugi dzień przyszedł znów i rzekł: «Diabła wypędzę, ale daj 120 czekielów.« Odpowiedziałem: dam co chcesz. Maraba się wykręcił, obracał, kłaniał i modlił, a potém namaścił mi głowę i brodę jakimś olejkiem i poszedł. I tak robił codziennie. I włosy urosły czarne jak u Mahometa. Wtenczas przestano mnie bić i przeczyszczać, zabito świętą kozę i dawano jeść jéj mięso. Za sześć tygodni broda czarna urosła, i krew moja, która była przedtém czarnożółtą, stała się czerwoną, i znikły strupy z méj głowy i krosty z mych rąk. Nabrałem siły i piękności wielkiéj, i sam siebie nie poznałem. Wtenczas przyjęto mnie z wielką okazałością do meczetu, ubrawszy w nowe, z igły zdjęte suknie. I zostałem nowym człowiekiem, a stare ciało pozostało w czyścu, i niech będzie przeklęte na wieki. Powróciłem do domu, i wypędziłem z niego starą mą żonę Surę Libche, bo żydówką gardziłem, i ożeniłem się z dwiema młodemi: z jedną Maurytanką i z mulatką etyopską. Teraz handel mój lepiéj idzie, a konsul angielski

wziął mnie za swego dragomana, bom wielki *Talib* (uczony) w językach. Teraz mam wszystkie cnoty synów Mahometa: brodę czarną jak oni, i brwi i rzęsy, i odważny jestem jak lew, i jak tygrys zapalczywy.

— A ja ci powiadam, oh dragomanie! żeś nie jest ani lwem, ani tygrysem, tylko farbowanym lisem; i powiem ci, jeźli chcesz, czém się codziennie z rudego na czarnego przeistaczasz— rzekłem chełpliwemu renegatowi, obrażony tém mocném zaufaniem w moją łatwowierność.

— *Allah-bismillah*! Na imie Boga!— krzyknie renegat składając ręce:—niech mnie pan nie wydaje. Ja tylko probowałem, czy pana zwiodę, o Sidi, i czyś takim mądrym jak się wydajesz; ale jesteś mędrszym jak wąż, i przenikliwszym jak błyskawica.

— Ja zaś przekonałem się z tego opowiadania, żeś chytry jak lis, a sprośny *como un perro*. Widzę, że biedna Aily w złych jest rękach: tyś gotów nadużyć naszego zaufania, i wdzięczyć się do pięknéj Nubijki.

— Ah wah! za kogo mnie pan bierzesz? ah wah! ja się wdzięczyć do téj Nubijki? Ja za nią całą nie dałbym nawet tyle, ile warta strawa, co ją spożyje w jeden tydzień. Oh Allah! żebyś pan widział moje żony! to co innego! Każda z nich pięć razy tyle waży, ile ta Nubijka; takie są tłuste, że ledwie ruszyć się mogą z miejsca. Téj Nubijki nigdy się nie dopasie; una umrze z tęsknoty; dlatego też żądałem, żeby mi za miesiąc cały z góry zapłacono za jéj utrzymanie. Ah wah! wolałbym wrócić do méj staréj Sury: ona dziś jeszcze waży przeszło ośm kamieni. Ale otoż jesteśmy w konsulacie, otoż i kapitan Dyany zapewne się domaga satysfakcyi za swego oberbotsmana. No! co robić? promieni słońca wysłać nie możemy w pogoń za santuronem. Anglii też nie wyda zapewne wojny o jednego majtka.

Istotnie, piękności maurytańskie ważą się na kamienie, a wdzięki na funty. Sprawa santurona wytoczyła się przed trybunał konsula, który, znany z swéj sprawiedliwości, w ten sposób zagadł kapitana Dyany:

— Słuchaj kapitanie Davenport! wiem, że nie powiesz nic przeciw prawdzie.

— Nigdy konsulu—odpowie kapitan.

— Byłeś świadkiem obrazy zadanéj santuronowi przez nieboszczyka, który przez całe swe życie był pijakiemi za-

wadyakiem, i umyślnie potrącił Maura siedzącego sobie spokojnie na pokładzie. Czy nie tak?

— Tak jest.

— I potém dostawszy legalnie, rycersko pięścią w głowę, upadł, i dopiero w trzynaście godzin potém umarł. Czy nie tak?

— Tak jest istotnie—odpowie kapitan Davenport.

— Nie było zatém rozmyślnego zabójstwa. Pięść, żeby była najcięższą, nie jest bronią palną, ani sieczną, i przewidzieć nie można, że śmierć nastąpi po jéj applikacyi na głowę angielską. Zresztą, santuron miał prawo pomszczenia się wyrządzonéj mu zniewagi; kto pod flagą Anglii zostaje, ten zawsze winien być traktowanym jako człowiek honoru. Nie masz tedy w téj sprawie żadnego powodu do zrywania stosunków przyjaznych z państwem marokańskiém, żadnego *casus belli*. Ale jest coś innego: oberbotsman miał żonę i kilkoro dzieci; rodzina ta pozostała bez sposobu do życia. Na drodze tedy cywilnéj ma prawo poszukiwać satysfakcyi pieniężnéj, satysfakcyi sowitéj. U świętego, władającego tak dobrze pięścią, powinny być pieniądze w kieszeni. Przyślijcie mi tedy z Anglii papiery, a ja tutaj przypilnuję tę sprawę, i zobowiązuję się wywindykować u rządu marokańskiego sowite wynagrodzenie dla rodziny oberbotsmana. A tak i honor i interes Anglii będzie ocalonym. Niech żyje Królowa!

Tak zakończył konsul, i Anglicy sławili jego mądrość.

— Ale my co z sobą zrobimy, konsulu? Nasz przewodnik umknął; zdaje się, że kontrakt zerwany, i że winniśmy wrócić do domu—zapytał Dr. Hamilton.

— Wcale nie: przecież panowie posiadacie każdy swój osobny firman cesarski?—spyta konsul.

— Posiadamy.

— To bardzo dobrze. Kwestyę tedy zredukujemy do tego, co jest najmatematyczniejszém, najpewniejszém w świecie—do pieniędzy. Santuron umknął do Maroko w godzinę po przybyciu do Tangieru; umknął dlatego, żeby wieść o harmidrze na Dyanie sprawionym nie doszła przed jego przybyciem do Maroko uszu królewicza, niekoniecznie mu przychylnego. Obok wypadnięcia z łaski, nie byłaby naszego świętego ominęła sowita bastonada. Tak tedy umknął, i nie omieszka królewiczowi przedstawić rzecz całą w jak

najkorzystniejszém dla siebie świetle. Ale i my też nie w ciemię bici. Wyślemy do Maroko relacyę całéj sprawy, potwierdzoną przez baszę; powiemy, że tu w Tangierze czeka komissya lekarska sprowadzona przez santurona z Europy, i liczy sobie dziennie po 10 funt. szt. szkody, za sprawiony zawód, czekając jak najcierpliwiéj odpowiedzi. Każda kwestya, mogąca być zredukowaną do pieniędzy, jest prostą i jasną, skoro jest protegowaną przez flagę Wielkiéj Brytanii. Moi panowie, proszę na obiad.

Oh! dziwna loiko angielska! mało w tobie poezyi i niewiele czucia, ale wiele tego, co dziś jeszcze nazywamy rozumem.

# ROZDZIAŁ IV.

ISMAIŁ RENEGAT I JEGO SERAJ.—ŻONY RENEGATA.—MAUROWIE.—ARABOWIE.—BERBERZY.— KABAILOWIE.— AMAZYRGI.— MURZYNI.—ŻYDZI.—PODRÓŻ DO TETUANU.— KAPUDI.— FONDAK.—TETUAN.

Przeszła i noc druga na gruncie Afryki, dość podobna do pierwszéj. Budzi nas znów dragoman z prośbą, żebyśmy przyśli odwiedzić jego niską strzechę, i pocieszyć nieutuloną Aily, a zarazem poradzić jéj dziecku, które bardzo chore i nie pożyje zdaje się długo.

Mieszkał w rynku ów Ismaił; handel miał bławatny, zarządzany przez ojca swéj mahometańskiéj żony. Sklep wychodził na rynek, nie pozorny, ale piękne zawierający towary. Ze sklepu wchodziło się kilkoma stopniami do pokoiku wcale ozdobnego. Tu nas przyjął dragoman kawą i fajkami, i prosił, byśmy wypoczęli.—Oto syn z méj pierwszéj żony, z żydówki—przemówił Ismaił wskazując na ładnego i dobrze ubranego ośmioletniego chłopaka.— To pierwsze me dziecko i jedyne, co przy życiu pozostało; dziewięcioro innych straciłem. Allah nie błogosławi memu plemieniu, i o tego się obawiam życie.

— A to znowu czemu? przecież chłopak doskonale wygląda—spytał Al-Hamilt-Bey.

— No, cóż z tego, kiedy go moje dwie żony ścierpieć nie mogą; gotowe go struć przy pierwszéj sposobności—odrzekł Ismaił, drapiąc się w brodę.

— A to masz piękne jakieś dobrodziejki za żony? Struć? a to dobre! Przecież musi być jakaś kara za taką zbrodnię?

— Jest na to kara śmierci. I cóż mi z tego przyjdzie? sam sobie szkodę wyrządzę, oddając sądom mą żonę. Każda

z nich wiele mnie kosztuje pieniędzy. W haremach dziwne się dzieją rzeczy, bardzo dziwne. Z dziesięciu dzieci, ledwo jedno dorośnie, i to dorosłszy jeszcze jest w niebezpieczeństwie. Nieraz ojciec własny dusić każe swe dzieci, zwalczony namowami jakiéj nowéj oblubienicy. Okropne się nieraz dzieją rzeczy w haremach, okropne! Kto może wiedzieć, ile w nich dusz mieszka, a ile z nich znika? Harem jest jedyném miejscem, którego nikt zgwałcić nie śmie, nawet sam cesarz; tam wieczna tajemnica, tam wieczne intrygi! Oh! żal mi mojego syna, bo wiem, że go moje żony nie cierpią.

— A czemuż go puszczasz do haremu twego?—spytał Al-Hamilt-Bey.

— Cóż ja mam robić? jeźli go będę chować w domu i uczyć w domu, to go muszę posyłać do szkoły do Imanów, a oni go zaraz nauczą nienawidzić własnego ojca jako psa żyda; bo oni nie zapomną nigdy, żem był Izraelitą, choć dużo wydałem *szkielów* za me przyjęcie do Moslemów. A trzymać go niemogę wiecznie w téj komnacie: muszę mu pozwolić bawić się na dziedzińcu, gdzie w ciągłéj jest styczności z memi żonami i niewolnicami.

Ismaił dał nam dowód wielkiego zaufania; wprowadził nas do swego haremu, przygotowawszy wprzódy jego mieszkańców na nasze przyjęcie. Niewielki, marmurowemi taflami wyłożony dziedziniec, przedzielał harem od frontowéj części budynku. W środku igrała fontanna; pomarańczowe drzewa, laurowe i cyprysy, zdobiły ten dziedziniec, z trzech stron otoczony krużgankiem. W jednym z kątów stała budka, a w niéj czuwał jak Argus młody murzyn z rodzaju tych dobrych ludzi, którzy w Rzymie śpiewają dyszkantem. Po kilku stopniach wchodziło się do przedsionku, służącego za salę jadalną; po obu jego stronach dwa małe pokoiki z kamiennemi wannami. Znów po kilku stopniach weszliśmy do przedpokoju dość szerokiego, ale nie głębokiego. Kurtyna adamaszkowa przedzielała go na dwie nierówne części; światło wpadało z okien umieszczonych na dachu.

Ismaił dał nam znak, byśmy wstępowali ostrożnie, i pocichu odsłonił kurtynę. Na ziemi pokrytéj dywanikiem siedziała biedna Aily, z swém dzieckiem na kolanach i w ubiorze swego kraju: to jest z sznurkiem fałszywych pereł na szyi i w rodzaju spódniczki, do kolan niedochodzącéj. Fartuszek z muślinu miała zarzucony na barkach. Zoczywszy

nas chciała wstać, ale ją Hamilt-Bey wstrzymał. Później jakimś wszystkim nam nieznanym językiem, ale gestami wszystkim zrozumiałemi opowiadała, że dziecko jéj cierpi, że umiera, że ssać nie chce.

Któż zdoła opisać boleść téj biednéj matki? Uczucie macierzyńskie wszędzie jest jednakiém, świętém i poszanowanie wzbudzającém. Kto wie? może to uczucie potężniejsze jest w dzieciach natury, jak w owych córkach wykwintnéj cywilizacyi, które dla zabezpieczenia swemu płodowi dobrego zdrowia, powierzają go najemniczym piersiom!

Ona już łez nie miała! Wyschły ich źródła już oddawna; ileżto boleści nie kołatało o to biedne, a tak młode serce!

Dziecko biednéj Aily umierało z wycieńczenia. Hamilt-Bey dał kilka piastrów na zakupienie mleka, i kazał w niém kąpać małego mulata. Matce zaś oznajmił we wszystkich znanych mu narzeczach wschodu, że najdaléj za miesiąc odwiezie ją do jéj kraju, na łąki Nubii, i odda rodzicom. Zdaje się, że Aily pojęła, gdyż z radości rzewnemi się łzami zalała, i padła do nóg swemu dobroczyńcy.

— Daléj Ismaił, przypuść nas przed dostojne oblicze twych szanownych żon—rzecze Hamilt-Bey.

— Pierwszyto raz noga mężczyzny postała w mym haremie; nawet ojciec méj maurytańskiéj żony nigdy tu nie był: ale panom odmówić nie mogę — odpowiedział Ismaił i wprowadził nas do dość obszernéj sali, wybitéj kobiercami w kraju tkanemi. Tutaj na poduszkach w głębi sali siedziały dwie kobiety świetnie ubrane i haftowały: jedna na tamborku, druga na krosienkach. Obie po naszém wnijściu zasłoniły twarze bardzo przezroczystym kwefem, i przywitały nas z pewną gracyą, składając ręce na piersiach, ale nie wstając z swych poduszek.

Ismaił przemówił słów kilka do swych żon, a one odsłoniły kwefy i spoglądały na nas z wielką ciekawością, nawet z kokieteryą.

— Moje żony piękne są jak gwiazdy na firmamencie, choć już nie pierwszéj młodości, choć każda po kilkoro dzieci miała. Ale Allah błogosławi im widocznie; co straciły na latach, to zyskały na tuszy. Dziś jeszcze są warte, ile były warte lat temu pięć, kiedy się ich wdzięki rozwijać zaczęły—rzekł z dumą dragoman.

Kobiety te ładne były istotnie. Maurytanka biała jak alabaster, świetniała rumieńcem delikatnym, jak kolor róży. Oczy jéj wielkie, brunatne, pełne łagodności, wlepiły się na nas z wyrazem niepowściągnionego zadowolenia. Zawój biały i różowy, gustownie zawiązany, spływał na barki, a gors trzymany w skupieniu sznurówką, na przodzie spiętą, wydzierał się w pełnéj plastyczności zpod cisnącego jarzma. Kaftan w arabeski wyszywany różowy, dochodził prawie do kolan, spodnica biała do połowy nóg, a białe atłasowe spodnie spadały do kostek. Na malutkich białych nogach tkwiły amarantowe, złotem wyszywane papucie.

Druga żona dragomana, córka mulatki i renegata Włocha, cery mocno śniadéj, kolosalnego była wzrostu, strzelała bystrém okiem i w rysach swych zresztą pięknych miała coś złośliwego, wyzywającego. Gracya pełna siły wyjawiała się w każdym ruchu, w każdém spojrzeniu. Ubraną była cała w bieli, prócz zawoju purpurowego, takichże spodni i szalu przepasującego jéj mocną ale wysmukłą i giętką kibić.

— Oh sennores!—rzecze Ismaił—przypatrzcie się dobrze téj niewieście, bo zaprawdę ręczę wam, że nigdy nie ujrzycie nic piękniejszego od niéj. Ah! to istna lwica atlantycka! Patrzcie jaki wzrost, jaka siła w barkach, jaki ogień w oczach, jaka wściekłość w nozdrzach! A była dość niepozorna, kiedym się z nią żenił. Jéj ojciec Genueńczyk, korsarz, pijak i kontrabandzista, uciekł przed długami z Genui, wyrzekł się swéj wiary tutaj w Tangierze, i zadłużył się u mnie i założył mały handelek. Ale pił ciągle, choć przysięgał, że pić nie będzie. Ja się spostrzegłem, że córka jego spłodzona z mulatki etyopskiéj, będzie piękną jak lwica; więc prośbami, groźbami, intrygą i namową, winem i wódką tak dobrze władać umiałem, że mi ją stary grzesznik oddał za żonę, kiedy miała zaledwie lat dwanaście. Ośm lat z nią żyję, i u mnie tak wyładniała, jak cedr z Libanu. Co to za szkoda, że jest moją żoną: wieczna szkoda! Wolałbym żeby była moją niewolnicą; sprzedałbym ją za bardzo drogie pieniądze królewiczowi, który lubi zapamiętale tego rodzaju piękności. Dostałbym z 50 worków *szkielów* (120,000 złp.) za nią; bismillah! dostałbym. A teraz mam ją za żonę i drżeć muszę nieraz przed nią, bo wściekła jak tygrys i mocna jak lwica, a zawsze do boju gotowa. Ona mnie już nieraz zabić obiecała i może raz dotrzyma słowa! Mego

rzezańca już nieraz powaliła o ziemię. Oh Allah! jakie ut[illegible]pienie!

Zulema zdaje się odgadywała, co jéj mąż o niéj prawił: wstała i wolnym grożącym krokiem ku niemu postępowała. Doprawdy Minerwa piękniejszą nie była! Renegat cofnął się kilka kroków w tył, a ona gorzko się śmiejąc, na nas spojrzała smutno, kiwając głową, jakby powiedzieć chciała: »Patrzcie! dla takiéj jak ja kobiety, taki mąż!«

Trudno widzieć coś równie pstrego kolorem twarzy i ubrania, jak jest ludność miasta maurytańskiego. Ludność ta składała się istotnie z różnorodnych, częścią nawet sobie nieprzyjaznych żywiołów, jakoto: z Maurów, Arabów, Berberów, Kabylów, Żydów i Negrów.

Maurowie (*) stanowią największą i najoświeceńszą część ludności. Mieszkają prawie wyłącznie w miastach, pia-

(*) W najnowszéj pracy o państwie marokańskiem, wyszłej lat temu trzy w Madrycie, pod tytułem: Guia del uffical viniando en el Imperio del Maroc, por Don Seraphin de Calderon, autor daje następujący wykaz ludności:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Królestwo Fezu . . . . . | 3,200,000 mieszk. | na 9,853 mil geog. | kw. |
| „ Maroko . . . . . | 3,600,000 | — 5,700 | — |
| „ Tafiletu i Segelmezy | 700,000 | — 5,184 | — |
| „ Adrar Suza i Te . | 1,000,000 | — 5,633 | — |
| ze wszystkiem | 8,500,000 mieszk. | na 26,370 mil geog. | kw. |
| czyli | 330 mieszk. | na jednę milę geog. | kw. |

nie licząc w to puszczy, na któréj nikt mieszkać i nic się rodzić nie może.

Ludność tu mniejsza jest jeszcze jak ludność Andaluzyi i prowincyj: Algieru, Tunis, Tripolis, Turcyi i Egiptu.

Ludność państwa marokańskiego oceniona według ras, języka i pochodzenia, następujący przedstawia stosunek:

| | |
|---|---|
| Maurów czyli Arabów mieszanych . . . . . | jest 3,550,000. |
| Arabów czystych czyli Beduinów Izraelskich . . | — 740,000. |
| Berberow czyli Tuaryków : . . . . . | — 2,300,000. |
| Kabylów czyli Amazirgów. Szellów i Suzów . . | — 1,450,000. |
| Żydów . . . . . | — 339,500. |
| Murzynów Sudanu, Madingu i Felanów . . . . . | — 1,200,000. |
| Chrześcian Europejczyków . . . . . | — 300. |
| Renegatów którzy się wyparli Chrystusa . . . . | — 200. |

Pan Graberg de Hemsee, dawny konsul szwedzki w państwie marokańskiem, ogłosił prawie jednocześnie z Donem Serafinem de Calderon swe drugie dzieło o Maroko, i dodaje wykaz ludności nazwyczajnie szczegółowy i bardzo zbliżony do wykazu tutaj umieszczonego.

stują wszystkie wysokie urzędy i panują nad krajem. Oni jedynie wchodzą z Europejczykami w styczność.

Arabowie mieszkają częścią w namiotach, częścią we wsiach. Mieszkańcy namiotów są prawdziwym koczującym narodem; przebywają na rozległych płaszczyznach wnętrza kraju, i mało zależą od swego sułtana, którego prawie tylko *pro forma* uznają. Opuszczając jedno miejsce już zpasione, dla drugiego w pastwiska obfitszego, opłacają się sułtanowi lub jego paszy. Wszystka bowiem ziemia należy do panującego.

Plemieniem najdzikszém są Berbery. Sąto podług wszelkiego prawdopodobieństwa potomkowie pierwotnych mieszkańców kraju, Numidyjczyków. Największa część żyje w górach i lasach, i trudni się więcéj łowami, rybołostwem i rabunkiem, jak rolnictwem. Tych Maurowie i Araby nazywają Kabailami, czyli Kabylami, i nie cierpią jak czartów. Dziki ten, choć tak starożytny szczep, słabe ma wyobrażenie o bóstwie, i nie obserwuje, prócz kilku zabobonnych form, żadnego stałego wyznania religijnego. Niemało tych Kabailów około Tangieru na skalistych odnogach, które Atlas do morza wysyła. Kabailowie ci korzystając z popłochu panującego w Tangierze, w chwili kiedy go Francuzi w r. 1844 bombardowali, i widząc syna cesarskiego uciekającego z wojskiem zaraz po pierwszym wystrzale, wpadli do miasta i chcieli je złupić. Ale pasza gubernator zebrał orszak nieliczny swych wiernych, uderzył na rabusiów, kilku z nich własną ręką zabił, i tak zachował Tangier od nieszczęścia, któremu uległ w tych samych okolicznościach Mogador.

Inni Berberowie, trudniący się hodowaniem bydła, mniéj dzikiego są usposobienia, i cokolwiek więcéj mają oświaty i sumienia. Nazywają ich tutaj Amazirgami.

Żydzi mieszkają w miastach, i oddają się łatwiejszym rzemiosłom i szacherce. Czynniejszemi są i przemyślniejszemi jak Maurowie, i dlatego stają się niezbędnie potrzebnemi w tym kraju.

Murzyni po większéj części są niewolnikami, używanemi za ogrodników i do straży haremu. By uzdolnić do téj służby szczególnéj, Maurowie robią to samo z murzynami, co Rzymianie z dziećmi przeznaczonemi na dyszkantów. Murzynów rosłych, pięknych i z wierności znanych, pozostawiają w stanie naturalnym, i obracają ich do służby sta-

jennéj. Wielką ich część cesarz zakupuje do swéj przybocznéj gwardyi, tak świetnéj, pysznie uzbrojonéj i ubranéj, jak trudno widzieć coś podobnego. Jest jéj jeszcze 6,000.

Jest także wielu murzynów wolnych i trudniących się handlem i rzemiosłami. Sąto w ogólności bardzo rzetelni, zgodni i zręczni ludzie. Poznamy późniéj dobrego Abur-Nazę.

Hamilton Bey nie chciał się puszczać do Maroko przed odebraniem pewności, że syn cesarski znajduje się w tém mieście i przed uzyskaniem firmanu z własnoręcznym podpisem księcia. Postanowiliśmy tymczasem zwiedzić miejsca nie zbyt oddalone od Tangieru, mianowicie Tetuan.

Tetuan leży na wschód od Tangieru, w odległości 10 mil geog. Pasza dodał nam do straży jednego ze swych najwierniejszych oficerów. Byłto piękny, choć prawie już sędziwy człowiek. Jechał na czele naszéj karawany na dzielnym siwku arabskim, z długą białą grzywą i z długim białym ogonem, którego końce farbowane były koszenillą na purpurowy kolor. Na głowie miał ową wysoką czerwoną czapkę żołnierską, a około niéj zawój z białego czystego muślinu. Haik otaczał jego piersi, a na nim powiewał rodzaj burnusu niebieskiego, zwanego *sułkam*. Nagie nogi tkwiły w żółtych pantoflach, do których przysznurowane były rzemieniem ostrogi, z kolcami na pół stopy długiemi. Uzbrojony był w pałasz, puginał i parę pistoletów; przytém miał długą bardzo strzelbę w czerwonym futerale, na poprzek siodła przytwierdzoną.

Zabraliśmy z sobą także, prócz żywności i rzeczy, żyda, służyć nam mającego za tłómacza. Leżał on na koniu jucznym jak worek żywności; siadać bowiem na konia nie wolno żydowi: byłobyto zbezcześcić to szlachetne zwierzę, które Maurowie tak wysoko cenią. Lecz zabrać żyda i włożyć go jako pakunek na jucznego konia, to wolno żyd wtenczas jest uważanym jako rzecz, i jako takowa nie uwłacza honorowi konia.

Na mule lub ośle wolno jeździć żydowi, aleśmy ani jednego, ani drugiego tą razą nie mieli. Biedny żyd musiał tedy być rozciągnięty na pakunkach, dźwiganych przez niezmiernie wielkiego jucznego konia. Nie wolno też żydowi nosić żadnéj broni pod żadnym pozorem. Nasz żyd ani się chciał dotknąć fuzyi, którą mu podałem do trzymania.

»Nie jestem godzien tego zaszczytu« odpowiedział i przywołał Maura, aby go wyręczył. Biedny Mosiek! był on przecież dobrym, rzetelnym człowiekiem.

Było nas wszystkich ze dwadzieścia osób w karawanie. towarzyszyło nam bowiem kilku Anglików i innych podróżnych w wycieczce; nawet trzech rodowitych Maurów z swemi sługami przyłączyło się do nas przed bramą miasta, chcąc korzystać z naszéj eskorty. Oficerowi przykazał basza jaknajuroczyściéj, żeby nas jeszcze tego wieczora dostawił do Tetuan. Była to uciążliwa podróż. Małe nasze koniki nurzały się aż po piersi w błotach, których pełno było w dolinie poprzedzającéj górzystą okolicę. W parowach natrafiliśmy tu i owdzie na małe wsie czyli *duary*. Składały się po największéj części z lepianek pokrytych wrzosem lub trzciną, a opartych z jednéj strony o spadzistą ścianę skały lub opoki. Niektóre tylko otoczone były ogródkiem. Prócz aloesów i fig indyjskich dziko rosnących nie widzieliśmy innego drzewa. Pola zasiane były tutaj ryżem, tam jęczmieniem. Kilka nagich jak robaki dzieci igrało przed lepiankami, a chmary bocianów i flamingów latały w powietrzu. I tu także uważa je lud za święte ptaki, i dozwala im gnieździć się na dachach.

Włościanie arabscy spotykający nas witali naszego kapudi z wielką uprzejmością. Niektórzy całowali go w brzeg haika, inni w rękę. Niektórym sam Kapudi podawał rękę, lub ją kładł na swém sercu na znak serdecznego współczucia, które w nim wzbudza los witającego bliźniego. Maur wiele dba o godność i etykietę, i objawia to nieraz ceremoniami dość śmiesznemi. Gdy się dwóch krewnych lub dobrych przyjaciół spotka, wówczas jeden rzuca się drugiemu na szyję, całują się w twarz i brodę, i szturmują się niezliczoném mnóstwem pytań, na których odpowiedzi ani oczekują, ani też słyszą.

Obiadowaliśmy nad brzegiem strumyka. Maurowie osobno usiedli w kółko na piętach, my Europejczycy legliśmy na murawie około naszego kosza z żywnością: biedny żyd ze swoim dworem usiadł na stronie. Chleb nasz zamókł. Spostrzegł to Kapudi i ofiarował nam część swego, rodzaj podpłomyka tłustego, niekwaszonego i niebardzo smacznego. Żydowi nawet raczył ofiarować z odurzającą godnością kawał swego chleba. Od nas przyjął daktyle, figi i orzechy

tureckie, ale nie chciał przyjąć ani mięsa wędzonego, ani wina. »Prawo mi to wzbrania« odrzekł kładąc rękę na sercu. Byłto bogobojny Maur. Nie wszyscy są tak skrupulatni w obserwowaniu religijnych przepisów.

Odkiełznano konie i własnemu je powierzono przemysłowi. Same się pasły, potém napoiły, a późniéj na zawołanie przyszły i dały się okiełznać.

Teraz droga wiła się między wysokiemi górami, gdzie napół dzicy Berberzy mieszkają w niedostępnych lasach, niezawsze w chatach, najczęściéj w jaskiniach, a nawet w spróchniałych pniach drzewa. Ci się żywią z łowów i z łupu, i niejeden podróżny legł ofiarą ich chciwości i zbójeckiego instynktu.

Nasz oficer maurytański przysznurował mocniéj swe ostrogi dotychczas o szerokie strzemiona brzęczące, i wyciągnął strzelbę z czerwonego futerału. Wkrótce spotkaliśmy kilku ludzi istotnie bardzo dziko wyglądających. Bylito Berberzy. Żadnego nie mieli turbanu ani pokrycia na głowie; włosy nosili krótkie, brunatne, najeżone; żadnego haiku ani spodni, tylko rodzaj koszuli krótkiéj i do ciała przylegającéj z grubego ciemnego sukna. Ale uzbrojeni byli w dobre dubeltówki z pistonami, a nie w owe długie, pojedyncze fuzye ze skałką, których Maurowie zarzucić nie chcą.

Nie witali oni naszego kapudi, srodze na nich spoglądającego. Mówili pomiędzy sobą dziko-brzmiącym, Maurom, Arabom, żydom i nam niezrozumiałym językiem. Nieraz basza tetuański wysyła przeciw tym góralom swych żołnierzy, by ukrócić ich zuchwałość; ale zawsze napróżno. Berberzy ustępują w wyższe góry, rażą żołnierzy z jaskiń i z wierzchołków drzew, a ci powracają pobici i nie zadawszy Kabailom żadnéj klęski.

W pośrodku gór i prawie na połowie drogi z Tangieru do Tetuan, leży rodzaj dworcu czyli karawan-seraju obronnego, zwanego w krajowym języku fondak. Już z daleka zoczyć go można, wystawiono go bowiem na podnóżu góry, w miejscu gdzie las jest rzadszym. Maurowie podróżujący z Tetuanu do Tangieru z towarami, nocują w tym dworcu. Z drugiej strony Fondaku, droga prowadzi w żyzną dolinę, a z po za niéj wyziera łańcuch gór spadzistych, na podnóżu których leży Tetuan. Jestto odnoga małego Atlasu; wierzchołki jéj pokryte wiecznym śniegiem, a podnóże najbujniej-

szą wegetacyą. Kształtem swym góry te podobne do szwajcarskich Alp.

Miasto Tetuan rozciąga się na wielkiéj przestrzeni. Mury jego obronne są redutami, z których tu i owdzie wyzierają groźnie armaty. Niewinneć to bawidła w rękach Maurów; a jeźli są niebezpieczne, to chyba dla tych, co z nich strzelają.

Tetuan liczy 25,000 mieszkańców, i najważniejszém jest miejscem handlowém po mieście stołecznem Fez. Tetuan leży o półtory mili od morza Śródziemnego, tuż blisko rzeki zwanéj Martbin, tworzącéj jego przystań. Ale smutnato przystań: tak zasypana piaskiem, że ledwie łódź przejść może.

W przeszłém stuleciu Tetuan był jeszcze miejscem rezydencyi konsulów europejskich, ale cesarz marokański powodowany nie wiem jaką drobnostkową okolicznością, zakazał od jednego razu chrześcianom pobytu w Tetuan. Dwadzieścia lat trwał ten zakaz, i przez ten czas żaden chrześcianin nie przestąpił wrót miasta.

Dziś jeszcze żadnemu chrześcianinowi nie wolno tam zostać obywatelem, czyli raczéj osiedlić się: gdyż o prawach obywatelskich ani może być mowa w państwie marokańskiem.

Słońce już dobrze zbliżyło się ku zachodowi, gdyśmy ujrzeli Tetuan, a jeszcze mieliśmy milę drogi przed sobą. Kapudi wyciągnął różaniec i zaczął modlić się nabożnie.

Pytaliśmy go, czemu się tak rzewnie modli; a on odpowiedział: »Allah jest wielkim! ja jego przebłagać muszę, że wam, Nazareńczykom służę za przewodnika w chwili, kiedy wszyscy wierni zgromadzeni są w meczecie. Zobowiązałem się jednakże przyprowadzić was do miasta jeszcze tego wieczora. Bóg kieruje losami ludzkiemi.«

— Bóg ci nie porachuje tego grzechu — rzekliśmy.

— Któż wiedzieć może?—odpowiedział kapudi—co nam będzie za grzech poczytaném? Wy Nazareńczycy najmniéj o tém sądzić możecie. Wy sobie tworzycie wasz sąd i raj już na tym świecie; ale tam, wysoko, gdzie on nas czeka, tam go mieć nie będziecie.

Przy takiém pojęciu religii nic naruszyć nie zdoła dumy mahometanina, ani nawet uznanie wyższości umysłowéj w chrześcianach.

Ale pocóż szukać w zwolennikach Mahometa téj dumy? Fałszywe pojęcie religii wyradza ją nawet u chrześcian, i to tak często, że bigoterya służy prawie zawsze na pokrycie próżni w głowie naszym dewotkom, i dewotom nawet. Tak jest, próżni w głowie, i złości w sercu.

Stanąwszy przed bramami, musieliśmy wysłać naszego przewódzcę do baszy, dla zapytania go, czy nam wolno będzie wejść do miasta. Nie jestto próżną formą. Niedawno Francuz jeden po sześciodniowéj podróży, stanął przed bramami Maroko, i prosił, nie opatrzywszy się wprzódy w firman, o pozwolenie wejścia. Żądano od niego daniny do 700 złp. wynoszącéj. Téj złożyć nie chciał, i powrócić musiał do Tangieru.

Przed miastem, niedaleko od drogi, Arabowie założyli obóz. Namioty ich składały się częścią z derek tkanych z włosa wielbłądziego, częścią z liści palmowych podpartych grubą i lekką trzciną. Szerokie, niskie i długie, miały kształt wielkiéj przewróconéj łodzi. Także na czarno były umalowane smołą.

Nareszcie nadeszła od baszy odpowiedź: »Allah niech was broni! Cieszy mię, że w mojém mieście spocząć chcecie.«

---

# ROZDZIAŁ V.

OBERŻE.—WYROBY TETUAŃSKIE.—ŻONY MAURÓW.—WYCHOWANIE KOBIET.—WYOBRAŻENIE MAHOMETA O WARTOŚCI KOBIET.—BASZA TETUANU.—JEGO ZAZDROŚĆ, KONIE I OGRÓD.—ŚWIĘCI MAHOMETAŃSCY.—SIDI NASSIR, CZYLI ZJADACZE WĘŻÓW.—FANATYZM DERWISZÓW.—KADI TETUANU.—JEGO POBOŻNOŚĆ I RODZINA.

---

Raz wstąpiwszy do miasta, cała illuzya znikła. W niém tak smutno, tak brudno, jak w każdém maurytańskiém mieście. Domy nie mają żadnych okien na zewnątrz wychodzących, i wyglądają jak więzienia. Wszystkie architektoniczne ozdoby chowają tu na upiększenie wnętrza domów, które w Tetuan wznoszą się na dwa piętra. Tu i owdzie minarety wyzierają po nad dachy i przerywają smutną jednostajność.

Stanęliśmy w nędznéj oberży, trzymanéj przez żyda, tak brudnego, jak go znamy, niestety! w naszym kraju. Skromna łojówka przyświecała nam w atmosferze przesiąkłéj zapachem cebuli, czosnku i ryb suszonych. Niewypowiedziany wstręt nie dał nam nic skosztować z zastawionych potraw.

Nazajutrz zwiedziliśmy wiele sklepów i warsztatów maurytańskich.

Nie braknie tu na przemyśle. Mianowicie wyroby skórzane i jedwabne bardzo są piękne. Skóra bowiem nabiera wybornych własności w rękach Maurów: staje się mocną, elastyczną i bardzo miękką. Trzewiki z niéj wyrabiane są nader wygodne, nigdy się nie pryszczą, ale twardnieją. Skóra jest tutaj jeszcze tańszą jak w Hiszpanii. Jedwabne materye fabrykowane w Maroko są ciężkie i gęste, kolory ich żywe, gustownie uszykowane i nadzwyczaj-

nie świecące. Broń tutaj wyrabiana jest przedziwnie piękna, damaszkowana, złocona, koralami i drogiemi kamieniami wykładana. I to wszystko wyrabia się narzędziami tak prostemi, że żaden z naszych puszkarzy nie wyrobiłby niemi nawet dobrego kurka do pistoletu.

Mieszkańcy Tetuanu rzadko widują cudzoziemców, dla tego też są fanatyczniejszemi jak Tangierczycy. Nieraz się zdarzało, że patrząc na nas pluli od wstrętu; a jeden z nich, o którym przewodnik nasz mówił, że jest świętym, uderzył młodego sir Antony S..... prętem bardzo dotkliwie w plecy. I cóż było robić na ten dowód świętości? Rozszarpanoby nas na drobne kawałki, gdybyśmy na santurona rękę podnieśli.

Maur jest gościnnym. Przyjmuje on cudzoziemca do swego domu, skoro z niego kobiety uprzątnie, ale nigdy nie ścierpi, żeby noga niewiernego skalała jego świątynię. Śmierć lub obrzezanie czeka niezawodnie chrześcianina, za przestąpienie progów meczetu.

Według prawa Mahometa, wolno wszystkim Maurom mieć po cztery żony, a nałożnic tyle, ile im się podoba; ubodzy muszą się kontentować jedną żoną, jeźli ich wyżywić nie są w stanie. Kobiety otrzymują od swych mężów, czyli raczéj właścicieli, codziennie potrzebną kwotę pieniędzy i żywność. Jeżeli która z nich w stanie jest dowieść, że jéj mąż nie daje wystarczającéj płacy, natenczas wolno jéj się rozwieść i pójść za innego. Maurowie tak są zazdrośni jak Turcy, i trzymają swe żony pod zamknięciem. Kobieta, według nich, daleko niżéj od mężczyzny postawiona; kobieta jest istotą dla przyjemności mężczyzny stworzoną. Kobiecie nie powierzają, jak u nas, starania o swój własny honor: zmuszają do wierności, stawiając ją w niemożności działania samowolnie. Kobietom należącym do majętnych Maurów nie wolno opuszczać haremu; dopiero kiedy się znajdują w stanie tak nazwanym błogosławionym, wolno im w towarzystwie niewolnic, i pod protekcyą grubych zasłon, wychodzić na miasto.

Lecz i żony Maurów są córkami Ewy, i mając wiele czasu, całe życie przemyśliwają nad sposobami ujścia baczności argusów. Lubią tedy wchodzić czasem w intrygi miłosne z chrześcianami, ale takie intrygi łatwo zakończyć się mogą bardzo tragicznie. Maurytanki, gdy sądzą, że są

niepostrzeżonemi od swych współwyznawców, odsłaniają chrześcianom swe piękne, cudowne lica, i cieszą się z sprawionego wrażenia. Ale niech Bóg broni, żeby to zazdrosny Maur zobaczył lub o tém się dowiedział: srogiéj kary nie uszłaby biedna istota.

Co do wychowania, bardzo są zaniedbane żony Maurów; żyją w największéj niewiadomości: cała ich nauka zawarta w kilkunastu wierszach koranu. Modlą się w domu. Do meczetu wstępu nie mają nigdy. Maurowie mało dbają o wieczne zbawienie kobiet, które na tym świecie już missyę swoją spełniły.

Z tego wszystkiego, com słyszał a nawet widział z życia haremowego w państwie Marokańskiém, a późniéj w Algieryi, nie wywiózłem wielkiego wyobrażenia o przyjemnościach serajskich Mahometanów. Czy może kochać miłością estetyczną i godną człowieka Mahometanin? On swój ideał kupił za tyle i tyle, ideał ten trzyma w więzach, by się nie przeniewierzył, w ideale nie uważa równego sobie jestestwa, lecz istotę od niego nieskończenie niższą, tylko w powabniejszą formę obleczoną. A niewolnica czyż może kochać swego pana, który ją za najmniejsze przewinienie na śmierć skazać może? którego zwierzęcą miłość dzielić musi z tyloma innemi kobietami?

Mahomet o naturze ludzkiéj niskie musiał mieć wyobrażenie, kiedy ją całkiem uważał być podległą wpływom klimatu. Sądził, że pod gorącém Arabii niebem, kobieta musiałaby się stać rozpustną, gdyby ją mury więzienia nie otaczały; i dla tego też wynalazł ową teoryę niewolnictwa, tak uwłaczającą godności ludzkiéj, pozbawił kobiety duszy, dla zrobienia z nich wiecznych niewolnic, zdolnych tylko do chwilowéj zabawy swych panów, i to tylko na lat kilka, dopóki wątła barwa młodości na ich licach kwitnie.

Trudno uwierzyć, do jakiego stopnia Maurowie posuwają zazdrość; my mieliśmy tego dowody w Tetuan. Basza, gubernator Tetuanu, wezwał Dra Hamilton i mnie do swego zamku w celu porady lekarskiéj. Uszczęśliwieni tą sposobnością przyjrzenia się z bliska gospodarstwu maurytańskiemu, biegniemy do zamku wraz z naszym dragomanem żydem Mośkiem, najętym w Tangierze.

Dwóch żołnierzy, dość porządnie przybranych, stało na warcie przed zamkiem gubernatora, który w Tetuanie dzier-

ży najwyższą władzę wojskową i cywilną. Jako basza, ma do swojego rozporządzenia dwa bataliony wojska, potrzebne mu do ogólnéj obrony, do utrzymania spokojności i porządku, nareszcie do ściągania podatków; a jako kadi, to jest sędzia, trzyma w swych rękach szalę sprawiedliwości kryminalnéj, i może nawet karę śmierci wymierzać.

Przyjął nas dostojny basza pod swą bramą zamkową, gdzie siedział zwyczajem Maurów z założonemi na krzyż nogami, na ziemi pokrytéj dywanem. Sekretarz jego stał obok, i miał przed sobą stolik bardzo mały i misternie zrobiony. Na tym stoliku rozłożona była korespondencya baszy, jego akta i księga praw.

Basza wstał. Był to sędziwy starzec z białą brodą, w białym turbanie, takimże haiku, w długim, karmazynowym, siwém futrem podbitym szlafroku i żółtych pantoflach.

Wstał tedy, przyłożył rękę swą prawą do serca, i zaprowadził nas przez wewnętrzny dziedziniec do sali, któréj ściany pokryte były arabeskami, podłoga wyłożona dość piękną marmurową mozajką, a okna wysokie i wązkie przepuszczały przez kolorowe szyby różnokolorowe światło. Na jednym końcu téj długiéj sali, na wielkim kobiercu, niski dywan; na drugim stało coś nakształt staroświeckiéj kanapy i kilka krzesełek plecionych z trzciny. Na to ostatnie miejsce poprowadził nas sędziwy gospodarz, i kazał nam usiąść na kanapie; sam zaś usiadł, skurczywszy pod siebie nogi, na jednym z taburetów przykrytym małym kobiercem. Wcale dziwnie wyglądał dostojny basza w téj śmiesznéj postawie.

Na znak dany przyniesiono nam fajki na długich cybuchach, i małe czarki kawy czarnéj.

Teraz dopiero zapytał nas, z jakiego jesteśmy narodu. Anglików znał doskonale, ale o moim narodzie nigdy w życiu nic nie słyszał, ani też o Roxolanie.— »Któż może znać wszystkie żony, wszystkich padiszachów? Wszystkie narody ubiegają się o zaszczyt dostarczania nam niewolnic. Szczęśliwy, kto choć jednę sprawi nam chwilę roskoszy!«— odpowiedział basza i zaczął marzyć o przyjemnościach wiecznego raju, i wywracał oczyma i dumał.

— Kapudi zaręczał mi, żeście wielkiemi lekarzami— rzekł po długiém marzeniu basza. Choroba ócz często panuje w mym seraju, i już mi przeszło 40 niewolnic ośle-

piła; teraz, w téj chwili, jedna z mych najulubieńszych żon choruje na oczy i wiele cierpi. Znacie lekarstwo na tę chorobę? Mój lekarz, choć jest świętym i imanem, już rozpacza o jéj uzdrowieniu, mówiąc, że Allah chce, żeby była ślepą.

Dr. H. odpowiedział, że zamknięte powietrze haremu bardzo usposabia do podobnych chorób, że to będzie zapewne owe zapalenie epidemiczne zwane w egipskim języku *mundzis*, bardzo niebezpieczne i bolesne, a prawie zawsze kończące się zaciemnieniem przezroczystéj części błony oka,— że nie sposób je wyleczyć modłami ani gusłami, że przedewszystkiém należałoby widzieć pacyentkę.

Dragoman tłómaczył punkt po punkcie; basza zrozumiał, zaczerwienił się i rzekł: »O niewierne giaury! Allah wam odmówił łaski cudów, i wy nie wierzycie nawet, że inni szczęśliwsi doświadczają ich dobrodziejstwa. Żony mojéj świętego oblicza żaden jeszcze mężczyzna nie oglądał, prócz jéj ojca, który jest zięciem cesarskim, i mnie, jéj męża i pana. Niech raczéj ginie w mękach, ale niech nie będzie skalaną wzrokiem niewiernych!« — rzekł basza i wstał z postumentu.

— Chodźcie oglądać me ogrody i moje konie: nasycicie wasze oczy cudami — mówił daléj basza widząc nas gotujących się do odejścia, i hamując sam siebie w swym barbarzyńskim gniewie.

Cóż mieliśmy robić? pogniewać się na starego barbarzyńca i odepchnąć sposobność zwiedzenia ogrodów słynących w całém państwie Marokańskiém za cudownie piękne?— Nie! barbarzyńca nie nawrócim tak prędko.

O tyle, o ile ogród, prawie zupełnie ogołocony z drzew i ich cienia, może być pięknym, o tyle był pięknym ogród baszy. Ścieżki powykładane kolorowemi w arabeski uszykowanemi kamyczkami, partery w desenie wykrojone, błyszczące najpiękniejszemi kwiatami nisko rosnącemi, pagody naśladujące kształt minaretów, tu i owdzie wysoka palma zwieszająca swe długie liście melancholicznie ku ziemi; wszystko to oprawne w szerokie ramy zarosłe trawą, a poprzerzynane strumyczkami w kierunkach symetrycznych sztuką nadanych — oto ogród baszy! Był to raczéj kobierzec roślinny.

Stajnie baszy nie mają dachu; konie stoją całe życie pod gołém niebem. Koni było ze wszystkiém do 80; niektóre z nich rzadkiéj piękności, mianowicie jeden kary ogier arabski, na którym basza jeździ tylko w dniach uroczystych. Koń ten tak był rosły i regularnie zbudowany, jak najpiękniejszy koń angielski. Mało takich koni na świecie, a szczególnie w państwie Marokańskiém. Cesarz jest właścicielem wszystkich koni całego kraju; najlepsze z nich wybierają dla niego i dla jego wojska, nie dając czasowemu właścicielowi prawie nigdy żadnéj nagrody. Biada prywatnemu, piękne konie posiadającemu, jeżli je basza zoczy! Łatwo sobie wystawić, że w takim stanie rzeczy, do pewnego tylko stopnia mogą prosperować stadniny. Piękne i rosłe konie stają się coraz rzadsze w państwie Marokańskiém. Francuzi graniczący Algieryą z Marokiem, wykupują najlepsze konie. Cesarz zakazał wprawdzie pod karą śmierci ten handel, lecz czyż można obsadzić swojém nieliczném wojskiem całą przestrzeń suchéj granicy?

Kuce berberyjskie, które opisałem wprzódy, bardzo są tu tanie; w Tetuan i w okolicy możnaby ich zakupić do 500, nie płacąc jak 150 złp. za każdego w przecięciu. Ale zakaz cesarski przeszkadza ich wyprowadzeniu, a nie łatwo przemycić konia okrętem. Konsul angielski uzyskał od baszy Tangieru pozwolenie wyprowadzenia czterech kuców z kraju, ale za to musiał mu zapłacić 450 złp. za każdego, tak, że po sprowadzeniu do Gibraltaru, każdy koń kosztował go po 700 złp.

Z rozmowy z baszą Tetuanu dowiedzieliśmy się, że Maurowie mocno wierzą w świętych, że ich bardzo wielu mają już na tym świecie, a nawet w każdéj klassie ludu. Jednych mianuje cesarz, jako głowa religii, drudzy sami się mianują, a lud ich za takowych uważa. Są to po największéj części hipokryci, oszukańcy, nadużywający poszanowania, jakie sobie zjednali u ludu dla własnych widoków. Maraby udają, że są czarnoksiężnikami; żyją w próżniactwie i sprzedają amulety.

Najwięcéj zastanawia sekta świętych, zwana *Sidi Nassir*, czyli zjadacze węży. Sam widziałem, jak jeden z nich na publicznym placu w Tetuan przy odgłosie dzikiéj, uszy rozrywającéj muzyki, przedstawiał ludowi swe figle i mamidła, utrzymując zuchwale, że sam Mahomet nadał mu

przywilej zniesienia wszelkiego jadu, i że żadne jadowite gadziny szkodzić mu nie mogą. Na dowód tego wydobył dwa jadowite węże: jeden z nich wielki czarny, może na sześć stóp długi, a drugi mniejszy, długości półtrzeciéj stopy, siwo niebieskawy, wzdłuż całego ciała miał dwa rzędy linij, z punktów czarnych złożonych, ze znakiem podobnym do litery V na głowie płaskiéj i dość szerokiéj, z zębami tak zwanemi ruchomemi na podniebieniu. Była to pospolita żmija, w tych krajach strasznie jadowita.

Z temi przebrzydłemi gadami bawił się święty Sidi Nassir czas niejaki, przygrywał im na piszczałce, a gady słuchały i wiły się około rąk i nóg santurona; nareszcie przestał grać, rozjątrzył węże aż do wściekłości i nadstawił ich ukąszeniu swe ręce; potém wyssał zadane rany, żując coś w ustach, co mu zapewne za antydot służyło. Potém znów dobył piszczałkę i udobruchał, do posłuszeństwa przywiódł rozjuszone gadziny. Nareszcie, zgroza przejmuje na samo wspomnienie! nareszcie wsadził sobie ogon żmii do ust i zaczął ją całą żuć i połykać przy wykrzywieniach i grymasach tak okropnych, że nam się wszystkim źle zrobiło. Żmija wyrywała się z gardła, gryzła go po twarzy, ale to na próżno: połknął ją całkiem przebrzydły człowiek i jeszcze pokazywał, jak mu się w brzuchu wiła.

Ktoby mi nie wierzył, niech przeczyta, co księżna d'Abrantes pisze w swych pamiętnikach o generale Menou, *ci-devant* margrabi, który po śmierci generała Kleber głównie dowodził wojskiem francuzkiém w Egipcie. Generał ten, czy to folgując dziwnéj swéj fantazyi, czy też w chęci zjednania sobie umysłów Egipcyan, przeszedł na wiarę Mahometa, a nawet wpisał się do bractwa psyllów egipskich, i dowiedziawszy się ich tajemnicy, *połykał tak zręcznie węże*, jak niegdyś na salonach wersalskich zręcznie tańczył menueta z królową i księżniczkami. Abdallah Menou (gdyż przybrał imie Abdallah z wiarą Mahometa) wcale się nie wypierał tych gustów powróciwszy do Europy. *De gustibus non est disputandum!* mawiał naiwny generał. Czego Francuz nie zrobi, węża zje, wstyd połknie, byleby pieniędzy nie wydał— zresztą na wszystko się zgodzi.

Innym rodzajem świętych jest bractwo fanatycznych derwiszów, z których każdy wystawia sobie, że jest duszą

jakiegoś zwierzęcia. Bractwo to występuje przy uroczystych okolicznościach, i rykiem swym i tańcami zabawia publiczność; na jego czele staje zawsze osoba wyobrażająca lwa, króla zwierząt. Każdy zachowuje się w charakterze zwierzęcia, które przedstawia: ryczy, skacze, aż w szał wpadnie, żywe psy i koty zębami szarpie, i tysiączne dokazuje niedorzeczności. Biada żydowi, lub nawet chrześcianinowi, gdyby się wtenczas pokazał. Władze wojskowe utrzymać nie mogą tych szaleńców w karbach sforności: szał religijny wszystkie przełamuje zapory.

W Tetuan wolno tym szaleńcom występować cztery razy do roku: w Tangierze tylko raz, w rocznicę narodzenia Mahometa. Pasza wtenczas uwiadamia konsulów zagranicznych, żeby swym krajowcom odradzali wychodzić z domu. Bej tunetański, bardzo światły, roztropny monarcha, by powściągnąć szaleństwo sekty, wpisał się sam do bractwa zwierząt i został naturalnie obrany lwem bractwa. Postąpił sobie jako lew, to jest: wydusił całą menażeryę, i tém zasłużył sobie na wdzięczność ludzkości.

Idyoci i maniacy także są uważani u ludu za świętych, i cieszą się szczególną protekcyą nieba. Zabobon ten podpiera niejako filantropia; znajdujemy go nawet w cywilizowanych krajach, jak np. w Tyrolu, gdzie prawie czczą kretynów, i rodziny, w których oni się znajdują, uważają jako błogosławione przez Boga. W państwie Marokańskiém nie ma wcale praw dla idyoty lub maniaka. Wolno mu wszystko robić, co mu się podoba. Dla niego nie ma obrazy prawa ani moralności. Gdziekolwiek przyjdzie, wszędzie jest dobrze przyjętym, nakarmionym i pielęgnowanym. Złośliwość swoją wszędzie bezkarnie wywrzeć może: wielu pomiędzy nimi jest oszukańców. Być poczytanym za waryata, jestto wygodny paszport dla próżniaka. Oh, kraju obiecany!

O milę od Tetuanu znajduje się kopalnia złota, założona od lat kilku dopiero przez towarzystwo akcyonaryuszów francuzkich, które się utworzyło w Marsylii pod mało ważną protekcyą rządu Francuzkiego. Towarzystwo to uzyskało firman sułtana Muley-Abder-Hammana, pod warunkiem, że przez lat trzydzieści oddawać będzie czwartą część dochodów z kopalni na rzecz skarbu marokańskiego, i że po tym czasie sułtan stanie się właścicielém bezwarunkowym

kopalni i zakładów na gruncie jego zbudowanych. Pomimo protekcyi rządu francuzkiego i marokańskiego, położenie górników bardzo było niebezpieczne. Fanatycy muzułmańscy, a szczególnie santurony, fakirowie, dusiciele i inni udający obłąkanych, polowali sobie na chrześcian tak jak na lwy, dziki, hyeny i szakale. Już w pierwszym roku trzecią część górników wystrzelano. Żaden też francuzki inżynier nie chciał być dyrektorem tego zakładu; udano się tedy po niego do tego narodu, który Francuzom zawsze musiał wyciągać kasztany z ognia. P. Rat....., uczeń szkoły minerów w St. Etienne, bardzo zdatny inżynier, dyrygował zakładem tetuańskim już od roku. Podczas mojego pobytu w Tetuan, znajdował się właśnie w Hiszpanii, podobno w Maladze.

W łaźni tetuańskiéj, bardzo okazałéj i wygodnéj, poznałem się z kilkoma Maurami wywodzącemi ród swój od Maurów grenadeńskich. Niektórzy z nich mówili nawet nie źle po hiszpańsku. Maurowie ci starali się o utrzymanie krwi swéj w czystości, i nie żeniąc się nigdy z kobietami arabskiemi i z murzynkami z Sudanu, nie stracili cery swéj białéj. Pięknyto, wysoki, dumny lud, pełen szlachetności w ruchach i obrazowości w mowie. Jeden z nich, sędziwy starzec z siwiuteńką głową, z powołania ulema przy kadim, tojest prawnik przy sędziu spraw cywilnych, podróżował niegdyś, lat temu z dwadzieścia, w Hiszpanii: był w Grenadzie, Kordobie i Sewilli, i podziwiał pomniki stawiane ręką swych przodków. «Hiszpania wówczas chyliła się ku swemu upadkowi. Niezgoda taż sama, która nasze zniszczyła panowanie», mówił stary ulema, »wkradła się w serca naszych nieprzyjaciół: brat brata zabijał! Hiszpan sam nam torował drogę do swego kraju i byłby upadł i oddał nam nasze dawne posiadłości, gdyby nie szarańcza, co kraj nasz ze szczętem zniszczyła, a potém głód i morowe powietrze, postępujące zawsze za szarańczą. Większa połowa ludności wymarła w państwie Maugrebskiem (tojest Marokańskiem), statki nasze spróchniały w portach. Nakoniec przeklęty Frank opanował Algier i zniszczył filar Mahometa w Afryce, a wy *enzara* (chrześcianie) angielscy, choć dziaurów nie cierpicie, nie chcecie dać upaść śmiertelnéj naszéj nieprzyjaciołce, Hiszpanii. Ale jesteście naszemi gośćmi i wyrzutów wam czynić nie bę-

dziemy. Owszem, proszę was z sobą do mego domu na wieczerzę. Spocznijcie pod strzechą potomka bohaterskiego wezyra Muzy, który nie chciał przeżyć upadku swojego kraju.»

Dom ulemy stał w południowéj części miasta na małym pagórku, spadającym pochyłością południową wolno w dość głęboką dolinkę. Główny na ulicę wystawiony front nie odróżniał się niczém od innych domów. Na dwa był wzniesiony piętra, i ledwo kilka małych okien wyzierało na ulicę. Za głównym korpusem dopiero znajdował się wielki dziedziniec kwiatami obstawiony i pochyło schodzący od północy na południe. Tutaj stał drugi korpus domu przeznaczony dla kobiet. Frontem wyniesionym na dwa piętra obrócony był ku dziedzińcowi, ale w tym froncie mało było okien. Drogą podziemną, ale czystą i lampami oświeconą, przeszliśmy pod drugim korpusem do ogrodu ulemy Ali-Sefer-Efendego. Tu dopiero uszedłszy z 80 kroków, zatrzymał się gospodarz i zwrócił nas ku domowi. O dziwy! Ten dom, który ze strony dziedzińca tak był skromnym, niepozornym, przedstawiał się teraz naszym zdumiałym oczom w postaci najpiękniejszego pałacu, na cztery piętra wyniesionego, z pysznemi oknami, ozdobionemi firankami, z gankami zastawionemi kwiatami. Na tych gankach siedziały na niższém piętrze jakieś podeszłe już matrony, na wyższych stały młodsze kobiety, a na najwyższych igrały młode dziewczyny.

Ali-Sefer Efendy sycił się widokiem naszego zdumienia, a potém, nie mogąc już powściągnąć swego zadowolenia, chwycił się za swój dostojny brzuch, i zaczął się śmiać serdecznie: «Cha, cha, cha, cha! *Maszala, bismillah! oh engannio! oh sorpresa!* Ah widzicie Nazareńczycy, że istnieją jeszcze potomkowie Maurów granadeńskich! Cha! cha! cha! Nie spodziewaliście się tego? W tak skromnéj skorupie tak piękny kwiat. Allah jest wielki; patrzcie jak spoglądają na was moje owieczki! jak ciekawe wiedzieć, kogo im tu sprowadziłem. A teraz odwróćcie się jeszcze raz ku południowi i spojrzyjcie w górę na ten wał kamienny.«

Istotnie ogród odgraniczony od przyległych wysokiemi murami, oddzielonym był od południa niebotycznym wa-

łem skalistym, stromą ścianą odnogi gór tetuańskich. Szumna kaskada spadała po spadzistości i żywiła wodami swemi cały ogród.

— Oh ulemo Ali-Sefer Efendy! piękność twego domu wyrównywa głębokości twego rozumu! Bóg jest wielkim, i dał swemu synowi wielkie szczęście. Niech będzie chwalonym przez dzieci Mahometa i dzieci Sidy-Aissy (Jezusa Chrystusa)! Niech będzie— Tak odrzekł Al-Hamilt Bey, i przyłożył rękę na serce i na czoło. I ja tak zrobiłem na znak, że dzielę uczucia mego towarzysza, a Maur przyjął to z rozczuleniem, i wzruszony uściskał nas obu.

— Oh *Allah! akbar*! *abu Emkadem*! Oh Boże wielki! ojcze naszych rodziców! czemuż już nie jesteś ojcem dzieci twoich dzieci? Kochać naszych bliźnich, to nasza potrzeba, a my się wyrzekamy spólnego pochodzenia. Lecz szlachetni Nazareńczycy! wielkie we mnie zaufanie wstąpiło dla was od czasu jak słyszałem, żeście życie wasze poświęcili dla cierpiących, że nie gardzicie żadnym bliźnim choćby w łachmanach chodził, i że kochając Boga jedynego, dla jego miłości puszczacie się w głąb tego kraju, gdzie nie zawsze będziecie zrozumiani. Oh! Nazareńczycy! gdzieście czerpali wasze piękne uczucia, w jakiéj księdze? w jakim przykładzie? Oh, powiedzcie!

— Oh Ali-Sefer Efendy! sprawiedliwy sędzio! bracie nasz w duchu! w twojém sercu objawiają się wieczne prawdy, i w twym umyśle nie masz dla nich zapór! Oh wiedz, że w księdze pisanéj i w żyjących przykładach czerpiemy ludzkość, i pobłażanie, i pochop do czynów bezinteresownych. Oh wiedz o tém! Nauki Sidi Aissy żadna dotąd nauka zwalić nie mogła, bo jest wieczną i przetrwa istnienie naszéj ziemi, i istnieje pomiędzy mieszkańcami wszystkich ciał niebieskich, tak jak wpośród serca wszystkich sumiennych ludzi. Oh Ali-Sefer! Bóg jest wszędzie, gdzie dobre jest serce i gdzie jest sumienie; bylebyś szczęścia twojego nie opierał na krzywdzie bliźniego, a już jesteś bliskim Boga i jego ukochaném dzieckiem. Niech będzie pochwaloną chwila naszéj znajomości, i niech nigdy nie zatrze się w twojéj pamięci, oh bracie Muzułmanie!

Tak wyrzekł z rozrzewnieniem doktor Hamilton, a nasz ulema zdjął swój haik, rozpostarł go na ziemi od wscho-

du ku zachodowi, usiadł na nim obmywszy się w fontannie, i przez cały kwadrans odmawiał pacierze na różańcu, kiwając się i kładąc na ziemię.

Potém wstał, i jeszcze raz się obmył, i rzekł do nas: »A ile czasu potrzeba, oh uczeni Nazereńczycy! żeby wszyscy mieszkańcy ziemi myśleli jak wy?«

— Tysiąc lat jest tylko chwilą w porównaniu z wiecznością!

Jeszcze trwały z pół godziny podobne rozmowy: nareszcie zmierzchać się zaczęło.

— Nie długo muezzin zwoła na pacierze, a chciałbym was poznać z moją rodziną, to jest z memi staremi żonami i najmłodszemi dziećmi.

Na znak dany ruszyły się ku nam wielkiemi schodami ganek pierwszego i trzeciego piętra, podeszłe matrony i młodziuchne dzieci. Wszystkie jednę miały wspólną własność: bystre, piękne i wielkie oczy. Oczy takie pozostają starym, i w młodych wcześnie władać zaczynają. Małe Maurytanki, a były podloty pomiędzy niemi, po pierwszy raz widziały chrześcian. Jedna złapała mnie za rękę, i przeliczyła moje palce: raz, dwa, trzy, cztery, pięć; widzicie pięć tylko palców! tak jak u nas, zupełnie tak. Inna chwyciła Hamiltona za poły od fraka i macała, czy tam nie ma ukrytego ogona. *Allah maszala, bismillah!* tu nie masz ogona! krzyknęła Maurytanka z zadziwieniem.

Ulema śmiał się do rozpuku, i dzieci swe niewinne całował serdecznie, łzy wylewając roskoszy. I my się od śmiechu wstrzymać nie mogli. Nareszcie odesłał całą swą rodzinę do seraju i kazał zastawić kolacyę. Matrony pożegnały nas z godnością, dzieci podarowały nam kwiatki.

Baranina, kskussu, napój sporządzony z wygotowanych winogron, kawa czarna i nargille, oto kolacya stereotypowa Maurów; nigdzie lepsza, nigdzie prawie gorsza.

Muezzin wezwał do pacierzy. Ulema pospieszył do meczetu, a my wróciliśmy do naszéj brudnéj żydowskiéj gospody.

Ale Ali-Sefer Efendy znał się na rzeczy; wiedział co nas najwięcéj w tém okropném miejscu trapić będzie, i przysłał nam arabskich kadzideł, dwie pyszne fajki z drogie-

mi bursztynami, wybornego tytuniu i list zamknięty w jedwabnym woreczku, a adresowany do jego teścia, kasnadara cesarskiego w Maroko. Ulema Ali-Sefer Efendy był szwagrem dwóch młodych mirzów, których poznaliśmy w orszaku santurona dworu JCMości marokańskiego.

# ROZDZIAŁ VI.

POWRÓT DO TANGIERU. — ZIELONY ŚWIĘTY. — KARAWANY. — HANDEL. — FONDAK. — ROZMOWY MAURÓW. — ŚWIĘTY ŚPIEWA. — POMNIKI RZYMSKIE. — HISTORYA ROLNIKA. — BATOGI TAFILETU. — KARETA. — SPRZECZKA. — BOKSY. — FORTEL KAPUDANA. — JEGO DUMA.

---

Wracamy do Tangieru. Tą razą puszczamy się po południu w podróż, by stanąć wieczorem w Fondaku i tam noc przepędzić. Mnóstwo pielgrzymów maurytańskich przyłącza się do naszéj karawany: idą do Tangieru złożyć hołdy owemu santuronowi, którego podziwialiśmy piękny nagrobek.

Inny święty, ubrany od stóp do głów zielono jak czyżyk, z lancą zielono malowaną w ręku, prowadzi hufiec bogobojnych pielgrzymów. Należał on do sekty wesołych, krotofilnych świętych: ci są najmniéj szkodliwemi.

Raz biegł galopem, co tylko miał tchu, i cały hufiec daléj za nim galopem; drugi raz padał na kolana i na nich czołgał się po skalistéj ziemi, i cały hufiec daléj za nim na klęczkach. Potém znów na jednéj skakał nodze, lub też biegł tyłem naprzód jak rak, i przytém najśmieszniejsze robił grymasy. Wszyscy pielgrzymi naśladowali go skrupulatnie. Santuron nasz pochodził od Alego, to jest był z rodziny, do któréj należał Mahomet; dla tego też używał przywileju ubierania się w zielone kolory. Mahomet nigdy innego nie nosił.

Widok czterdziestu ludzi odbywających tak śmieszną, a razem niewygodną podróż, bynajmniéj nie zadziwiał krajowców. Nasz kapudi, odprowadzający nas do Tangieru, stosował krok swego konia do kroku pobożnych pielgrzy-

mów, mówiąc: »Oni to czynią dla chwały Boga i jego proroka: strzeżmy ich od nieprzyjacioł.«

Przecież ku wieczorowi zmęczył się święty czyż do tego stopnia, że z boleścią serca chodzić musiał jak każdy inny rozsądny człowiek.

Napotykaliśmy liczne karawany wielbłądów, idących z wnętrza kraju do Tetuanu, zkąd je daléj wyprawiano morzem do Gibraltaru. Trzeba bowiem wiedzieć, że Anglicy ciągną całą żywność do Gibraltaru, to jest: pszenicę, ryż, bawoły, a nawet i inne surowe produkta, jako to: skórę i jedwab surowy, kość słoniową, strusie pióra, gummę i koszenilę, z państwa marokańskiego. Anglicy płacą Marokańczykom prochem, śrutem, towarami wełnianemi i bawełnianemi, ale towarami najgorszego gatunku, takiemi, jakich nigdzie sprzedać nie mogą, jakich nawet Hiszpan nie kupi. Traktatem handlowym, zawartym między państwem marokańskiém a Anglią, Anglia zabezpieczyła Marokowi całość jego posiadłości, a sobie prawie wyłączny monopol handlowy. Mogliby wprawdzie Marokańczycy ujść tego niewygodnego dla siebie traktatu i zawrzeć ściślejsze związki z Francuzami, z któremi teraz graniczą; ale czuwa nad swemi przywilejami Anglia przez swego generalnego konsula i chmarę tajnych agentów, włóczących się z kąta w kąt po państwie marokańskiém. Anglia gdy pogrozi, całe morze truchleje — to ani słowa; a Francya, nawet kiedy pobije, nie umie nic zyskać na morzu. Dowodem tego owe płonne zwycięztwa, otrzymane przez Francyę na państwie marokańskiém w roku 1844. Francuzi upojeni sławą, uszczęśliwieni z łatwych tryumfów otrzymanych na nieprzyjacielu prawie bezbronnym (działa bowiem jego pękały przy pierwszym lub drugim wystrzale); Francuzi, mówię, dla handlu swego nic korzystać nie umieli; zapomnieli na chwilę, że są kupcami. Potém dopiero, gdy na rozstrzygacza sprawy powołana Anglia, skonfiskowała na swą korzyść zwycięztwo Francuzów, potém dopiero ci ostatni przyszli do siebie, spostrzegli się, że już im nie przystoi grać roli bohatérów, kiedy od tylu lat przywykli iść za natchnieniem chwilowego interesu materyalnego.

Prócz Anglii, żadne też mocarstwo europejskie nie jest godnie reprezentowane w państwie Marokańskiém. Konsul generalny francuzki, obok angielskiego, nieodpowiednie

swym zdolnościom i godności wielkiego narodu zajmuje stanowisko.

Związek celny niemiecki nie zabezpieczył sobie żadnego handlu z państwem Marokańskiém. Żadne mocarstwo niemieckie, ani Austrya, ani Prusy, nie utrzymują tu osobnego konsula. Szwedzki konsul ma się opiekować Prusakami, a angielski Hanowerczykami. Ale jak się uiszczają z tych obowiązków, to rzecz prawdziwie smutna. Niedawno okręt hanowerski przepadł tuż pod przystanią tangierską; nic mu nie pomogły ani sygnały trwogi, ani też flaga hanowerska dobrze tu rozpoznana. A parostatek angielski właśnie stał na kotwicy w przystani Tangieru, i przypatrywał się obojętnie trwodze, konaniu i śmierci swych dawnych niemieckich współbraci.

Stajemy nareszcie w Fondaku tuż przed zachodem słońca. Cała karawana mieści się w obszernym dworcu, otoczonym zewsząd portykiem. Zawarto drzwi, rozkiełznano konie, i zapalono kilka ogni. Cały tabor rozłożył się obozem. Był to widok bardzo malowniczy, i byłby nas zajął jeszcze daleko więcéj, gdybyśmy rozumieli język tych Maurów i Arabów, podzielonych na gruppy, siedzących z skrzyżowanemi nogami na piętach i rozmawiających z sobą tak żywo, a jednak z taką godnością i gracyą gestu, z wyrazem twarzy tak rozumnym i pojętnym. Zdawało się, że to posiedzenie towarzystwa uczonych, roztrząsających ważne jakie kwestye naukowe.

— Mosiek! powiedzno, o czém rozmawiają tak uczenie ci dobrzy ludzie? — zapytałem dragomana narzeczem frankońskiém, powszechnie tam używaném.

— Uczenie? o czém oni mogą uczenie mówić? o koniach i o mułach, o wielbłądach i osłach, o strzelbach i sztyletach, huryskach i dżinach; o tém też tylko rozmawiają, a o niczém inném — odpowiedział Mosiek.

— A nasz kapudi o czém opowiada tak długo, wzdychając i oczy przewracając?

— No, on opowiada historyę jeszcze żyjącéj babki swego nieboszczyka ogiera, który zginął w wyprawie przeciw Berberom; powiada, że ona miała 19 źrebiąt, że te znów miały 150 źrebiąt, i całą jego rodzinę żywiła źrebiętami, które potrafił utaić w górach przed okiem kapudan-baszów, bimbaszów i baszów. On powiada, że ta babka posiada

łaskę proroka. No, on głupi, tak jak jego konie: *li estar stolto como si caballi!* — odpowie dragoman, podnosząc ze wzgardą ramiona.

— Ale ten zielony święty co tam prawi swym słuchaczom, którzy go tak nabożnie słuchają i z zadziwieniem wołają: *Maszallah! bis Millah!* (o cuda! na Boga wielkiego) — powiedzno co on prawi?

— Co on prawi? no tamci głupi, a on oszust! Gdzie jeden, tam zaraz i drugi. Ten święty, ten bluźnierca mówi, jak raz przemienił się w ptaka, i poleciał do raju, i widział jak wierni słudzy Mahometa używają roskoszy. On dobrze wie, że kłamie, ale wierzy w to, co mówi. Jak się jego oczy świecą! jak twarz jego rozpalona! *Guaj mi!* co on tam mówi o piękności niebieskich hurysek. No! on nawet już śpiewa o nich.

Istotnie święty, do żywego poruszony własną swą wymową, czy też wspomnieniem doświadczonego widoku, wpadł w wyższy jeszcze zapał i zaczął śpiew jakiś do recytatywu podobny. Całe zgromadzenie odśpiewywało za nim ostatni wiersz każdéj zwrotki, klaszcząc w ręce i wywracając oczyma.

— Mosiek! co oni śpiewają? Tłómacz tylko dosłownie.

— On opisuje ze wszystkiemi szczegółami piękność widzianych w raju hurysek i tak mówi:

Cztery rzeczy były czarne:
Włosy, brwi, rzęsy i źrenice,
U niebieskich dziewic — oh!
Cztery rzeczy były białe:
Cera, białko oka, zęby i nogi,
U prześlicznych hurysek — oh!
Cztery rzeczy były czerwone:
Język, usta, liza i dziąsła,
U oblubienic raju Mahometa — oh!
Cztery rzeczy były długie:
Kibić, palce, ręce i nogi,
U szczęsnych córek nieba — oh!
Cztery rzeczy były okrągłe:
Głowa, szyja, ramiona i kostka,
U kwiatów wiecznego ogrodu — oh!

Cztery rzeczy były szerokie:
Czoło, oczy, piersi i biodra,
U aniołów przyszłego świata—oh!
Cztery były wązkie i delikatne:
Nos, brwi, wargi i palce,
U najpiękniejszych utworów Alli—oh!
Cztery rzeczy były drobne:
Uszy, piersi, ręce i nogi,
U naszych przyszłych żon—oh!

Na tém skończył śpiew swój czyżyk, i wpadł w zachwycenie. Słuchacze nakrzyczawszy się oh! nawywracawszy się oczu, poszli za jego przykładem.

Jaki szczegółowy program wdzięków! Trzeba przyznać, że święci mahometańscy znają się doskonale na powabach kobiet.

Znów się zrywa rozmowa. Prawią o łowach i polowaniach, o rozmowach podsłyszanych dzika z lwem, i to z miną najpoważniejszą.

Istotnie Maury i Arabowie, Turcy i Egipcyanie, mają szczególny talent mówienia z ważną miną o drobnostkach, któreby w ucywilizowanych krajach zaledwie dzieci bawiły. Rozum ich jest prawdziwie jeszcze w dzieciństwie, a przesądy religijne ścieśniają go i dziwaczą w sposób trudny do uwierzenia.

Rozmowy trwały bezprzestannie do pierwszéj godziny po północy. Nareszcie słuchacze zaczęli zasypiać jeden po drugim; mówcy widząc, że audytoryum śpi, zamilkli. Cały areopag zasnął na piętach, około tlejących się jeszcze ognisk.

Czyżyk zaś, zawsze w pełném ubraniu i z zieloną lancą od proroka mu daną w ręku, kucnął także na piętach, oparł się o mur portyku, zasnął i chrapał wcale nie jak dostojny święty, ale jak prosty mieszkaniec ziemi, który nigdy raju nie oglądał, chyba we śnie.

Wschodzące słońce wyrwało nas dość późno ze snu. Wiadomo, że im bliżéj równika, tém mniejsza zachodzi różnica pomiędzy długością dnia i nocy. Dlatego też nocy pod gorącém niebem Afryki bywają dość chłodne, w bliskości gór nawet bardzo zimne: para bowiem wilgotna zawieszona w powietrzu krzepnie nocą, i nieraz zmarzły szron po-

kryje ziemię. Idziemy w pochód, ale z wielką ostrożnością, przez bory i parowy, gdyż Berberzy, zawsze do rozbojów gotowi, czyhają może na nas. Kapudan zatrzymywał całą kolumnę zdaleka od miejsc, gdzie się lękał zasadzki, i sam wyjeżdżał na bystrym koniu na zwiady, lub też wysyłał jednego lub dwóch żołnierzy. Wyznać potrzeba, że wszelkiego dokładał starania, aby nas żywych i zdrowych do Tangieru przyprowadził. W miejscach niektórych obstawiał nas Maurami, i radził nam zsiąść z koni i nie wystawiać się na strzały Kabylów.

O małe ćwierć mili na prawo od drogi z Fondaku do Tangieru, leżą na wzgórzu ruiny muru starożytnego rzymskiego *oppidum*, czyli warownéj osady. Staraliśmy się uprosić kapudana, aby nas do tych ruin zaprowadził; ale on żadnym sposobem zezwolić nie chciał, utrzymując, że te ruiny służą za kryjówkę Kabylom i różnego rodzaju złoczyńcom; i że byłoby nieroztropnością wystawiać się na ich razy w sile tak małéj, w jakiéj się znajdujemy.

Pomimo wszystkich przedstawień, nie zdołaliśmy się oprzeć chęci zwiedzenia tego starożytnego zabytku rzymskiéj potęgi, i zobaczywszy go tak blisko drogi, daliśmy kucom naszym ostrogę i popędziliśmy ku ruinom.

Stary Maur, widząc nas tak upartych, puścił się z dwoma żołnierzami za nami, prześcignął nas, zsiadł z konia tuż pod ruinami, przywiązał go do drzewa, i zwidził z pistoletami w rękach, z jataganem w zębach wszystkie kryjówki, w których nieprzyjaciel mógł się ukryć: potém dopiero pozwolił nam się zbliżyć.

Byłto stos rozwalin, kupa ogromnych bloków ciosu, kilkanaście kolumn rzymskich, częścią na ziemi leżących, częścią sterczących pomiędzy ruinami na wysokość kilku łokci. Wszystko prawie porosło grubym mchem i krzewami; tu i owdzie tylko stały jeszcze sklepienia trzymające się własnym ciężarem, bez żelaza i bez cementu. Ruiny te zalegały dość rozległą przestrzeń kwadratową, i w niektórych miejscach miały po 25 stóp wysokości. Żadnego nigdzie napisu odkryć nie byliśmy w stanie.

W całéj téj okolicy pozostało wiele śladów rzymskiego panowania: monumentalne studnie, blokhauzy, zwaliska wodociągów, które według zdania krajowców pochodzą od *Roumów*, to jest od Rzymian.

Blizko drogi, prowadzącéj ztąd do Tangieru, znaleziono przed kilką laty konia ze spiżu, i kilku małych ludzi także że spiżu (tak nasz kapudi nazywał owe statuetki), nawet kilka wielkich lamp z tegoż samego metalu. Wszystko tu zostało na małe kawałki pocięte i potajemnie sprzedane żydom, handlującym starym metalem.

Chciwości rządu marokańskiego trzeba przypisać, że tak rzadko wychodzą na jaw zabytki starożytności, świadczące o oświacie narodów zamieszkujących niegdyś Afrykę. Władze, mając prawo przywłaszczania sobie każdéj znalezionéj rzeczy, nadużywają go nieraz w najokropniejszy sposób dla wymożenia zeznań na nieszczęśliwych, posądzonych o odkrycie jakiego skarbu.

Bardzo niedawno zdarzyła się tutaj smutna historya. Lat temu kilka, gdy Alarby El Saidi był baszą Tangieru i sprzedawał sprawiedliwość na wagę złota, zdarzyło się, że kawał gruntu, dawno leżący odłogiem, darowany został w wieczną posiadłość podoficerowi dymissyonowanemu, który przez lat dwanaście służył walecznie pod sztandarami Jego Wysokości Cesarza Marokańskiego.

Dnia pewnego, gdy Mahomet grunt swój orał, i gdy jeden z jego przyjaciół zatrudnionym był w tenże sam sposób na swojém polu, lemiesz weterana trącił o naczynie jakieś kamienne bardzo dziwnego kształtu. Mahomet podniósł je z ziemi, i widząc, że pozostało całem, schował je za siermięgę, myśląc, że mu się zda do czerpania wody w kryniey. Potém zaś wróciwszy z pługiem do miejsca, na którem złożył swój haik, obtulił weń znalezione naczynie i wrócił do swojéj pracy.

Ruchy rolnika nie uszły baczności jego sąsiada, i obudziły w nim podejrzenie, że tu nie idzie o próżny garnek, ale o naczynie napełnione pieniędzmi. Zazdrosny gaduła, zaledwie wrócił wieczorem do domu, a już cała wieś wiedziała, że Mahomet znalazł skarb na swojém polu, i ukrywa go w swojéj chacie.

Nazajutrz był właśnie targ w Tangierze. Mieszkańcy wioski Buamar znaleźli się tamże i rozpowszechnili wieść o odkrytym skarbie. Szpiegi donieśli ją zaraz upiększoną własnemi dodatkami do uszu chciwego Alarby el Saidy, baszy Tangieru.

Nie spodziewając się żadnego nieszczęścia, Mahomet zatrudniał się na rynku sprzedażą przywiezionych na targ melonów, gdy dwóch na niego wpadło żołnierzy i zawlekło go przed baszę.

— Hultaju, myślałeś, że ujdziesz mego bystrego oka! Daléj, zaraz mi się przyznaj, ile było złota w tym garnku, który odkopałeś w polu—wrzaśnie na weterana gubernator.

Mahomet opowiedział rzecz całą, i zaręczał, że grosza nie było pieniędzy w kamiennem naczyniu. Błagał baszy, aby się sam o prawdziwości jego słów przekonać raczył. «Poślij twe sługi do méj chatki: garnek wydanym ci zostanie, ale pieniędzy nie znajdziesz w moim domu.«

Basza wtrącił do więzienia biednego weterana i wysłał żołnierzy do jego domu. Ci wrócili z próżnym garnkiem i wymódz nie mogli na rodzinie Mahometa żadnego wyznania.

Basza Alarby srodze się rozgniewał.

— Słuchaj łotrze! — rzekł do weterena,—ja się nigdy nie mylę; wyśledzę winowajcę chcącego okraść skarb cesarski, i dla odświeżenia ci pamięci, udam się do wszystkich środków. Dalej Szasza!—krzyknie do kata—syp temu zbrodniarzowi pięćset batów na podeszwy, batów tafiletowych rozumie się.

A trzeba wiedzieć, że w Tafilecie wyrabiają bizuny ostrokanciaste, sławne w swym rodzaju.

Rozciągniono biednego Mahometa, zbito mu podeszwy na miazgę, ale nie wymożono żadnego zeznania. Odniesiono go na pół umarłego do więzienia, i przytrzymano w niém miesiąc cały. Biedna żona żywiła go tymczasem tém, co pozostało w chacie: rząd bowiem nie utrzymuje więźniów swym kosztem. Rodzina doszła wkrótce do najwyższego szczebla nędzy. Nareszcie choroby wkradły się do rodziny Mahometa, nikt mu już nie przynosił strawy, i byłby umarł z głodu, gdyby nie stróż więzienia, który sam biedny, ulitował się przecież nad losem więźnia i żywił go własnym swym chlebem.

Mahomet stęskniony nie widząc ani przewidując kresu swych cierpień, rzekł do więziennego: «Słuchaj bracie, idź do baszy i oznajm mu, że będzie posiadał skarb. Dam mu wszystko co mam: niech mię tylko każe zaprowadzić do mego domu przez swych żołnierzy.«

Prowadzą Mahometa okutego w kajdany do Buamar. Tam dowiaduje się, że żona i dwoje dzieci umarli z głodu. Dwoje jeszcze pozostałych przyjął do siebie ów nieszczęsny człowiek, którego zazdrość i gadulstwo stały się przyczyną tak wielkich nieszczęść.

Gdy przybyli przed chatę, żołnierze chcieli wejść do niéj wraz z Mahometem, ale ten oparł się temu, mówiąc: »Dom każdego człowieka jest świętym. Czekajcie tutaj, za chwilę będziecie mieli wszystko, co jeszcze posiadam.«

Wraca Mahomet na próg swego domu ze strzelbą w ręku. Żołnierze chcieli uciekać. »Zostańcie!« zawoła Mahomet »daleka odemnie myśl mszczenia się na was za doznane krzywdy.«

Potém przytwierdziwszy długi sznurek do cyngla od zamku, przeciągnął go poza kolbę i rzekł: »Powiedzcie baszy, że wszystko co jeszcze posiadam, jemu oddaję. Niech krew moja spadnie na jego głowę!«

I to powiedziawszy, przytknął otwór lufy do swojéj głowy, i pociągnął za sznurek.

Strzelba wypaliła. Mahomet padł bez duszy na próg swego domu.

— Tak skonał Mahomet. Dobryto był żołnierz, służył podemną przeciw Berberom i zbuntowanym Udajom, i zawsze był walecznym i bogobojnym—dodał kapudi.—Teraz dusza jego błąkać się musi lat pięćset nim do raju zajdzie. Tak samobójstwo prorok karze.

— Kapudanie! a co mówił Alarby el Saidy, basza Tangieru, gdy się dowiedział o śmierci Mahometa?—spytał Al-Hamilt-Bey.

— Oh Sidi Tibib! o panie doktorze! gdy żołnierze oznajmili baszy co się stało, on odpowiedział: *awa?*

— Co to znaczy *awa?*—spytałem.

— To znaczy po arabsku: *czy to wszystko?* I na tém koniec. Nie! nie na tém był koniec—poprawił się kapudan—basza kazał przyjść Szaszy i wyliczyć żołnierzom każdemu po sto batogów prostych, a podoficerowi sto batogów Tafiletu. *Ibduah illah Allah!* Bóg tylko jest sprawiedliwym.

— *Ibduah illah Allah!*—odrzekł Hamilt-Bey—ale niech djabli biorą owe batogi Tafiletu. Dotychczas słyszałem

tylko o daktylach i jedwabiu z Tafiletu: widać, że wszystko w téj krainie jest wykwintne, nawet i baty.

— Oh Sidi Tibib! wszystko tam wikwintne to prawda. Sam doświadczyłem wykwintności batogów Tafiletu: mogę o nich mówić ze znajomością rzeczy—odpowiedział kapudan.

— Jakto? ty kapudanie, który jesteś *effendim* (szlachcicem) i *kapudim* (prawowiernym) i *serdenem* (oficerem), ty miałbyś być karanym batogami?

— A tak było w istocie. Będąc jeszcze młodym, pragnąłem odwidzić grób proroka. By się godnie usposobić do tego zaszczytu, wstąpiłem na cztery tygodnie do klasztoru, i tam w skrusze, postach, modłach i obmywaniach czyściłem moją duszę. Ale czart zazdrościł mi świętości, i jednéj nocy, gdy się głodny spać położyłem, nasłał mi sen bardzo brzydki; ale wy nie pojmiecie straszności tego snu, o niewierne Nazareńczyki!

— Pojmiemy, kapudanie, tylko mów daléj—rzecze Hamilt-Bey.

— Otóż méj duszy, głodem ciała trapionéj, śniło się, oh zgrozo! żem z okropnym apetytem jadł wieprzowinę. Zbudziłem się ze strachu, i nazajutrz zmartwiony plugawym snem, udałem się do naczelnego imana klasztoru, wyspowiadałem się przed nim i prosiłem i rozgrzeszenie lub o wymierzenie kary.

— Oh dobry, wierny synu Mahometa!—rzekł do mnie sędziwy iman — sumienie twe jest drażliwe jak kwiat powoju i liść grochu rajskiego! Dumny jestem z ciebie, niech się dzieje wola twoja, niech twa dusza znów stanie się białą jak haik proroka, i spokojną jak grób jego. Chodźcie tu o fakiry, muezzy, ulemy i imany! rozciągnijcie mi mego ulubionego syna, i wyliczcie mu na każdą podeszwę po pięćdziesiąt oblewanych batów! Ale niech to będą batogi Tafiletu, dla większéj spokojności mego dobrego syna.

— I wzięli się do mnie z wielką gotowością — rzecze daléj kapudan—i wyliczyli mi sumiennie tak uczciwą chłostę, żem przez całe trzy tygodnie i kroku jednego na mych stopach ujść nie mógł. Do meczetu czołgałem się na kolanach i na rękach. Święte są batogi Tafiletu, gdy sprawiedliwie wymierzone, oh święte!

Kapudan, skończywszy historyę, dobył różaniec z za pasa, dał ostrogę koniowi i oddalił się od nas ze sto kroków na przodek karawany, by się spokojnie wymodlić. Zbliża się bowiem chwila *mogrebu*, to jest wieczornych pacierzy. Zielony święty znów zaczął skakać na jednéj nodze, i cała falanga pielgrzymów za nim.

Takim jest człowiek! nie jeden nie wie, że się znajduje w położeniu zazdrości godném, kiedy bierze batogi.

Już się zbliżamy ku bramom Tangieru, już minarety, reduty i armaty wyzierają na nas zponad wąwozu. Występujemy z wąwozu na piaszczystą płaszczyznę, i zaledwie tu stajemy, kiedy nas uderza widok bardzo osobliwy: kareta, cała złocona jak rydwan słońca i zaprzężona ośmiomá mułami przystrojonemi w jaskrawe pompony i kutasy, i ze dwunastu murzynów młodych i pięknych, ubranych w białe turbany i krótkie białe spodnie, z grzechotkami w ręku. U każdego tkwi przy pasie świecący kindżał, a u turbana puginał.

— Allah chu! up kaff! up kaff!—krzyknie kapudan i w największym pędzie powraca do nas.

— Up kaff! up kaff!—krzyknęli murzyni jak opętani, i cała karawana odwróciła się plecami ku karecie.

— Up kaff! up kaff!—wrzeszczą wszyscy i zwracają nasze konie tyłem do miasta.

Żyd i wielu innych padło nawet na kolana.

— To jakieś damy z seraju baszy jadą do kąpieli morskiéj w karecie pewnego księcia niemieckiego. Na Boga! nie odwracajcie się, jeden z tych wściekłych czarnych rzezańców gotów przypaść i przebić zuchwałego na miejscu— rzecze do nas Sir Antony S..., ten sam, którego w Tetuan poczęstowano prętem.

— A cóż tu robi kareta księcia niemieckiego? sir Antony!—spyta Dr. Hamilton.

— Oto cała historya: Książę był w Tangierze w roku 1839., i przebywał tu nawet miesięcy kilka, nie wiem dla jakich powodów. Przywiózł tu z sobą dwie karety, wielkie, obszerne i ciężkie, i tak staroświeckie, że zdawały się należeć do wyprawy Noego. Władze Tangieru nie pozwoliły księciu przejeżdżać się w karecie, pod pozorem, że koła psują drogę. Istotnie nikt tu nie używa wozów, na-

wet do przewożenia ammunicyi do artyleryi wałowéj. Książę napisał do cesarza prośbę, aby mu wolno było jeździć w karecie, i przyrzekł w zamian za ten przywiléj, wybrukować własnym kosztem główne ulice Tangieru.

Muley Abder-Hamman raczył odpowiedzieć księciu niemieckiemu, że brukowanie ulic byłoby nowością, którąby mogła pociągnąć za sobą potrzebę mnóstwa innych reform; że zresztą może sobie jeździć ile tylko chce w karecie, byleby do niéj nie używał kół; protektor bowiem wiernych powinien czuwać nad życiem swych poddanych, i nie dozwalać chrześcianom ani rozjeżdżać Muzułmanów, ani ich obryzgiwać błotom.

Osobliwa rzecz, że się Jego Książęca Mość niemiecka co do litery zastosować raczyła do polecenia cesarskiego. Zdjęto więc pudło z kół, zawieszono je sztucznie pomiędzy dwoma wielbłądami, i tak obwożono księcia i jego świtę.

Potém zaś książę, opuszczając Tangier, darował jednę z karet pierwszemu baszy, to jest gubernatorowi, podobno w zamian za pozwolenie wzięcia ze sobą kilku kuców berberyjskich. Basza kazał wyskrobać herby niemieckie, ozłocić całą karetę, zdjąć z niéj koronę książęcą, zastąpić ją turbanem, i dziś używa karety i kół do przewożenia dam swoich do kąpieli morskich.

— A tak: *quod licet bovi, non licet Jovi*— dodał pan Weinstein, uczony Niemiec.

— Nadzwyczaj pan szczęśliwie zastosował przewrócone przysłowie, ale do jednéj osoby tylko: baszy bowiem dano tu przydomek *el buffari*, co znaczy to samo co *bos* po łacinie. Ale dalibóg nie widzę żadnego podobieństwa pomiędzy Jowiszem a drugą osobą—rzecze Sir Antony.

— I ja także nie — rzekł mister Whipright, sekretarz generalny konsulatu Anglii.

— Ah wy Anglicy chcecie, żeby każdy dowcip miał matematyczną wartość— odpowie pan Weinstein z niecierpliwością:—dlatego też nazywacie każdy dobry dowcip *szterlingowym dowcipem*. Nic dla was nie ma wartości, co na pieniądze zredukować nie można.

— Ale pański dowcip, to ani szylingowy, ani nawet groszowy, *upon my word* — rzecze ze zjadliwą spokojnością Sir Antony.

— Do takiego rozumu jak pański—krzyknie w największym gniewie obrażony Niemiec— to chyba można takim trafić sposobem, jakim ów święty tetuański trafił do pańskiego czucia.

— *Come! come! here I am* (chodź! chodź! tutaj jestem)—wrzaśnie Sir Antony, i nie dbając o karawanę, zeskoczył z konia, zrzucił z siebie surdut, zawinął rękawy od koszuli, i stanął w klassycznéj postawie boksera;—chodź! odbiję się na tobie!

Niemiec nie stchórzył. Zsiadł z konia, i nie zrzucając fraka, bieży ku napastnikowi. Już się wszczyna bój, już nosy krwią się zalały. Ale wtém wrzeszczy kapudan z całéj siły:—Allah hu! up kaff! hu! up kaff! (w imię Boga, odwracajcie się, odwracajcie się!)

Cała się karawana odwraca, i zapaśnicy się odwracają. Zapewne znów przechodzą jakie dostojne damy z rzezańcami, do podrzynania gardła gotowemi.

Kapudan ciągle woła *up kaff!* i wytrzymuje nas z dobry kwadrans. Potém przybiega do sekretarza konsulatu i mówi: »Zaręczyłem baszy, że was wszystkich żywych i zdrowych nazad przyprowadzę. O życie wasze nie dbam, ale mi idzie o dotrzymanie słowa. Namów tych psów wściekłych, żeby się pohamowali w swym niegodnym człowieka gniewie. Gdy raz was przyprowadzę do konsulatu i uzyskam świadectwo żeście żywi i zdrowi, wtenczas Allah hu! rozbijajcie sobie głowy ku największéj chwale Boga.«

Takiego Maur użył fortelu, by wstrzymać walkę zapaśników. Wsiedli przecież na koń z chustkami pod nosem.

Jesteśmy znów w konsulacie angielskim.

Maur czekał w dziedzińcu na swe świadectwo, odmawiał pacierze i obmywał się w fontannie.

Wręczono mu świadectwo. Maur, nie przestając się modlić, przeczytał je, złożył i wetknął za zawój. Potém nic nie mówiąc nikomu, wsiadł na konia, potrząsnął pantoflami, na znak że i pyłku ztąd zabrać z sobą nie chce, i wolno pojechał ku alkazarowi baszy.

To typ Maura purytana! fanatycznego, ale rzetelnego i honorowego, dla *swoich* zaś tylko ludzkiego. »Rozum mój dla całego świata, serce tylko dla moich współwy-

znawców», oto dewiza tego rodzaju Muzułmanów. Nie wiele znajdziemy podobnych jemu Maurów, mniéj jeszcze podobnych poczciwemu ulemie tetuańskiemu; ale za to wiele spotkamy w ciągu naszéj podróży obłudnych, fałszywych, chytrych i okrutnych. Między Arabami więcéj znajdziemy ludzkich i gościnnych; a najpiękniejszych, najpracowitszych ludzi—pomiędzy Negrami Sudanu.

## ROZDZIAŁ VII.

DUMANIA NA BELWEDERZE. — JĘZYK ARABSKI. — NARZECZA MOGREBU. — FIRMAN CESARSKI. — RENEGAT SIMONI. — ODJAZD DO LARASZ. — GOŚCINNOŚĆ ARABÓW. — SZAKAL. — KUCHNIA OBOZOWA.

---

Jakażto podróż zajmująca, pełna przygód różnego rodzaju! W kilka dni nagromadziłeś w twéj pamięci zasoby myśli i uczuć, wystarczyć ci mogące na całe twe życie, gdyby nawet trwać miało jaknajdłużéj, żeby nawet kiedyś wlec się miało od dnia do dnia w towarzystwie istot nie pojmujących ani twego zapału dla piękna, ani też wierzących w istność czystych, duchowych roskoszy!

Tak patetycznie do siebie samego przemawiałem pierwszéj nocy po powrocie naszym do Tangieru, przechadzając się po belwederze konsulatu angielskiego. Noc była ciemna, księżyc nie był wszedł jeszcze, gwiazdy nie iskrzą się na niebie afrykańskiém tak jak czasem u nas w pogodną noc zimową, światła w mieście wszystkie pogaszone, tylko błyszczy w odległości światło Europy—latarnia morska Gibraltaru. Cicho wszędzie i głucho, tylko szumi uroczystym rytmem wielki ocean, i od czasu do czasu głos muezzina na minarecie śpiewa tęsknym tonem: *Hed Allah bis millah, uch liuli dagadir!* Co znaczy: Lepiéj chwalić Boga, jak snu się oddawać.

Do mnieto przemawiasz dobry muezzinie?— Może i tu wyjątkiem jestem, może i tu sam jeden czuwam i tęsknię do tych lepszych czasów, kiedy wszyscy ludzie jednego chwalić będą Boga; i może w pośród was wszystkich Maurów i Arabów, renegatów i Europejczyków w tém mieście zamieszka-

łych, wierzę sam jeden w możliwość wyższego rozwoju ludzkości, opartego na miłości.

Ach! ten Maur, ten barbarzyniec, z jaką nas rzucał pogardą, z jaką dumą otrząsał swe pantofle i mówił: »ani pyłku unieść z tąd nie chcę, o dziaury!«

Możeś dlatego dumnym, że twe sumienie spokojne, żeś ani razu nie uchybił prawom honoru, i prawdzie przez ciebie pojętéj służył wiernie i statecznie?

Tak jest, zapewnieś dlatego tak dumnym, że się czujesz lepszym od wielu innych bliźnich. Wynagradzasz sobie już na tym świecie twą wyższość.

Marzenia moje znów przerywa donośny głos muezzina: *»Hed Allah bis millah, uch liuli dagadir!«*

Coto za piękny, zrozumiały język! *Liuli*, to znaczy *sen* i pochodzi z zapewne od słowiańskiego *tulać*; a *dagadir* znaczy używać, *dogadzać* sobie. To prawie po polsku. Mieliśmy kiedyś być spokrewnionemi z Arabami, kiedyś, kiedyś, bardzo dawno. Warto się nauczyć tak pięknego języka, i rozumieć te długie rozmowy toczące się około ognisk. Ręczę, że więcéj w nich myśli i rozumu, niż tam Mosiek upatruje.

*Allah bismillah!* śpiewa znów muezzin na minarecie.

*Bismillah*, to znaczy chwalić: słowo pochodzące oczywiście z tego samego źródła, co sławiańskie *pomiłować*. Uczmy się tedy arabskiego języka; może w nim odkryjemy jakieś światu nieznane źródła historyczne, może się z niego dowiemy, że nasz naród od bardzo dawna już istniał.

Trudno poznać zblizka interessujący naród arabski, bez znajomości jego mowy.

Żaden dragoman nie potrafi oddać znaczenia tych wszystkich tak subtelnych odcieni mowy, intonacyi i gestu, jakiemi Arabowie ożywiają swe opowiadania, a które nie wykonywane z południową żywością, lecz owszem z poważną jakąś gracyą, tém więcéj mają powabu dla widza. Wszakże wiemy, że takt mazurka, jak ci go chłop polski zaśwista, lepiéj ci odda ducha narodu, jak wszystkie dzieła uczone, pisane o jego charakterze, przyrodzie i posłannictwie. W przywyknieniach do pewnych zgięć intonacyi i drobnych mimowolnych poruszeń ciała, czujny etnograf znajduje nieraz z wielkiém zadziwieniem klucz ułatwiający mu odgadnięcie charakteru ludu. Z podobieństwa kwiatu, botanicy odgadują powinowactwo i przyrodę roślin. Postępujmy jak botanicy:

sądźmy o charakterze narodu z mowy ludu,—uczmy się po arabsku.

Postanowienia u niektórych ludzi, są to nieubłagane wyroki, wyryte stalowym rylcem na sumieniu. Zaledwie też kilka minęło godzin, a zaczęły w wykonanie wchodzić owe wyroki. *Ungue et rostro* wziąłem się do nauki arabskiego języka, czyli raczéj jednocześnie do nauki dwóch arabskich narzeczy, któremi tutaj mówią. Maur bowiem tylko i Arab wyższego stanu, daléj lud w głębi kraju, mówią starym, czystym arabskim językiem; a lud na pograniczu morza, na 20 do 25 mil geogr. odległości od wybrzeża, mówi narzeczem maugrebskiém, tojest zachodniém. Szkielet tylko téj mowy jest czysto-arabski, a jéj reszta zanieczyszczona mnóstwem słów beduińskich, ozdobiona kilkuset słowy hiszpańskiemi w sposob tak niedogodny, że dobry Arab z wnętrza kraju nie jest w stanie zrozumieć mowy maugrebskiéj. Nie wiem, do jakiego języka mam porównać tę mieszaninę, tę zbieraninę narzeczy, niekiedy bardzo dziko brzmiącą. Żadne z narzeczy słowiańskich nie przedstawia nic podobnego: dzisiejsza angielska mowa, córka nieprawa skandynawskich, teutońskich i frankońskich narzeczy, prędzéj może służyć wyobraźni za punkt oparcia dla analogii. Największa część arabskich słów przeszła w narzecze maugrebskie i uległa zmianie w wymawianiu, imiona własne nawet. I tak: Maugreb nie powie *kandziar*, lecz *kandziach*; nie mówi *Abdallah*, lecz *Abdelu*.—Pisowni język maugrebski właściwie nie ma; wszyscy *talibowie*, to jest uczeni (a takiemi w tych krajach są ludzie umiejący czytać i pisać) umieją po arabsku i piszą czystym stylem; a jeźli wypadnie baszy, kademu lub ulemom ogłosić rozkaz jaki lub rozporządzenie ludowi, wówczas sekretarze tych dygnitarzy używają maugrebskiego narzecza, a liter arabskich i pewnych konwencyonalnych znaków pisarskich, na wyrażenie owych świszczących i rżących tonów, które z beduińskiéj mowy przeszły w maugrebską.

Łatwiéj się nauczyć czytać, mówić i pisać *nawet* po angielsku, jak zrozumieć Anglika mówiącego swym językiem. Odwrotny zachodzi stosunek z arabskim językiem: dość łatwo jest zrozumieć Araba mówiącego wolno, czysto i pięknie brzmiącą mową, niebardzo trudno nią mówić jako tako, pisać nawet, ale czytać — oto rzecz najtrudniej-

sza; arabska bowiem pisownia, tak jak wszystkie wschodnie, nie posiada samogłosek; trzeba się zatém domyślać przy każdej spółgłosce, jaka samogłoska, lub nawet dyftong, może poprzedzać lub następować po spółgłosce. Ludy wschodnie, najbliższe kolebki rodu ludzkiego, idąc za naturalnym rozwojem umysłu i rzeczy, nie pojmowały, żeby któ mógł mieć potrzebę pisania językiem, któregoby dokładnie nie znał; a będąc obdarzone wyższą wyobraźnią, uważały za rzecz łatwą domyślać się samogłosek z układu spółgłosek i z sensu. Im więcéj z postępem cywilizacyi pamięć ludzi obciążać się musiała, im więcéj ludy oświecone szukać musiały w zmianie i różnorodności tonu żywiołów ułatwiających pojęcie rzeczy, tem więcej odstępowano od pierwotnej wymowy i pisowni. Arab, którego język nie jest tak bogatym w słowa, jak bogatym w obrazowości, którego wyobraźnia jest w ciągłym stanie czujności, łatwo przeczyta, co inny w jego języku napisze bez samogłosek; lecz cudzoziemiec, nie znający całego zasobu słów arabskiego języka, a chcący go się nauczyć, nie może się obejść bez grammatyki, chrestomatyi i słownika, umyślnie dla Europejczyka pisanych, gdzie samogłoski przed i po spółgłoskach istniejące, zastąpione są kropkami i znaczkami przed i po spółgłoskach umieszczonemi. Inaczéj wpadałby w *qui pro quo* nieskończone. I tak naprzykład litery: *k*, *d*, dwie spółgłoski, mogą znaczyć *kadi* czyli sędzia, lub *ukda* czyli kupiec (co nie wszędzie jest jednoznaczném), lub też *ikud* przepaska, lub *ukda* prędzéj. Jak tu wybrnąć z trudności nie znając doskonale języka, nie będąc obdarzonym ciągle czujną wyobraźnią, lub słownikami umyślnie dla Europejczyków ułożonemi?

Szczęściem, że nie brakło w konsulacie angielskim wszelkiej literackiej pomocy: słowników grammatyk, biblij tłómaczonych na arabski i maugrebski język, przytém dobrochętnych sekretarzy i dragomanów, którzy widząc mnie pracującego z usilnością, pomagali mi dopiąć zamierzonego celu. Anglik o ile brzydzi się gnuśnością, o tyle szanuje pracującego. Tę sprawiedliwość chętnie mu oddaję, i przytém pozwalam innym odgadnąć, czemu naród niemiecki, pewno nie bardzo szczytny w swych tendencyach politycznych, lepiéj przypada do gustu Anglikom, jak inny naród daléj mierzący, a sięgać nieumiejący do niczego.

W zadanéj sobie pracy, przerywanéj tylko wycieczkami na brzeg morza, wizytami coraz częstszemi do cborych Europejczyków, Żydów i Maurów, ubiegło mi dni dziesięć. Al-Hamilt-Bey spędził je w tenże sam co i ja sposób. Pomagał mi w uczeniu się arabskiego języka, który znał dość dobrze, maugrebskiego zaś uczył się razem ze mną. Rzecz zastanawiająca, że pomimo znajomości arabskiego, maugrebski język szedł mu daleko trudniéj jak mnie, świeżemu zupełnie oryentaliście. Ale w nauczeniu się języków trzeba mieć resztki owéj młodocianéj pamięci, na któréj gruncie wszystko się przyjmuje, wszystko chętnie wybuja.

Basza Tangieru radził nam czekać spokojnie odpowiedzi z Maroko, upewniał nas o dobrych chęciach syna cesarskiego, i zaręczał, że odpowiedź niebawem nadejdzie.

Nie mylił się basza. Spadła błoga rosa firmanów na niego, na nas i na konsulat angielski. «Wyglądamy was z wielką niecierpliwością, o wielcy życiodawcy *Tibiby* (tojest lekarze); spieszcie, bo wojska nasze trapione ślepotą, i zaraza ciągle się rozszerza po kraju, jak mgły wlekące się po stopach Atlasu. Nasz wierny sługa basza Tangieru ułatwi wam pochód do El-Arrasz, wam i waszym najemnikom, i waszym niewolnikom (których dajemy wam prawo zakupić dwie sfory na czas waszego pobytu w naszém państwie). W El Arrasz czeka na was w przystani nasz bryg wojenny o 12 działach, zwany Jussuf Marabu, i na nim udacie się do Mogador, dokąd karawana i liczny poczet janczarów i spahisów wysłane zostały na wasze spotkanie. Władze nasze mają polecenie przyjmować was z czcią przynależną temu firmanowi, który wam wręczony zostanie przez naszego dragomana i do waszych usług przeznaczonego przewodnika Soliman Simoni, człowieka naszych i waszych języków świadomego, i w sto worków szekieli na wydatki opatrzonego. Allah niech was wiedzie, i prorok niech wam sprzyja tak, jak my wam sprzyjamy, o anielskie Tibiby. Pozdrowienie wam! Bogu jedynemu chwała!« Te podpisał słowa szeryf Sidi-el-Mamuhn, syn cesarski.

Pan Drummond-Hay, konsul generalny angielski, przytomny w chwili wręczenia nam firmanu, prosił, abyśmy

obejrzawszy pieczęć, złożyli pismu królewicza, przed przeczytaniem go, należne *salemaleki*, tojest hołdy. Później zaś pomógł nam zrozumieć dokładnie sens i duch pisma. —«Wszystko dobrze—rzecze konsul do Solimana Simoni, renegata genueńskiego—ale czemuż karawana ma czekać na tych panów w Mogadorze, a nie w bliższym o dziesięć mil od Maroko porcie Saffi, w porcie, który zarazem od El-Arrasz jest o 20 mil bliższym? Czemuż omijacie Saffi i nadkładacie sobie 25 mil drogi?

— To jest tajemnica, którą jednakże, znając dyskretność Anglików, nie waham się panom wyjawić—odpowie Genueńczyk śmiało i czystą angielszczyzną.—Cały prawie dystrykt pomiędzy Saffą i Marokiem został pochłoniętym przez syna cesarskiego w ostatniéj wyprawie przeciw zbuntowanym Mahasniom. Książę mój pan chciałby jaknajlepsze dać wyobrażenie o kraju gościom tak dostojnym i użytecznym, i dlatego życzy sobie prowadzić panów przez najpiękniejsze okolice.

— Co to znaczy *a Swallowed district*—dystrykt pochłonięty?—zapytałem pana Simoni. Ale pan Simoni milczał.

— To znaczy prowincya po ojcowsku ukarana: kraj, którego ludność męzka i palmy męzkie zostały wycięte, domy spalone, najlepsze grunta solą obsiane, trzody uprowadzone, a dziewczęta najszkaradniéj pogwałcone—odpowie za pana Simoni konsul angielski.

Przy téj sposobności dowiedzieliśmy się także, że ów santuron, który nas przywiózł do Tangieru, strachem ogarnięty po śmierci majtka angielskiego, umknął nie do Maroko do syna cesarskiego, lecz do Meguinezy, stolicy letniéj samego cesarza, gdzie właśnie Abderhamman przebywał. «Pomimo całéj świętości santurona, rzecz byłaby się nie skończyła bez dobrych bizunów tafiletowych, gdyby wola syna cesarskiego mogła była być wykonaną względem porywczego santurona. Teraz zasłaniają go promienie tronu cesarskiego, a trzeba wiedzieć, że santuron, jako fanatyczny starowierca mahometański, w wielkich jest łaskach u Najwyższego Pana«—zaręczał nam Soliman.

Za dwa dni postanowiliśmy puścić się do Laraszu (El-Arrasz). Korzystając z dobrodziejstw firmanu, kupiliśmy sobie po sforze niewolników. Sfora składa się ze czterech ludzi, *palankin* czyli lektykę dźwigających, i z piątego

przewódzcy do wyższych usług zdatnego. Przytém każdy z nas miał służącego Europejczyka: ja Hiszpana, Al-Hamilt-Bey Anglika. Mosiek, w najczystsze suknie przybrany, służył mi za dragomana, towarzyszowi zaś konsul angielski pożyczył jednego ze swoich.

Na podróż tę i na cały pobyt w Maroko, przybraliśmy, idąc za radą i prośbą pana Simoni, strój nowożytny turecki, tojest: fez opatrzony brylantowym znakiem dygnitarskim i zawojem zasłaniającym nam włosy, surdut mundurowy zielony dość jasnego koloru, na piersiach spięty haftkami, z kołnierzem i mankietami bogato złotem haftowanemi; biały haik czyli ogromny szal, służący zamiast płaszcza, przybrać musieliśmy przy naszém europejskiém obuwiu, przyjętém już ogólnie w wojsku tureckiém, egipskiém i tunetańskiém, jako też przy europejskich szerokich i białych lub karmazynowych szarawarach. Strój ten, choć mało od europejskiego różny, sprawił nieskończenie milsze wrażenie na krajowcach, niż owe kapelusze z szerokiemi rondami, owe ciemne surduty i spodnie, noszone tutaj przez Europejczyków. Maur, Arab, Beduin i w ogólności Mahometanin, nienawidzi ciemnych kolorów, i dlatego każe je nosić żydom, by na nich ściągnąć przekleństwa ludu. Anglik znów jest za dumnym i nie ugnie się przed żadną modą kraju w którym żyje: reszta zaś narodów zwykła chronić się pod potężne skrzydła angielskie w krajach barbarzyńskich. My jednakże, choć *angielskie tibiby*, puszczając się w głąb kraju, wiedzeni szczerą chęcią niesienia ulgi wszystkim bliźnim, niezaślepieni żadnym przesądem, poświęciliśmy nie z wielkim bólem serca ową nieocenioną korzyść wyglądania jak kruk pomiędzy pawiami. Sam konsul angielski, zważywszy wszystkie niedogodności wyniknąć mogące z upierania się przy stroju europejskim, nakłaniał nas do poświęcenia naszych fraków i kapeluszy na ołtarzu ludzkości i nauki; ale konsul francuzki, widząc nas przebranych za nowożytnych Turków, zgorszył się do tego stopnia, że nas witać nie chciał. Komu też to potępiać owe ugięcie się przed nieubłaganą koniecznością? Narodowi, którego generałowie zjadali niegdyś węże i żmije, i wyrzekali się religii dla przypodobania się krajowcom.

Basza Tangieru pożegnał nas na uroczystéj audyencyi. Wyruszamy do Larasz.

Raz wyszedłszy z licznych ogrodzeń otaczających miasto, obszerny krajobraz rozwija się przed naszemi oczyma. Na wschód piętrzą się żyzne i dobrze uprawne pagórki, około stóp dość wysokiéj góry Anżerra. Od południa i zachodu odgranicza widokrąg świetny Gibil-Habib, łańcuchy zwane Beni Husna i Beni-Hassen, któremi wstępuje dumny Atlas w Atlantyk. Szczyty jego świecą jak purpurowe dyamenty w wschodzącém słońcu.

Roskoszny ten był poranek. Fawony morskie bujały w powietrzu i chłodziły nam skronie rozpalone widokiem tak rzęsistego światła, spadającego ze słońca, z gór i obłoków na ziemię.

Już i do pierwszéj wsi, oddalonéj o pół mili od Tangieru, wstępujemy. Nazywa się Suany i składa się z siedmdziesięciu nędznych lepianek, trzciną i gniazdami bocianów pokrytych. Nagie dzieci igrały tu swobodnie z temi świętemi ptakami, na spiekłych łąkach pasły się liczne ale chude stada, a pastuszek nucił sobie tęskną piosnkę na piszczałce, sporządzonéj z trzciny cukrowéj.

Szeikiem, tojest wójtem téj wsi, był Abdallah. Nazywano go Hadżi Abdallah, pielgrzymem Abdallah, dlatego, że zwiedził Mekkę i Medynę. Zdaleka widział nas zbliżających się w licznéj karawanie, widział i firman cesarski, niesiony wraz z zielonym buńczukiem na wysokiéj żerdzi przez janczara; przyszedł złożyć hołdy buńczukowi, ofiarować nam pomoc i błagać, byśmy choć chwilę spoczęli pod jego dachem, i *pamięcią wyświadczonego mu zaszczytu, osłodzić zechcieli jego i jego rodziny przyszłość.* I to było powiedziane z ujmującą serdecznością, a bez wszelkiéj przesady, bez najmniejszéj teatralności. Wy nie dacie wiary temu, o wy dzieci dzisiejszéj cywilizacyi.

Wstąpiliśmy do szeika i powitali jego rodzinę, i mleka się napili, i fajkę przyjacielską wypalili.

Arabski wieśniak zupełnie się różni od Maura mieszczanina w swojém pożyciu domowém. Przypuszcza do siebie gościa, i to nawet bardzo chętnie. Zazdrośnym nie jest. A to dlaczego? Rzadko kiedy więcéj ma jak jedną żonę, może sobie tedy zaufać.

Droga nasza gliniasta, upałem rozgrzana, pęka się czasem pod kopytami naszych koni, i tworzy nieraz bardzo głębokie i szerokie szczeliny, w którychby nietrudno było kark złamać.

Później, gdy przyjdą ulewy, szczeliny te znów się napełniają spławionym piaskiem i gliną, droga staje się dobrą na czas niejaki, nim jéj znów upały nie wysuszą.

Tu i owdzie jednakże widzimy całe łany pięknéj i urodzajnéj ziemi, pokrytéj kukurydzą lub też prosem indyjskiém tak podobném do naszego prosa, jak pszenica turecka do naszéj.

Jesteśmy na szczycie wysokiego pagórka, zwanego Baharem, czyli pagórka dwóch mórz. Istotnie ztąd odkrywasz i Atlantyk i morze Śródziemne. U stóp południowego pagórka rozsiane liczne lepianki, otoczone ogródkami i żywym płotem, wybornie utrzymywanym. Ci dobrzy ludzie kochają się w wegetacyi, lubią co Bóg stworzył pięknego, choć nie są chrześcianami. Czemuż nie wszystkie chrześciańskie ludy lubią sadzić drzewa, pielęgnować je i szanować u sąsiada.

Ale już nas spostrzegł szeik *duaru*, już bieży ku nam z potężną misą mleka w rękach. Zgrzybiały to starzec, bieluteńką ma brodę, ale patrz, jaki wyraz dziecinnéj radości na jego licach: on nas wita jak swoich synów, choć nas nigdy w swém życiu nie widział i widzieć już nie będzie. *Allah bismillah, Allah bismillah dżemmar tekeden!* Bóg niech będzie chwalonym. Bóg wszystkich dobrych ludzi niech będzie chwalonym!—krzyknąłem z rozczuleniem, przykładając ręce na bijące serce.

— *Dżemmar tekeden bismillah Allah idahn!* Dobrzy ludzie chwalą tego samego Boga!—rzecze starzec i klęka przed nami, prosząc, byśmy mleka skosztowali. Oh Boże! w chwilach zmartwienia racz mnie pocieszać wspomnieniem podobnych roskoszy.

— Pokój niech będzie na twéj drodze, Allah!—rzekł do mnie szeik Baharemu, żegnając się z nami.

Starcze, czyś ty przewidział, co mnie na tym świecie czeka?

— *Salamu alikuhm!* Pokój z tobą! długo tętnić będzie w mojéj duszy.

Znów inna wieś maurytańska. Tu już młócą zboże na wielkiém klepisku brukowaném marmurem i zupełnie podobném do tego, któreśmy będąc w Ayamonte w Andaluzyi po pierwszy raz widzieli i w III Tomie tego dzieła opisali. Tylko klacze i źrebięta użyte są na ten cel w Maurytanii. Wieśniacy sami, ubrani jedynie w małą krymkę czerwoną lub turbanik

i w koszulę, zdejmują zawsze religijne swe obuwie wchodząc na bojowisko. To grunt dla nich święty. Nie lubią taksować naprzód możliwego przychodu ze żniwa, ani też na podobne zapytania nie odpowiadają inaczéj, jak słowami: »Co Bogu podobać się będzie.« Tak jak i u nas.—

W ceremonie religijne, nawet takie, które się duchowi islamizmu wprost sprzeciwiają, wierzy ten lud z nadzwyczajném zamiłowaniem. I tak zażegnywanie ozimin, odbywające się tutaj w środku lutego, tchnie zupełnym poganizmem. Lalkę jakąś za kobietę przebraną oprowadzają z wielkim krzykiem i hałasem, z wyścigami i złorzeczeniami po polach, a to dla odstraszenia *dżinów* czyli złych duchów, spiskujących przeciw pracy rolniczéj. Zdaje mi się, że ten obrządek religijny, istniejący już w Grecyi za czasów Sokratesa (jak świadczą ekonomiki Xenofonta), wymyślonym kiedyś został dla dobra rolników; doświadczenie bowiem przekonywa, że ozimina przydeptana, późniéj piękniéj wybuja i bogatsze daje plony. We Francyi i Anglii, przygniatają oziminę niezmiernemi walcami z drzewa do których częstokroć ośm koni przyprzęgają. Tutaj w Maurytanii przygniatają ją po prostu nogami, i służąc zabobonom nie wiedzą, że materyalną korzyść z tego obrządku odnoszą.

Przebiegamy rozległe grunta zwane Ain-Dalla, krynicą wina. Dawniéj tu istotnie pyszne i sławne uprawiano winogrona, ale sława przetrwała ich istność. Dziś prócz kilkuset dziko rosnących krzaków dzikiego, ale nadzwyczajnie smacznego wina, nie ma nic, coby przypomnieć zdołało dawną wziętość win okolicy Ain-Dalla. Duar arabski, złożony z chatek z palmowych lilij skleconych, zostawiliśmy na prawo; wstępujemy w urodzajną dolinę, przerzniętą rzeką Mhana, dążącą szybkim pędem od stóp Atlasu do morza. Zdaleka wygląda ta rzeka jak srebrna wstęga obszyta purpurowemi szlakami; róże laurowe, rosnące w nadzwyczajnéj obfitości po jéj brzegach, dają jéj to podobieństwo.

Rzekę wpław przebyliśmy, i z drugiéj strony, po-za pięknemi łąkami, wstąpiliśmy od razu, bez najmniejszego przejścia, w obszerną dolinę piaszczystą, zwaną Vaa-Ermel, to jest jeziorem piasków. Po tych piaskach bujało kilkanaście dzieci arabskich uczących się jeździć na tęgich,

jak błyskawica szybkich koniach. Rumaki te, choć także bardzo młode, po największéj części miały nogi przednie i tylne żelazem rozognionem wypalone. Nie ujmuje to koniom wartości w tych krajach, owszem, dla wzmocnienia nóg, już za młodu przepalają im w sposób nam znany skórę.

Jezioro piaszczyste zaczyna się nagle, lecz przejście kończy się powoli u stóp pasma gór Dar el Khan, i odgranicza widokrąg od wschodu na zachód wcale stromo i spadzisto. Ścieżka nasza wiła się pośród borku karłowatych dębów, złotojeści, laurów z białemi i czerwonemi kwiatami, żółtych jałowców, indyjskich mącznic i myrtów. Zdaleka doszedł nas nieznośny zapach gnijącego ścierwa; wkrótce potém spostrzegliśmy trup wielbłąda, leżący na poprzek skalistéj ścieżki.

— Sza! sza!—krzyknie na nas janczar przewodniczący karawanie;—stójcie.

Zsiadł z konia, powierzył żerdź z firmanem innemu janczarowi, zdjął z siebie *gelab*, to jest płaszcz żołnierski, i przybliżał się do ścierwa wielbłądziego wolnym, ostrożnym krokiem, zachodząc z tyłu. Naraz jeden rzuca się janczar na zdechłego wielbłąda, przykrywa brzuch jego płaszczem i woła: »teraz chodźcie, złapałem *tabiba* Jussufa i jego żonę.» Nadchodzim. Istotnie w brzuchu wielbłąda znajdował się czerwono-złocisty szakal ze swą samicą. Arab, lubiący przedewszystkiém malowniczość, nazywa szakala z przyczyny jego mądrości *tabibem*, to jest uczonym; nie wiem, czemu mu daje imie Jussufa, Józefa.

Szakal (canis aureus L.) jest gatunkiem psa, choć się żywi nietylko ścierwem, lecz także daktylami, winogronami i innemi jagodami. Szczególna rzecz, że Arabowie, którzy się brzydzą już samym widokiem wieprza, nie jedzący nawet nigdy mięsa z dzika, uważają mięso szakala za wielki przysmak. Biedne stadło złapane w brzuchu nieboszczyka wielbłąda było dla nich wielką zdobyczą. Wyciągnięto naprzód z brzydkiéj kryjówki *tabiba* i uduszono go niemiłosiernie; trudniejsza była sprawa z tabibową: broniła się zacięcie i pokąsała kilku Arabów, musiano ją tedy zastrzelić.

Widziałem nieraz w Afryce, mianowicie w Algieryi, stada szakalów dochodzące do sześćdziesięciu sztuk, postę-

pujące trop w trop za karawanami i za wojskiem, rzucające się z wielką wściekłością na bydło rogate, na wielbłądy i na konie. Szakal jest prawdziwym krukiem czworonożnym. Wszystko pożre co się nawinie, odkopuje nawet trupów jak hyena, a w razie głodu pożre siodła, uzdy i bóty, i co nie zje, to z sobą uniesie.

Około godziny 10. skwar słońca tak nam dokuczać zaczął, że musieliśmy zatrzymać się na spoczynek w części lasku, najwięcéj dającéj cienia. Rozpięto namioty, nadęto powietrzem naszą podróżną pościel, przekonawszy się wprzódy, czy w bliskości nie ma wężów lub żmij. Arabowie, Berberzy i Murzyni wzięli się do rozniecenia ognia, wypaproszyli szakalów i owinąwszy w ich skórę comber, piekli go w gorącym popiele z wielką zręcznością. Prosta to była polowa kuchnia, ale wcale praktyczna: ani jeden atom z aromatu szakalowego w niéj nie zaginął. Sporządzono także kilka podpłomyków z mąki maisowéj, nareszcie i kawę czarną. Bal to był wielki dla naszych ludzi. Po uczcie nastąpiły pogadanki i trwały godzin kilka. Około czwartéj po południu zrywamy się. W pięć minut konie nasze były osiodłane, namioty zwinięte i na wielbłądach przytroczone.

# ROZDZIAŁ VIII.

JULIA TRADUCTA.— PLEMIE ULAD.— SEBAITA.— KUROPATWA Z CZERWONĄ SZYJĄ.— PASTERZ.— SZEIK SEBAITÓW.— NAMIOTY.— TRADYCYE CHRZEŚCIAŃSKIE.— BASZA LARASZU.— ADJUTANT BASZY.—WYCIECZKA W OKOLICE.—STUDNIA RZYMSKA.— KOBIETY ARABSKIE.

---

Wkrótce ukazały się znów brzegi oceanu, od groźnych mass bazaltowych przylądka Spartel aż do starodawnego miasta Arzilla. Za Kartagińczyków zwało się to miasto Zilia, za Rzymian zaś Julia Traducta. Później należało do Gotów, do Arabów, do Portugalczyków, a od końca XVI. wieku odstąpione Maurom, znikczemniało w ich niedbałych rękach i stało się stosem rozwalin.

Morze wyzierało po za piaszczystém wzgórzem śnieżnemi falami, ginącemi na szerokiém wybrzeżu. Ścieżka nasza spadała stromo w rozległą płaską dolinę, pokrytą wysokim maisem i bujném prosem. Doliny téj grunt, zaniesiony tu deszczem z okolicznych pagórków, stoi rok rocznie, podczas dni przeszło czterdziestu, pod wodą. *Liali* czyli deszcz wiosenny, przez 40 dni prawie nieustający, żywi wówczas i użyznia grunt téj doliny. Wówczas także ujrzysz tu tysiące żórawi, czyli, jak je Arab nazywa, *panienek* Numidyi, tysiące purpurowych flamingów, wyglądających zdaleka jak armia janczarów cesarskich.

Rzeka Kholi wije się półkolistemi kręgami w dolinie; powiedziałbyś, że to ów wąż olbrzymi, którego legiony Regulusa zaledwie zwalczyć zdołały. Krajowcy utrzymują, że ta rzeka żywi w swych nurtach krokodyle. Nawet niedawno temu, kuryerowi baszy Laraszu, dążącemu do Tangieru i przebywającemu wpław tę rzekę, urwał potwór taki całe ramie. Zapewne to będzie sprawka rekina, przy-

byłego z morza, gdyż w żadnéj z rzek tego kraju nie znaleziono nigdy krokodyla.

Już wstępujemy w sławne wąwozy Garbea. Grunt ich czerwony jak cegła, zawiera mnóstwo prześlicznych muszli, które skamieniałe leżą tu od potopu.

Liczne plemie Arabów, zwane Ulad-Sebaita, koczuje w tym dystrykcie raz tu, drugi raz tam, ale zawsze w pewnych czasach na dolinie, a w innych na wierzchołkach gór. Tą razą wznosiły się ich namioty na wzgórzach, pomiędzy krzewami janowcu *(genista)* kolczastego, żółtego jałowcu i palmy latanowéj, strojnéj w piękne liście, kształtu wachlarza.

Tutaj pasły się liczne trzody dzielnych synów Sebaity, sławnych z męztwa i z cnót domowych. Doliny zasiane były pszenicą i jęczmieniem. Kłosy były ogromne, słoma tak prawie gruba i wyższa jeszcze jak trzcina. Słomy nawet nie zbierają nigdy po ścięciu kłosów za pomocą sierpa: słoma się pali na miejscu, a popiół jéj służy za jedyną zaprawę temu błogosławionemu gruntowi, na którym wszystko się udaje: owoce Europy i zwrotnikowe ziarno. Nic nie jest w stanie wyrównać sile wegetacyi tego kraju w miejscach, gdzie jest podostatkiem roślinnéj ziemi: a najpiękniejszego ptastwa chmary wyrywają się za każdym krokiem z pod nóg naszych.

Kuropatwa berberyjska *(letrao Rubicollis. Gen.)*, z dziobem, szyją i nogami purpurowemi, skrzydłami lazurowemi, mniejsza jak nasza, lecz tłuściejsza jeszcze, znajduje się tutaj w trudnéj do uwierzenia ilości. Rzadko się zrywają z ziemi, lecz biegną całemi stadami krzycząc i pomagając sobie skrzydłami. Arabowie szczują je konno i psami, i zmęczywszy je, zabierają żywcem całemi kopami. Tyle jest tych prześlicznych ptaków, i tak łatwo na nie polować, że wprawdzie nawet zadowolenia w takiém polowaniu nie masz. Od jednego z mych wystrzałów padło ich dziewięć, a pan Simoni zabił siedmnaście od jednego razu.

— Prawo Mahometa zakazuje wytępiać więcéj zwierzyny, niż użyć jéj możesz na zaspokojenie twego głodu! — rzecze do nas jakiś sędziwy pasterz, trzymający nowo narodzone jagnię w swych ramionach.

Pasterze Barbaryi i Wschodu większą mają odpowiedzialność jak nasi. Ciągle powinni czuwać nad bezpieczeń-

stwem swéj trzody, miesiącami całemi pozostają w miejscach odludnych i daleko od towarzystwa swych bliźnich. Pasterz swą trzodę kocha jak ojciec, i od niéj jest kochanym nawzajem. Tu łatwo pojmiemy słowa pisma świętego: »Jako pasterz paść będziesz swą trzodę, i nosić w twych ramionach nowonarodzone jagnię; do łona go swego przytulisz, i opiekować się będziesz temi, które karmią. Ja jestem dobrym pasterzem, ja znam mą trzodę, i owieczki me znają mnie także.«

Wymowne to słowa, choć tak proste.

Często także pasterz zrywa gałązkę i skinie nią na swą trzodę, by ją zachęcić do biegnięcia za nim. Z owieczkami swemi rozmawia i każdéj daje nazwisko. Jako pasterz Dawid procę nosi w swym ręku, i nią dzielnie godzi.

Znów inna rzeka, dążąca do morza, zwie się rzeką *młyńską*, choć żadnego już nie obraca młyna od bardzo dawnych czasów. Żadnych innych młynów nie masz tu prócz ręcznych, prócz żarn obracanych przez kobiety. Maurowie, niegdyś tak biegli w mechanice, tak zręczni przedsiębiercy, hydraulicy, zatracili od dawnego czasu wszelką wiedzę najprostszych maszyn.

Na widokręgu zachodnim ukazują się w zapadającém słońcu liczne bardzo namioty, napiętrzone około wzgórza, na którém wznosi się jakaś obszerna murowana budowla. To potężnych Sebaitów stolica, to pałac ich szeika Hadżi-Cassema, gubernatora dystryktu dziesięciomilowego.

Wysyłamy janczara dla powitania szeika i dla spytania go, czyli nam pozwoli wznieść nasz namiot obok swego. Szeik, złożony chorobą, wysyła na nasze spotkanie swego brata i swych synów z prośbą, abyśmy przyszli rozkazywać jemu i całemu plemieniu Sebaitów. Nie koniec na tych oznakach przyjaźni: szeik przysłał nam jeszcze barana, mendel kur, kopę jaj i dobrą ćwierć ryżu. Ten podarunek nazywa się *mona*, czyli powitanie, i wypada przyjąć go koniecznie.

Po należytych ablucyach ubraliśmy się w najjaskrawsze suknie, i poprzedzeni janczarem firman niosącym, na czele hufcu spahisów, janczarów, dragomanów, sług i niewolników, do 30 ludzi dochodzącego, poszliśmy odwiedzić sędziwego szeika, mieszkającego, dla reumatyzmu, nie w swym pysznym namiocie podarowanym mu niegdyś przez cesarza,

lecz w pałacu zimowym, wzniesionym z cegły na słońcu pieczonéj. Wielki to budynek, bez okien w ścianach, tylko w dachu płaskim. Największa część miejsca zawartego w środku, podzieloną jest niskiemi, zaledwie do ramion dochodzącemi przegrodami, na liczne oddzielne pokoiki, w sposób parku owczarskiego.

Tu mieszkał szeik, jego żony i córki, których było kilka nadzwyczajnie ładnych, wyzierających na nas z poza przegród z wielką ciekawością.

Mnóstwo było pięknych namiotów około pałacu szeika. Żaden naród europejski nie zna się tak dobrze na budowie namiotów, jak arabski. Płótno ich jest mocniejsze jak nasze; jedna żerdź czworograniasta, a złożona z dwóch kawałków i postawiona w środku, wspiera cały namiot choćby był największym. Namiot jest ozdobiony z zewnątrz festonami wykrojonemi w arabeski z niebieskiego płótna, a na szczycie ma wielki glob dęty z blachy i strzałę połyskującą w promieniach słońca.

Namiot darowany szeikowi przez cesarza był z niebieskiego sukna, ozdobiony szkarłatnemi festonami z adamaszku.

Tylko pod swym namiotem Arab, otoczony w ciasném miejscu swą rodziną, czuje się w domu. Prawda, że domy ich jeszcze mniéj są trwałe jak ich namioty, i dla tego też miasta z ikają coraz to więcéj z powierzchni Afryki, a duary koczujące mnożą się ciągle.

Pomiędzy kobietami, które nazajutrz rano przyszły zasięgnąć naszéj rady lekarskiéj, znajdowała się matrona jakaś bardzo wysokiego wzrostu i mająca naokoło szyi nacechowany wizerunek łańcuszka, a na nim zawieszonego krzyżyka. »W moim duarze, tam daleko, na podnóżu wielkiego Atlasu, gdzie wiele jest zwalisk Roumów, wszystkie kobiety idąc za mąż każą sobie wyszpilkować to znamie,« rzekła matrona, zapytana o znaczenie tego łańcuszka z krzyżykiem.— »On nas broni od pokusy czarta,« odrzekła matrona, i nic więcéj dowiedzieć się nie byłem w stanie.

Niezawodnie, że pokolenie, do którego należała urodzeniem swém matrona, kiedyś, w dawnych bardzo czasach, podległém było owym kolonistom rzymskim, którzy pierwsi zaszczepili religię Zbawiciela w Afryce. Panowanie Rzymian przeszło, dawna religia została zapomnianą, ale znak zewnętrzny przeżył dogmat. Często bardzo forma

przeżyła ideę, ciało duszę, nie tylko u Maurów, lecz i w innych narodach. Ta trwałość żywotności znaków zewnętrznych nasuwa dziwne domniemywania filozofowi. Symbole i formy na to może tylko są wymyślone, żeby więziły myśl i ciągle ją sprowadzały do jéj dawnego źródła.

Nie jeden zwyczaj tu istniejący przypomina obrządki katolicyzmu. Gdy kobieta nękana jest bólami macierzyńskiemi, baba jéj pomagająca powiewa w powietrzu białą chustką i błaga Matkę Dziewicę o pomoc: »Oh Mariah! Mariah! przybądź! przybądź w pomoc! oto kobieta, która cierpi i płacze! Oh przybądź Mariah!« A gdy połóg nastąpi, wówczas przyjaciołki położnicy odprowadzają Dziewicę Boską do nieba inną jeszcze ceremonią.

Wiemy, że historya Maryi i wcielenia Słowa powtórzoną jest przez Mahometa w tych prawie słowach, w jakich ją opowiada św. Mateusz. Znał dobrze serce ludzkie Mahomet, i wiedział, czém najłatwiéj wpłynie na wyobraźnię kobiet.

Spoczynkiem wzmocniony, a rzewnością pamiątek tak drogich podniecony, puszczam się w dalszy pochód. Al-Hamilt-Bey nie pojmował mojego wzruszenia. Patrzał się na mnie okiem jasném, otwartém a badawczém, śledził w każdém z mych poruszeń ducha przyczyn władających w téj chwili memi uczuciami. Spostrzegłem to.— »Ty mnie nie pojmujesz doktorze? nie prawdaż?«— »Prawda«.— »Widzisz, wzrosłem pomiędzy ludem, który tak wierzy, jak niegdyś wierzyli poprzednicy tych dobrych ludzi.....«

Anglicy zawsze materyalni!— powiedziałem do siebie, i dawszy koniowi ostrogą, pobiegłem z mym psem za zającem wystraszonym z pośród krzewów; ale żyd (tak Araby nazywają zająca) zmiatał doskonale i wziąć się nie dał. Półtoréj godziny podróżowaliśmy w tym lesie, a po wyjściu z niego, wstąpiliśmy znów na nieurodzajne piaski Sahel. W oddaleniu najwięcéj o milę zoczyliśmy cel naszéj podróży,— Larasz. Rzeka Lukkos toczy swe przezroczyste wody w szerokiém a miałkiém korycie i bieży ku zatoce, gdzie się na falach kołysze eskadra cesarska.— Biednać to eskadra! Jedna korweta, dwa brygi, skuner i kilka łodzi kanonierskich, a wszystko w opłakanym stanie. Kotwice, żagle, liny i inne przyrządy okrętowe porozrzucane po brzegach, gniją na nich i rdzewieją. Oto resztki owéj

dumnéj floty, która niegdyś korsarzom Barbaryi wystarczała na trwożenie całego handlu Europy.

A jednakże w owych czasach, lat temu ośm zaledwie, dwa mocarstwa Europy: Szwecya i Dania, płaciły jeszcze haracz roczny cesarzowi Marokańskiemu.

I arsenał cesarski w nie lepszym stanie: wszystko w okropném zaniedbaniu; żelazne działa rdzą przeżarte spadają z spróchniałych lawet.

Kilka kupieckich statków angielskich, francuzkich i hiszpańskich stało na kotwicy przy ujściu rzeki Lukkos i czekały na ładunek, złożony z wełny, skór, rogów, kory, korków, grochu i ziarna różnego rodzaju, z daktylów, koszenilli, surowego jedwabiu i tym podobnych towarów, branych tu w zamian za żelaztwo, sukna, bawełniane wyroby, muśliny, cukier i herbatę.

Basza Laraszu, ten sam Abdallah Al-Eslowy, który niedawno umarł, i którego majątek Mulej-Abder Hamman raczył najłaskawiéj skonfiskować na rzecz skarbu własnego, basza, mówię, umiadomiony o naszém przybyciu, wysłał swego *defterdara*, to jest pierwszego adjutanta, na powitanie *nie nas*, lecz firmanu cesarzewicza, wiszącego na wysokiéj żerdzi. Defterdar, po zwykłych *salemalekach* oddanych firmanowi, zbliżył się do nas, prosząc bez wielkiéj ceremonii, abyśmy stanęli w domu żydowskim, dla nas przyrządzonym.

— Staniemy w pałacu angielskim, prowadź nas tam, daléj — rzecze rozkazującym tonem Al-Hamilt-Bey do defterdara.

Zbladł Maur ze złości, oczy jego pałać zaczęły wściekłym ogniem.

— Patrz, tam! — rzecze znów doktór angielski, i wskazał ręką na dalekie morze. Na wodnistym widokręgu kurzył się wysoki komin statku parowego, a na maszcie powiewała flaga królowéj angielskiéj.

Maur zgrzytnął zębami, przytłumionym głosem rzekł: *ensara kafir* (przeklęty chrześcianin) i zwrócił konia ku *palacio ingies*. Konsul miał na przyjęcie swych narodowców dwa pokoje. Naprzeciw tego domu wznosiły się konsulaty innych mocarstw europejskich, niegdyś wspaniałe domy, dziś opuszczone i walące się mury.

Soliman Simoni pojechał do baszy powitać go w naszém imieniu i prosić o audyencyę na jutro. Tymczasem korzystając z reszty dnia, zwiedziliśmy miasto. Fortyfikacye, wzniesione z kolosalnych kamieni na końcu XVI. wieku przez Portugalczyków, przedstawiają pyszny widok. Wysokie, ogromne, wkraczają ostremi kantami w morze, i po bokach opatrzone są basztami i wieżami. Ale samo miasto nędzne i niezdrowemi wyziewami zaległe; nic nie ma regularnie zbudowanego, prócz domów otaczających rynek, a przez chrześciańskich niewolników wybudowanych.

Ludność sama wynędzniała, schorzała i brzydka, różniła się bardzo wiele od ludności Tetuanu i Tangieru, w ogólności bardzo dobrze wyglądającéj. Mnóstwo ślepych żebraków zalegało przedsionki domów otaczających rynek, i powietrze napełniało lamentami. Na tym samym rynku znajdują się jeszcze ruiny dawnego kościoła katolickiego, niegdyś bardzo świetnego. Główny meczet dość jest pięknym, ale minaret jego od podstawy szeroki, kończy się szczytem za nadto filgranowym. Miasto może liczyć do 3,000 mieszkańców; targi w niém bardzo mizerne, ale nigdy na nich nie brakuje towarzystw fakirów zjadających węże, *Eisowami* zwanych. Kto raz widział te okropne przedstawienia, ten unikać ich będzie wiecznie. Wąż jadowity, zwany *cobra capella*, wzdymający swą głowę gdy się rozgniewa, główną w tych igrzyskach gra rolę.

Dnia następnego, o 9téj godzinie rano, udaliśmy się w wielkiéj procesyi do baszy mieszkającego w *kassaba* (w cytadelli), w domu zwanym wielkim *(dar al-kebir)*.

Basza Cid Abdallah-Selam-Al-Eslowy przyjął nas serdecznie, uściskał nasze ręce i swoje przykładał na serce. Ubrany był w kaftan jasno-zielony, przykryty opończą muślinową i haikiem z bielutkiego kaszemiru złotem haftowanym. Na nogach miał żółte atłasowe spodnie, na głowie fez turecki otoczony zawojem, w ręku zaś różaniec. Ruchy jego były powabne i pełne godności, uśmiech prawdziwie czarujący. Wielki to dygnitarz koronny, a ojciec jego był baszą połowy cesarstwa i szwagrem panującego monarchy.

Żalił się biedny basza, że mu nudno w Larasz, że mu kilkanaście żon umarło w tym roku na gorączkę tyfoidalną, a pomiędzy niemi najmłodsze, że zapewne i on niezadługo pociągnie za niemi, bo siły go odstępują przedwcześnie,

a pewne namiętności nie odstępują wcale. Prosił, błagał jak dziecko, o jakie lekarstwo wzmacniające i rozweselające. Obiecaliśmy uroczyście przysłać baszy sławne pigułki, zwane odmładniającemi, któremi książę Wellington przedłużył sobie życie *(pills of juvence)*, bardzo znane w Anglii. Basza ledwo nie wyskoczył ze skóry z radości, ale potém zreflektował się nagle, i spytał marszcząc czoło: — Słuchajcie! ale nie będzie wina, ani wieprzowiny w tych pigułkach? wolę umrzeć, jak skalać się temi paskustwami.

— *Allah bismillah, akbar ipuda!* — krzyknie Al-Hamilt-Bey; — wolałbym twe żony bałamucić, jak obciążać się takim grzechem.

— *Dziali tanadir teres bakna!* — a niechże cię piorun trzaśnie, nie rób ani jednego, ani drugiego! — krzyknie jeszcze głośniéj basza, i śmiać się począł do rozpuku, trzymając się pod boki.

I znów się zatrzymał nagle w swym śmiechu, zasępił się i na różańcu odmawiać zaczął jakieś modlitwy. Potém zaś rzekł, oglądając się v około:

— Coby na to powiedział mój santuron przyboczny, widząc mnie śmiejącego się tak serdecznie z *Ensari* (z chrześcianami)?

— Niech sobie powie co chce, twój santuron jest twoim podwładnym — odpowie Al-Hamilt-Bey.

— On jest moim podwładnym, to prawda; ale on należy do pewnego bractwa religijnego, którego sam padiszah, mój pan, jest głową; ten zaś, lubo najsprawiedliwszy, najmędrszy, najlitościwszy, najcnotliwszy, chrześcian znieść nie może, i wie, że ja mam pieniądze, a on także lubi pieniądze i potrzebuje ich.

Tak trwoga i przesądy trzymały w ciężkich więzach duszę dobrego baszy, i jednéj chwili pogodnéj nie dawały mu kosztować radości.

— Nie wiem, kiedy będziecie mogli wyruszyć do Mogador, o mądre *Tibiby*; okręt wasz wprawdzie gotów do podróży, ale kapitan jego, jedyny znający dobrze drogę, mocno zachorował i leży bez przytomności — rzekł daléj basza.

Wtém działo zagrzmiało ze strony morza; baszy zaś znać dano, że parostatek wojenny angielski zawinął do zatoki. Wkrótce działo zagrzmiało jeszcze dwadzieścia razy.

Basza nas pożegnał i kazał odpowiedzieć z twierdzy na salwy angielskie.

Istotnie, *the Trident capt. Bowley* zawinął do zatoki, i ztąd za trzy dni miał wyruszyć do Mogador. Kapitan, znajomy Dra Hamilton, przeczytawszy firman, przyrzekł wziąć nas i naszych ludzi do Mogadoru. Ciężki kamień spadł z naszego serca, nie bardzo bowiem miło puszczać się na statku maurytańskim w najmniejszą nawet podróż.

— Co będziemy robić podczas tych trzech dni spoczynku w tym nędznym Laraszu?—spytał mnie Dr. Hamilton.

— Ty będziesz grał w wista z oficerami Trydentu, pić porter, sławić piękność królowéj Wiktoryi, unosić się nad potęgą swego kraju i zbierać pieniądze u bogatych Maurów i żydów za wizyty lekarskie; a ja będę robić wycieczki w kraje okoliczne, zwiedzać ruiny i pomniki, leczyć za darmo biednych Arabów, i tęsknić—odpowiedziałem koledze.

—Kocham szczerość, nawet kiedy jest dotkliwą—rzecze Dr. H.—Masz racyę, każdy niech idzie za swym gustem.

Jednę tylko opiszę wycieczkę; lękam się nękać mych czytelników temi podróżami odbytemi w krajach, w których nie masz ani dobroczynnych źródeł, ani targających rulet, których nikt nie widzi z ciekawości.

Jeden z adjutantów baszy, młody, piękny, w cudnie świetnym stroju, ale milczący, posępny, towarzyszył mi w téj wycieczce. Nazywał się Mustafa-el-Ardżi-Kaid. Ojciec jego, kapitan gwardyi przybocznéj cesarskiéj, umarł niedawno nie wiedzieć dla jakich przyczyn. Basza Laraszu dodał mi go dla mojéj obrony. Mało mówiliśmy z sobą, ale porozumieliśmy się od pierwszéj chwili.

Przebywamy rzekę Ayasza, płynącą z północy na południe. Kraj nas otaczający świetnieje najpyszniejszą wegetacyą, choć krzemieniami zasłany.

Słońce już dopiekać zaczynało, gdyśmy dochodzili do wsi Ibdua. Szeik wyszedł na nasze spotkanie, widział bowiem z daleka powiewający purpurowy burnus młodego kaida, i znał ważność człowieka taki kolor noszącego.

— Niech będzie pochwalony Allah! Co nam przynosisz: złe nowiny, czy też pozdrowienie od ojca naszego baszy?—spyta szeik.

—Przynoszę ci rosę błogosławieństw Boga, kataraktę pozdrowień baszy; przyprowadzam wielkiego i uczonego *Tibiba*

który leczy darmo wszystkich ubogich. Nic od ciebie nie pragnę, prócz miejsca przy twym namiocie, abyśmy spocząć mogli i odetchąć godzin kilka—odpowiedział młody adjutant baszy.

Ta odpowiedź uspokoiła szeika. Wkrótce także przybiegli na pysznych koniach jego synowie: było ich piętnastu, szeik bowiem Heduy miał żon kilka. Dwie godziny strawiłem na odwidzaniu chorych i sporządzaniu im lekarstw. Wiele było tyfoidalnych w duarze, a ta choroba rzadko zwykła się kończyć inaczéj jak śmiercią, jeźli sobie saméj jest zostawioną. Zapalenie mózgu prawie zawsze towarzyszyło tym chorobom.

O trzeciéj godzinie po południu wyruszamy w dalszy pochód przez łany, których słoma została zapaloną i rozgrzewała powietrze w sposób nieznośny. Atmosfera tak była rozżarzoną, że ptastwo nawet spadało bezsilnie i ginęło w spiekłym popiele. Całe tumany szarańczy, poruszane wiatrem wzbijającym się w ognisko, rozrzedzone cieplikiem, piekły się ze szmerem tak mocnym jak tysiąc patelni. Szarańcze te padały na nas i na nasze konie nieraz z tak mocnym pędem, żeśmy się widzieli być zmuszonemi zsiąść z koni i kryć się za niemi.

Przecież wybrnęliśmy z téj okropnéj atmosfery, przez którą całe półtrzeciéj godziny podróżować musieliśmy. Znękania naszego nikt opisać nie zdoła. Szczęściem dla nas, że w małéj rzeczce Ain Sanedi znaleźliśmy podostatkiem wody na ugaszenie trawiącego nas pragnienia. Biedne nasze konie jeszcze więcéj ucierpiały, a eter zawarty w butelkach méj apteczki rozsadził je i dotkliwych dla mnie strat stał się powodem.

Jeszcze raz jesteśmy w dystrykcie mężnych Sebaitów, w bliskości monumentalnéj studni, o ćwierć milki w pysznéj dolince od duaru położonéj. Mustafa-el-Ardżi, adjutant baszy, zaczął fraternizować z szeikiem, ludzie moi wzięli się do rozpięcia namiotu, ja zaś sam z mym psem, ze strzelbą i żydem dragomanem, zwróciłem kroki ku studni, którą z daleka rozpoznać można było otoczoną pysznemi cyprysami i gęstym krzewem. Spieszę ku celowi, pies zaś mój, bardzo niesforny, ugania się opodal odemnie za licznemi stadami kuropatw. Droga prowadziła raz przez wąwozy, drugi raz przez pola.

Studnia zwana *Roumi* (to jest rzymska), zdawała mi się mieć toż samo pochodzenie, co wszystkie inne podobne przez Maurów w Hiszpanii stawiane; ale tutejsi Maurowie nie przypuszczają nawet, żeby ich przodkowie w czémkolwiekbądź mogli coś wielkiego dokonać, i nazywają *Roumi* wszelkie zabytki starożytności wszystkich wieków i pochodzeń.

Nie bardzo dawno z innéj studni, w bliskości Laraszu, wydobyto konia i jeźdźca z bronzu. Zabytki te pochodziły najniezawodniéj z czasów rzymskich. Ale któż z tego odkrycia odniósł pożytek? Posągi te porąbano potajemnie na kawały i sprzedano je żydom.

Powróciwszy do duaru przed namiot szeika, czekającego na mnie z baraniną, ryżem, mlekiem i kuszkusem, spotkałem liczną processyę kobiet arabskich, przybranych w świetne stroje. Żyd mój tak się lękał sprofanować swemi oczyma oblicza tych kobiet, że się rzucił na ziemię i twarz schował w bruzdę. Ja zaś widząc, że te damy nie mają zasłon, zbliżyłem się tak blisko, jak tylko mogłem do nich, i grzecznie powitałem sposobem arabskim. Całe towarzystwo zatrzymało się i patrzało na mnie z wielką ciekawością.

— Czy nie jesteś owym angielskim lekarzem, którego basza wysłał na objazd po duarach?—spytała jedna z matron.

— Jestem nim w istocie—odpowiedziałem.

Wszystkie wydały krzyk radości i obstąpiły mię w około, szturmując niezliczonemi, nieraz bardzo naiwnemi, prawdziwie ambarasującemi pytaniami.

Kobiety arabskie wcale nie są nieśmiałe, a mniéj jeszcze z Nazareńczykami, jak z własnemi rodakami. Widząc się wolnemi od swych argusów, chętnie rozmawiają, chętnie nawet w intrygi wchodzą z Europejczykami.

Było pomiędzy temi damami kilka ładnych i wysmukłych panienek z bystremi czarnemi oczyma, z długiemi rzęsami, małemi nóżkami, wybornie i delikatnie osadzonemi.

Wszystkie były pięknie, nawet z przepychem ubrane. Niektóre miały kaczamajki kaszmirowe złotem haftowane, a na nich rodzaj szubki z przezroczystego muślinu. Na szyi nosiły perły, korale i małe świecące muszle. Ramiona ich także przeładowane były bransoletkami, ze srebra niezręcznie wyrabianemi. Chustki jedwabne jaskrawych ko-

lorów wznosiły się na ich głowach w kształcie piramid, a bogate szale służyły im za przepaski, i młodym wysokim dodawały cudnego uroku. Nawet najuboższe z nich przystojnie były ubrane w kaftany bieluteńkie z cienkiéj flaneli, obszyte wstążkami i przepasane jedwabnym szalem. Włosy spadały na barki w wielkich kędziorach i zasiane były blaszkami złotemi i srebrnemi. Wszystkie mocno różowane, miały powieki *koholem* na czarno, palce zaś u rąk i nóg *hennq* na pomarańczowy kolor ufarbowane.

Damy te udawały się w uroczystéj processyi, śpiewając i hałasując, na chrzciny. W domu, czyli raczéj w namiotach, płeć piękna okryta zasłoną z grubego muślinu, nie dba o piękność toalety, i chodzi w dość brudnych wełnianych koszulach, w spodnicach *idem*, ozdób żadnych nie nosi, i niczém się nie farbuje.

W podobnych wycieczkach, przeplatanych nauką i radami lekarskiemi bardzo tu pożądanemi, przeszło mi dni kilka. W pięć dni po przyjeździe do Larasz, a w dwadzieścia trzy po wyjeździe z Gibraltaru, popłynęliśmy na statku wojennym angielskim *the Trident* do Mogadoru.

# ROZDZIAŁ IX.

POKŁAD STATKU.—GEOGRAFIA MAROKU.—ATLAS.—SAHARA.—RIF.— SPARTEL.— SUZA.— WEGETACYA.— HISTORYA PANUJĄCYCH.—MOGADOR.—FORTYFIKACYE.—HANDEL.—PRZEMYSŁ.—BASZA. — DROMMEDAR PUSZCZY. — PODARUNKI PRZYJACIELSKIE.—KARAWANA.—GWARDYA MURZYŃSKA.—POCHÓD.

Statek nasz walczył z przeciwnemi wiatrami i wolno się suwa na zbałwanionéj powierzchni oceanu. Drgające tętno maszyny kołami obracającéj, jeszcze żywiéj czuć się daje pod falą, walącą młotem w żelazne piersi tego domu tak ludnego, raz wyniesionego w górę, to znowu pogrążonego w głębokościach. Wiatr świszczy w postronki, nagina maszty, dmie w komin jak w olbrzymią piszczałkę, i wstrząsa nim jak trzciną. Ale kapitan czoło mu stawia, czoło nietrwożliwe, nie grożące, ani też urągające, lecz czoło pogodne, spokojne. Obrachował on impet wiatru, wściekłość fali; ale też zna dokładnie siłę swego statku, swéj maszyny, a przedewszystkiém zna siłę szczęścia Brytanii na wszystkich oceanach. Spokojny jak posąg spiżowy, nieporuszony, niezachwiany, a majtkowie i żołnierze rozproszeni na pokładzie oparci o balustradę, o działa, lub zaczepieni o liny i drabiny, patrzą się w twarz kapitana jak w tęczę i czerpią w niéj odwagę, spokojność i dumę. A każdy z tych majtków, z tych żołnierzy, ma siłę, wolę i rozum, a jednakże takie zaufanie bez granic ma w swym przewódzcy.

Angielski majtek ślepe ma posłuszeństwo dla swego przewódcy; pozwala sobie rozbierać jego rozkazy, ale je wypełnia bez żadnego wahania: bo wie, że każdy statek jednę powinien mieć duszę, tak jak jedno tylko ma życie. Żadnego zgiełku, żadnych głośnych rozmów na pokładzie; wicher tylko wyje potężny.

Uczniowie marynarki i midszipmany siedzą w klassie i recytują przed professorem zadaną im lekcyę; oficerowie po największéj części zatrudnieni czytaniem w bibliotece okrętowéj. Wybieram jakiś rękopism spisany niedawno przez pierwszego porucznika Trydentu, pana Westmoreland, i z niego wyczytuję następujące myśli o kształcie ogólnym kraju, którego część już poznałem, a część wielką jeszcze mam poznać.

Mogreb, czyli państwo najodleglejsze Zachodu (tak bowiem Maurowie nazywają kraj swój), zajmuje w Afryce taki prawie obszar, jaki Hiszpania w Europie. Umieszczone pomiędzy *»małém morzem«* (Śródziemném), i *»morzem bez brzegów«* (oceanem), przecięte jest od wschodu na zachód długiém pasmem gór, których śnieżne szczyty sięgają po za granice widoku w obłoki. Jestto Atlas, potężny Atlas, ów znany poetycznym Grekom król ziemi, na któréj pasły się nieprzeliczone trzody, na któréj rosły drzewa z liściami złotem świecącemi, z gałęziami złotemi i ze złotym owocem: król państwa, obronnego wysokim murem i strzeżonego przez okropnego smoka. Skamieniały w pośrodku swojego państwa olbrzymi starzec, dźwiga na swych barkach kopułę niebieską, a w łonie swém kryje nieprzebrane bogactwa.

To prawda: istnieją we wnętrzu Atlasu obfite a nigdy nietknięte żyły złota, srebra, miedzi i żelaza. Ale z grzbietów jego spływają na płaszczyzny bogactwa jeszcze prawdziwsze: wszystkie strumienie Barbaryi zachodniéj spadają z tego łańcucha i z jego licznych rozgałęzień. Grecy mówili, że to łzy olbrzymiego starca skrapiającego ukochane jego królestwo.

Smoka z ognistym ogonem znajdujemy na południu, na pograniczu Sahary. To ów okropny *Simuhu*, który wznosi, skupia, porywa z sobą, na odległość kilku mil w morze, ogniem pałające piaski puszczy. Tam, na téj nieurodzajnéj ziemi żyją owe hordy barbarzyńców, nie chcąc podlegać nikomu, ożywiając się łupami na karawanach zdobytemi.

Od 20go aż do 30go stopnia północnego, puszcza zasiana jest ruchomemi górami piasku. Powietrze, przepełnione pyłem piaszczystym jest nieprzejrzałe, jak gdyby mgłą przesiąkłe. Nieraz ono w błędy fatalne wprowadziło żeglarzy: nie rozeznali brzegów aż w chwili, gdy na nich zoczyli

bałwany rozbijające się w białą pianę, a pędzeni prądem zachodnim nie spostrzegli niebezpieczeństwa i okręt zgruchotany tonął. Koczujące hordy patrzą z jaskiń na nieszczęsnych w przepaść pędzonych, i cieszą się z ich niedoli, bo do nich należeć będą łupy, do nich życie tych biednych, jeżeli się schronić zdołają na brzegi te okropne.

Statki płynące do Senegalu, do Gwinei i do wysp Przylądka Zielonego, często tu przepadają, nie zostawiając żadnego po sobie śladu. Karty morskie nie wskazują z dokładnością położenia niebezpiecznych tych brzegów.

Na brzegach północno-wschodnich państwa marokańskiego wznoszą się niebotyczne, ostrokańciaste skały. To prowincya zwana Rif, któréj mieszkańcy, również barbarzyńcy jak Beduini puszczy, łowami się trudnią na lądzie, a rabunkiem na morzu. I oni nie chcą ulegać cesarzowi Maroko. Puszcze Angadu i Mulaja przegradzają prowincyę Rif od Algieryi; od zachodu Rif przytyka do prowincyi zwanéj El-Garb, wystającéj jak głaz ogromny z Afryki i ścieśniającéj morza Śródziemne przy jego ujściu do oceanu.

Od przylądka Spartel rozpoczyna się długa linia brzegów oceanu, i na téj to widzimyporty kupieckie dość znakomite, znane pod nazwiskiem Larasz, Rabath, Mazagran, Mogador. Inne miasta, jak: Salé, Amazor, Safi, Santa-Cruz, leżą po największéj części w ruinach. Na tym brzegu znajdują się całe miasta niegdyś sławne zamożnością, dziś zaś w zupełne ruiny, w zwaliska bez żadnéj ludności przeistoczone. Wielka zaraza w roku 1799. wyludniła wiele miejsc do szczętu i zadała ostatni cios nieszczęsnym miejscom, od wielu, wielu wieków chylącym się ku upadkowi.

Bystre i liczne strumienie spadają ze szczytów Atlasu, lecz zatkane przy ujściu do morza ławami piasku, którym niedbalstwo Maurów dało się skupić, potoki te i rzeki nie są spławnemi dla większych okrętów. Śniegi gdy stopnieją na Atlasie, i deszcze gdy padną, wówczas ta sama przyczyna, która robi rzeki niezdolnemi do spławu, staje się powodem okropnych powodzi. Wody, nie mogąc wylać się swobodnie w morze, roztaczają się na prawo i na lewo w okropne bagna, które potém wyziewami niezdrowemi zarażają powietrze i niezliczone sprowadzają choroby. W wielu miejscach wymarła z téj przyczyny cała ludność, wiele miast zginęło w bagnach.

A jednak kraj ten opasany z czterech stron morzem, piaskami, górami i puszczą, zawiera jeszcze tysiące mil kwadratowych pokrytych najpyszniejszemi ogrodami starego Atlasu. Poprzecinana dolinami, płaszczyzną i tarasem, którego rozmaite i różnostronne pochyłości sprzyjają bujności roślin, od zboża aż do owoców zwrotnikowych, ziemia ta obiecana pokrywa się czarującą wegetacyą, w wielu miejscach do roku trzy daje żniwa, i to bez innéj zaprawy jak téj, którą pozostawiają stada pasącego się bydła lub też popioły spalonéj słomy.

Jackson, który sześnaście lat bawił w różnych prowincyach Maroko, daje przykład zastanawiającéj siły roślinnéj owego kraju. »Podróżowałem wówczas w prowincyi zwanéj Suza pomiędzy plantacyami oliwnemi; w bliskości miasta Messa znajduje się jedna z tych plantacyj nadzwyczajnie obszerna. Drzewa jéj są pyszne i wysokie jak u nas klony (mówi pan Jackson, Anglik), ale nie w szeregach ustawione, tylko w nieporządku rozsiane: co mnie zastanowiło, inne bowiem plantacye w bardzo regularnych rosły szykach. Pytałem się o przyczynę téj nieregularności i dowiedziałem się, że jeden z cesarzewiczów obozował kiedyś w tém miejscu z całém swym wojskiem w pochodzie ku Sudanowi. Żerdzie służące do przymocowania koni były ścięte z drzew oliwnych rosnących w pobliskości, i wbite w ziemię, w któréj pozostały po opuszczeniu obozu. Potém te żerdzie przyjęły się i wybujały w las tak olbrzymi. Prawda, dodaje Jackson, przypatrzywszy się zbliska nagięciu drzew i porządkowi, w którym były ustawione, rozpoznałem z dokładnością, że w ten sposób kawalerya obóz swój rozstawiać zwykła.«

Ta żyzna prowincya Suzy, która niegdyś osobne stanowiła państwo, dziś jeszcze jest najpiękniejszym brylantem w koronie cesarza Maroko. Drzewa oliwne, migdałowe, daktyle, pomarańcze i wino, trzcina cukrowa, najpiękniejsze indygo, udają się tutaj bez żadnéj trudności, bez żadnéj prawie pieczołowitości ze strony rolników. A okolice miasta stołecznego Tarodan, to istny raj! Kwiaty współubiegają się tu o świetność kolorów z ptakami, węże są piękne a nie jadowite, a małpy i grzeczne i smaczne. Boże drogi, co to za kraj obiecany!

I klimat cudnie jest przyjemny; tylko w początku września *simuchu* świszcze tu i wyje, czasem tylko przez trzy dni, ale czasem także i przez dni dwadzieścia. Prawda, że tylko w południowych częściach téj krainy czuć się daje cała srogość tego nieznośnego wiatru, który zawsze poprzedza owe deszcze zwane *liali*, a padające przez dni czterdzieści najczęściéj. I w części najmniéj żyznéj udaje się jeszcze wybornie pszenica turecka, proso, bawełna, indygo, ryż, szafran i konopie; a gummy, miodu, sezamów, soli, saletry jest podostatkiem.

Prowincya Haha posiada całe lasy arganu, drzewa, którego pestki zawierają wyśmienitą oliwę, nadzwyczajnie zdrową i palącą się dwa razy dłużéj, jak oliwa zwyczajnych oliwek. Tam także rośnie arar, owo trwałe, piękne drzewo, którego nigdy nie czepia się żaden robak.

Cedry, drzewo korkowe, dęby i świętojańska akacya, orzech i oliwki, figi, daktyle i pomarańcze, granaty i kasztany, magnolie, akacye, bzy, geranie, kaktusy i aloesy, wszystkiego ogromne, zastanawiające mnóstwo: a zwierzyny i pięknego bydła, owiec szczególniéj wielkie, nieprzeliczone chmary.

»Jednakże« dodaje pan Jackson, »wszystko chyli się ku widocznemu upadkowi w tym żyznym a ubogim kraju. Nikt tu nie jest pewnym swego: gdzie dostatek, tam może być niezadługo nędza, kalectwo i śmierć nawet. Tylko nędzarz żyje tu bez trwogi stracenia owocu swéj pracy, ale go głód zabija pomimo całego miłosierdzia Maurów, Arabów i Beduinów.

Rząd marokański daleko jest arbitralniejszym od rządu tureckiego. Sułtan dzierży w swéj ręce życie, własność, a nawet i sumienie poddanych. Jako potomek Mahometa, księciem jest wszystkich prawowiernych.

Historya państwa marokańskiego łączy się aż do końca XVgo stulecia ściśle z historyą całéj Barbaryi. W owym czasie Merynidowie zostali strąceni przez Sanditów, późniéj ustąpić musieli i szerysowie Tafiletu, pod panowaniem których cesarstwo doszło do najwyższego stopnia oświaty i rozległości. Zachodnia część Algieryi należała wówczas do Marokko, a granice południowe rozciągały się aż pod Gwineę. Pod niemi to król Portugalii Sebastyan został zwyciężonym i zabitym. Lecz po śmierci Ahmeda, najpotężniejszego z sze-

ryfów (w roku 1603.), państwo rozpadać się zaczęło coraz więcéj w wojnach domowych, tak, że łatwą było rzeczą Muley szeryfowi, potomkowi Alego i Fatimy, zwalić dawną dynastę i utwierdzić nową, do dziś dnia rządzącą. Najsłynniejszym monarchą téj dynastyi był Muley-Ismaił, panujący od r. 1672. do r. 1727., wprawdzie z wielką świetnością. Hiszpanom bowiem odebrał Larasz i Tangier, ale na wewnątrz z trudném do uwierzenia okrucieństwem. Własną ręką uśmiercił przeszło 5,000 ludzi, wynajdując najokropniejsze męczarnie dla tych, których wprzódy kochał, a pomiędzy takiemi były własne żony i dzieci. Żon miał podczas swego długiego życia przeszło 8,000, synów spłodził 825, a córek 342.

Pod następcami Muley-Ismaiła, niesnaski, wojny domowe, spory o berło i barbarzyństwa wszelkiego rodzaju, trwały aż do wstąpienia na tron Muley-Sidi-Mohammeda (1757 do 1789), monarchy bardzo łagodnego i sprawiedliwego zarazem. Onto chciał wprowadzić cywilizacyę europejską do swego kraju, i tém na siebie oburzył umysły fanatyków muzułmańskich. Po śmierci Mohammeda rozpoczęło się na nowo panowanie barbarzyńców, ale dobry sułtan Muley-Soliman, panujący od roku 1794. do roku 1822., byłby wrócił krajowi swemu pokój i szczęście, gdyby wielkie niedole, spadłe z woli Boga: zarazy, nieurodzaje, szarańcza i głody, nie były udaremniły jego szczerych usiłowań. Od roku 1822. panuje cesarstwu marokańskiemu sułtan Muley-Abder-Hamman, urodzony w roku 1778. Zaraz na początku panowania zdołał ukrócić zuchwałość góralów, dotychczas jedynie rabunkiem i buntami żyjących. Zresztą, jak na Maura, jest łagodnym, sprawiedliwym. Pod jego jednakże panowaniem zaszły wypadki, które na los kraju wielki muszą wpływ wywrzeć, i które państwo w ciągłym stanie trwogi utrzymują. Francuzi biorą Algier, i cesarz z jednéj strony zagrożony przez Francuzów, z drugiéj strony poduszczony przez fanatyków, często folguje strachowi, a czasem także, wbrew wszelkiemu rozumowi, bierze się do wojny. Już w roku 1832. Muley-Abder-Hamman chciał zagarnąć prowincyę Oran, ale zaniechał tego zamysłu po sprężystém wystąpieniu Francuzów do walki; we dwanaście lat późniéj, w r. 1844., Abd-el-Kader, przyparty przez marszałka Bugeaud do granicy marokańskiéj, umiał intrygami

i potężnym wpływem, wywieranym na fanatyków, zmusić Muley-Abder-Hammana do udziału w wojnie świętéj. W sierpniu roku 1844. przyszło do itrzech stanowczych walk: Tangier bombardowany przez księcia Joinville 6go sierpnia, Mogador 15go sierpnia, a 14go marszałek pobija nad rzeką Isly armię, dowodzoną przez samego cesarzewicza marokańskiego. Francuzi zawierają pokój, niewiele czyniący chwały ich dyplomacyi: pośrednikowi, tojest Anglii, zostawiają wszystkie korzyści zdobytych zwycięztw, a sami nie zatrzymują żadnéj rękojmi dalszego pokoju, zrzekają się nawet kosztów wojny.

W rok już potém występuje raz jeszcze niezwalczony żadnemi przeciwieństwy bohaterski Abd el-Kader i niszczącą wojną zalewa Algieryę. Wspierany jest oczywiście ludźmi i końmi prze cesarza marokańskiego, bronią zaś i amunicyą przez Anglików. Walka z Abd-el-Kaderem trwa aż do końca roku 1847., i kończy się poddaniem warunkowém Abd-el-Kadera. Francya republikańska nie chciała dotrzymać warunków zaprzysiężonych przez Francyę monarchiczną (a). W zmianie formy rządu, Francya nieraz szuka i znajduje środki wykręcenia się z niejednéj trudności politycznéj i dyplomatycznéj.

Wróćmy teraz do Trydentu, który popychany wiatrem i maszyną, przebiegał jak mewa morska w czterdzieści kilka godzin ogromną przestrzeń pomiędzy Larasz i przylądkiem Cautin, i minął Mechedię, Rabat, Dar el Beidę, Muzagon i przylądek Blamo; mijamy już nawet Saffi, niegdyś wspaniałe miasto, dziś jeszcze 12,000 mieszkańców liczące. Jeszcze godzin kilka, a zobaczymy Mogador; ale noc zaskoczyła, trzymać się musimy na pełném morzu, bo wnijście do portu mogadorskiego dla mielizn i ław piasku bardzo niebezpieczne.

Równo ze świtem stajemy w porcie mogadorskim. Wlatuje na maszt Trydentu flaga Anglii, i witaną jest odgłosem potężnych dział alcazaru.

(1) Winienem tu napomknąć, że podróżowałem w cesarstwie marokańskiém jeszcze nie przyszło do kroków nieprzyjacielskich z Francyą; dla całości tylko daję ten rys historyczny, sięgający aż do najnowszych czasów.

Fortyfikacye Mogadoru są okazałe: miasto samo, 90 lat temu zbudowane na miejscu dawnéj Erythrei, regularném jest więcéj jak inne maurytańskie. Czysto jest zachowane. Z zewnątrz w żadnym domu nie ujrzysz okien, chyba na minadorach i belwederach wzniesionych na dachu. Meczetów wspaniałych nie masz tutaj, tylko minarety dość powabne; palmy sterczą nad ogrodami zamkniętemi zazdrośnie pomiędzy wysokiemi murami domów starannie bielonych.

Miasto Mogador założoném zostało w roku 1760. przez Sidi-Mohammeda, dobrego monarchę, na brzegu piaszczystym półwyspu, opartego na skale. Sułtan zachwycony położeniem tego półwyspu, kazał sobie przynieść natychmiast wapna i kamieni, i własnoręcznie zaczął budować mur dotychczas istniejący, i jako wielką ciekawość podróżnym pokazywany. Mówią, że sułtan głównie dlatego polubił to nieurodzajne miejsce, że w jego bliskości znajduje się grobowcowa kaplica Sidi-Mogodola sławnego marabu. Mohammed chcąc sprowadzić kupców do Mogadoru, udzielił im grunta i uwolnił ich od podatków na długie czasy. Dziś Mogador stał się istotnie środkowym punktem europejskiego handlu, i zasługuje na uwagę geografa. Przystań jest bezpieczna, ale szczupła i wejście do niéj niełatwe. Na wysokości górującéj nad miastem, a zwanéj językiem krajowym *Apadir*, wznosi się wspaniały alcazar czyli cytadella. Sześciu konsulów europejskich i dwóch amerykańskich rezyduje w Mogadorze. Mamy ich już wszystkich na pokładzie, bo gdzie się angielski okręt zjawi, tam się mocarstwa kupieckie tulą pod jego skrzydła.

Dowiadujemy się, że eskorta, mająca nam towarzyszyć do Maroko, już przybyła. Posyłamy pana Simoni do baszy, aby go przywitać i prosić o wstęp do miasta i o posłuchanie.

Wstęp do miasta uzyskany; posłuchanie na jutro. Basza obchodzi rocznicę śmierci pięciu żon, trzynaściorga dzieci, mędla wujów i stryjów, i kopy całéj dalszych krewnych.

Miasto Mogador, zwane przez Maurów i Arabów *Swirah* (czyli piękny widok), położone na brzegu oceanu Atlantyckiego pod 31-m stopniem 15 minut szerokości północ., 9. stop. długości zachod. od Londynu, wybudowaném jest

w kształcie czworoboku podłużnego. Położone na półwyspie oblanym oceanem, często w chwilach wysokiego przypływu zupełnie otoczone jest falami. Mury wzniesione z głazów i wapna, sześć stóp mają szerokości u podnóża, a 20 wysokości. Liczne wieżyczki wieńczą jego szczyty. Bateryc znajdują się u każdego promienia wkraczającego pod kątem ostrym w morze. W kącie wschodnim, w miejscu, gdzie wyłamano bramę, wystawiono okrągłą basztę 35 stóp wysoką, obronną czterdziestu armatami, częścią żelaznemi, częścią spiżowemi. Nadto znajduje się tutaj bateryа pokryta, a tak silna, że jéj żadna bomba nadwerężyć nie zdoła; zawiera także ze czterdzieści dział po części tylko spiżowych. Ze wszystkiém tedy około 240 dział wymierzonych na morze. Połowa ich tak była rdzą zjadła, że pęknąć musiała przy pierwszym wystrzale ostrym, a druga połowa tak źle obsłużoną, tak źle w stosowną do kalibru amunicyę opatrzona, że wielkiéj także nie mogła zrobić szkody nieprzyjacielowi, przywykłemu brać pod ostrą kredkę siłę swego działa, naboju i przestrzeni. Łatwo tedy było odnieść zwycięztwo nad fortyfikacyami imponującego Mogadoru, mianowicie, że okręty mogły się zbliżyć na pół wystrzału armatniego i walić do murów celnie i bystro z sześciuset kilkudziesięciu armat ciężkiego kalibru flotylli księcia Joinville.

Chrześciańscy kupcy mają w Mogadorze wszelkie ze strony rządu marokańskiego zabezpieczenie. Mieszkają w saméj fortecy pod zasłoną i dział i murów. Żydzi najniewygodniejsze mają miejsce, a tam jednakże handel największy. Żydzi wszystko dają daleko taniéj niż Maurowie lub chrześcianie; spekulują jak, wszędzie, na łatwowierność kupujących, oszukują, szachrują, małém żyją, brudno się ubierają, najokropniéj śmierdzą, ale się bogacą, i dlaczego bogacą?—żeby się dać odzierać przez baszę i kadego.

W tak nazwaném wielkiém mieście odbywa się targ, i tam mieszkają wyrobnicy. Piękny rynek otoczony kramami znajduje się w téj części.

Wyrabiają się w Mogadorze, pomiędzy innemi artykułami, pyszne haiki białe jak śnieg z delikatnéj wełny, przędzonéj wrzecionem żelaznem i tkanéj bardzo prostym mechanizmem. Haik taki czworograniasty, szeroki na sześć stóp a długi na sześć prętów, kosztuje tylko dwa piastry

hiszpańskie, to jest 18 zł. polskich. Dodawszy do takiego haiku oblamowanie z szczerozłotego galonka, zawiązanie na kaptur złotemi kutasami, można mieć wyborny i wygodny strój za dwa dukaty. Nie masz stroju więcéj malowniczego i świetniejszego od białego haiku. Plama niełatwo się przyjmie na nim, a łatwo da się wywabić mydłem, które się nabywa wraz z haikiem.

Wyroby żelazne mogadorskie także są nadzwyczaj piękne i tanie; siekiery, narzędzia stolárskie, ślusarskie, kłódki, noże, puginały trwałe są i nadobnie wyrobione.

Dwa tysiące murzynów wolnych żyje w Mogadorze, także w osobnéj części miasta; mieszać im się z Maurami niewolno, choć są wszyscy Mahometanami. Murzynowi nie wolno mieć kobiety białéj, chyba chrześciankę, ale Maurom wolno mieć tyle niewolnic czarnych ile im się podoba, a bardzo podobają się Maurom murzynki, gdyż są rosłe, tłuste i czarne jak pokost.

Zapomniałem powiedzieć, że żydzi są przegrodzeni wysokim murem od reszty miasta. Jedna tylko do tego ich schronienia prowadzi brama.

Przystań sama zabezpieczoną jest ze strony morza wyspą długą na trzy wiorsty, a szeroką na jedną wiorstę. Służy ta wyspa także na więzienie dla przestępców politycznych, których jest tutaj ciągle do tysiąca, po największéj części *alkaldowie* (to jest urzędnicy policyjni) i wojskowi, nie mogący się wykupić datkami z pod zarzutu niewierności i przekupstwa. Trzymają ich tu po lat kilka w więzach, a gdy nie umrą, lub wykupić się nie mogą, wówczas ich puszczają na wolność i najczęściéj znowu do służby biorą. Żadnemu cudzoziemcowi nie wolno wstąpić na tę wyspę pod karą śmierci. Francuzi w r. 1844., nie szanowali tego zakazu, wyspę wzięli i na niéj kilka miesięcy bawili. Ludność Mogadoru dochodzi do 20,000; w roku 1790. liczono do 30,000 mieszkańców, ale podczas zarazy wymarło dwie trzecie części ludności. Rasa ludzi jest piękna, atletyczna. Maura brzydkiego nie ujrzysz tutaj; choroby ócz są częste.

Kobiet przedziwnéj urody wiele bardzo w haremach. Niezmiernie są zalotne i do intryg gotowe. Żydzi ułatwiają wszystkie trudności i zastraszyć się nie dają żadną karą.

Rok rocznie wieszają ich tu kilku za faktorowanie wiernością kobiet.

Stanęliśmy nie w bazarze, w którym nam basza kazał przygotować mieszkanie, lecz u pana Wilshire negocyanta angielskiego, a zarazem i konsula Wielkiéj Brytanii. Nazajutrz rano w świetnym orszaku, do 60 osób dochodzącym, konsulowie bowiem wszystkich narodów raczyli nam pożyczyć swych sekretarzy, dragomanów, janczarów i niewolników, poszliśmy odwiedzić baszę. Staryto był niedołęga, a niezmiernie fanatyczny. Otrzymaliśmy z rąk jego zaręczenie, że podczas całéj podróży i całego pobytu w państwie Marokańskiém nie doświadczymy ani jednéj chwili przykrości, że droga życia naszego różami będzie zasłaną i brukowaną powabami, o jakich nawet wspomnieć niechcę. Al-Hamilt-Bey dał zrozumieć baszy, że co trzeci dzień będzie wyprawiał umyślnego posłańca z Maroko do konsula angielskiego w Mogadorze, i że konsul znów z swéj strony będzie utrzymywał rząd Wielkiéj Brytanii w ciągłéj wiadomości o naszym losie.

Staremu baszy niebardzo miłe było to oświadczenie. Zaczął oczami kręcić, zasępił się, wpadł w zachwycenie i powiedział:—»Królowa angielska wiedzieć nie może, ile liści upadnie z najulubieńszego drzewa jéj ogrodu,«

— To znaczy, że nas zgładzić możecie, a ona się ani spostrzeże?—odpowie Al-Hamilt-Bey.— Nie wierz temu! każda kropla krwi naszéj cząstką jest życia królowéj. Bóg wie dobrze, ile jest Anglików na świecie, i królowa wie i każdy z nas wie. Biada tym, którzy nam szkodzą: dosięgnie ich kara bez zwłoki, oh potężny baszo i szeryfie!

Basza nic nie odpowiedział, tylko pytał, kiedy chcemy w podróż wyruszyć.

— Jużeśmy wypoczęli z odbytych podróży i do nowych gotowi. Dziś po południu chcemy wyruszyć. Tak kazałem zapowiedzieć synowi cesarskiemu przez umyślnego posłańca, którego wysłałem zaraz po mojém przybyciu na dromedarze puszczy, szybkim jak uragan—rzecze Al-Hamilt-Bey.—O téj porze już wiedzą w Maroko, żeśmy tu przybyli, bo tylko 60 szelilak jest ztąd do Maroko (to jest mil geograficznych 22), a murzyn Abur-Naza 70 szelilak zrobi na dobę na swym dzielnym mehari: tak nam ręczył konsul naszego kraju.

Murzyn Abur-Naza był to goniec konsulatu angielskiego, wierny, wyprobowanéj uczciwości i odwagi, a jego mehari, dromedar puszczy, słynął z szybkości swych nóg i z wytrzymałości.

Basza okropnie wywracał oczyma. Poznał, żeśmy mu niebardzo wierzyli, co też było prawdą, bo basza Mogadoru siedział ciągle na dwóch stołkach i w gruncie serca wielkim był nieprzyjacielem chrześcian.

Basza tłumił w sobie gniew, którego nie był przywykł hamować, długo milczał, aż nareszcie rzekł:

— Oh *enzari!* pioruny mego gniewu doścignę i najlotniejszego mehari. Abur-Naza nie powinien był oddalać się z tego miejsca bez méj wiedzy, bez spytania się przynajmniéj, czy nie mam raportów jakich lub pytań przesłać do stolicy. Chwile Abur-Naza są policzone od téj minuty; oh wierzajcie mi *Emaza!*

— Abur-Naza jest sługą konsulatu angielskiego i jego życie pozostaje pod opieką wielkiéj królowéj, która rządzi potężną Anglią—odpowie Al-Hamilt-Bey.

— Każdy potomek proroka jest panem życia wiernego Mahometanina. Abur Naza jest Mahometanem, a ja jestem szeryfem; czy nie widzisz tego, o niewierny? patrz na mój turban, na haik i na dżellab!

Prawda: turban, płaszcz i spodnie baszy zielone były jak sałata.

Teraz znowu Al-Hamilt-Bey zamilkł i myślał co ma odpowiedzieć, bo był zaambarasowanym. A może też tylko zwyczajem wschodnim udawał, że go zakłopocita mądrość odpowiedzi baszy. Maur tak jest dumnym z obszerności swego rozumu, jak dandy warszawski z swych ciasnych butów, i niekiedy warto pochlebić zarozumiałości Maura.

Jeszcze się doktor H. namyślał nad odpowiedzią, gdy nagle uderzono w bębny, zatrąbiono w trąby i zaświszczono w pikoliny. Jawi się w sali audyencyonalnéj niezapowiedziany niczém kapitan Trydentu na czele świetnego sztabu, złożonego z oficerów marynarki, piechoty i artyleryi, a nawet kilku oficerów kawaleryi morskiéj; wita się z baszą bardzo ceremonialnie, i przystępując prosto do kwestyi, zapowiada, że chce korzystać z eskorty po doktorów angielskich wysłanéj, i przesłać do Maroko jeszcze tego wieczora upominki ofiarowane cesarzowiczowi przez księcia Al-

berta małżonka królowéj; że obliczywszy doskonale ciężar pakunku i znając drogę do Maroko nierówną, poprzerzynaną puszczami, piaszczystemi rzekami bez mostów, łańcuchami gór, częścią i bagnami, potrzebuje do przewiezienia podarunków 200 wielbłądów, 60 mułów, 40 koni zdatnych pod kawalerzystów, i 10 zdatnych podoficerów kawaleryi.

Basza oczy wytrzeszczył i o mało co się nie przewrócił do góry nogami, słysząc wyliczenie tego inwentarza; nareszcie krzyknął łapiąc się za głowę:

— Allah! bismillah! maszallah! cóżto wieziecie temu synowi cesarskiemu? to chyba skarby całéj Anglii! Wielki, Wszechmocny Boże!

— Wieziemy mu całą bateryę artyleryi konnéj, mały statek parowy wojenny, w którym będzie mógł przewozić się po jeziorach i kanałach swego seraju, przytém dwanaście pontonów i inne podobne bagatele — odpowie zimno kapitan Bowley.

— To nie bagatele! Allah! bismillah! I dziś jeszcze w podróż wyprawiać się chcecie? Ja ani za tydzień tyle sztuk bydła spędzić nie jestem w stanie. We wszystkich duarach paszaliku mego szukać ich muszę, i przynajmniéj ze dwa bataliony wojska wyprawić po nie. Allah! bismillah! wy sami ledwo za tydzień na ląd przenieść zdołacie tyle i tak ciężkiego przyrządu.

— Za godzinę wszystko będzie na brzegu, za trzy godziny wszystko być musi u punktu zboru, a dziś wieczorem jeszcze przed pacierzem zachodnim wyruszyć winna karawana ku stolicy. Taka jest wola moja: uwiadomiłem o niéj cesarzewicza przez gońca konsulatu, murzyna Abur-Nazę. W téj chwili książę wygląda nas z niecierpliwością. Daj własne twe bydło, o potężny baszo! wiem, że go masz podostatkiem.

— Ah ja nieszczęsny! cesarzewicz zabierze me bydło wraz z podarunkami. Ach! ach! Abur-Naza, twa głowa wisi na nitce pajęczyny; chciałbym ją już widzieć u nóg moich!

Basza żalił się, narzekał, płakał, i łzy ronił, i groził, ale stosować się musiał do rozporządzeń kapitana Bowley, który zimno objawiwszy swe żądania, wyniósł się bez wszelkiéj ceremonii i wyładować kazał działa, pontony i statek parowy, rozebrany i upakowany już w Londynie w sposób

taki, że za pomocą wozów umyślnie na ten cel zbudowanych, można go było zawieźć i na koniec świata.

Jakże tu nie wielbić narodu, dokazującego tak wielkich rzeczy z tak małém na pozór wysileniem! Do téj chwili nawet nie wiedzieliśmy, z czém i po co przybył Trydent do Mogadoru.

— Jakoś się nie zgadało o tém—rzekł do nas kapitan Bowley, gdyśmy go pytali, czemu nas nie obznajmił z celem swéj podróży.—Nie miałem powodu taić się z tém, co zapewne już całéj Anglii, dzięki gazetom, wiadomo.

Basza tymczasem rozesłał wszystkich swych oficerów i spahisów po okolicy i kazał gwałtem spędzać bydło. Sam, chociaż stary i słabowity, wsiadł na koń, i latał jak oparzony po wszystkich kątach. Kawalerzyści angielscy mający eskortować działa probowali koni, i odrzucali wszystkie mniéj dobre. Oficerowie angielscy i marynarze udający się do Maroko, wybrali sobie bez wielkiéj ceremonii najlepsze konie ze stajni samego baszy. Wszystko szło jaknajlepiéj, tylko basza klął i rozpaczał.

Wieczorem jeszcze, dwie godziny przed zachodem słońca, cała karawana stała w pogotowiu. Mnóstwo się do niéj przyłączyło Maurów i Arabów. Tak liczną i z tak różnorodnych żywiołów złożoną niełatwo można kiedy ujrzeć. Wysłano po nas z Maroko cały pluton owéj sławnéj kawaleryi z samych murzynów złożonéj, któréj cesarz marokański posiadał niegdyś przeszło 12,000, a dziś jeszcze do 6,000 utrzymuje. Pyszny, rosły lud, wybornie wyćwiczony, świetnie ubrany i w nadzwyczajnie kosztowną broń opatrzony. Na głowie noszą owe małe mameluckie hełmy z kolcem na czubie, otoczone czystym, białym zawojem. Z hełmu spada siatka stalowa na barki. Piersi także pokryte siatką stalową, wykrojoną w kształcie puklerza, i złotemi ozdobami przystrojoną. Haiki noszą purpurowe lub żółte, takież dziabadory; mają włócznie krótsze od ułańskich lanc, ale z grotem stalowym na pięć ćwierci łokcia długim, obosiecznym, i tak czysto wypolerowanym, że swym blaskiem już przebija oko; przytém długie strzelby z kolbami dziwnego kształtu, złotem, koralami i perłami wysadzanemi, szaszki podobne do długich noży, puginały i pistolety. Oficerowie noszą także włócznie buńczukami ozdobione, i tak bogato kamieniami, dyamen-

tami nawet wysadzane, że w rzęsistém świetle słońca wyglądają jak gorejące miecze archanioła. Pomiędzy oficerami nie masz ani jednego murzyna, tak jak pomiędzy żołnierzami i podoficerami nie znajdziesz ani jednego Maura. Właśnie na téj arystokratycznéj różnicy rasy opiera się surowość subordynacyi, istniejącéj w tym kosztownym, ale nadzwyczaj świetnym i walecznym korpusie.

Wszystkie konie, różnéj wprawdzie maści, pokryte ozdobami i złoconemi blachami, przechodzą szesnastą miarę i są z krwi czysto-arabskiéj.

Miernie taksując wartość ubioru, broni i konia prostego kawalerzysty murzyńskiego przechodzi 10,000 zł. pol., oficera zaś dochodzi do 50,000; a tak wartość sześciu tysięcy kawalerzystów wynosi przeszło sto milionów złp. Nie liczę w to wartości życia ludzi samych. W bitwie pod Isly znajdowało się tylko 800 tych kawalerzystów; ani jeden nie wpadł żywcem w ręce Francuzów, ubito ich jednakże do dwustu; tylko 50 trupów zostało na placu boju, resztę unieśli sami murzyni.

Pomiędzy murzynami najpiękniejsi są z Numidyi, najwaleczniejsi z Senegalu, a najoświeceńsi z Sudanu. Oficerowie wychowują się w osobnym korpusie kadetów w Mequinez, pod okiem samego cesarza. Najwyższa i zarazem najbogatsza szlachta ma jedynie przystęp do téj szkoły, z któréj tylko wyborowi uczniowie, celujący pięknością i zręcznością, dostają się do pułków murzyńskich. Examen bardzo jest trudnym: kawalerzysta musi w pędzie i w naznaczonym dystansie z konia strzelać, włócznią i puginałem ciskać, i sześć na dziesięć razy trafiać; inaczéj uważanym jest za niezdolnego do służby w gwardyi murzyńskiéj.

Dość tu o téj pysznéj kawaleryi; prócz niéj mieliśmy do 40 spahisów, dziesięciu oficerów gwardyi i spahisów, ze czterdziestu innych zbrojnych Maurów, i czterdziestu artylerzystów konnych angielskich (kapitan sprawił im pyszne białe haiki i zawoje około kaszkietów, by ich zabezpieczyć od zabójczych promieni słonecznych). Wielbłądów i dromedarów było ze wszystkiem 263, mułów 85, osłów żydowskich 17, koni 102, palankinów 11, ludzi 247, nie licząc w to kobiety i dzieci siedzące w czterech lektykach zamkniętych; słowem, podobnéj karawany

dawno nie widziano w Mogadorze, i cała jego ludność zbiegła się na punkt zborny, aby być świadkami naszego odjazdu: był i basza o trzech buńczukach, i kapudan basza o dwóch, i bimbasza o jednym, kadowie, ulemy, santony, fakiry i imany.

Kapitan Bowley powierzył swemu pierwszemu porucznikowi list księcia Alberta do cesarzewicza, i jemu oddał dowództwo nad Anglikami należącemi do wyprawy. Działa zagrzmiały, siadamy na koń, jeszcze raz ściskamy ręce przyjacioł. Muzyka janczarska na czele długiego hufcu zagrała; ruszamy z miejsca, wstępujemy w morze piasczyste oddzielające Mogador od dalekiego, kwiecistego widokręgu.

— *The Trident will watch on you!*— krzyknął nam jeszcze raz kapitan Bowley.

# ROZDZIAŁ X.

MAŁA SAHARA.— ALI HAKEM, POSTRACH LWÓW.— DOLINA.— BU-MALEKIM.—HADŻI.—DZIK I LEW.— LWICA.— RUINY.— NAMIOTÓW KORZYŚCI.— FONDAK.— NIEWOLNICY.—ABUR-NAZA.— MIASTECZKA.

Mogador otoczony jest prawdziwą Saharą w miniaturze, morzem piaszczystém, na którém rozkiełznane wiatry i uragany igrają swobodnie, przewalają tumanami mielutkiego piasku, i wznoszą wysokie pagórki, częstokroć nawet formalne wały, przecinające podróżnym wszelką komunikacyę. Najczęściéj cała powierzchnia téj małéj puszczy wzburzoną jest jakby od bałwanów morskich, czasem powstają na niéj w kilka godzin pagórki na 20, nawet na 30 stóp wysokie; nigdy wprawdzie tak prędko nie powstają te góry, żeby karawany całe pochłonąć mogły, lecz nieraz powalą o ziemię człowieka i zakopią go pod sobą. Wirem porwane prochy jednego pagórka, kręcą się przez czas niejaki w powietrzu, a potém własnym ciężarem padają na ziemię i tworzą nowy pagórek. Dobrze wówczas należy zatykać usta i oczy, i trzymać się mocno na koniu, łatwo bowiem w takiéj chwili oślepnąć i upaść na ziemię. Łatwo także stracić drogę pomiędzy usypanemi pagórkami, przegradzającemi widokrąg, i tak często zmieniającemi się, że widać tylko niebo i piasek, a żadnego śladu kopyt końskich lub nóg wielbłądzich odkryć nie można na powierzchni, na któréj wir i wiatr w okamgnieniu wszelki ślad zaciera. Peryodycznie wiejące wiatry nasypują tu nieraz wał do 70 stóp wysoki, utrzymujący się stromo i spadzisto samym przyciskiem wiatru ciągle wiejącego. Szczególna i zastanawiająca rzecz, że mały strumyk, wpadający pod Mogado-

rem do morza, chłodząc i zgęszczając powietrze swemi wodami, nie pozwoli tym wałom przekraczać jego brzegów, i zachowuje tym sposobem miasto od zasypania.

Można sobie tedy wystawić, z jakiemi trudnościami mieliśmy do walczenia, przebywając Saharę mogadorską, choć umyślnie wybraliśmy na jéj przekroczenie wieczór, to jest porę dnia, w któréj wiatr wieje regularnie od strony morza, i gładzi powierzchnię piaszczystą. Największa była bieda z wozami, na których wieziono niektóre większe części maszyny parowéj, nie mogące być przewiezione na grzbiecie wielbłądów. Koła tych wozów umyślnie były obwiedzione szerokiemi tarcicami, żeby się głęboko wpijać nie mogły w piasek. Używać wielbłądów do tych wozów nie można, ten bowiem zwierz, do dźwigania przeznaczony, nie potrafi nic wlec za sobą; zaprządz go także nie można, bo nie ma u niego punktu oporu dla chomonta, dla szlej lub puślisk. Zaprzężono tedy po 16 mułów do wozów, i z nieskończoną trudnością postępując bardzo wolno, używając do każdego koła po kilku ludzi, dla odgarniania piasku wznoszonego kołami, tyle dokazano przecież, że w trzy godziny przebyliśmy niewygodną puszczę, mającą w tém miejscu najwięcéj milę szerokości. Uszedłszy jeszcze z półtoréj mili po gruncie dość równym, zawinęliśmy około jedenastéj w nocy przy świetle pięknego księżyca do *fondaku*, czyli obronnego karawan-seraju, który tutaj wznosi się w pośród lasku arganowego. Kolczaste to i bardzo nieregularnie rosnące drzewo, wydaje owoc podobny do orzecha włoskiego z łupiną cierpką i ściągającą; w środku téj łupiny znajduje się pestka bardzo twarda, zawierająca migdał oliwny, a oliwa z niéj wyciśnięta smaczniejszą jest od najlepszego masła. Kozy jedzą łupinę z wielką chciwością, ale wypluwają migdał; posługują się tedy Maurowie kozami, gdy zbierają migdał arganowy.

Przepędziliśmy noc bardzo europejską w owym fondaku, jedząc z oficerami angielskiemi wyborny *bif-steak* bawoli z kartoflami Wielkiéj Brytanii, pijąc *sherry* i grok z rumem Jamajki; nie brakło nawet plumpudingu, ani pasztetu z łodyg rumbarbarowych. Stół podróżny, składany, pokryty bieluteńkim obrusem, założony srebrami, oświecony lampami, nie drgającemi w żadnym wietrzyku; dalibóg nic

tu nie przypominało Afryki pod naszym namiotem, na którym bujała flaga Anglii.

Ale za to wreszcie karawany jakie charakterystyczne życie. Niedaleko od nas rozpięto namiot panów oficerów gwardyi murzyńskiéj: było ich trzech, z nikim się nie mieszali, dbali o swą godność. Daléj koczowali około wspólnego ogniska i pod gołém niebem, otuleni w pstre burnusy oficerowie spahisów, dowódzca janczarów, kapudan obozu i przedniejsi Maurowie, podróżujący z nami, i kilku santuronów, włóczących się bez celu od miejsca do miejsca. Rozmowa toczyła się żwawo pomiędzy nimi. Wielkie oczy, bystre, chociaż i długiemi rzęsami zaciemnione, twarze świecące jak bronz polerowany z pod czepca białości śniegu, zęby jak perły, broń drogiemi kamieniami osadzona:— wszystko połyskało w migającém świetle pryskającego ognia. Pogadanka szła żwawo, chociaż razem dwóch nigdy nie rozmawiało ludzi: jeden prawił, drudzy oczy weń wlepili, uszy nadstawiali i wołali: *allah! maszallah!* oh jakie dziwy!

Właśnie mówi Ali-Hakem, wielki łowczy, sławny z swych wypraw przeciwko lwom Atlasu. W Tegedu, o trzy mile ztąd, ma on namiot cały ze skór lwich uszyty; sto piętnaście paszczy lwich wieńczy ten namiot sławnego szeika, nieustraszonego w boju, i na łowach nieustraszonego, a mądrego w radzie.

—Tak, tak, oh przyjaciele!—mówi szeik Ali-Hakem—rozmawiają i zwierzęta pomiędzy sobą, tylko głosem nie dla wszystkich zrozumiałym: bo któż posiada rozum wszystkich języków, któremi się myśli wyjawia? tylko sam Allah!

Tylko sam Allah— odpowiedzieli słuchacze—oh Allah, bismillah!

—Tak tedy w dniach méj młodości—rzecze daléj szeik Ali-Hakem—wówczas, gdy się wąs czarny i błyszczący kędzierzawił, tu, gdzie teraz widzicie mą brodę śnieżną jak głowa Atlasu, wówczas rzadko przepędziłem noc całą pod dachem mego ojca. Pomrok nocny wywoływał mnie z pod namiotu, porywałem za strzelbę, i w gąszczu zaczajałem się na drapieżne zwierzęta, niszczące nasze stada. Raz obrałem stanowisko na skale zarosłéj krzewami, górującemi nad źródłem i nad bagnem. Miejsce to chętnie odwiedzały dziki, by tam myszkować i pić w krynicy. Księżyc już

był obiegł połowę firmamentu, ja długo czekałem napróżno, i znudzony zasnąłem. Wtém budzi mię szelest chrustu i łamanie gałęzi. Zapewne zwierz jaki duży nadchodzi, rzekłem do siebie, i zamek méj strzelby zrewidowałem, i wstałem ostrożnie, nim jeszcze *nieznajomy* wszedł do bagna. Potém słucham: krząka coś okropnie. Aha, to *el kuniar!* to odyniec, rzekłem do siebie. Istotnie, krokiem majestatycznym wstępuje w bagno dzik okropny. Księżyc srebrzył sierść jego długą, osiwiałą z starości i jego kły potężne, lśniące jak ostrze dwóch kindżałów. Chodźno tu bliżéj do kryjicy, mówię do siebie, i cichaczem strzelbę odwiódłem.

Ale dzik ostrzy swe kły na kamieniu, zaczyna myszkować, słuchy nadstawia, jakoś niespokojny; czy przeczuwa bliskość wroga? Ja dech w sobie wstrzymuję, on wyciąga ryj w powietrze, wącha i milczy także. Mnie to dziwi nie mało, bo powiew szedł z tamtéj strony; mnie tu czuć nie mógł *el-kuniar*. Ale szmer jakiś lekki dochodzi mnie z brzegów błota. Odyniec coraz niespokojniejszy, mówi do siebie przytłumionym głosem, ale najwyraźniéj jak tylko być może: »do czarta! spodziewam się przecież, że tu zdrady nie ma!«

— Maszallah! oh dziwy!— zawołali naokoło ogniska wszyscy słuchacze szeika Ali-Hakem.

— Tak!—prawi daléj Ali—nawet powtórzył swą bezbożną mowę dwa, czy trzy razy *el-kuniar*. Aż tu patrzę, a z gąszczu wyziera łeb okropny, kosmaty, dwa węgle iskrzą się w tym łbie, naczupurzonym ogromną grzywą. Oh! teraz poznałem o co idzie: to lew skradający się na brzuchu, zupełnie kocim obyczajem, ale tak prędko, jak koń w biegu. Mruczał sobie coś pod nosem, alem go zrozumieć nie mógł. Już tylko o dwadzieścia kroków od odyńca odległy. Odyniec najeży się jak jeż, ja sam drżę ze strachu.

Odyniec osadza się na tylnych łapach, lew wpada nań jednym susem, wpada na kły potężne. Okropny ryk, razy spadają gęsto na obu walczących, obaj padają na ziemię, walka zacięta trwa z ćwierć godziny, potém z wielkiém dla mnie zadziwieniem dzik powstaje, wściekle uderza na swego nieprzyjaciela i rozwala mu czaszkę. Ryczy lew, odpowiada mu zdala tysiąc szakalów. Odyniec topi swe kły

w brzuchu płowego sułtana: sułtan zdycha. Odyniec pastwi się nad jego trupem i sam głosi swe zwycięztwo, mówiąc: »Ah sułtanie! z starym kuniarem nie łatwa sprawa. Nareszcie poszedł się obmyć w kryniey, bo i on z licznych ran tracił posokę. Teraz mogłem do niego zbliska strzelać. Ale myślę sobie: czemuż go mam zabijać, kiedy on tak waleczny? sam na swą rękę lwa zwalczył i jego mi skórę zostawił. Może to czarownik, *dżin* jaki—trzeba go szanować. I kładę strzelbę na ziemi, czekam, żeby sobie dzik odszedł. On się kąpie i ciągle z sobą gaworzy. Znów dochodzi szelest jakiś lekki a szybki, łamią się gałęzie, wypada z krzaków lwica z głową wysmukłą i postrzegła lwa zdechłego, rozciągniętego na ziemi.

»Co? znów zdrada jakaś«—wykrzyknie odyniec.

A lwica struchlała, zmartwiona, mówi ze łzami w oczach: »Oh Allah wielki! Wieprz niewierny, nazareńczyk, męża zabił mi mego; wieprz zabił sułtana puszczy. Oh Allah! ja się téj zbrodni pomszczę.« To powiedziawszy lwica, posuwa się naprzód, ale spojrzawszy w oczy odyńca, cofa się nieboraczka krzycząc i płacząc: »Oh miłosierny Boże, jakie olbrzymie dziczysko! oh przebrzydły wieprzu nazareński!«

»Oby czarci wiecznie piekli twą babkę!« odpowie odyniec.

Na to przekleństwo rzucone tak bezbożnie na matkę jéj matki, lwica się zatrzymuje, bije swe boki ogonem, ryczy i wrzeszczy. »Allah mi da zwycięztwo!« i wpada na dzika, rwie go swą paszczą za gardło, pazurami brzuch mu pruje. Dzik się odcina, ale któż opisać zdoła wściekłość gniewu obrażonéj sułtanki? Obłok zaciemnia mi księżyc, nic już nie widzę, tylko słyszę jęki, ryk i najokropniejsze przekleństwa. Znów nic nie słychać, księżyc wychodzi z za chmury. Dzik nie żywy, rozciągnięty, na nim leży lwica i posokę mu wypija z serca. Ja mierzę o siedm kroków do łba, zatopionego po za oczy w piersiach dzika, strzelam,— legła sułtanka płowa. Nazajutrz dwie nowe pyszne skóry zdobiły namiot mego ojca.

— Wiele wam też zjedzą lwy bydła?— spytam starego szeika.

— W naszych stronach nie wiele, bo umiemy trzymać owych sułtanów w posłuszeństwie i w poszanowaniu cudzéj własności. Czasem lew zje owcę, czasem porwie cie-

laka, nawet i krowę, gdy się oddali od stada. Lecz gdy się bydło trzyma kupy, wówczas i lew nie śmie doń dostąpić. Podczas nocy krowy obstępują cielęta w około, a byki na zewnętrznym obwodzie pilnują porządku, i gdy lwa zoczą lub zwąchają, zaczynają ryczeć i kopać ziemię rogami i kopytami. Gdy się zaś przybliży, wówczas całe stado nie czekając zaczepki puszcza się obces na lwa. Nieraz się zdarzy, że dobry stadnik powali lwa na ziemię i przebije go rogiem. Sułtan tedy widząc taką taktykę pomiędzy swojskiém bydłem, woli polować na gazelle, sarny, daniele i młode dziki, bo ze starym dzikiem to już trudniejsza sprawa.

— A człowieka czy napastują lwy często?

— Człowieka nacierającego lub uciekającego napastują i rozszarpią. Ale człowiek, gdy lwa spotka, nie powinien być ani junakiem, ani tchórzem, tylko iść swoją drogą, jak gdyby nigdy nic, i nie oglądać się na lwa; wówczas płowy sułtan widząc, że go się nie boisz, i że go obrażać nie chcesz, napatrzywszy ci się do woli, pójdzie także swoją drogą. Lew jest szlachetném zwierzęciem.

— Które też zwierzę najgadatliwsze? — spyta jakiś kupczyk chrześciański z Mogadoru starego szeika Ali-Hakem z Tegedu.

— Prosię dzikie, swojskie, i nazareńczyk— odpowie wręcz stary szeik, nie wiem czy w chęci obrażenia nas, należał bowiem do rzędu fanatycznych muzułmanów, nie przypuszczających, żeby nazareńczyk był czém inném, jak zwierzęciem.

Jeszcze na dobrą godzinę przed wschodem słońca ruszyliśmy w dalszą podróż. Droga dość szeroka i w dawnych czasach widać bardzo porządnie utrzymywana, murowana jeszcze przez Roumów, jak tu utrzymują, prowadziła po wzgórzach i dolinach na podnóże Atlasu, który z téj strony lekkiemi tylko spadzistościami powoli wstępuje w mogadorską Saharę.

Ziemia wszędzie tu dobrze uprawna, pomimo tego wiele było ruin, mało wsi; częściéj daleko duary ruchome, czyli obozy postawione w kształcie półksiężyca, łączącego się prawie zbliżonemi ku sobie rogami, lub też ustawione w dwa szeregi, pomiędzy które wpędzano nocną porą bydło i których boki zastawiano barycrami. W każdym bez wyjątku

duarze był dom gościnny przeznaczony dla podróżnych, w którym także można dostać drobiu, jaj, nabiału, jęczmienia i słomy kukurydzowej i to za bezcen. Szeik duaru winien strzedz własności podróżnych nietylko w duarze, ale nawet na gruntach do niego należących: on za tę własność jest odpowiedzialny. Kilkunastu szeików zostają znów pod władzą tak nazwanych wyższych szeików, wybieranych przez samych wójtów. Ci sprawują swój urząd z wielką sprężystością; witali nas zawsze przy wstępie do ich okręgu.

Przedtém okolica ta miała być nadzwyczaj ludną; wielka ilość zwalisk murowanych, studni, dróg i ułamków o tém przeświadcza. »Zaraza nas wytępiła,« mówili szeikowie spytani przez nas o przyczynę tego wyludnienia.

— Ale czemuż mieszkacie w namiotach, kiedy wyraźnie wprzódy mieszkać musieliście w chatach? tak okazuje wielka ilość chatek murowanych i opuszczonych.

— Łatwiéj obóz unieść z sobą, jak dom murowany lub drewnianą chatkę, a nieraz, gdy nam baszę przyślą zdzierczę, chciwosza, chcącego się zbogacić, lepiej jest pójść w góry i lasy, i tam złe czasy przeczekać.

— A grunta wasze któż wtenczas uprawia?

— Nikt; grunta leżą odłogiem, my się żywimy jak możemy mlekiem krów i owiec, owocami leśnemi, zwierzyną; cierpimy, ale podatku nie płacim. Skarb na tém szkoduje, i sułtan, który wie bardzo dobrze, ile pieniędzy wpłynąć winno do jego skarbcu, pyta się, gdzie leży przyczyna? a gdy się dowie, żeśmy uciekli w góry, wówczas dobry sułtan pośle swych *szaiszów* do baszy i każe mu gardło zasznurować. My wtenczas zstępujemy z gór i podatek znów płacimy najregularniéj; wolimy bowiem żyć spokojnie z mąki i z kuskusu, przebiegać konno nasze piękne niwy, jak kryć się w górach, ucierać się z dzikiemi zwierzętami i ze stokroć dzikszemi Berberami.

Tak rozumowali wieśniacy arabscy; lud to bardzo łagodny, pracowity i prawdziwie ze wszech względów wielkiego szacunku godny.

Kraj przybiera postać coraz powabniejszą. Piękne rzeki, czyste i rybne zbiegają z gór; roślinność ziemi zachwyca oko, ruiny tylko myśl zasmucają. Czemuż ani jednostajnie, ani ciągle na téj saméj cząstce ziemi rozwijać się nie może cywilizacya?

Tutaj są dowody, że niegdyś, w bardzo dawnych czasach, była oświata, a śladów téj dawnéj oświaty pozostałych w umyśle ludzi, żadnych.

Około dziesiątéj przed południem, w odległości sześciu mil od Mogadoru, stoimy w fondaku bardzo obszernym i gdzie wszystko na nasze przyjęcie było przygotowane. Niezliczone mnóstwo Arabów z duarów okolicznych czekało nas tutaj, wielu także przyprowadzono i przywieziono chorych. Nikt pojąć nie jest w stanie, ile w tym kraju chory, biedny i cierpiący wzbudza litości w zdrowych, bogatych i szczęśliwych. Czynności nasze lekarskie trwały godzin kilka. Musieliśmy rozpakować wszystkie lekarstwa i narzędzia chirurgiczne w osobnym na to przez Arabów wzniesionym namiocie, wykonać kilka operacyj, rozdać niezliczone mnóstwo lekarstw. A gdyśmy ukończyli czynności i posilili się wyborném mlekiem, bo apetyt nasz znikł w zbytniém znużeniu, wyruszyliśmy z fondaku jeszcze przy skwarze słońca, i strudzeni, śpiący, pierwszy raz w téj podróży szukaliśmy w palankinach spoczynku. Wstręt miałem dotychczas niezwalczony do tego palankina; zdawało mi się, że człowiek nie na to przeznaczony, żeby bliźniego swego dźwigał jak bydlę; ale nasi niewolnicy nie zrozumieli przyczyn tego wstrętu; markotno im było nawet, żeśmy się nimi posługiwać nie chcieli; i aby nas przekonać, że się nie lękają pracy i że są mocnemi, kładli kamienie do palankinów i dźwigali je po dniach całych. By lepiéj okazać gotowość służenia nam, przezwali te kamienie: jeden Al-Hamilt-Bej, drugi Teodor Efendy. Chcąc położyć koniec temu bałwochwalstwu, kazaliśmy wyrzucić głazy i sami zajęliśmy ich miejsce. Niebawem także zasnąłem, lekko kołysany na barkach biednych fellahów, dodających sobie ochoty odśpiewywaniem jakiegoś monotonnego, smętnego hymnu, jakiéjś widać pochwalnéj improwizacyi, bo często nasze nazwiska z epitetami nader pochlebnemi wspominane były w tych hymnach. Zasnąłem, przyznać muszę bardzo twardo, bo gdyśmy w fondaku nocnym stanęli, słońce już było zapadło za górę, którą wsiadając do lektyki widziałem piętrzącą się przed sobą.

Anglicy tu rozpakowali swą kuźnię podróżną i naprawiali wozy nadwerężone prędką podróżą po skalistych drogach. Każdy Anglik pracował za sześciu, nic jego oka

nie uszło; podczas drogi kombinowali, wymyślali nowe wydoskonalenia, ścinali drzewa, przeistaczali je w koła mocne i trwałe i kuli te koła, mocniejsze pnie wydrążali, w nie pakowali lufy armat i wlekli je za sobą w miejscach, przez które inaczéj przeprowadzić ich nie było można.

Ale powoli ucisza się wszystko, już bifsztyki i plumpuddingi zjedzone; Anglicy, należycie zalkoholizowani winem i grokiem, chrapią jak wieloryby. Maurowie patrzą na nich ze wzgardą i rozprawiają o bojach, łowach, koniach i huryskach. Wtém zdaleka dochodzi nas ciche, szybkie stąpanie dromedara. To kłus mehara puszczy— krzyknie jakiś Maur—to goniec konsulatu angielskiego.

Istotnie to był Murzyn Abur-Naza, już z powrotem z Maroko. W 52 godzin zrobił mil 33 i bawił w mieście 14. List wręczył samemu królewiczowi i dostał od niego 60 cekinów nagrody: tak był uradowanym książę z wiadomości otrzymanych. Nie posiadał się z radości dobry murzyn, i jego szczęścia przytłumić nie zdołały nowiny o gniewie baszy, o jego pogróżkach.

— Nie obawiam się baszy na mym mehari; orzeł się strzelca nie lęka, gdy na swych skrzydłach wysoko buja w powietrzu,—rzekł Abur-Naza.

— Jednakże mój przyjacielu, jednakże — powie Al-Hamilt-Bej—basza ma długie ręce i mściwym jest bardzo.

— Nie sięgnie po mnie aż do konsulatu angielskiego, to pewna!—odpowie goniec—a zresztą, jeśli się spostrzegę, że coś źle pachnie, wówczas zabieram wszystkie me cekiny, a mam ich blisko 800, i umykam do Gambii, do méj ojczyzny, kazać się obwołać kacykiem, bom z kacyków rodu, i szlachetność wre w méj krwi.

— Przez puszczę Sahary?

— Przez puszczę. Ja się i puszczy nie obawiam: trzy razy ją przebyłem. Raz, gdy do niewoli pojmany przez króla Senegalu, poprowadzony byłem do Maroko i tam do wojska sprzedany; drugi raz, gdym wykupiony z niewoli przez konsula angielskiego w Mogadorze, poszedł nad Senegal zdobyć tego mehari szybkiego jak piorun; trzeci raz, gdym zdobywszy dromedara, wracał do Mogadoru. Teraz wiem, jak trzeba postępować z przeszkodami i piasków, i głodu, i pragnienia, i w połowie księżyca przebiegnę ztąd aż na brzegi Złotéj rzeki.

— O! naucz mię, jak przebiedz przez puszczę w dni piętnaście—prosił Al-Hamilt-Bey.

— Nie mogę. Nikt prócz mnie nie ma takiego mehari, bieżącego równo z wiatrem północno-wschodnim, gładzącego w zimie powierzchnię piasków Sahary, zwilżonych deszczem; nikt prócz mnie nie usiedzi tak długo na dromedarze pędzącym jak uragan. A potém wy do tych krajów nie tęsknicie, wy za węchem rodzinnego powietrza nie umiecie kierować kroków waszych, i przeczuć oazy i źródła, bo tam nie masz słupów milowych, ani też języka ludzkiego; i gwiazdy są zwodnicze, o 15 mil daléj lub bliżéj poprowadzić, to im wszystko jedno, a dzień gdy wpuszczy stracony, to i życie stracone.

Tak utrzymywał murzyn Abur-Naza; i wszyscy Arabowie, Maury, i murzyni przyznawali, że ma racyę, że ziemia rodzinna i woda i powietrze pachną, i swym zapachem przyciągają bardzo.

Tak silne czują przywiązanie dzieci natury do swéj ojczyzny.

— Słuchaj Abur-Naza, a gdy do kraju wrócisz i zostaniesz królem?—spyta porucznik Trydentu mówiący po arabsku.

— Wówczas wyślę deputacyę do waszéj królowéj, i ofiaruję jéj mą rękę i me królestwo, w nagrodę za dawaną mi podczas lat kilku protekcyę — odpowie Abur-Naza z największą spokojnością wświecie. On tak był pewnym, że królowa angielska z wdzięcznością jego ofiarę przyjmie, jak był pewnym swego mehari i swych ośmiuset cekinów. Ale wszyscy Anglicy oburzyli się naprawdę, słysząc Abur-Nazę traktującego tak lekko kwestyę małżeństwa królowéj, i zaręczali Abur-Nazie, że królowa Wiktorya bardzo jest szczęśliwą z księciem Albertem, i nie pragnie innego męża, ani nowego królestwa.

I ta druga noc przeszła, wprawdzie, nie tak wygodnie jak poprzedzająca, bo bliskość gór pokrytych śniegiem wiecznym dawała nam się we znaki przejmującém zimnem.

Ruszamy teraz już po wschodzie słońca, do przebycia bowiem drogi, która nas czekała, potrzeba było jasnego światła. Droga wije się po nad przepaściami, między lasami, po grzbiecie skalistym gór.

Stajemy nad brzegiem rwącego, wartkiego strumienia. Na drugim brzegu bardzo wyniesionym i skalistym znajdowały się dwa miasteczka murowane i murem otoczone; mnóstwo także tam było ogrodzeń pomniejszych, częścią walących się, częścią jeszcze dobrze utrzymywanych. Wszystkie domy miały płaskie dachy. Wiele małych ogródków rozsianych było tu i owdzie na spadzistości; rosła w nich kapusta, groch i pszenica turecka. W pewnéj odległości od tych dwóch miasteczek, zwanych Aba-Zebir i Igdua, wznosiło się ze dwadzieścia kapliczek czworograniastych, zmałemi kopułami, czysto obielonych, i na 10 do 15 stóp kwadratowych objętości mających. Byłyto domki santuronów, miasteczka te bowiem obfitowały w świętych umarłych i jeszcze żyjących. Cała dolina mogła mieć milę długości i dobre pół mili szerokości. Podczas deszczów i po stopnieniu śniegów, cała ta dolina, zamknięta pomiędzy wysokiemi murami, a mało mająca spływu, zatopianą jest przez wodę, któréj głębokość nieraz dochodzi w niektórych miejscach do 60 stóp. W téj chwili odbywały się żniwa; pasła się wielka ilość bydła, i mnóstwo ludu zatrudnionego było na polu. Rozległe te łany, okryte kukurydzą, jęczmieniem, miały niegdyś ćwierć mili długości; ogrody napełnione pięknemi włoszczyznami, pełno wszędzie drzew figowych, daktylów, granatów, pomarańcz, wina i innych drzew owocowych. Żyło w tym miłym zakątku do 7,000 ludności. Powietrze musi być tu bardzo zdrowe, choroby bowiem epidemiczne, nawiedzające tak często państwo marokańskie, rzadko tu dochodziły i niewiele porywały ofiar. Dwa te miasteczka są jedynemi ludniejszemi miejscami z Mogadoru do Maroko. Daléj od drogi leżą jeszcze dwa miasta. Około dziesiątéj stanęliśmy w fondaku, od którego na ćwierć mili w bok leżą ruiny niegdyś potężnego miasta, zniszczonego temu lat 30 przez Muley-Ismaiła, pretendenta do korony cesarskiéj. Tormenta, któremi zwalono mury, jeszcze leżały pod rozwalinami. Całą ludność wytępiono do nogi, dzieci nawet i starców nie oszczędzano; dwieście tylko dziewic żywcem rozdzielono pomiędzy żołnierzy. Kości z ubitych jeszcze można było rozpoznać w gruzach. Nikt tu już nie mieszka w tém nieszczęsném miejscu.

Wieczorem stajemy w duarze sławnego szeika i marabu Abu-Malekim-Hadzi. Znany ze swéj waleczności, cnoty i fanatyzmu w całym prawie kraju, żył sobie podczas pokoju jak

prawdziwy święty w modłach, pokutach i postach. Żon miał cztery, pięknych jak wiosna; a jednakże, jak niegdyś Edward Wyznawca, żył w ścisłym celibacie ciała i silną wolą pokonywał najdotkliwsze pokusy. Łagodnego jednakże nie był charakteru: karał srogo wszystkie zbrodnie i występki, a najmniejsze winy nie uszły jego bystrego oka.

Bu-Malekim-Hadżi nie wcale nie lubił chrześcian, ani też chrześciańskiéj cywilizacyi, i błagał Boga pięć razy na dzień o sposobność zmierzenia się z niemi. Wojennym był dowódzcą nietylko swego duaru, lecz i trzech innych; przytém kapitanem honorowym gwardyi cesarskiéj i dowodził szwadronem już w czasie boju. Onto pierwszy uderzył na Francuzów w r. 1844., i śmierć znalazł bohaterską w bitwie pod Isly. Miał wówczas około lat 40.

Od duaru potężnych Ben-Malekitów do Maroko odległość wynosi zaledwie mil cztery.

# ROZDZIAŁ XI.

WIDOK ATLASU W WSCHODZĄCÉM SŁOŃCU. — OKOLICE MAROKO.—POWITANIE.—FATANZYA.— MIASTO MAROK.— SERAJ SUŁTANA.—MIESZKANIE NASZE.— CHORZY.— SIMONI.— MOSIEK.— PORUCZNIK WESTMORELAND.—KHASNADAR CESARZEWICZA.—PARADA WOJSKOWA. —DOWÓDCY ARMII. —ARTYLLERYA. —URZĄDZENIA LEKARSKIE.

Trzeci dzień naszéj podróży minął. Droga już wczoraj wieczorem oddaliła się była od gór i ciągnęła się po płaszczyznie. Teraz od jednego razu, jeszcze długo przed wschodem słońca, zoczyliśmy na firmamencie, tuż blisko nad naszemi głowami w stronie południowo-wschodniéj, meteor jakiś, jaśniejący jak zorza północna w purpurowém, skupioném, rażącém świetle; meteor coraz większy, pyszniejszy, aż wzrosł do potężnych rozmiarów niebotycznéj, gorejącéj kuli. To stary Atlas, który dźwiga od tylu tysięcy lat to nasze dobre i łaskawe niebo; to stary Atlas, któremu długo przed swém wejściem opowiada się, melduje słońce, u którego czeka w przedpokoju, nim śmie wstąpić na ziemię!

Złotowłosy Febus szybko wysuwa się z pod widokręgu wschodniego. Tarcza ogromna jak kopuła św. Piotra w Rzymie, pnie się coraz wyżéj, wyżéj, zalewa oceanami purpury śnieżne szczyty Atlasu, złoci fiolet jego podnóży, barwi całe łany urodzajnych pól bałwaniących się na płaszczyznach, a liczne strumienie spadające z rzewnych ócz wiecznego Tytana, przemienia w tumaniące się fale żywego srebra.

Zaprawdę, nie masz na kuli ziemskiéj miejsca bliższego nieba, nie masz przynajmniéj miejsca, któreby w serdeczniejszych z niém było stosunkach; zdaje się, że Atlas sam jeden posiada klucz do téj lazurowéj kopuły, któréj śnieżne firanki dotykają głów jego.

Postępowaliśmy równiną, zatopieni w cudnym, uroczystym widoku. Z każdą minutą nowe odsłaniały się krainy brylantów, szmaragdów i rubinów, nowe wytryskiwały fontanny żywego srebra z boków tego ogromnego Tytana, górującego jak Jowisz w Olimpie wysoko nad wszystkie inne olbrzymy Tellury. On w środku prawie tego długiego pasma sterczy, a wznosi swe śmiałe, błyszczące dyamentem czoło tak wysoko w niebo, że zdaje się równych sobie ani chce uznawać, ani też nawet nie przypuszcza, żeby równi jemu istnieć mogli. On jest panem téj reszty gór i szczytów, bo jest ich ojcem, ich dobrodziejem: z jego boków spadają dobroczynne potoki na resztę krainy, i na resztę tych gór spadają deszcze z wielkich krynic zawieszonych nad głową Tytana, skupionych tu jego staraniem.

O kolice też zaczęły przybierać postać jakąś ucywilizowaną; widać było, że się zbliżamy do stołecznego miasta. Tu i owdzie włości, wsie i miasteczka dobrze zabudowane; minarety w rozliczne chorągiewki strojne, śmieją się do nas tak roskosznie; mnóstwo ludu wychodzi na drogę bez obawy: wszyscy tu już wiedzą, z czém przybywamy, i po co przybywamy.

Tam znów wysokie zwaliska, głazy ogromne w chaotycznym nieładzie napiętrzone, tu szczątki wodociągu oparte o góry, świadczą, że krainie téj niegdyś przyświecało za czasów rzymskich światło cywilizacyi; a gdzieniegdzie kobieta, na któréj źle zakrytéj, bo staréj szyi wypiętnowany znak męki Odkupiciela, dowodzi, że błogi geniusz chrystyanizmu przebywał tu w tych pięknych i godnych lepszego losu krainach. Czemuż na zawsze nie pozostał!... Może dlatego, żeby chrześcian zachęcać do pracy, przeświadczyć ich, że chrześcianizm jest dobrodziejstwem, które nie mieczem, lecz oświatą należy wprowadzać i czynną cnotą uprawiać.

Ale jakiżto hufiec złoty i szkarłatny błyszczy zdaleka w rzęsistém świetle słońca i Atlasu, a suwa się tak prędko, tak bystro po tém szmaragdowém błoniu? Zdaje się, że to zastęp aniołów, który wystąpił razem z promieniami Feba z lazurów niebieskich. Tylko co byli o milę od nas, a teraz są już tylko o staje. Nie, to nie aniołowie, to gwardya murzynów i przyboczne agi. Już są tuż przed nami, strzelają mijając nas, krążąc około nas, sto lub dwieście

razy, na uczczenie nasze wyprawiają *fantazye*, krążą, bujają, krzyczą i strzelają; ale przypatrują się dobrze nam i podarunkom królowéj Wiktoryi, a pomiędzy świetnym hufcem jest sam syn cesarski tylko *in-cognito*, jak przystoi na tak wielkiego pana, gdy koniowi zagląda w zęby.

Porucznika Trydentu przywitano w szczególności. On prosi, aby podarunki Królowéj, oficerów eskorty i lekarzy angielskich mógł przedstawić jutro wieczorem w należytym porządku saméj cesarzewiczowskiéj mości, a tymczasem, by mu w mieście przeznaczyć mieszkanie i stosowne miejsce do złożenia łodzi parowéj, do opatrzenia i umalowania jéj, do umieszczenia pontonów na wodzie, a armat na lawetach. Do jutra musi być skończone dzieło olbrzymie, jakie w innych krajach z innemi ludźmi ledwoby za rok stanęło na nogi. Wszystko ułatwione, na wszystko zezwolono, dano nawet czas do pojutrza rana.

Hufiec szkarłatny prowadzi nas do Maroko i wystrzałami maskuje wszystko co nieładne. Miasto to bardzo rozległe, niegdyś w XII. stuleciu do 700,000 ludności posiadające, dziś ledwo dwunastą jéj część zachowało. Założoném zostało roku 1050., jak mówią, na miejscu rzymskiego *Bocanum Hemerum*. Całe jest otoczone murem na 32 stóp francuzkich wysokim, w okręgu długim na dwie i pięć siódmych mil geograficznych. Na odległość połowy strzału z ręcznéj broni, to jest na 150 kroków, znajdują się w tym murze wieżyczki, na większe zaś przestrzenie wysokie, potężne i działami wieńczone baszty. Ulice są wyludnione, domów bardzo wiele leży w gruzach, place publiczne nagie i ogołocone. Ale wszystkie meczety, a jest ich do 80, w dobrym jeszcze znajdują się stanie; kilka z nich bardzo pięknych: główny zaś meczet zwany *el Colubia*, w XII. stuleciu wzniesiony, okazałym jest, pięknéj, Alhambrę przypominającéj struktury, i w szczegółach prawdziwie ozdobny, uroczy, a nawet wyszukano-wykwintny.

Główny bazar i karawanseraj miasta, zwany tutaj *kaisarin*, pomieścić może do 10,000 ludzi i 5,000 bydła. Tu się zbierają karawany rozchodzące się w najodleglejsze strony: do Mequinezu, Tangieru, Suzy, Tafiletu, Mogadoru, a nawet owe wielkie karawany, które dwa razy na rok idą do Tombuktu, miasta niedawno znanego światu, otoczonego dotychczas całym urokiem złotéj tajemniczości.

Do właściwego miasta nie weszliśmy wcale, tylko do osobnego na wschód od Maroko leżącego grodu, otoczonego wyższym jeszcze jak miasto, a na obwód półtoréj mili długim murem. To sławny ów zamek i seraj sułtanów marokańskich z ogrodami, w których uroki przyrody walczą z pięknościami sztuki. Ogrody te przebiega rzeka Tenesift, i zasila swemi wodami głębokie jeziora, kanały, fontanny i wodociągi. Gmachy główne wzniesione z ogromnych głazów granitowych; pomniejszych gmachów, koszar i oficyn dla dworzan przeznaczonych daleko więcéj niż w Wersalu, a domków osobnych na jedno piętro wzniesionych i po parkach i ogrodach rozsianych, przynajmniéj ze dwieście pięćdziesiąt.

Ten ogród niezmierny, w którym nie brakuje ani placów, ani dziedzińców, zamieszkuje często sam cesarz. W obecnéj chwili zamieszkiwał go cesarzewicz i kilkunastu innych bliskich krewnych jego.

Osobne miejsce wraz z kanałem i jeziorem oddano panu Westmoreland porucznikowi Trydentu, nam zaś przeznaczono koszary, w których pomieścić się mogło do 500 ludzi, na założenie szpitala dla oftalmicznych.

Przeznaczono nam mieszkanie w domu zajmowanym zwykle przez obu pułkowników gwardyi; każdy bowiem pułk regularny ma tutaj dwóch dowódzców: jednego wojennego, drugiego administracyjnego. W domu tym było do dziesięciu stancyj w pawilonach, w środku wspólna sala wysoka i dość okazała, wychodząca z przodu na dziedziniec, z tyłu zaś na tę część ogrodu, która była wspólną i do użytku zapraszanych oficerów przeznaczoną; obok téj wspólnéj części znajdowały się na prawo i lewo ogrody, wysokim murem odgraniczone od wspólnego, a przeznaczone do użytku prywatnego panów pułkowników i ich żon i kobiet.

Mebli zwyczajem wschodnim bardzo mało było w pokojach: dywany, sofy, kobierce, małe stoliki, i na tém koniec. Tylko w pokoju sypialnym umieszczono kilka krzesełek, zrobionych widać umyślnie dla nas. Zresztą nie zapomniano niczego, co nam uprzyjemnić mogło pobyt w stolicy; miano wzgląd nietylko na gusta europejskie, ale także na gusta wschodnie, na wpływ klimatu zwalczający niejeden

przesąd, nawet u surowych Platonizmem Anglików. Nasze domki w ogródku osobistym były bardzo przyjemnie zaludnione: znajdowały się w nich łazienki i altanki, gdzie przyjemnie można było odpoczywać.

Dano nam cukiernika sporządzającego od rana do wieczora kawę, lody, sorbety, konfitury i ciasteczka; ale o kucharzu nie pomyślano, czyli raczéj zwyczajem tutejszym cesarzewicz kazał nam przynosić już gotowe potrawy z pałacu swego. Zresztą, obdarzono nas zwykłym powitalnym podarunkiem, złożonym z żywności: z pięknego bawołu, z sześciu baranów, z kopy całéj kur, z półkopy indyków, i nieskończonéj ilości pstrągów, jarząbków; przytém było kilka worków różnéj mąki, kilka ogromnych dzbanów różnéj oliwy, owoców co niemiara. Służba nasza nie potrzebowała lękać się głodu.

Jeszcze przed roztasowaniem się poszliśmy obejrzeć koszary na nowy szpital przeznaczone. Było budynek wzniesiony na dość wysokiém wzgórzu, o piętrze, z kamienia nieciosanego, spojonego bardzo dobrą gliną. Gmach ten, jak wszystkie większe maurytańskie, miał w środku dziedziniec, niestety bardzo szczupły i źle wentylowany; nadto tylna część wystawiona na południe, zkąd z Atlasu zimne i szkodliwe zapaleniom wiatry wieją, nie mogła służyć na szpital oftalmiczny. Delikatny to bardzo organ oko, gdy się w nie wda zapalenie egipskiém zwane, a tak okrutne, że w dzień jeden często wydrze człowiekowi zmysł najpotrzebniejszy do szczęścia. Sale zatém wychodzące na południe nie mogły służyć dla zbytniego światła w dzień, a dla wiatrów Atlasu w wieczór i w nocy; sale wewnętrzne wychodzące na dziedziniec służyć nie mogły dla zepsutego powietrza. Pozostało tedy tylko z szesnastu sal, zawartych w gmachu, na dobry użytek sześć, mogących pomieścić najwięcéj 180 chorych; a z samego garnizonu miasta, wówczas tylko do 12,000 dochodzącego, 1,000 było chorych, rozdzielonych częścią po szpitalach miejskich, częścią po szpitalach obozowych naprędce urządzonych. W mieście, którego ludność najwięcéj do 70,000 dusz dochodziła, stosunkowo mniéj daleko było chorych, pomimo brudnych zaułków, w których kryć się lubi klassa uboga, nader tu liczna, a najwięcéj do zapaleń podobnych usposobiona.

Wszystkie te wiadomości dał nam pan Simoni, dragoman cesarzewicza, i jak się teraz dopiero pokazało, jego przyboczny chirurg. Czemu nam dotychczas tail, że w nim mamy kolegę, tego nie wiem. Czy to przypisać należało przyrodzonéj mu skrytości charakteru, czy też jakiéj polityce umyślnéj, o tém sądzić nie jestem w stanie: dość, że pan Simoni, który dotychczas ani jedném nam nie wyjawił słowem, że należy do ciała lekárskiego, dał nam teraz najdoskonalsze sprawozdanie o stanie zdrowia stolicy i jéj stałych i niestałych mieszkańcach, o środkach użytych przeciw oftalmii egipskiéj, o nieskuteczności tych środków. Na 11,000, którzy dotąd zachorowali, ledwo 1,700 zupełnie wyzdrowiało, 2,600 straciło jedno oko, przeszło 3,200 oba oczy, reszta pozostaje w kuracyi.

To nam powiedział pan Simoni, a więcéj powiedzieć nie chciał. Z każdą chwilą stawał się mniéj mówiącym; widać, że mu szło bardzo o własną powagę. Posiada on rangę wyższego kapudana, odpowiadającą stopniowi majora.

Wzięliśmy się natychmiast do spisania w języku arabskim raportu, w którym wyłuszczyliśmy, czemu koszary na szpital przeznaczone nie mogą służyć dla więcéj, jak dla 180 chorych. Zarazem prosiliśmy o przesłanie nam 90 chorych świeżo zapadłych, i o 90 uważanych za niezdolnych do wyleczenia przez lekarzy tutejszych; przytém o sześć fur świeżéj słomy, o sześć postawów zielonego płótna na firanki do okien i około łóżek. Raport ten przesłaliśmy księciu przez pana Simoni, który się do nas od czasu do czasu jawił.

Na drugi dzień bardzo rano, zaczęto nam znosić i zwozić chorych, słomę, sienniki i płótno, przydano nam do pomocy z tuzin łapserdaków, w dość obdartych sukniach żołnierskich. Bylito uczniowie medycyny, przeznaczeni do służby wojskowéj, po największéj części synowie ubogich Maurów; żadnego pomiędzy niemi murzyna, ani Araba, kilku tylko potomków europejskich renegatów.

Wzięliśmy się z wielką gorliwością do dzieła, rozklasyfikowali chorych na sześć klass, według stopnia choroby, umieścili w salach na wygodnych łóżkach, napój im sporządziliśmy chłodzący a smaczny z wody, cukru i pomarańcz, wołu kazaliśmy ubić i sporządzić z niego rosół,

baranów kilka zarznąć i z jęczmienną kaszą zrobić z nich potrawkę.

W samym seraju znajdowała się apteka cesarzewicza, trzymana przez hiszpańskiego renegata; pozwolono nam brać z niéj co nam się podoba za kwitami. Ale materyały téj apteki bardzo źle były zakonserwowane; woleliśmy użyć własnych lekarstw, których na szczęście zabraliśmy z sobą bardzo wiele. Czynność rozwijamy niesłychaną; łapiemy wszystkich ludzi, na których twarzy błyskało jakie takie światełko rozumu, i przeznaczamy ich *proprio motu* do służby lekarskiéj. Dragomani nasi, służący i niewolnicy musieli pracować w zawodzie lekarskim. Nieoceniony był mój Mosiek: wszystko pojmował i wszystko robił nadspodziewanie ochoczo i dobrze. Nowe jakieś życie wstąpiło w tego dobrego żydka, od chwili, gdym go wziął w moją służbę.

W południe, właśnie wtenczas, kiedy słońce dokuczliwie świeciło, pan Westmoreland zawitał do nas, postępując jak ksiądz z monstrancyą, pod baldachimem, dźwiganym przez czterech murzynów.

— Znużony jestem jak może nigdy w życiu — zawoła porucznik Trydentu;—ale widzę, że i panowie nie próżnowali. Jakto? już wszystko w porządku? już ten chaos przeistoczony w szpital?

Fajki i kawy dano, zapalono kadzidła, murzyni odpędzali od nas muchy, i odświeżali powietrze potężnemi wachlarzami; pogadanka trwała z kwadrans, spaliśmy z godzinę. Potém znów budzimy się: lody, kawa, fajka. Nareszcie pan Westmoreland rzeknie: »Z nowiną tu przyszedłem, może niebardzo pocieszającą; ale damy sobie radę. Cesarzewicz wysłał do mnie swego khasnadara, i prosił, abym was nie przedstawiał jutro na urzędowéj audyencyi. Co wy na to?«

Doktora Hamiltona niezmiernie ta wieść wzruszyła. »Jako? mnie Hamilton-Beya, książę maurytański wzdryga się przyjąć na solennéj audyencyi? i mego towarzysza także?«

— Tak istotnie, i mnie to dziwi, dlatego tu przyszedłem—odpowie pan Westmoreland.

Posłaliśmy po pana Simoni. Przyszedł niebawem. Zrazu udawał, że o niczém nie wie i gadać nie chciał. Potém je-

dnakże wyspowiadał się, że nie było przykładu w historyi Maroko, żeby cesarz lub książę z nim bezpośrednio spokrewniony, przyjmował w uroczystych sposobnościach lekarzy, że to zapewne jest przyczyną woli cesarzewicza.

Nie podobała nam się ta odpowiedź. Wysyłamy Moska pokryjomo z listem do khasnadara, przyłączamy doń list rekomendacyjny, napisany przez kadego Tetuanu.

Mosiek wynalazł dobrą sposobność wręczenia listów khasnadarowi, tojest szefowi sztabu wojska cesarskiego.

Obiecał odpowiedzieć.

Dlatego jednakże nic nas nie wstrzymywało od czynności. Organizowaliśmy jak tylko było można; wieczorem, przed zachodem słońca, wszystkie do przyjęcia zdatne sale napełnione były choremi.

Napisaliśmy nowy raport do cesarzewicza, prosząc o wyznaczenie nowych gmachów lub domów stosownie położonych, zarazem o przysłanie większéj liczby uczniów medycyny na infirmerów zdolnych, o uposażenie szpitala regularnemi dochodami, a szczególniéj żywnością, i o sprowadzenie z Gibraltaru lekarstw, których podaliśmy listę.

Ani jednego nie chcieliśmy przyjąć chorego do sal, które nam się zdawały być niestosownemi.

Ztąd już wynikły pewne nieporozumienia pomiędzy nami a cesarskiemi oficerami.

Wieczorem, gdy już słońce zaszło, i gdy już w *wspólnym* ogrodzie używaliśmy chłodu, Mosiek wpadł do nas i oznajmił nam w sekrecie, że khasnadar cesarski kazał się wnieść *incognito* do wielkiéj sali.

Byłto pan nadzwyczajnie dostojny i łączący z rzadką pięknością, wielką gładkość w obejściu się i w manierach. Usiadł i przyjął kawę i fajkę, i zapewniwszy się, że nikogo nie było w sali, tak zaczął mówić po hiszpańsku:

— Zięć mój polecił mi panów w wyrazach bardzo serdecznych, mówiąc, że sto lat przeżył z panami w kilku godzinach, że się z wami modlił razem do jednego Boga.

— Istotnie — odpowie Dr. Hamilton; — kady Tetuanu bardzo był dla nas łaskawym, przypuścił nas do zaszczytu kosztowania z nim pokoju i szczęścia w swym domu.

— Poznał, że jesteście dobremi ludźmi. Ja was tedy winienem obeznać z prawdziwym stanem rzeczy, żebyście

się nie błąkali jak w labiryncie. Macie wielkiego przyjaciela w świetnym księciu, który, gdy Allah dozwoli, rządzić będzie tém państwem; macie także wielu przyjacioł pomiędzy ludźmi postępowemi, dobrze myślącemi, którzy wiedzą, że żadne pieniądze w świecie nie są w stanie opłacić waszego poświęcenia się dla dobra ludzkości; ale na nieszczęście, macie już i nieprzyjacioł bardzo potężnych w naszym kraju, chociaż jeszcze nikomu krzywdy nie wyrządziliście. Santuron cesarski, ten sam, co was nakłonił do odwiedzenia kraju naszego, szczególném a nieprzewidzianém zrządzeniem losu, stał się waszym wrogiem. Owa krwawa awantura na okręcie angielskim — wszystkiego złego była powodem. Santuron wielką ma przewagę na dworze cesarskim w Mequinezie; tam was opisał jako nieprzyjacioł zaciętych islamizmu i oburzył przeciw wam umysł cesarza i umysły wszystkich fanatycznych starowierców. Właśni moi synowie, Mahomet Mirza i Zelim Mirza, do téjże partyi należą; matka ich bowiem córką jest nieboszczyka brata cesarza Muley-Ismaiła, i jako książęta krwi po kądzieli, synowie moi wychowanemi zostali w seraju cesarskim na starowierców. W pomoc też przyszła intrygom santurona Jussufa zazdrość tutejszych lekarzy.

Już u was w Europie mówią, że nic w świecie nie przechodzi zazdrości lekarzy, że jeden drugiemu żałuje kęsa chleba; tutaj u nas jeden drugiemu zazdrości paznokci u palców i białka w oku. Tak tedy dzięki intrygom santurona i partyi fanatycznéj, zawistném okiem patrzącéj na wszystkie wkraczania oświaty europejskiéj, dzięki zazdrości tutejszych lekarzy, professorów i radców lekarskich, sam cesarzewicz, uważany przez własnego ojca za niebezpiecznego reformistę, związane ma ręce i z wielką tylko ostrożnością musi wam objawiać swą wdzięczność za wasze usługi, wyświadczane z tak dobrém sercem i z tak zastanawiającą gorliwością. Wie bowiem nasz książę, coście już dzisiaj dokonali, i niebawem, zapewne, już jutro rano zwiedzi wasz szpital, naturalnie że *incognito*, tak jak i ja do was przybyłem. Przy uroczystości odbioru podarunków Alberta księcia przyjąć was nie może; zwróciłoby to na się oczy wszystkich zagorzałych starowierców, hydra zawiści podniosłaby na was wszystkie swe głowy, a i naszemu księciu zagroziéby mo-

gła. Co wy na to, o dobrzy i rozumni przyjaciele? Chcecie, abym wam wykonał przysięgę, że wszystko tak jest, jak wam opowiedziałem?

Dr. Hamilton, z charakteru bardzo dumny, uznał przecież słuszność powodów skłaniających syna cesarskiego do skromności w swych objawieniach życzliwości, i poprzestał na tém co słyszał, zaręczając, że w zupełności wierzy słowom khasnadara, i że zrzekając się wszystkich dla niego dość małoznacznych honorów, wymagać będzie jedynie tego, co dla dobra chorych uważa za niezbędne.

— Wszystko, co zażądacie w tym względzie, będzie na wasze usługi. Już na tęgim mehari wyekspedyowano gońca do Tangieru; za tydzień najdaléj przybędą lekarstwa z Gibraltaru. Dobrze nawet robicie nie odstępując ani na włos od tego, co wam się zdaje być dla dobra chorych koniecznem. Na wasze zaś jest usługi wszystko, co nasza ziemia wydaje najpiękniejszego w każdym względzie, jak o tém już musicie wiedzieć. Czy pobyt w tym domu jest wam przyjemny? czy usługa dobra?

Na te pytania odpowiedzieliśmy poważnie skinieniem głowy.

— Jutro przy uroczystości oddania cesarzowi podarunków Alberta Mirzy, wielkie będą parady i uroczystości—rzecze daléj khasnadar.— Panowie zapewne zechcą assystować w orszaku Europejczyków?

Dr. Hamilton odpowiedział, że jakkolwiek ciekawy widzieć, z jaką pompą wystąpi świetny książę, uważa jednakże, że ubliżyłby swéj godności, assystując tylko skrycie tak uroczystéj sposobności.

Khasnadar usiłował wszelkiemi argumentami zwalczyć uprzedzenie doktora, ale dokazać nie mógł żadnym sposobem. Nareszcie prosił, abyśmy mu wyświadczyli zaszczyt odwiedzenia go w jego pałacu po przyjacielsku, jak się odwiedza dobrego sąsiada.

— Chętnie bardzo odpowiemy na te szczere zaprosiny, ale jedno jeszcze pytanie, potężny i czcigodny panie — rzekł Dr. Hamilton. Powiedz nam, do jakiego stopnia można zaufać panu Simoni? jego postępowanie względem nas dość jest zagadkowém.

— Zacharia Simoni zostaje pomiędzy nami od lat dwudziestu kilku, synów ma kilkunastu w wojsku naszém, a je-

szcze go nie znamy. Zawsze był i pozostał dla nas zagadkowym człowiekiem, tak jak wszyscy renegaci, którzy zakosztowawszy cywilizacyi europejskiéj, pędzeni burzą losu lub uciekając przed karą, do nas przybyli i wyrzekli się religii dla nadziei zdobycia dóbr doczesnych. Simoni w dość wielkiém jest u księcia poszanowaniu, winien to taktowi swemu i wiadomościom rozlicznym i niepoślednim; jednakże co do zasad, fanatycznym jest wyznawcą starego, surowego islamizmu, a co najwięcéj jeszcze zastanawia, zaciętym wrogiem Europejczyków; ale u Simoniego jeszcze coś innego musi być powodem téj skrytéj a niepohamowanéj zemsty przeciw Europejczykom: zapewneto będzie pamięć doznanych lub zadanych krzywd, ciążąca na sercu lub na sumieniu tego renegata. Pan Simoni ciągle usiłuje wzbudzić w księciu naszym, który jest łagodnego charakteru, nienawiść przeciw chrześcianom, i aby lepiéj dopiąć swego celu, łudzi go nadzieją wielkich zwycięztw, łatwych, jak utrzymuje, do odniesienia na Francuzach. Na nieszczęście, cesarzewicz nasz poczuwać się zaczyna do bohaterstwa, chociaż wcale na wojownika nie jest zrodzonym, bo nerwy ma bardzo słabe i w ogólności nie jest wytrzymałym na znoje i niewygody. Ja uważam po prostu pana Simoni za tajnego agenta emira Abd el-Kadera, przekupionego umyślnie na to, żeby pobudzał księcia do wojny z Francuzami,— i przewiduję najgorsze z tego skutki.

To mówił khasnadar cesarski, i wypadki późniejsze dowiodły, że go nie myliły przeczucia.

Wyznaczono nam nazajutrz rano nowe koszary i 12 domków na przyjęcie nowych chorych. Liczba ich doszła do 450. Parady w dniu tym odbywały się z wielką świetnością. Działa grzmiały ze wszystkich baszt naokoło miasta i naokoło grodu cesarskiego, w którym mieszkaliśmy, grzmiała artylerya pozycyjna i polowa marokańska; grzmiały armaty przyprowadzone przez Anglików i działka na pięknéj łodzi parowéj «Muley-Abderhamman», darowanéj cesarzewiczowi.

Rozmaite i malownicze były stroje wojska defilującego pod naszemi oknami. Syn cesarski, otoczony gwardyą przyboczną maurytańską, z saméj szlachty złożoną, jechał na koniu bieluteńkim jak mleko, w ubiorze purpurowym, wysadzanym tak rzęsisto dyamentami, że patrzeć nie można było na niego bez doznania boleści w oczach. Byłto mężczyzna już

30 lat przeszło mający, a z przyjemną, łagodną, ale dość śniadawą, prawie mulacką twarzą. Rysami charakterystycznemi lub też wyrazistością twarz ta nie odznaczała się wcale; mało w niém było dumy, mało także bystrości, a jednak szlachetném było to oblicze.

Sidi-Zelim-Szeryf nosił na swéj twarzy i w swéj osobie ślady kilku narodowości: istotnie krew arabska, etyopska i europejska w jego żyłach płynęła. Pradziadek jego jeszcze był czystym Arabem. Dziadek był synem Araba i mulatki maurytańsko-etyopskiéj, sławnéj z piękności i nieszczęść. Ojciec był dzieckiem spłodzoném z tego małżeństwa i noszącem na sobie wyraźne cechy etyopskiéj rasy: twarz miał bardzo śniadą, czarniawo, a nie bronzowo-śniadą, czarny, kędzierzawy, prawie wełniany miał zarost. Następca tronu, syn takiego ojca i matki Europejki, jasnego włosa, zarost miał czerwonawy, ale starannie na czarno farbowany, a oczy jasne i wielkie, pełne łagodności, cerę jednakże dość śniadą.

Sławny z waleczności i rozumu Ali-ben-Taib-El-Genani jechał na czele wojowników z plemienia Ulafów i Bokharis; El-Kebibi-Kaid potężnego plemienia Alof-Audumów, maszerował piechotą na czele nowo zorganizowanego hufcu piechoty regularnéj marokańskiéj. Broń u niéj dobra, angielska widać, bo pistonowemi zamkami opatrzona, ubiór także jednostajny, różniący się kolorem batalionów; widać, że znane im szyki wojska europejskiego.

Sidi-el-Mamuhn-ben-Szerif z rodu cesarskiego, nominalny dowódzca armii marokańskiéj, ten sam, który późniéj 30. maja 1844. roku zabitym został przez generała Lamoriciere pod Uszdą, postępował na czele kawaleryi liniowéj i gwardyi Udajów, to jest murzynów. Pięknyto hufiec, zazdrość mogący wzbudzić w każdym narodzie wojennym.

Daléj postępował oddział artyleryi polowéj cesarza marokańskiego: dwie półbaterye po 8 dział sześcio-funtowych. Materyał, konie, zaprzęgi i ludzie, niezły przedstawiały widok; kolor ciemno-czerwony mundurów doskonale był zastosowanym do czarnego koloru cery artylerzystów, złożonych z samych murzynów. W téj broni nawet i oficerowie byli murzynami. W ewolucyach istotnie artylerya marokańska nie stała daleko poza niektóremi europejskiemi. Działa wbiegały szybko na pozycye, odprzodkowywano je, nabijano zręcznie, ale celowano niemi źle i trafiano jeszcze gorzéj; go-

rzéj daleko jak z dwufuntowych działek umieszczonych na grzbiecie wielbłądów.

Na wszystkie parady i ewolucye lądowe i morskie patrzyliśmy z miradoru wzniesionego na dachu pałacyku naszego. Siedzieliśmy ubrani nie w mundury, tylko w wygodnym stroju maurytańskim: w lekkim zawoju i czepcu muślinowym, okrywającym twarz prawie całą, w szerokich dziabbadorach i w lekkiéj długiéj szubie.

# ROZDZIAŁ XII.

EPIDEMIA.— SZTUKA LEKARSKA.— CYRULICY.— ŚRODKI OSTROŻNOŚCI.— ŻYDEK POLSKI.— MISSYONARZE KATOLICCY.— POLAK W PUSZCZY SAHARY ŚWIATŁO CHRYSTYANIZMU ROZNOSI.—ŚRODKI LEKARSKIE.— CHOROBY.— STOPY ATLASU.— AZALI.— WYPOWIEDZENIE WOJNY.—POWRÓT DO MOGADOR.—GŁOWA ABUR-NAZY.— POWRÓT DO GIBRALTARU.— KONIEC TOMU VIII.

---

Bawiliśmy już od dziesięciu dni w Maroko. Czas schodzi prędko, chociaż na jednostajném zatrudnieniu w szpitalu. Bóg błogosławi naszym pracom: wielka ilość chorych, trudnych jak się zdawało do uratowania, odzyskała zmysł drogi widoku na jedno, nawet na oba oczy. Ze świeżo zapadłych, ledwo jeden na 25 traci oko. Pomimo tego mało nas wzywają do prywatnych chorych, tylko do wysokich panów, gdzie praktyka bardzo niewygodna. W mieście trwa jeszcze przesąd przeciw chrześciańskim doktorom, wzywającym czarta na pomoc, jak się dali słyszeć nasi dobrzy marokańscy koledzy, renegaci, czy Maurowie.

Następca tronu już kilka razy odwiedził szpital. Chwalił nas, oświadczeniami i grzecznościami obsypywał, podarunkami nawet obdarzał, nie wiele wprawdzie wartującemi, aleśmy koniowi nie zaglądali w zęby, i ciągle pracowali.

Epidemia ustawać zaczęła. Rozeszło się w mieście, że to w skutek modłów, które imany, muftowie, muezziny i fakiry słali ku niebu. Z khasnadarem jesteśmy ciągle w stycznościach szczerych i tajemnych, z panem Simoni zaś w stosunkach jawnych a nie szczerych.

Wypędziliśmy ze szpitalów wszystkich tak nazwanych uczniów szkoły lekarskiéj wojskowéj, bo do niczego nie byli zdolnemi; przekonaliśmy się nawet, że nam robią na przekor, i że nie jednego niepowodzenia stali się umyślne-

mi przyczynami. Widocznie w zmowie byli z panami radcami i lekarzami miejskiemi.

Należało zastąpić tych panów uczniów tak nazwanéj szkoły lekarskiéj innemi, na chirurgów pomocniczych i na infirmerów zdolnemi ludźmi. Nie brakło takich w Maroko. Murzyni i żydzi, służący tam w licznych zakładach łaziennych, zręczniejszemi się okazali, ochotniejszemi i zdatniejszemi od wszystkich Maurów i renegatów marokańskich. Łatwo ich było nauczyć puszczania krwi, stawiania baniek i pijawek, i innych manipulacyj niższéj chirurgii. Kilkunastu z tych murzynów wyszło nawet na bardzo zręcznych wojskowych felczerów, podczas naszego krótkiego pobytu w Maroko. Pan Simoni i kilku z młodych lekarzy uznali przecież, że można się było czegoś nauczyć w naszéj praktyce i nie opuszczali żadnéj sposobności przypatrywania się naszym działaniom podczas godzin wizytowych.

My pilnowaliśmy szpitala, a nas z drugiej strony pilnowała warta cesarska. Spostrzegliśmy wkrótce, że wszystkie nasze kroki są śledzone, że żadne z naszych działań nie uchodzą oka gospodarzy: we wszystkich wycieczkach do miasta i do okolic towarzyszyła nam warta, nibyto dla honoru. Często wstępowaliśmy do dzielnicy żydowskiéj, opasanej osobnym murem, w samém mieście na końcu zachodnim, w miejscu gdzie rzeka Tenesif, przebiegająca całe miasto, wychodzi pod pokrytym mostem, dobrze kratami i działami opatrzonym, z miasta Maroko. Zakupywaliśmy różne towary w téj dzielnicy u żydów, z któremi, chociaż lubią oszukiwać, zawsze łatwiejsza sprawa jak z Maurami, również chciwemi jak żydzi, a więcéj wymagającemi.

Warta nam tedy towarzyszyła, nie janczary, lecz gwardya cesarska komenderowana przez starego oficera, który stale u nas przebywał i z oka nie spuszczał *tibibów*.

Oficer wchodził z nami do sklepów i tam usiadłszy ze skrzyżowanemi nogami na kantorze, nic nie mówił, ale na wszystkie nasze ruchy i mowy pilną zwracał uwagę.

Mosiek zapoznał nas z kilkoma żydami majętnemi. Udało nam się parę razy oszukać baczność naszéj straży i odwiedziliśmy tych żydów w ich mieszkaniach. Wielki i zupełnie niespodziewany u nich znaleźliśmy przepych: najpiękniejsze kobierce i jedwabne ciężkie materye, złote kandelabry zdobiły ściany, sufit i podłogę; kobiety bogato,

lecz niekoniecznie gustownie ubrane, witały nas z wielką serdecznością, dziękując za wyświadczony im zaszczyt. Wiele było prawdziwie pięknych pomiędzy temi kobietami: typ taki jak i u nas, charakter twarzy zawsze ten sam, chociaż marokańscy żydzi utrzymują, że pochodzą z pokolenia Lewi, i że tak wielka pomiędzy niemi a innemi żydami zachodzi różnica, jak pomiędzy niebem a ziemią.

Pomimo tego nie masz pomiędzy żydami maurytańskiemi uczonych żydów, jak pomiędzy naszemi. Belfery ich wykładają stary testament i talmud w arabskiém tłómaczeniu; bardzo rzadko trafi się tutaj żyd umiejący po hebrajsku, a taki jest uważany za nadzwyczajnie uczonego.

Tylko wewnątrz domów żydzi ubierają się czysto; na ulicach wszyscy prawie chodzą w łachmanach brudnych i ciemnego koloru, a to aby ujść chciwości Maurów, pozwalających sobie względem nich nadużyć.

Raz bawiąc u jednego żyda, który dużo po świecie podróżował, dowiedziałem się, że się znajduje nieopodal w karawanseraju żydowskim Izraelita jakiś bardzo biedny, a urodzony w Polsce.

Zelektryzowała mnie ta nowina. Tu u podnóża Atlasu znaleźć rodaka, choćby tylko w biednym żydku, to przecież wielka roskosz. Posłałem mego Moska na odszukanie tego żyda i dodałem mu janczara do eskorty. Przyprowadzają mi biednego ze strachu truchlejącego żydka; mógł mieć około lat dwudziestu sześciu, ale okropnie był wynędzniały i obdarty, przytém na jedno oko nie widział.

— Żydku, mówisz ty po polsku?—przemówiłem do biedaka. On już i tak struchlały zaczął się trząść na całém ciele, otworzył usta i przemówić nie mógł ani słowa. Widziałem jednakże, że mnie rozumie, i dodałem: nie bój się biedaku, ja ci nic złego nie zrobię: ja twój przyjaciel, *rodak*.

Teraz dopiero żydek odzyskał zmysły, przyskoczył do mnie, do nóg mi upadł i znów skoczył na nogi i całować mnie zaczął po rękach; nawet do twarzy mi się dobrał z rzewnością, o jakiéj nikt sobie nie zdoła zrobić wyobrażenia. Krzyczał jak opętany: «ja z Polski, ja z Brodziech, był tam jegimość? ja syn starego Szmula! on już nie żyje! zabili go te rabuśniki jak wracał z Tafiletu z proszkiem złotym, z jedwabiem, z kością słoniową, perfumami, z korzeniem, i innemi drogiemi towarami.»

I nuż znowu biedny żyd płakać, szlochać i wyrywać sobie brodę. Nareszcie się przecie uspokoił i mógł opowiedzieć historyę swego życia i swych nader ciekawych wędrówek. Ojciec Icka Szlamy był kuśnierzem i handlarzem futer w Brodach, i dobrze mu się bardzo wiodło: dzieci miał przeszło mendel. Wtém wybucha w Brodach cholera! z saméj rodziny Icka umiera ośm osób. Stary Szmul Szlama, przymuszony pokutować na worku popiołu przez ośm tygodni, bo taki zwyczaj u prawowiernych żydów, zasmakował podczas pokuty w czytaniu książek religijnych, a szczególniéj w talmudzie. Książki te i medytacye tyle dokazały, że Szmul oddał się całkiem religii, że handel swój i skład wyprzedał, i z całą pozostałą mu familią, a było tego jeszcze sporo, bo i żona i siedmioro dzieci, do Jerozolimy pociągnął. I tu w Jerozolimie także Szmul zamiast pracować i szachrować, książkom się jedynie, modłom i medytacyom oddawał, aż się wkradła do familii bieda okropna. Ocknął się wówczas Szmul, i chociaż już niemłody, zakupił za resztę swego majątku towarów i poszedł w świat, najprzód do Beyrut, obiecując że wróci za półtora roku z pięknym majątkiem. A znał się na handlu doskonale stary Szmul; wiedział, co gdzie tanie i co gdzie poszukiwane. Poszedł w świat i dał znać o sobie z Beyrutu, potém z Aleksandryi, z Kairu i z Tripolis, a potém już nie pisał i Bóg wie co się z nim stało, bo rok jeden i drugi minął, a listów nie było, ani wiadomości. Wówczas rodzina Szmula doszła do najwyższego szczebla nędzy, a litości mało jest pomiędzy żydami w Jerozolimie; daleko jéj więcéj w Polsce. I Szmulowa powiedziała do swych dwóch synów starszych: idźcie i odszukajcie ślad ojca. Icek i Boruch Szlama dostali się najprzód do Tripolis; tam im powiedzieli żydzi, że Szmul tu był, sprzedał jedne towary z korzyścią, zakupił drugie bardzo tanio i pociągnął do Tunis. Icek i Boruch Szlama poszli do Tunis i tam im powiedzieli żydkowie, którzy się za ręce trzymają, że Szmul Szlama przezwany mądry, sprzedał i kupił towary z wielkim zyskiem i bez najmniejszéj straty, i poszedł do Algieru, a z Algieru poszedł do Bony, a ztamtąd do Tangieru, a z Tangieru do Mekinez, a ztąd do Maroko, a z Maroko do Tafiletu, i wszędzie mu szło dobrze. Synowie Szmula pośli za nim w trop. Ale w podróży z Maroko do Tafiletu, w tak nazwanych Mamman-Saharach, *simuhn* wiał tak okropnie

i tak zabójczym żarem piekło słońce, że wszystkie wody wyschły w butelkach i nawet w żołądkach wielbłądzich. Znaczna część karawany wymarła w najokropniejszych męczarniach, a pomiędzy temi był Boruch Szlama, i znaczna część rozchorowała się na różne choroby, a szczególnie na zapalenie ócz. Icek Szlama stracił oko nim jeszcze przybył do Tafiletu, ale choć chory, zbolały i zmartwiony po stracie brata, zaraz pytał o ojca i dowiedział się, że mądry żyd z Jerozolimy był tutaj z towarem, i sprzedał go dobrze, zakupił inny i wrócił z Tafiletu do Maroko jeszcze przed rokiem; że śpieszno mu było bardzo, i że nie czekał zebrania wielkiéj karawany, tylko z małą się puścił. Miał już wtenczas cztery wielbłądy, noszące najprzedniejsze towary ludu, Arabii i puszczy, ogromne paki napełnione piaskiem złotym, aromatami, jedwabnemi materyami, skórami, strusiemi piórami, koszenillą, gumą i kością słoniową.

Biedny Icek przeczuł całą okropność prawdy, przeczuł, że ojciec jego musiał zginąć w téj podróży. I w wielką wpadł rozpacz i włosy sobie wyrywał i suknie darł na sobie i krzykami swemi rozdzierał powietrze. Tu żył od kilku tygodni w karawanseraju, żebrząc kawałka chleba i nie wiedząc co ma robić, kiedy przybył do niego jakiś człowiek z jasną brodą, a w sukni maurytańskiego kupca i zaczął do niego mówić po arabsku. Icek mało znał ten język. Wówczas nieznajomy zaczął mówić po hebrajsku: Icek zdziwiony opowiedział mu po hebrajsku całą swą historyę. A nieznajomy przemówił do niego po polsku. Icek jeszcze więcéj zdziwiony rzucił się nieznajomemu do nóg i błagał go o pomoc i o radę; a ten dobry nieznajomy dał mu pieniędzy i powiedział, że się sam dowie z kim Szmul Szlama ruszył w podróż, i czy kto wrócił z téj karawany do Tafiletu. Nikt nie wrócił z niéj niestety; nikt nie mógł powiedzieć, czy karawanę pochłonął *simuhn*, lub też czy się stał ofiarą berberskich rabusiów. Nieznajomy często przychodził do Icka i radził mu wrócić do Maroko, pytać się wszędzie po drodze o wiadomości i prosić syna cesarskiego o pomoc, w razie, gdyby stary Szmul miał być zabitym lub uprowadzonym przez Berberów. Oprócz tego dał mu list do jakiegoś kupca w Maroko.

— A któż był ten nieznajomy?

— To był zapewne missyonarz katolicki, rodem z jakiegoś kraju, w którym mówią po polsku—odpowie Icek.

—Zkądże to wnosisz.

— Bo on i mnie chciał nawracać na chrześcianina, ale ja tak byłem skołatany, żem ani słuchał tego, co on mi mówił. On tylko udawał, że był kupcem, ale nim nie był w istocie, bo o zysk nie dbał wcale. I na sztuce leczenia znał się także i niejednego wyleczył. Arabowie bardzo go czcili, kilku z nich nigdy go nie odstępowało i zwali go *talibem*, a imie miał Sidi Andra Emkadem, to znaczy po polsku: ojciec Andrzej.

— I cóż się znim stało.

— Wybierał się w bardzo daleką podróż, do Tombuktu, za wielką puszczę Sahary. Ja zaś poszedłem za jego radą i niewiele dbając o życie, puściłem się napowrót do Maroko, zasięgając wszędzie wiadomości o mym ojcu. Na nieszczęście dowiedziałem się całéj okropnéj prawdy. Na połowie drogi ztąd do Tafiletu, o 16 dni podróży z jednego i drugiego miejsca, dzicy Berberzy z El Harib napadli na karawanę i wymordowawszy wszystkich kupców, uprowadzili z sobą wszystkie wielbłądy. Z ciężkiém od żalu sercem wracam do Maroko i list Sidi Andra Emkadema oddaję kupcowi; ten mi wyrabia posłuchanie u syna cesarskiego, który jest dobrym i sprawiedliwym panem, i raz w tydzień sądzi sprawy wszystkich biednych. I mnie wysłuchał cierpliwie i dał mi 10 cekinów złotych, prosząc abym miał cierpliwość, że może z pomocą Boga można będzie wyśledzić sprawców zbrodni, skarać ich przykładnie i odebrać choć część majątku ojca mego. Sekretarz dobrego księcia spisał najdokładniéj całą mą skargę, i wiem, że wyprawiono listy do baszów; ale już czekam cztery miesiące i jeszcze mnie nie powołano do następcy tronu: może już cała sprawa zapomniana.

— A jak się nazywa kupiec, do którego ci dał list Sidi Andra Emkadem.

— Nazywa się Abu-Bekir-em-Amor i mieszka w Kaissaryi na lewo od wnijścia, handluje pargaminem, papierem i staremi książkami, i także zna się na lekach, ziołach i kamieniach. Każdy w Kaissaryi zna Abu-Bekir-em-Amora.

Dałem Iekowi kilka cekinów i obiecałem wstawić się za nim do następcy tronu, przez Ali-Solima baszę, hasnadara, zawsze pełnego dla nas dobroci.

Nie tracąc ani chwili czasu, kazałem się zanieść do Kaissaryi, to jest do głównego karawanseraju, dla wyszukania Abu-Bekira em-Amor.

Wszyscy go tu znali doskonale. Siedział sędziwy Abu-Bekir w małym sklepiku ze stosem papierów i ksiąg, otoczony butelkami i flaszkami, puszkami i szkatułeczkami różnéj wielkości i rozmaitych kolorów. Brodę miał czarną, świecącą po pas, i zarostu tyle na bladéj twarzy, że mało co jéj wyzierało; na oczach bystrych błyszczały okulary, na głowie już łyséj zawój nosił czysty, zresztą jednakże prawie brudno był ubrany.

Pod pozorem kupienia książek wdałem się w rozmowę, i korzystając z pierwszéj sposobnéj chwili, opowiedziałem sędziwemu księgarzowi kto jestem, i żem tu znalazł rodaka w żydku, który przywiózł kupcowi list z Tafiletu od osoby, która zapewne także jest mym rodakiem.

Sledczym wzrokiem wpatrywał się we mnie Abu-Bekir, nareszcie, rzekł do mnie po włosku.

— Jakto? pan nie jesteś Anglikiem i podróżujesz pod protekcyą tego narodu?

Aha! pomyślałem sobie, to niezawodnie ksiądz katolicki, a odpowiedziałem:

— Nie uważam Anglików za nieprzyjaciół ludzi, ani też chrystyanizmu.

— A tak jest w istocie, panie doktorze. Ludzkość, religia, chrystyanizm, wszystko to u Anglika jest tylko narzędziem do zdobycia materyi, a nie celem, nie głównym przedmiotem. Wierz mi pan, że tak jest. Wypadki wkrótce okażą słuszność mego twierdzenia.

Te słowa przekonały mnie, że mój Abu-Bekir-em-Amor był zaciętym Jezuitą, i nie myliłem się wcale.

— Wielebny ojcze, widzę bowiem, że jesteś kapłanem, wielebny ojcze!—odpowiedziałem—i Francuzi hołdują Mammonowi i Baalowi, jeszcze może serdeczniéj od Anglików. Najlepszych swych przyjaciół opuszczają gdy trwoga, a może i rękę na nich podniosą, gdy interes chwilowy przemoże. Ale mniejsza o Anglików i Francuzów, mnie tu do ciebie, wielebny ojcze, sprowadziło co innego, ważniejszego. Do-

wiedziałem się, że mam ziomka aż w Tafilecie: co mogło zarzucić tak daleko syna téj saméj co i ja ziemi?

— Nic go tam nie zarzuciło—odpowie Abu-Bekir-em-Amor—zaprowadziła go tam gorliwość o dobro jedynéj ojczyzny godnéj chrześcianina,—gorliwość o dobro naszego świętego kościoła. Sidi Andra Emkadem jest pośrednikiem pomiędzy mną a braćmi naszemi pracującemi w winnicy Pańskiéj w Tombuktu; on jest ważném ogniwem téj niezmiernéj sieci, która otacza kulę ziemską i jest na tym świecie reprezentantem Opatrzności boskiéj. Brat mój zbłądził, że część tajemnicy powierzył niewiernemu żydowi, uniesiony uczuciem miłości do kraju i rodaka, przekroczył przeciw prawu nami rządzącemu; ale mu darować musimy, bo nikt prócz niego nie mógłby dokazać tego, co on dokazuje, nikt się więcéj nie poświęca dla dobra ogółu. On na swym szybkim mehari odbył w dwóch latach pięć razy podróż z Tafiletu do Tombuktu i napowrót. Tego może żaden człowiek nie dokazał. Ale czy wiesz mój synu, co jest owa puszcza Sahary?

— Wiem, wiem mój ojcze; to piekło na ziemi—odpowiem missyonarzowi.

— Trywialnego użyłeś porównania, ale masz słuszność, to piekło! Żaden jeszcze Europejczyk nie zdołał wytrwać przez godzin sześć kłusu dromedara puszczy: Sidi Andra, obdarzony jakąś siłą nadzwyczajną wprost mu od Boga daną, w tydzień jeden staje z Tafiletu w Tombuktu, w siedem dni pędzony uraganem robi przeszło 200 mil geograficznych drogi, i dwa razy tylko staje podczas podróży dla napojenia swego dromedara. Karawany dopiero w pięćdziesiąt dni stają z Tafiletu w Tombuktu, i tam odpoczywają półtrzecia miesiąca. Sidi Andra odpoczywa tylko dni dziesięć. On się poświęcił dla naszéj wiary, bo raz zginąć musi w téj okropnéj podróży, i zakopany pod piaskiem przepadnie, nie zostawiając na ziemi ani śladu. Ale on tylko w niebie pragnie znaleźć nagrodę i tam ją mieć będzie.

— Nie wiesz wielebny ojcze, z jakich okolic jest ten rodak, którego umiem ocenić zasługę i poświęcenie.

— Nie wiem ani zkąd jest, ani jak się nazywa swém rodzinném nazwiskiem. Wiem, że jest Słowianinem, i że opuszczając seminaryum missyonarskie w Rzymie, chciał być

wysłanym tam, gdzie niebezpieczeństwo i trudy największe. Kościoł jest jego ojcem, wiara jego matką, a nadzieja chrześcian jego ojczyzną.

Więcéj w tym względzie nie mogłem się dowiedzieć od ojca Amora, tak się bowiem nazywał ów missyonarz, znany tu i uwielbiany powszechnie jako człowiek surowéj cnoty, wysokiego rozumu i wielkiéj, czynnéj dobroci. Rząd tutejszy przenikał tajemnicę jego, chociaż była dobrze tajoną, ale ze względu na cnoty missyonarza, patrzał na resztę przez szpary. Tak prawdziwa zasługa wszędzie, nawet u fanatycznych barbarzyńców, znajduje uznanie.

Nie byłem w stanie dowiedzieć się niczego więcéj o ojcu Andrzeju. Zapewne już oddawna leży pogrzebany pod gorącemi piaskami Sahary, i rodzina jego zapewnie nie wie, że syn ten naszéj ziemi rozkrzewiał wiarę na niéj czerpaną aż na okropnéj puszczy dalekiego nieba.

Wróćmy jeszcze do sułtańskiego seraju, w którym murzyni uczą się ciągle mustry artyleryjskiéj od owych *dragonów angielskich*, którzy tu niby to dla eskortowania podarunków przybyli, a w Maroko stanąwszy, na instruktorów artyleryi marokańskich wyszli.

W trzecim tygodniu naszego pobytu zaledwie stu pozostało chorych w szpitalu. Lekarze tutejsi obeznali się z właściwym sposobem leczenia oftalmii egipskiéj, i potrafili spożytkować zdobyte wiadomości. Najlepiéj udawały się ciągłe irrygacye wody letniéj na oczy. Łatwo je użyć w szpitalach: nad szeregiem łóżek przeciągaliśmy rynny z trzciny bambusowéj, a w części tych rynien, przypadającéj nad oczy, kazaliśmy wiercić dwie małe dziurki w odległości dwóch ócz; przez te dziurki dopiero przeciągaliśmy kawałki szpagatu stosownéj grubości, które wisiały nad oczami na trzy cale. Z rynien napełnionych najczyściejszą wodą źródlaną, staczały się krople téj wody na oczy, chłodziły je bardzo przyjemnie, i obmywały z nich ropę. Po płótnie woskowém, należycie podłożoném pod głowę pacyenta, staczała się woda na podłogę marmurową, innéj bowiem nie było w całém mieście. Marmur tu tani i dobry, i kilka tysięcy ludzi żyje z wydobywania go z Atlasu, i z obrabiania go.

Niesfornym, niechcącym trzymać ócz pod szpagatem, a takich było niemało, przekłuwaliśmy uszy, i za pomocą jedwabnych sznureczków przywiązywaliśmy ich za nie do łóżka. Często także musieliśmy przywiązywać ręce i nogi naszym pacyentom. Nic nas nie zrażało dla osiągnięcia celu zbawiennego.

Nie każdego można było wyleczyć temi prostemi środkami: często należało się uciekać do wypaleń oka kamieniem piekielnym, do innych środków zewnętrznych i wewnętrznych bardzo sprężystych. W ogóle lekarstwa wszystkie, byleby były stosownemi, bardzo skutecznie i prędko działały na tych synów natury, nieprzepalonych alkoholem, nieprzedziurawionych merkuryuszem.

Nawet i *lepra*, *elefantiasis*, *pellagra*, *psoriaris* i inne choroby skór niezwykłe w Europie, ustępowały po użyciu systematycznem środków krew czyszczących, i poty wolne pędzących. Na zwalczenie zapaleń, rzadko kiedy uciekaliśmy się do innych środków przeciwzapalnych, jak do saletry i innych obojętnych soli.

Następca tronu zadowolony był z rezultatu naszych działań, często nas odwiedzał w szpitalu, dwa razy nawet przyszedł *incognito* odwiedzieć nas w domu.

Dla leka uzyskałem sto cekinów wynagrodzenia i solenną obietnicę, że sprawa jego, któréj pojęto słuszność, nie pójdzie w zapomnienie. W chwili obecnéj nie można było dokazać więcéj: prawie wszystkie berberyjskie plemiona stały w pogotowiu pod bronią, i domagały się ogłoszenia wojny świętéj przeciw Francuzom, którzy przyparli Abd-el-Kadera tuż pod granicą marokańską. Emir umiał przez agentów swych gęsto rozsianych wzburzyć umysły wszystkich fanatyków, i rozochocić rabusiów przeciw chrześcianom. Cesarz, z natury swéj wcale niebitny, nie cierpiał przecież Francuzów, i co więcéj, nie śmiał opierać się żądaniom fanatyków; a cesarzewicz, chociaż lubił francuzów i europejską cywilizacyę, nie umiał się oprzeć ochocie zmierzenia się z zapaśnikami tyle zachwalonemi. Wrzały namiętności w kraju tak namiętnym jak marokański; przyjść musiało wkrótce do wybuchu. Partya umiarkowanych i rozumnych nader była nieliczną w radzie cesarzewicza, nader trwożliwą w radzie cesarza. Spokojni wieśniacy pragnęli pokoju, ale ich właśni szeikowie, posiadający po

największéj części stopnie honorowe wojskowe w armii cesarskiéj, uważali za rzecz niestosowną opierać się ogólnemu usposobieniu umysłów dążącemu do wojny.

Taki był stan rzeczy w początku czwartego tygodnia naszego pobytu w Maroko. Przewidywaliśmy burzę, ale póki garnizon angielski, chociaż tak nieliczny, stał w seraju sułtana, niczego nie lękaliśmy się wcale, dla własnéj osoby przynajmniéj.

Zrobić wycieczkę daléj w Atlas, to było mém najserdeczniejszém życzeniem w téj chwili; ale rzecz ta była niemożebna: żaden nawet z Europejczyków tutaj przebywających nie miał odwagi jéj dokonać. Tylko najniższe stopy téj świetnéj góry były zamieszkane przez włościan, wyżéj pięły się lasy i bory, pieczary i jaskinie, służące za przytułek Berberom i dzikim zwierzętom. Daléj były skaliste i przepadziste okolice, a nakoniec wieczne śniegi, nigdy całkiem nietopniejące.

Atlas, ten Bóg tajemniczy, ten dźwiga z nieba, nigdy z téj strony i przez nikogo nie został wyzutym z swego panieństwa. Sterczał jak kręgiel przed naszemi oczyma, i urągał się z odwagi ciekawych synów Europy. Tylko na stopy jego można było robić wycieczki, i nieraz w śmiałym pędzie arabskich rumaków dotarliśmy do lasów dziewiczych, opasujących starego Tytana.

Raz, — byłoto już w końcu lipca, powołani do szeika Ben-Zoa-Dar-Ziodacerów znaleźliśmy się w powabnéj i żyznéj okolicy na południu Maroku. Dr. Hamilton zatrudniał się rozmową z szeikiem, ja zaś pobiegłem sam jeden ku studni starodawnéj, pomiędzy pagórki, przepaści i duary Arabów. Mówili nam, że ta studnia jest zabytkiem Rzymian. Byłoto pod wieczór. Słońce chyliło się ku widnokręgowi, który w tém miejscu dość płaszczysty. Staję u studni, zdaleka oznaczonéj wysokiemi drzewami, otaczającemi ją jak duchy opiekuńcze. Studnia ta monumentalna. Wężem się wiły schody prowadzące aż do zwierciadła wody, a schody te opatrzone poręczą tak były wygodne, żem nie mógł oprzeć się ochocie zejścia aż na dół. Zadumałem się, siedząc na kamiennych schodach. Aż tu naraz spuszcza się ponad głowy memi koneweczka gliniana, aż do zwierciadła wody. Sam niepostrzeżony, patrzę w górę. Boże! coto za anioł czerpie tę wodę? Zaledwie ubrana, bo

tylko w jasno-niebieskiéj koszulce wełnianéj, chyli się dziewica ku głębi, i czerpie wodę wędką, u któréj na długim sznurze wisiała koneweczka. Na głowie pokrytéj czarnemi jak heban włosami, w dwa długie warkocze splecionemi, nosiła czerwoną krymeczkę; oczy miała czarne ukosem wycięte, a twarz, jak statua Praxitelesa, nieporównanéj piękności, ale bronzowa jak spiż rumieniący się w blasku wschodzącego słońca. Wszystkie ruchy i wszystkie wdzięki téj młodéj istoty jaśniały szlachetnością, i czułym językiem przemawiały do serca.

Czerpnęła wodę i w górę windowała konewkę, ale ostrożnie, aby jéj nie zbić o żelazne poręcze, albo o same schody. I ja za koneweczką pobiegłem w górę, bo z tym aniołem chciałem się poznać.

Wychodzę tedy ze studni i wołam:—Oh! jutrzenko dnia mego, oh Zorayo! daj się napić wody.—Ona na głowie trzyma koneweczkę i ucieka, ucieka prędko jak antylopa, i krzyczy: *dżin! dżin!* to jest: duch! duch!

— Nie, to nie *dżin*, kochanie, to tylko *Rumi* spragniony, który błaga, abyś mu udzieliła choć kropelkę téj wody, bo umieram z pragnienia—rzeknę daléj, błagając.

— *Rumi*? *Rumi*?—odrzekła dziewica, i z ciekawością w tył spojrzała.—Ja *Ruma* nigdy nie widziała: jak wygląda *Rumi*?

— Ot tak wygląda! patrz na mnie dziewico: wygląda jak wy wszyscy!

— Chodź więc, oh *Rumi*! chodź kiedyś spragniony—rzecze dziewica arabska, i z głowy zdejmuje koneweczkę, o łono ją opiera, i brzegi naczynia do mych ust zbliża.

Ja klękam i piję, i długo piję, bom istotnie był spragniony.

— Ale miła dziewico, czémże ci się wywdzięczę?—rzekłem obcierając brodę.—Patrz, tu na spodzie téj koneweczki musi być coś dla ciebie.—Istotnie na spodzie koneweczki błyszczał piękny nowiuteńki cekin złoty.

Ach jaka była radość młodéj dziewczyny! ona jeszcze nigdy w swém życiu złota nie posiadała. I tego nie wyda cekina, tylko go przekłuje i we włosach nosić go będzie.

Ale trzeba znów napełnić koneweczkę, bo woda z niéj wypita i wylana. Ileto nieporównanéj gracyi a piękności

w tych ruchach i w tych bosych nogach, cały raj cudnych uroków.

— Powiedz śliczna dziewico, jak się nazywasz?—rzekłem do méj nowéj przyjaciółki.

— Imię mi Azali—odpowie Arabka.

— A daleko ztąd mieszkasz?

— Oh tuż blisko: patrz w tym duarze, którego chatki pod koronami palm i pomiędzy jaśminami stoją.

— I pozwolili ci pójść saméj czerpać wodę? — pytam daléj.

— Ja prawie sama pozostałam w tym duarze z małemi dziećmi i starcami. Mężczyzni co broń mogli nosić, lub też chłopcy co już krzyczeć tego umieją, pośli zrobić obławę na lwa, który nam trzody pustoszy; wszystkie zaś dorosłe kobiety są na weselu w drugim duarze. Ja pozostałam w domu, bo nie mam się w co ubrać: przed tygodniem pożar wybuchnął w naszéj chatce i w nim spłonął cały mój ubior świąteczny. Sama jedna jestem w chatce mych rodziców, w téj nowéj chatce, którą nam przyjaciele wystawili—dodała Azali rumieniąc się i patrząc mi figlarnie w oczy.

— Ale psa macie bardzo złego, nieprawda?

— Psa mamy złego, ale go zamknę w obórce, żeby nie szczekał—rzecze Azali z ową niewinną minką dziewiczéj naiwności.

— Słuchaj Azali, zobacz na spodzie twéj koneweczki, może tam znajdziesz jaki cekin, bo ich tam wiele w téj studni.

Azali zdjęła konewkę z głowy i znalazła w niéj drugi złoty pieniążek. Ach jak była uszczęśliwioną! jak ją ozdabiała radość!

Azali pobiegła do duaru z koneweczką próżną na swéj pięknéj zakłopotanéj głowie. A ja stałem długo na tém miejscu i okiem ścigałem lotny cień znikający w nocnéj pomroce.

Długo marzyłem i walczyłem z sobą. Wszedł srebrny księżyc. Azali po wodę nie wraca. Bądź zdrowa arabska dziewico!

Już koń osiodłany, wszyscy na mnie czekają. Siadam na koń, wszystkich za sobą zostawiam.

— *Ok irhem?* (kto idzie)?—pyta warta seraju Abderhammana.

— *Engle Tibib! Fodor Efendi! Ered miatah! ikdam* (angielski doktor, Fodor-Efendi. Otwórz bramę—natychmiast).

Nazajutrz po południu wchodzi mister Westmoreland do nas i zacierając ręce, śmieje się roskosznie.

— Oho! zwiastujesz nam jakieś nowiny? — zapyta Dr. H.

— I ważne, i wielkie. Wygraliśmy sprawę przeciw Francuzom. Wojna święta w Mequinez już ogłoszona w téj chwili, pojutrze zaś ogłoszoną będzie w Maroko. Daléj w drogę! Francuzom nawarzyliśmy dobrego porteru: idzie o to, żebyśmy go nie skosztowali sami. Wasi pacyenci już się dobrze mają; jutro w drogę.

Pożegnanie nastąpiło na uroczystéj audyencyi; podarunki dane, dalibóg dość skromne, aleć to ciężkie czasy, wojna przed wrotami, a chorzy już wyleczeni; już nie masz o co prosić. Khasnadar pożegnał się z nami czule: nie był on chętnym owéj świętéj wojny i przewidywał klęski swego kraju. Icek już był założył mały handelek i w najlepsze szachrował. Abu-Bekir-el-Amor znikł gdzieś od dni kilku, jego pomocnik Maur, skrycie do chrystyanizmu nawrócony, prowadził handel i utrzymywał, że pryncypał poszedł do Tafiletu zakupić towary.

Wracamy do Mogadoru. Podróżujemy bardzo szybko bez dział, bez fregat i bez pontonów, a podarunki marokańskie nie ciążą nam wcale. Saharę Mogadorską przebywamy przy świetle księżyca; wielka spokojność w atmosferze: puszcza piasczysta niezatumaniona, rosą zwilżona, gładką była tym razem i połyskiwała jak ogromne prześcieradło w srebrnym blasku księżyca.

Mijamy grobowiec świętego Mogadola, mijamy i El-Kawar, to jest miejsce spoczynku umarłych dzieci Mahometa. Muezin na minarecie wzywa do modlitwy: Maurowie, Arabowie i Negry zsiadają z koni i wielbłądów, myją się w rzece, ścielą burnusy na ziemi i twarzą zwróceni ku wschodowi klękają i modlą się rzewnie do Alli. Żydzi zebrani w osobną gromadę kiwają się, przypasawszy przykazania Mojżeszowe do głowy, i ściągnąwszy rzemieniem rękę lewą, tak jak to zwykli czynić hussyci w Pińczowie i w Kolbuszowéj. Chrze-

by niebezpieczną rzeczą zwracać na się jego uwagę wycieczkami w głąb kraju, lub nawet w samo miasto.

Opuszczamy Mogador właśnie w dwa miesiące po wylądowaniu na brzegi Tangieru. W kilka dni później stawamy w Gibraltarze, gdzie wielka radość z wojny sprowadzonéj na Francyę. Cieszono się tu błogą nadzieją, że nieliczna francuzka armia zgniecioną zostanie w pierwszéj potyczce przez marokańskie hufce.

Książę Joinville już krążył około Melilla, Ceuty, Alhucemas, Gibraltaru i Tangieru. Trzy miał statki liniowe o 120 działach, jednę fregatę o 52, trzy brygi i 9 statków parowych. Jeszcze oczekiwano innych statków.

Z Gibraltaru przesłaliśmy niewolników naszych, obdarzonych przeznas wolnością i pieniędzmi, do Tangieru, z Tangieru zaś sprowadziliśmy rzeczy nasze i ową biedną Nubijkę, którą Dr. Hamilton był nabył. Miała się już lepiéj i z wielką niecierpliwością nas oczekiwała. I Mosiek wrócił do Tangieru, gdzie miał żonę i kilkanaście bachorząt; uzbierał on sobie do trzechset cekinów złotych w téj podróży i za nie zakupił towarów w Gibraltarze, i założył handelek w Tangierze. Może już od dawna jest milionowym panem.

Nowiny nadeszły z Tangieru i z prowincyj północnych Maroko. Wszystko się brało ochoczo do oręża, jeden tylko wieśniak arabski niechętnie opuszczał swą rolę i swą pracę. Pod każdą strefą, w każdym narodzie, chrześciańskim czy niechrześciańskim, praca jest kolebką rozumu i uczciwości; kto się w niéj zamiłuje, kto ją uszanuje, ten ścigać nie będzie za zdobyczą.

Żal mi tych poczciwych włościan arabskich: wielkie posiadają przymioty. Gościnni są i litościwi, pracowici, bogobojni, a przytém skromni w gustach, daleko mniéj materyalni jak wiele ludów chrześciańskich. Arabski rolnik, gdy pracę dzienną skończy, wsiada na koń i buja po błoniach i puszczach, szybszy od wiatru i uraganu, lub też zapala ognisko, zbiera koło niego swych przyjaciół, opowiada lub przysłuchuje się opowiadaniom. Bieg konia go upaja i myśl jego czaruje, brzydzi się winem, o wódce nigdy nie słyszał. W boju jest mężny, nieustraszony w walce z dzikiemi potworami puszczy, w giestach swych poważny i pełen gracyi. Czytać i pisać nie umie i nie wie na-

wet, że człowiek wymyślił jakieś sztuczne frazesy na zdefiniowanie swych praw przyrodzonych.

Wie on dobrze o tém, że szeik jest ojcem, którego sobie wybrał, kady sędzią uczonym, oddawna znanym z uczciwości, kaid chciwym poborcą podatków cesarskich, basza najczęściéj zdziercą, a sułtan jego panem, na którego dopiero na drugim świecie wolno się żalić lub uskarżać. Szeika tedy kocha, kadego wielbi, kaida się strzeże, przed baszą ucieka, przed sułtanem pada na kolana, gdy go zoczy, i bez strachu i bojaźni wyjawia swe żale, jeśli mu niesprawiedliwość podrzędnych zanadto dokuczała: bo jedynie sułtan ma prawo bezwzględne do jego życia i do jego mienia; uchodzić przed jego sprawiedliwością na tym świecie nie wolno, bo on jest z rodu Mahometa, doczesnym stróżem Boga: uległość dla niego jest artykułem wiary.

Tak tedy włościanie arabscy! chociaż ubodzy i ciemni, spodlonemi jeszcze nie są. Mają monarchę gdzieś tam daleko żyjącego, uznają zwierzchników z własnéj woli lub z woli cesarskiéj postanowionych; ale dostawiwszy kontyngens i opłaciwszy podatki, za wolnych się uważają ludzi.

Rolnik arabski, choć mu błogie światło chrystyanizmu nie przyświeca, pracowitym jest, moralnym, dobrym człowiekiem. Owéj chwilowéj i przemijającéj rzewności religijnéj, któréj doświadczają czasem i najgorsi ludzie, wprawdzie nie znają; ale myśl religijna przez nich pojęta, ciągłą potrzebą poezyi w serce wcielona, czuwa nad Arabem bezprzestannie, towarzyszy mu wszędzie, nigdy go nie odstępuje prawie, gdyż chwile gniewu u niego są nader rzadkie.

To dzieci natury niezepsute, nie znajdujące w zapomnieniu samego siebie ani uroku, ani ulgi, nie oddające się ani pijaństwu, ani też poddające się zapalczywości.

Z alkoranu pojęli tylko to, co się najłatwiéj do ich zatrudnienia, do ich położenia da zastosować, a to jest do pewnego stopnia mądrém i dobrém; w żadne nie wchodzą dyskussye dogmatyczne, wyłączające takich lub owakich bliźnich od prawa do litości Boskiéj, lub od prawa do szczęścia wiecznego. «Bóg go sądzić będzie,» mówią, patrząc na złego człowieka.

Prawdziwie nie ma pod słońcem ludu zdolniejszego, więcéj usposobionego do korzystania z dobrodziejstw chrystya-

nizmu. Nauka Chrystusa, przez tak prostych, rzetelnych ludzi przyjęta, będzie prawdą, ciągłym czynem popartą.

Włościanie, czy to będą Arabowie, czy Maurzy, czy Beduini mahometańscy i izraelscy, stanowią najwięcéj interesującą, najważniejszą i najliczniejszą klassę ludu marokańskiego. Jest ich przeszło cztery miliony, a zatém większa połowa ludności marokańskiéj z wieśniaków się składa. Klassa ta pod rządem mądrym i sprężystym, stałaby się narzędziem odrodzenia dla całéj północnéj Afryki.

Maur, *szlachcic tego narodu*, co go nazywają marokańskim, pokrywszy Hiszpanią pysznemi pomnikami, błyszczący niegdyś jak meteor na firmamencie sztuk i nauk, nie posiada nawet samowiedzy swéj świetnéj przeszłości.

Inny przedstawiają widok, inne nadzieje rokują wieśniacy arabscy. Korzyści cywilizacyi, na które od tak dawna spragniona czeka ziemia afrykańska, od téj klassy ludu najpierwéj ocenionemi zostały.

Przekonamy się o tém lepiéj w dalszym ciągu tego dzieła, gdy podróżować będziemy w Algieryi.

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

INSTYTUT GEOGRAFII P.A.N. BIBLIOTEKA

20212